WYKSZTAŁCENIE KLASYCZNE.

Zdawać się komuś może, iż kwestya wykształcenia klasycznego jest już stanowczo osądzoną i rozstrzygniętą; że zatém dzisiaj nie rozprawiać o niéj, ale tylko przeprowadzać ją w życie wypada. Mniemanie takie atoli byłoby zbyt powierzchownem i nieoględném. Nie tylko bowiem u nas, gdzie bardzo rzadko zajmowano się gruntownem i wyczerpującém wyjaśnieniem znaczenia, jakie miéć mogą języki klasyczne w udoskonaleniu zdolności młodzieńczych, ale nawet tam, gdzie już oddawna i to w sposób systematyczny zgłębiano tę sprawę, ciągle jeszcze powstają spory, świadczące, że w rzeczach wychowania nie ma dotąd formuł matematycznych, któreby za niewzruszone poczytywać należało, że owszem pedagogika, jako nauka praktyczna, liczyć się musi i liczyć się ustawicznie powinna z coraz to nowemi dążnościami i potrzebami, jakie się w życiu społeczném wytwarzają. Przed rokiem zaledwie w Anglii, w téj Anglii, na którą lubią się dzisiaj powoływać wielbiciele klasycyzmu wychowawczego, ścierano się na ostre (np. w *Contemporary Review*) o wartość i doniosłość pedagogiczną greki i łaciny. A nie spierano się bynajmniéj o jakieś drobne szczegóły, któreby nawet wśród zwolenników tegoż samego kierunku istniéć mogły, lecz wprost o to, czy języki klasyczne zapewniają wychowaniu te korzyści, jakie im przyznawano, czy też nie. A nie tylko publicyści, ale i pierwszorzędni uczeni w walce téj gorący udział przyjmują. Jeden z angielskich myślicieli, Aleksander Bain, w wydanéj przez siebie roku 1879 *Nauce wychowania* (tłómaczonéj na język polski, Warsz. 1880) podjął nanowo zadanie rozbioru twierdzeń za i przeciw wykształceniu klasycznemu przemawiających.

Wobec spodziéwanych zmian, do których doprowadzić mogą projekty roztrząsane obecnie w ministeryum oświecenia, kwestya „klasyczna“ nabiera żywszego jeszcze interesu. Nie mamy bynajmniéj pretensyi, bo nie mamy nadziei, ażeby wywody nasze mogły w czémkolwiek wpłynąć na postanowienia władzy; ale w każdym ra-

zie uważamy za rzecz pożyteczną przyczynić się do rozjaśnienia opinii w sprawie, która u nas częściéj bywała przedmiotem pogadanek prywatnych aniżeli rozpraw publicznych. Broszury Kaulfusa, Libelta, Małeckiego, Szmurły i Plebańskiego—oto zdaje się wszystko, co literatura nasza w tym względzie wykazać może. A gdy dodamy, że broszury te nie wywołały w swoim czasie żadnéj poważniejszéj dyskusyi w dziennikarstwie, to dojdziemy do przekonania, iż i te szczupłe, choć cenne prace, dla wyrobienia opinii jakby nie istniały. A przecież warto, żeby się wytworzyły jasne przekonania w sprawie, która, dotykając rdzenia w wykształceniu młodzieży, tysiące rodzin obchodzi.

I.

Kto zna potęgę przyzwyczajenia i nałogu, nie zdziwi się, że zasada *uczenia wprzód rzeczy aniżeli słów*, powszechnie już dzisiaj uznawana w wykształceniu początkowém, nie znajduje zastosowania w wykształceniu średniém, którego plan drwi sobie poprostu z owéj zasady. Nie zdziwi się, gdyż fakt ten uzna za naturalny wynik rozwoju cywilizacyi zachodniéj.

Na utworzenie gmachu wykształcenia obecnego w gimnazyach klasycznych składało się wiele stuleci. Podwaliny jego założono u każdego narodu Europy zachodniéj wtenczas, gdy przyjmowano chrześciaństwo. Język łaciński był językiem duchowieństwa, które samo jedno posiadając wykształcenie naukowe, objęło zarząd szkół a w nich wszystko, co umiało, wypowiadało naturalnie takiemi dźwiękami, jakie za jedynie uczone poczytywano. Nikt wtedy nie myślał nawet kwestyonować wartości tych dźwięków, bo niewykształcony tak samo jak teraz nic w téj sprawie powiedziéć nie umiał, a wykształcony nauki w innym niż łaciński języku nie znał. Wtedy nie potrzeba było wcale argumentów na udowodnienie pożytku pedagogicznego, jaki posiadała łacina.

Inaczéj trochę rzecz się przedstawiała za czasów humanizmu i odrodzenia. Wtedy istniała już literatura w językach narodowych pisana; można już było nabrać pewnego ukształcenia w rodowitym języku; zjawiła się więc potrzeba wskazania korzyści, jakie zapewniają języki Rzymian i Greków narodom nowożytnym. Korzyść tę łatwo wówczas było odnaleść, przedstawiając wyższość literatury greckiéj i rzymskiéj nad piśmiennictwem narodowém. Ponieważ starożytni stali się wzorami dla poetów i uczonych, więc znajomość ich języka nie tylko wydawała się, ale nawet była konieczną. Zapał dla ich literatury budził się bardzo łatwo i przejmował wszystkie narody.

Zapał ten, trwając przez cztery wieki blisko, stwarza nową gałąź nauki zwaną filologią, wywołuje liczne naśladowania i mnóstwo przekładów z języków klasycznych. Świat starożytny staje się przedmiotem drobnostkowych poszukiwań: uczeni przetrząsają wszystkie jego zakątki, tropiąc najlżejsze nawet ślady piękna i prawdy; ogół ukształcony zapoznaje się z jego ideałami, przypatruje się im ze wszystkich stron i w rozmaitych przebraniach; w języku narodowym czyta arcydzieła i zwykłe roboty Greków i Rzymian.

Wśród tego rozglądania się po świecie dawno zamarłym narody dojrzewają, z dzieci i młodzieńców stają się mężami; nauka rozwija się, robi olbrzymie postępy, prześciga starożytność w poznaniu natury i człowieka; powstają nowe potrzeby, których literatura starożytna zaspokoić nie może, nowe zagadnienia, których ona nie tylko rozwiązać, ale rozwikłać nawet nie potrafi.

Powstaje wtedy sceptycyzm w umysłach ludzi, którzy zaczynają pytać siebie, czy rzeczywiście tylko w łacinie i greczyznie można znaleść rzetelną naukę i czy ta nauka może wystarczyć wśród coraz-to bardziéj piętrzących się trudności umysłowych i życiowych.

Szkoła klasyczna dla względów praktycznych musiała uznać już w wieku XVIII szkołę realną, ale spoglądała na nią jeszcze z góry. Przyznawała ona wprawdzie, że co do umiejętności, to starożytni muszą ustąpić pierwszeństwa nowożytnym, ale utrzymywała, że co do literatury pięknéj, to pomimo tłomaczeń na języki narodowe, nikt nie odczuje i nie pozna całéj doskonałości arcytworów greckich i rzymskich, kto sobie ich języka nie przyswoi. Rzemieślników—powiadała daléj—może wykształcić szkoła realna, ale „człowieka“ wyrobi tylko klasycyzm.

Niebawem wszakże i ten argument, tak ważny wobec literatur pseudo-klasycznych, musiano przybrać w inną cokolwiek formę. Pod koniec wieku XVIII i na początku XIX już nie sporadycznie jak dawniéj (Szekspir), ale endemicznie rozwinęły się potężne talenta i geniusze, które dla Europy stworzyły nową literaturę, z pierwiastków narodowych wykwitłą i blaskami nowożytnych ideałów opromienioną. Równocześnie wielkie wypadki dziejowe pogłębiły życie każdéj jednostki, otwierając jéj widoki na spółudział w sprawach politycznych, a wielkie odkrycia i wynalazki zaczęły przemieniać z gruntu stosunki ekonomiczne; pogardzona ręka rzemieślnika zajaśniała w świetle uwielbianych cudów przemysłu.

Wobec takiego składu rzeczy, niepodobna było lekceważyć ani potrzeb nowożytnego społeczeństwa ani znaczenia literatur nowych. Szkoła realna zaczęła się dźwigać z pierwiastkowego poniżenia i dowodzić, że i ona kształci „człowieka“ a nie rzemieślnika

tylko. Obrońcy szkoły klasycznéj (teraz potrzeba już było obrońców), chcąc ratować pierwszeństwo swoje, uciekli się do argumentów, które sofizmatami nazwać by można, gdyby nie były wypowiadane w dobréj wierze. Korzystając z nazwy szkół *realnych* utożsamili oni najprzód naukę języka greckiego i łacińskiego z dążeniami *idealnemi* i twierdzili, że dążeniom tym, tak podniosłym i tak uszlachetniającym człowieka, zadosyć czyni jedynie gimnazyum klasyczne, gdy tymczasem szkoła realna, obracając się ciągle w dziedzinie przyrody i interesów materyalnych, nie ma możności wpływać na to, co powinno być najważniejszym wynikiem wychowania tj. na wyrobienie pięknego ludzkiego charakteru.

Łatwo dostrzedz, że argument ten dowodzi i zawiele i zamało. Zawiele dlatego, że humanitarne pierwiastki przedstawia jako wyłączną własność literatur klasycznych, chociaż one znajdują się w piśmiennictwach nowożytnych i to w postaci o wiele wznioślejszéj, bo uszlachetnionéj nabytkami cywilizacyi; zamało dlatego, że wyrobienie charakteru wkłada na literaturę, która może tu być jednym tylko i to nie najważniejszym czynnikiem, gdyż zawsze przykład zarówno rodzinny jak szkolny i społeczny największe będzie miał znaczenie w urobieniu woli. To, co się mówi o studyach klasycznych, że one wobec interesów materyalnych reprezentują bezinteresowną miłość ideału i miłość tę zaszczepiają w sercach młodocianych, z większą słusznością odnieść można do wpływu nauk historycznych wogóle, tak, że klasycyzm o tyle może się do wytworzenia owych ideałów i uczynienia ich przedmiotem entuzyazmu przyczynić, o ile stanowi cząstkę owych nauk historycznych. — Przeciwko literaturze nowożytnéj, obrońcy szkoły klasycznéj ukuli jeszcze inny grot, który jednak łatwo zwrócić przeciwko nim samym. Starają się mianowicie osłabić wiarę w oryginalną twórczość poetów nowożytnych jako wykształconych na wzorach klasycznych; lecz tym sposobem mimowoli zaprzeczają wartości literaturze łacińskiéj, która, jak wiadomo, daleką jest od oryginalności. Straciwszy ten strzał zwracają się do strony moralnéj i utrzymują, że w literaturze starożytnéj młodzież znajdzie najwznioślejszy obraz cnót obywatelskich i moralności czysto-ludzkiéj. Dziwne losy tego samego przedmiotu! W wieku IV ś. Bazyli (w rozprawie „O korzyściach jakie odnieść może młodzież z czytania autorów helleńskich“), chcąc ocalić księgi pogańskie przed namiętnością zagorzalców, starał się dowieść, że i w tych księgach, chociaż błędnych, znajdą się rzeczy piękne; a dzisiejsi zwolennicy klasycyzmu w wieku XIX, i to historycy nawet, starają się w nas wmówić, że w tych jedynie księgach, a nie w utworach nowożytnych szukać nam należy nauki moralności

i przykładów wielkiéj cnoty obywatelskiéj; bo „ruchliwość naszego wieku zdobywa się wprawdzie także na postacie Brutusików, nawet Katonów hipokryzyą osłonionych, Cyceronów równie wymownych jak gadatliwych; ale postacie Arystydesów, Leonidasów, Sofoklesów i Peryklesów, Cyncynatów, Scypionów i Regulusów, którzy nie tylko w Rzymie, ale i w Kartaginie potrafili zachować godność obywatelską, postacie takie są w nowszéj literaturze bardzo rzadkie.“ (*J. K. Plebański*: O pedagogiczném znaczeniu nauk klasycznych, str. 40). Argument powyższy dla swojéj słabości potrzebował wsparcia ze strony estetycznéj, która wydawała się silniejszą. Arcydzieła greckie odznaczają się wysoką doskonałością, zupełną harmonią treści i formy, skąd wniosek, że chcąc młodzież wdrożyć do dobrego smaku, należy ją uczyć greki i łaciny. Na zarzut, że też same utwory można poznać w przekładach, odpowiadają powszechnie, że przekład nie zastąpi nigdy oryginału mianowicie w poezyi. Zgoda na to; ale najprzód subtelne wykształcenie estetyczne nie dla wszystkich potrzebne i możliwe, a powtóre, jak słusznie zauważył A. Bain, subtelna i nie dająca się innym udzielić woń poezyi starożytnej jest ambrozyą szkolarskich erudytów: wielkie bowiem i istotne piękności w dobrych przekładach zginąć nie mogą.

Powyżéj przytoczone dowody wypowiadano zazwyczaj tonem namaszczonym, jakby w obronie zagrożonego ideału; od czasu jednak, gdy się przekonano, że nie wywierają one wielkiego na umysły wrażenia, poszukano takich, któreby wypowiedziane na chłodno, tonem nawet suchym, dydaktycznym, miały przecież moc przekonywającą.

Najczęściéj dzisiaj używanym, pozornie najgruntowniejszym dowodem, który nawet do szerszych sfer ogółu przedrzéć się zdołał, jest ten, że nauka języków klasycznych stanowi najlepszą gimnastykę umysłową. Środkami téj gimnastyki są: gramatyka i tłómaczenia autorów. Mogłoby się zdawać, że gramatyka wszystkich języków, mając ogólne zasady mniéj więcéj te same, oddać potrafi też same przysługi, co gramatyka grecka lub łacińska. Obrońcy szkoły klasycznéj dowodzą, że tak nie jest. Siły przekonywającéj szukają w charakterystyce łaciny i greczyzny: łacina—powiadają—odznacza się prostotą, jasnością, wyrazistością, ścisłością i powagą; a ucząc się greczyzny „nie zstępujemy do przedmiotu mniéj doskonałego, ale postępujemy od organizmu większą prostotą się odznaczającego do przedmiotu więcéj skomplikowanego, wszechstronniejszego, we wszystkie pierwowzory form językowych obfitującego.“ Oczywiście w dowodzeniu tém nie może być mowy o logiczności lub wszechstronności w budowie wyrazów pojedyńczych, gdyż te, jak wykazuje

lingwistyka, we wszystkich językach aryjskich według jednakowych praw powstały; mowa tu więc o logiczności lub wszechstronności składni. Otóż składnia co do ogólnych zasad jest również jednakowa we wszystkich językach, a co do cech indywidualnych, to te zależą od logicznego lub wszechstronnego myślenia, którém mogą celować zarówno greccy i łacińscy, jak francuscy lub polscy autorowie.

Przytaczają także na dowód wyższości gramatyki greckiéj i łacińskiéj nad innemi bogactwo form deklinacyjnych i konjugacyjnych. Dowód ten w pewnéj części zastosować się mogący do języków romańskich i germańskich, traci co do deklinacyi siłę swą wobec języków słowiańskich, które większą jeszcze niż łacina obfitością przypadkowania się odznaczają. Co do konjugacyi, zwłaszcza greckiéj, to niewątpliwą jest rzeczą, że wyróżnienie rozmaitych czasów i trybów wielce się przyczynia do subtelniejszego cieniowania myśli, ale na nieszczęście cieniowanie to wówczas-by przyniosło rzetelną usługę, gdybyśmy pisali po grecku, a w zastosowaniu do języka ojczystego o tyle tylko uwydatnić się może, o ile starczą formy téj właśnie mowy ojczystéj. Zresztą ubóstwo form gramatycznych nie musi mieć pierwszorzędnego znaczenia, gdy Anglicy, Niemcy i Francuzi posiadają tylu znakomitych uczonych, jakiemi narody słowiańskie pomimo swego deklinacyjnego bogactwa poszczycić się nie mogą. Zależy to widocznie od zdolności i uprawy umysłu, który sobie język wytwarza, nie zaś odwrotnie.

Ponieważ i ten argument chybia, musiano się uciec do jeszcze specyalniejszego, charakteryzującego samę elementarną czynność umysłu, który poznaje gramatykę. Powiadają tedy, że gramatyka języków klasycznych nie tylko kształci pamięć, ale nadto pobudza odrazu wszystkie zdolności umysłowe, wdrażając je do uogólniania, logicznego sądzenia, należytéj kombinacyi i stosowania reguł w praktyce. Ależ uogólnianie odbywa się bezwiednie w dzieciństwie, a świadomie w wieku dojrzalszym najlepiéj i najpewniéj za pośrednictwem poznawania rzeczy i nazywania ich w języku ojczystym; logiczne myślenie zasadza się na upatrywaniu związku pomiędzy rzeczami, zdolność kombinacyjna wyrabia się przy samoistném tworzeniu choćby najprostszych myśli, a naukę stosowania reguł w praktyce równie dobrze podać może geometrya lub arytmetyka jak i gramatyka.

Co się tyczy tłómaczeń z języków klasycznych na ojczysty, to te wymagają rzeczywiście ze strony ucznia wielkiéj czujności i pilności, ażeby myśl wyrażoną w jednym języku oddać należycie w drugim; trzeba tu próbować rozmaitych kombinacyj; chybiwszy za

pierwszym razem, należy użyć drugiego i trzeciego słowa lub zwrotu, dopóki się nie trafi na taką kombinacyą, która odpowie w zupełności myśli i formie oryginału. Ten sam atoli rezultat otrzymać można i z matematyki np. czystéj i stosowanéj. Chcąc rozwiązać jakieś zadanie naukowe, musimy również podejmować niejednę próbę; odrzucamy po kolei nasuwające się przypuszczenia i kombinacye, nie odpowiadające temu lub owemu warunkowi zadania, póki nie znajdziemy takiego przypuszczenia lub kombinacyi, które wszystkie wymagania naukowe zaspokoi. Nadto w zadawaniu tłómaczeń—jak zauważył Bain — najtrudniéj zachować względem uczniów średnią miarę, tak, żeby ćwiczenia ani przewyższały ani téż nie dochodziły sił ucznia. Jeżeli ustęp przeznaczony do tłómaczenia jest taki, że przy pomocy słownika oddać go trudno, to uczeń prawdopodobnie nie będzie się wysilał na seryo nad jego zrozumieniem, a tém samém nie będzie przygotowany do słuchania z korzyścią objaśnień nauczyciela. Jeżeli zaś ustęp jest łatwy, to zniknie korzyść, którą z natężenia uwagi sobie obiecujemy.

Pomijam argumenta tego gatunku, jak ten, że tłómaczenia wyrabiają styl, albo, że pokonywanie trudności gramatycznych uzdatnia do przełamywania trudności każdego zawodu, jakikolwiek sobie uczeń późniéj obierze (J. K. Plebański, str. 91), bo każdemu, kto się uczył, wiadomo, iż w tłómaczeniach klasowych częstokroć czyni się naumyślnie gwałt właściwościom języka ojczystego, byle jak najdosłowniéj oddać właściwości łaciny lub greki, a hartowanie woli nie może zależéć od pokonania trudności deklinacyjnych i konjugacyjnych.

II.

Uwagi powyższe nie miały bynajmniéj na celu dowieść, że nauka języków klasycznych nie przyda się na nic. Jak każda nauka, daje ona umysłowi poznać pewien szereg objawów, które go czynią bogatszym, jaśniejszym i gruntowniejszym. Sądzimy nawet, że filologia klasyczna zawsze w instrukcyi będzie miała pierwszeństwo nad filologią np. oryentalną, gdyż łączy się jak najściśléj z historycznym rozwojem cywilizacyi zachodniéj i daje klucz do rozumienia pomników piśmiennictwa narodów nowożytnych pisanych w języku łacińskim. Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że nauka gramatyki greckiéj i łacińskiéj nie posiada tych specyalnych a cudownych pod względem pedagogicznym własności, jakie jéj chciano przypisywać i że to, co dla pewnéj, dość nielicznéj gromadki ludzi może być pożytecznem, nie powinno obowiązywać każdego średnie wykształcenie posiadać chcącego. Dzisiaj bowiem, jakkolwiek nie ma już ludzi, coby twierdzili, że klasycyzm pedagogiczny jest jedyną

metodą kształcenia umysłu, ale są jeszcze tacy, co ją za najskuteczniejszą uważają. Opinia tych ludzi tak dobrze sprzyja zadawniałemu nałogowi, iż nie ma jeszcze nadziei, ażeby system wychowawczy miał uledz prędko zmianie radykalnéj. Zmiany prawdopodobnie odbywać się będą bardzo powoli i długo jeszcze greka i łacina zajmować nie przestaną najlepszych godzin i lat w życiu młodzieży. Należałoby się więc przedewszystkiém starać, ażeby godziny te i lata lepiéj w zakresie klasycyzmu zużytkować, ażeby wyciągnąć jak największą możliwą korzyść *realną* z nauki dźwięków i form.

W tym duchu europejscy myśliciele proponują kilka reform. W Anglii Aleksander Bain, wykazawszy niedostateczność dowodów przemawiających za naczelném znaczeniem klasycyzmu, powiada, że ziomkowie jego są bardzo bliscy kompromisu między nowym a starym systematem, kompromisu opierającego się na zaniechaniu jednego z dwu języków klasycznych mianowicie greckiego tak, że tylko łacina zostanie jako przedmiot obowiązkowy. (*Nauka wychowania*, str. 485).

W Niemczech na zjazdach pedagogicznych w r. 1874 zwrócono uwagę na przeładowanie uczniów drobiazgami gramatycznemi i starano się skierować naukę języków klasycznych do zapoznania gruntownego z literaturą klasyczną, do tego stopnia, aby młódź mogła z łatwością czytać i dokładnie pojmować autorów greckich i łacińskich.

We Francyi zniesiono niedorzeczne i czas marnujące pisanie wierszy łacińskich i ograniczono tłómaczenia z francuskiego na łacinę i grecki.

I u nas też podnosiły się wymowne głosy wytykające szkolarskie zaciekanie się w drobiazgi gramatyczne i stylowe. „Jeżeli nauczyciel—pisał p. Plebański—zechce upatrywać całą wartość ćwiczeń w drobiazgach gramatycznych, z których każdy pojedyńczo ma rozstrzygać o dojrzałości lub niedojrzałości ucznia; jeżeli uganianie się za tak zwaną poprawnością i czystością kolorytu klasycznego stanie się ideałem pracy szkolnéj; jeżeli frazeologia klasyczna ma być szczytem marzeń nauki języków starożytnych, przy pewném lekceważeniu rzeczy saméj: wtedy cel wykształcenia ogólnego przez języki klasyczne jest zupełnie chybiony i młodzież z wielką stratą czasu niepotrzebnie się temi drobnostkami gramatycznemi dręczy. Jeżeli gdzie, to właśnie tutaj przesada przynosi jak najszkodliwsze owoce. Gramatyka przecie nie jest jedynym celem nauki szkolnéj, ale tylko środkiem do samodzielnego badania świata i ducha starożytnego. Drobne usterki gramatyczne mogą często dowodzić tylko pewnéj chwiejności w stosowaniu znanych dobrze prawideł; nie można ich tedy mechanicznie *liczyć*, ale trzeba je przezornie *ważyć*, aby

wyrzec sprawiedliwy sąd o umysłowém rozwinięciu ucznia. Gramatyka jest ważną gałęzią nauk, ale nie może być nigdy szczytem umiejętności i jedynym celem mozolnéj pracy szkolnéj" (*O ped. znacz. nauk klas.* str. 97, 98). Myśl, która słowa te podyktowała, powinnaby ciągle być przytomną w pamięci nauczycieli greczyzny i łaciny i nieustannie ich przestrzegać, że nie wyuczanie dźwięków ale wpajanie pojęć i rozbudzanie uczuć za pośrednictwem języka powinno być właściwém ich zadaniem.

Ze wspomnianemi powyżéj subtelnościami gramatycznemi w ścisłym pozostają związku *tłómaczenia z języka rodzinnego na język grecki lub łaciński.* Nie myślimy bynajmniéj przeczyć, że tłómaczenia takie bardzo wiele wpływają na wyrobienie zdolności kombinacyjnéj, na trzymanie uwagi w natężeniu, na silne wdrażanie w pamięć reguł gramatycznych w ich zastosowaniu praktycznem. Przyznajemy chętnie, że tak jest. Ale najprzód zachodzi tu w zwiększonym stopniu taż sama trudność, jaką zaznaczyliśmy poprzednio mówiąc o tłómaczeniu z łaciny tj. trudność wynalezienia takich ustępów, któreby w zupełności odpowiadały siłom uczniów. Trudność ta sprawia, że zawiłe tłómaczenia domowe robione bywają przez korepetytorów, i oczywiście żadnego pożytku dla ucznia nie przynoszą; a tłómaczenia klasowe czyli tak zwane *extemporalia* albo bywają przepisywane albo dokonywane są błędnie. Błąd, popełniony przy zastosowaniu prawidła gramatycznego do tłómaczenia, przylega do umysłu ucznia i głębiéj się weń wraża aniżeli prawidło, tak że późniéj, pomimo poprawki nauczyciela, powtarza się jeszcze niejednokrotnie w ćwiczeniach, a niekiedy nie może być wcale wykorzenionym. Powtóre, czas łożony na te prace nie jest w stosunku prostym do korzyści, jakie z nich wyciągnąć można dla nauczenia się języka i rozwinięcia umysłu. U nas rzecz ta praktykuje się w sposób następujący: nauczyciel, chcąc sam być pewnym poprawności łaciny i greczyzny, wybiera z autorów klasycznych ustępy, tłómaczy je na język wykładowy i potém dopiéro dyktuje je uczniom. Pomijając już czas zużyty przez nauczyciela, zanotujmy czas marnowany przez uczniów na pisanie urywków w języku wykładowym. Następnie uczeń tłómaczy sam lub przy pomocy innych urywki takie i oddaje je nauczycielowi do poprawy. Nauczyciel zabiéra do domu, podkreśla błędy i zwraca uczniom do poprawy. Uczeń powinien wedle przepisu zestawić swe błędy z odnośnemi regułami gramatyki i lepiéj też reguły zastosować. Zazwyczaj uczeń nawet pilny błędów przez siebie popełnionych nie umie należycie poprawić, albo więc popełnia błędy nowe, albo też odwołuje się do pomocy korepetytora. Tak dopiéro poprawione (!) ćwiczenia oddają się nauczycielowi do rewizyi i do-

piéro po téj rewizyi następuje uroczysta poprawa błędów w klasie, zwykle za pośrednictwem pisania tłómaczenia całego na tablicy. Obrachujmy sobie w myśli, ile-to czasu zużywa się na te wszystkie ewolucye? I po co? Dawniéj, kiedy pisano dzieła po łacinie, uważając języki narodowe za niezdolne do wyrażenia głębokich pomysłów, przekłady z mowy ojczystéj na łacińską miały przynajmniéj zastosowanie praktyczne choć w szczupłym zakresie ludzi. Dzisiaj atoli, kiedy języki narodowe otrzymały stanowcze zwycięstwo zarówno w dziedzinie literatury pięknéj jak i naukowéj, takie ćwiczenia nie prowadzą do żadnego praktycznego rezultatu. Czas na nie łożony możnaby z większym pożytkiem obrócić na czytanie autorów, na zapoznanie się z historyą i instytucyami starożytnemi w obrębie klasycyzmu, a na poznanie literatur nowożytnych w obrębie nauk humanitarnych wogóle. Ponieważ główny cel, dla którego dawniéj ćwiczenia owe odbywano, istniéć przestał, nie ma téż głównéj przyczyny, ażeby się one w szkole nadal utrzymać miały. Cele zaś dydaktyczne, wymyślone obecnie dla usprawiedliwienia ćwiczeń tych, można z większym pożytkiem, bo z mniejszą stratą czasu, osiągnąć za pomocą ćwiczeń z innych nauk.

Jeszcze jedna uwaga, wyłącznie już do naszych stosunków się odnosząca. Języka obcego nauczyć się można należycie tylko za pośrednictwem języka rodowitego. Kto się uczy mowy obcéj za pośrednictwem drugiéj obcéj, ten naprzód traci napróżno połowę czasu, potrzebnego na poznanie rzeczy nieznanéj, gdyż musi tę rzecz nieznaną, którą mu objaśniają w języku nieznanym, wyłożyć sobie niejako w języku ojczystym, ażeby ją zrozumiéć. A powtóre, niedokładności powstałe z takiego procesu uczenia się, jeżeli gdzie, to w nauce mowy, są niezmiernie wielkie i szkodliwe; idzie tu bowiem nieraz o odcienie myśli, które inaczéj wyrażają się w jednym a inaczéj w drugim języku, a któż wątpi, że tylko mowa ojczysta dla każdego narodu jest najlepszym, bo przyrodzonym organem jego myślenia?... Jeżeli tedy zwolennikom szkoły klasycznéj idzie rzeczywiście o istotną korzyść uczniów, powinniby postarać się o to, ażeby przynajmniéj początki łaciny i greczyzny były u nas wykładane w języku polskim.

Zmiany powyższe, jakkolwiek nieliczne, mogą wszakże wpłynąć dobroczynnie na rozwój umysłowy młodzieży naszéj; skrócą bowiem czas, w którym młodzież poznać będzie mogła język i literaturę klasyczną, i umożebnią wprowadzenie do planu tych nauk przyrodzonych lub społecznych, które ze względu na życie praktyczne okażą się niezbędne. Dzisiejszemu systemowi szkolnemu, pomimo jego barwy klasycznéj, potrzeba przypominać ciągle tę złotą maksymę łacińską: *Non scholae, sed vitae discimus.* *P. R.*

OBRAZ FILOZOFII SPÓŁCZESNÉJ.

II. (1)

Anglia i Stany Zjednoczone.

Anglia nie od dzisiaj dopiéro służy lądowi europejskiemu a nawet światu za-atlantyckiemu, szczególniéj Ameryce północnéj, za wzór do naśladowania. Zarówno jéj konstytucyą polityczną jak i życie umysłowe podziwiają ludy mniéj szczęśliwe. Nie wdając się tu w dowodzenie tego twierdzenia, jako powszechnie uznanego za prawdziwe, ograniczamy się treściwém skreśleniem obrazu ruchu umysłowego, jaki spółcześnie odbywa się w Anglii na jedném polu, to jest na polu spekulacyi filozoficznéj. Ponieważ zaś Stany Zjednoczone Ameryki północnéj jako dawna osada angielska, przyjęły język angielski za swój urzędowy i piśmienniczy; gdy nadto żywią się dotychczas przeważnie angielską literaturą: słusznem będzie dotknąć i tego kraju dla uzupełnienia niniejszego obrazu.

Obraz taki, choćby najpobieżniéj skreślony, przedstawia pewne trudności wynikające z organizacyi systemu wyższego ukształcenia w Anglii, gdzie nie masz jednakowego z góry przepisanego planu wykładu téj lub owéj umiejętności, jak np. we Francyi; lecz przeciwnie, każdy uniwersytet rozwija się autonomicznie i wcale nie jest pochopny do nowości. Ile więc jest uniwersytetów, tyle jest odrębnych ognisk wyższego oświecenia, z których każde ma swoję właściwą fizyognomią. Wprawdzie ruch piśmienniczy w Anglii jak i w innych krajach nie wypływa tylko ze sfer nauczających po uniwersytetach; jednakże rzadko się zdarza, by głośniejszy uczony nie wykładał w jakiéjś szkole wyższéj, która ma swoje tradycye i do

---

(1) Patrz zeszyt *Ateneum* za m. sierpień, roku przeszłego.

szeregów swoich przyjmuje takich ludzi, którzy z temi tradycyami pogodzić się umieją. Dlatego też chcąc pisać o ruchu np. filozoficznym, trzeba mu się przyglądać osobno w każdym uniwersytecie. Tak też postąpimy, trzymając się sprawozdania umieszczonego w *Mind.* W piśmie tém, zaraz po jego założeniu w r. 1876, zaczęli profesorowie uniwersytetów angielskich opisywać stan wykładu filozofii, streszczając dawniejszy jéj rozwój i podając obecne położenie. Ale nie wszystko, co się w tych oddzielnych sprawozdaniach znajduje, może obchodzić dalszego czytelnika; więc też i my ograniczymy się do krótkich wzmianek o uniwersytetach angielskich, dłuższe poświęcimy niektórym z żyjących autorów i ich dziełom. Zaczniemy od uniwersytetów.

Oxford. W uniwersytecie oxfordzkim nie masz osobnego wydziału filozoficznego, ani oddzielnéj katedry filozofii; niektóre jéj gałęzie, jak logika i etyka, wykładają się na wydziale filologicznym, stanowią dodatek *humaniorów.*

W pierwszéj ćwierci wieku bieżącego ruch umysłowy w tym uniwersytecie był bardzo słaby; to, co można-by filozofią nazywać, redukowało się do dysput poza-szkolnych, w których brali udział: *Hampden*, *Keble*, *Arnold* i *Whately.* Ludziom tym chodziło o pogodzenie zasad chrześciańskich z filozofią. Brakło im wszakże wiedzy ogólniejszéj, nie znali wcale ruchu filozoficznego, jaki się spółcześnie w Niemczech odbywał. Nie czytali ani Schleiermacher'a ani Hegla; nawet dzieła De Maistra i Bonalda były im obce. Taki jednak był duch czasu, taka reakcya po rewolucyi francuskiéj i jéj wybrykach, że, nie znając usiłowań niemieckich i francuskich myślicieli, pracowali jednakże w podobnym co i tamci kierunku. Taki stan rzeczy przetrwał mniéj więcéj do r. 1830. Następnych lat kilkanaście zajmuje polemika religijna, w któréj pierwsze miejsce i palmę trzymał *Newman*, wkrótce potém nawrócony na katolicyzm. Newman, szukając zasady i oparcia dla swoich przekonań, znalazł je w „powadze.“ Wprawdzie polemika, o któréj mówimy, toczyła się głównie o pytania religijne; jednakże nie pozwalała przynajmniéj zardzewieć myśli ludzkiéj w samych klasykach greckich i łacińskich. Obecnie rzeczy mało-co się zmieniły; polemika religijna wprawdzie ostygła nieco, ale filozofia po staremu wykłada się jako dodatek do filologii. Uczniowie na tym wydziale uczą się przedewszystkiém dla otrzymania stopnia. Przygotowują ich do egzaminu *tutorzy*, niby korepetytorowie, czytają tylko to, co ma związek z pytaniami egzaminacyjnemi, tak, że wszelką inicyatywę w kierunku samodzielnego

myślenia już z góry tamuje, częścią ortodoksya protestancka, częścią wadliwy system uczenia.

Uniwersytet oxfordzki bardzo słaby bierze udział w pracach filozoficznych; książki, które wyszły z koła jego profesorów są-to albo tłómaczenia, albo artykuły krytyczne. Na większą uwagę zasługuje parę dzieł niedawno ogłoszonych. I tak: *B. Jowett* wydał już powtórnie tłómaczone *Dyalogi Platona* (*The Dialogs of Plato*, 1875). Tłómacz przedewszystkiém starał się o filologiczną krytykę; filozoficzne pojęcia Sokratesa lub Platona mało go zajmowały. Między innemi, spotykamy tu krytykę utylitaryzmu we wstępie do dyalogu „Filebus,“ oraz Heglizmu we wstępie do dyalogu „Sofista.“ Z tego jedynie tytułu wspomnione tłómaczenie wciągnięto do katalogu dzieł filozoficznych. Dzieła Hume'a doczekały się nowego wydania, (*Hume's Philosophical Works*, 1874). Uskutecznili je dwaj uczeni *Green* i *Grose*. Pierwszy z nich napisał przedmowę liczącą 300 stronic, a więc mogącą stanowić osobną książkę. Wydawca usiłuje w tym długim wstępie przekonać czytelnika o bezskuteczności metafizyki empirycznéj i wogóle filozofii doświadczalnéj. Podług niego Locke, Berkeley i Hume stanowią tylko historyczne stopnie w rozwoju popularnéj (?) logiki, któréj przedstawicielem za dni naszych jest szkoła Stuarta Mill'a. Dlatego téż usiłuje wykazać, co który ze wspomnionych trzech myślicieli przyniósł dla teoryi empiryzmu. Pod maską wstępu do dzieł Hume'a wypowiedział Green wojnę panującéj logice empirycznéj, bojując z nią staremi argumentami idealizmu.

Wobec posuchy panującéj w tym uniwersytecie na dzieła filozoficzne oryginalne, musimy zanotować jeszcze jedno tłómaczenie, mianowicie *Logiki* Hegla, wyjętéj z jego Encyklopedyi Nauk filozoficznych (*The Logic of Hegel with Prolegomena by William Wallace*, 1874). Ktoby chciał wierzyć, iż w tych czasach będą w Anglii tłómaczyli Hegla!? A jednak widzimy, że tak jest i że spekulacya niemiecka nawet tak zawiła jak Heglowska, zagląda do trzeźwych wyspiarzy. Samo tłómaczenie mało nas tu może obchodzić; jedynie wstępu tłómacza pod nazwą *Prolegomenów* kilku dotkniemy słowami. Otóż, stara się *Wallace* najprzód być jasnym i to mu się udało, o ile sam Hegel był jasnym; daléj, pragnie wmówić, że „byt i myśl są identyczne.“ Ale nie łatwo już dziś kogoś o tém przekonać, jakoby myśléć o stu talarach i miéć je w kieszeni, jedno znaczyło. Więc téż aksyomat ten, będący centralnym punktem Heglowskiéj spekulacyi, może się u gorących zwolenników Hegla zamienić w artykuł wiary; mogą oni sobie powtarzać: *credo, quia absurdum*; ale ci, co na Hegla nie przysięgali, sądzą, że wymagać, by ludzie owemu parado-

ksowi uwierzyli, równa się temu, jak gdyby im na głowie chodzić kazano.

Cambridge (Kembridż). Uniwersytet tutejszy znany jest w historyi nauk bardziéj z uprawy matematyki czystéj i fizyki matematycznéj, aniżeli filozofii spekulacyjnéj. Co się tyczy saméj filozofii, uczeni więcéj smakowali w nauce etyki, aniżeli logiki lub metafizyki. Ogólniejsze zajęcie obudziła książka *Herschla* pod tytułem: *Rozprawa o filozofii naturalnéj* (*Discourse on Natural Philosophy*, 1831). Szczególniéj jednak *Whewell* przyłożył się do rozbudzenia zamiłowania w filozofii. Chociaż bowiem w sporze z *Hamiltonem* bronił wyższości matematyki i studyów klasycznych nad innemi naukami, jednak miał zmysł i do filozofii. Od r. 1839 zaczął wykładać w uniwersytecie filozofią moralną, a w rok potém ogłosił *Filozofią nauk indukcyjnych* (*Philosophy of the Inductive Sciences*, 1840). Nadto, z boku stojący potężni myśliciele jak: Stuart Mill i Herbert Spencer, wywierali wielki wpływ na młodsze pokolenie nauczycielskie. Wogóle jednak trzeba wyznać, że uniwersytet w Cambridge'u mało się zajmuje filozofią teoretyczną. Ani Kant i Hegel, ani odradzadzający się teraz Nowo-Kantyzm nie popłacają wśród matematyków i klasyków téj szkoły. Etyka, a zwłaszcza ekonomia polityczna, mają więcéj miru i wcale zdolnych profesorów.

Dublin. Uniwersytet dubliński wziął początek ze szkoły teologicznéj założonéj w r. 1591 przez królową Elżbietę w celu podtrzymywania anglikanizmu w Irlandyi. Wykładano tu jednakże oprócz teologii trochę filozofii, mianowicie *Isagoge* Porfiryusza, *Organon* Arystotelesa, *Etykę* tegoż, a później dzieło Locke'a *O rozumie ludzkim.* W początkach XVIII wieku uczył tu sławny później biskup *Berkeley*; drugą świetną gwiazdą był *F. Hutcheson*, istotny założyciel tak zwanéj filozofii szkockiéj. Gdy obaj ci mężowie opuścili uniwersytet, nastało zupełne odrętwienie trwające przez drugą połowę przeszłego i początek bieżącego wieku. Pewien zwrot ku odrodzeniu filozofii w téj szkole datuje się od r. 1834, gdy w kolegium moralném wykładał *Archer Butler*, co trwało do r. 1848. Potém znów zapanowała cisza, nie taka wprawdzie, żeby nie wykładano filozofii, lecz, że trudno wskazać z tego peryodu jakiegoś głośniejszego nazwiska. Dopiero w r. 1857 profesor *Webb* ożywił nieco katedrę filozofii. W ostatnich kilkunastu latach studyowano w kolegium moralném zawzięcie filozofią Kanta, którego wielbicielem był profesor *Toleken*, a po nim *Mahaffy*. Hegel zyskał stronnika w profesorze *Grahamie.* Nawet Stuart Mill i Bain wciskają się powoli do konserwatywno-idealnych głów tutejszego ciała nauczającego. Z uniwersytetu dublińskiego wyszedł głośny historyk i filozof *Lecky*, autor

dwóch dzieł więcéj znanych: *Historya wzrostu i wpływu racyonalizmu w Europie* (*History of the rise and influence of the spirit of rationalisme in Europe*, 1865); oraz *Historya moralności europejskiéj od Augusta do Karola* (*History of the European morals from Augustus to Charlemagne*, trzecie wydanie 1877).

Uniwersytety szkockie. Sławę Anglii po świecie uczonym rozniosły głównie uniwersytety szkockie: *St. Andrew*, *Glasgow*, *Aberdeen*, *Edynburg*. Najdzielniejsze głowy, najśmielsi nowatorowie w zakresie metafizyki pracowali jako nauczyciele w tych szkołach, lub przynajmniéj byli ich uczniami. Dziś nawet to, co literatura filozoficzna angielska ma najznakomitszego, wyszło ze sfer uczonych Szkotów. Logika, psychologia, etyka były w tych uniwersytetach od najdawniejszych czasów, od ich założenia w XV wieku, gorliwie uprawiane (Uniwersytet edynburski dopiéro po reformacyi powstał w r. 1582). Uniwersytety szkockie miały więcéj zetknięcia z zachodnią Europą, niż angielskie, i były urządzone na wzór szkoły w Lowanium. Dzieła Arystotelesa wcześnie się tam dostały i służyły za główny pokarm na wydziale Sztuk Wyzwolonych. Rozwinęła się dyalektyka, któréj-by może pozazdrościli starzy perypatetycy. Uczeni szkoccy wędrowali po świecie, uczyli się sami i uczyli innych, głównie w Sorbonie paryskiéj. Tak się działo do reformacyi, która pozbawiła kościół funduszów, a tém samém utrzymania profesorów i regensów. Baronowie rozdrapali dobra kościelne będące uposażeniem szkół, a władza protestancka zaczęła się mieszać do wykładów, usuwać nauczycieli zdolnych ale podejrzanych dla swojéj wiary, narzucać im przysięgę, zsyłać komisye rewizyjne i tym sposobem spowodowała upadek nauki w średnich i wyższych zakładach szkolnych całéj Szkocyi. Wówczas uniwersytety porozumiały się ze sobą, wysłały delegatów na zjazd do Edynburga, gdzie postanowiono oprzéć się zgromadzeniu narodowemu w jego uroszczeniach co do kontroli nad wyższą edukacyą. Jakoż, zjazd delegatów uchwalił że uniwersytety będą „donosiły sejmowi tylko o tém, co się tyczy religii, co ma związek ze sprawami kościelnemi, ale spraw czysto naukowych komunikować nie myślą.“ Postanowiono także ułożyć *Kurs filozoficzny* (*Cursus philosophicus*) i wydrukować go, ażeby uczniów uwolnić od pisania wykładów. Projekt wszakże nie przyszedł do skutku z powodu wybuchłéj wkrótce wojny domowéj (1647). Późniéj zamiar ten podniesiono nanowo i wydano dwa podręczniki: *An Introduction to Metaphysics* opracowany przez uniwersytet edynburski; oraz *An Introduction to Logic* ułożony przez profesorów w Aberdeen, r. 1701. Szkoccy uczeni zaczęli oddziaływać przeciw serwilizmowi w polityce i egoizmowi w etyce, których przedstawicie-

lem był głównie Hobbes. Na pierwszą ćwierć wieku XVIII przypada właśnie ta reakcya filozofii szkockiéj. Przy uniwersytetach tworzyły się stowarzyszenia studentów czyli kluby, w których żwawo rozprawiano, jakby dla powetowania zgasłych dysput średniowiecznych. Takim stowarzyszeniom i dysputom studenckim przypisywali późniejsze swoje powodzenie *Dugald Stewart*, lord *Brougham*, *T. Brown*, *Jakób Mackintosh.* Członkowie klubu studenckiego roztrząsali np. pisma Berkeleya, zapytywali piśmiennie autora o objaśnienia, słowem, interesowali się żywo pytaniami filozoficznemi. Sekretarzem jednego z takich stowarzyszeń (przy uniwers. w Aberdeen) był *Reid*, głośny późniéj autor dzieła *Essay on the intellectual Powers* 1785 oraz drugiego *Essay ou the active Powers* 1788. Równocześnie i w tym samym duchu pracował przy uniwersytecie edynburskim *Ad. Ferguson.* Cała działalność filozoficzna Szkotów zwróciła się w tym czasie ku psychologii, a pobudką do tego było dziełko Hume'a *Treatise of Humau Nature.* Filozofia szkocka, o ile była miejscowym płodem, okazuje trzy kierunki wymierzone przeciw: sensualizmowi (Locke) idealizmowi (Berkeley) i sceptycyzmowi (Hume). Jakkolwiek nie we wszystkiém zgodni ze sobą przedstawiciele sensualizmu, idealizmu i sceptycyzmu, jednak zbliżali się do siebie, a filozofią ich tak możnaby streścić: W świecie myślenia jedna rzecz tylko jest pewna, to jest wrażenia zmysłowe. Świat zewnętrzny, to tylko pewien szereg wrażeń doznawanych przez podmiot—a sam podmiot, owo ja czujące, to tylko wyraz sumujący wrażenia. Otóż, opozycya szkocka postawiła przeciw temu swój zmysł powszechny, *common sense*, jako kryteryum prawdy i rzeczywistości. *Beattie*, *Oswald*, *Ferguson*, *Reid*, *Dugald Stewart*, *T. Brown*, oto szereg nazwisk, które historyk filozofii najczęściéj spotyka na książkach wychodzących w drugiéj połowie zeszłego i początkach bieżącego wieku. Wpływ filozofii szkockiéj dosięgnął ludzi jeszcze niedawno żyjących jak *Th. Chalmers'a* i *Patricka Macdongall'a*, profesora filozofii moralnéj w Edynburgu (1853—68). Tym sposobem zbliżyliśmy się do najnowszych czasów, do *Williama Hamiltona*, który zasługuje na obszerniejszą charakterystykę.

Do czasów Hamiltona była filozofia w Szkocyi produktem, że tak powiemy, miejscowym. Wprawdzie Brown pożyczył nieco u Destutt'a de Tracy, ale Brown niewielki wpływ wywierał. Dopiero Hamilton zapoznał na dobre Anglików z Kantem. Na jego sposób myślenia najwięcéj oddziałały: *Organon* Arystotolesa i *Krytyka czystego rozumu* Kanta. On wprowadził transcendentalny szwargot, którego ludzie, przywykli do jasności myślicieli szkockich, nie mogli rozumiéć.

Pierwsze swoje artykuły filozoficzne zamieszczał Hamilton w *Przeglądzie Edynburskim*, mianowicie o *Filozofii Cousin'a* (1829) o *Filozofii pojmowania (percepcyi)* (1830); *o Logice* (1833). W artykułach tych złożył autor główne swoje poglądy na zagadnienia filozoficzne; późniejsze jego prace, jak np. o *Reidzie* oraz *Discussions* i *Lectures* były tylko rozwinięciem dawniéj wypowiedzianych myśli. Hamilton zachował w części kryteryum szkoły szkockiéj, zasadę *common-sens'u*, ale nie tego, co jest wynikiem braku refleksyi i objawia się głosem bezmyślnéj masy, lecz takiego, co jest „krytyczną analizą wierzeń wyrażanych przez ów zmysł powszechny." Chodziło mu o wynalezienie kryteryum prawdziwości, a kiedy Reid jeszcze się nie mógł zdecydować, czy za takie kryteryum przyjąć *powszechność (quod ubique et semper)*, czy *konieczność*; Hamilton przyjął konieczność, czyli niemożność pomyślenia czegoś przeciwnego (*unthinkableness of the opposite*). Doskonałą krytykę filozoficznych poglądów autora napisał Stuart Mill w dziele swojém *An Examination of sir William Hamilton's Philosophy* 1865. Hamiltonowską teoryą poznania nazywają realizmem naturalnym i przez nią to właśnie zbliża się on do filozofii Kanta. Pierwszy raz w jego pracach spotykamy się z wyrazem *nihilizm* filozoficzny (1).

Na Hamiltonie kończy się szkoła szkocka w ściślejszém znaczeniu uważana; uczniowie lub naśladowcy jego, jak *Calderwood*, profesor filozofii moralnéj w Edynburgu, autor dzieła *Philosophy of the Infinite* 1854 i 1872; oraz *T. Spencer Baynes*, profesor logiki w St. Andrew nie dorównali mistrzowi. Wpływ Hamiltona sięgnął aż do Oxfordu, zkąd wyszła książka *Outline of the necessary laws of thought* napisana przez *Williama Thomson'a* 1842; w tymże duchu pisał *Mansel* swoje dzieła dotyczące logiki, jak niemniéj *Fraser*, następca Hamiltona na katedrze filozoficznéj w Edynburgu od r. 1856. Zasłużył on się literaturze filozoficznéj wielu artykułami, szczególniéj zaś wydaniem dzieł Berkeley'a. Fraser jest gorącym przeciwnikiem materyalizmu. Nareszcie, do ludzi, na których Hamilton oddziałał, należy zaliczyć *Ferrier'a*, autora *Metafizyki* (*Institutes of Metaphysics*, 1854). Ten znów jest wielkim nieprzyjacielem metody obserwacyjnéj, jak właśnie przystało na dobrego metafizyka. Znać na nim wpływ dzieł nietylko Hamiltona, lecz także Fichtego starszego i Hegla.

Szkoła szkocka stanowiąca reakcyą przeciw teoryom Locke'a, Hartley'a i Hume'a czuła nieprzeparty wstręt do objaśniania feno-

(1) W artykule *Philosophy of perception*, z r. 1830. Czytać jego *Discussions* etc. 1852 str. 54.

menów umysłowych za pomocą procesów fizyologicznych. Uważała te ostatnie za warunki poprzednicze, lecz nie za przyczyny pierwszych: Hume zaś sądził, że można zrozumiéć działania umysłu, gdy *świadomość* upodobnimy do *ciężkości*, gdy ją będziemy traktowali jako *przyciąganie* wrażeń, co późniéj nazwano kojarzeniem się wyobrażeń i pojęć. Za czasów Reid'a nie słyszano jeszcze o „przemianie siły"—ale zarówno on, jak i Dugald Stewart byliby na to odpowiedzieli, że nie masz dowodu, jakoby energia nerwowa mogła się zamienić we wrażenie, a cóż dopiéro w myśl siebie świadomą lub wolą, i to tak, że myśl i wola, każdy ich objaw, są równoważnikami oznaczonéj ilości siły nerwowéj. Zjawiska umysłowe, czyli to, co nazywamy świadomością (*consciousness*), były dla filozofów szkockich faktami całkiem odrębnemi, innéj natury, *sui generis*. Od owego czasu zaczęto dawać więcéj baczenia na fizyczną stronę zjawisk umysłowych, a nowy ten zwrot w rozwoju szkoły szkockiéj, datuje się głównie od wyjścia dzieł A. Bain'a, który z lepszém przygotowaniem naukowém, niż dawni szkoccy psychologowie, przystąpił do traktowania problematów psychologicznych. O nim téż powiemy jeszcze parę słów późniéj.

Londyn. Uniwersytet londyński jest najmłodszą z wyższych szkół angielskich, albowiem początkiem swojego założenia sięga r. 1825. Wtedy-to zaprojektowano kolegium uniwersyteckie i otwarto w r. 1828. Ostateczne jednak ulegalizowanie tego kolegium nastąpiło dopiéro w r. 1836. Chciano tu miéć szkołę podobną pod względem organizacyi do uniwersytetów szkockich lub niemieckich, gdzieby zatém nauki wykładali profesorowie publiczni, nie zaś jak w starych uniwersytetach angielskich *tutorzy*. Nadto, miał przyjmować uczniów i udzielać stopnie bez względu na ich wyznanie religijne, lecz jedynie odpowiednio do postępów uczynionych w pewnéj umiejętności. Między założycielami kolegium byli *Jakób Mill* i *Grote*, którzy nie zapomnieli i o katedrze filozofii, mającéj podług ich zdania obejmować logikę, psychologią, etykę i filozofią polityczną, wykładane przez dwóch profesorów. Ponieważ szkoła miała być wolną i powstawała z inicyatywy prywatnych ludzi; trzeba było zebrać odpowiednie fundusze na jéj uposażenie. Jakoż, zebrano wkrótce 160.000 funt. ster. Pomimo tego otwarcie szkoły spotykało przeszkody osobliwie ze strony konserwatystów, którzy nienawidzili radykalnych, znajdujących się w gronie założycieli. Dla uniknienia sporów religijnych kolegium nie miało uczyć teologii, a ponieważ dopuszczało do słuchania nauk i katolików i dyssydentów, więc znów anglikanie upatrywali w niém niebezpieczeństwo dla swojego wyznania i postanowili założyć osobne kolegium, które istotnie otwarto

pod nazwą *King's-College, Kolegium królewskie.* Zamiast jednéj, powstały dwie szkoły mające ze sobą spółzawodniczyć: *University-College* i *King's-College.* Tymczasem, gdy w r. 1830 już rząd miał zatwierdzić ustawę dla uniwersytetu z prawem udzielania stopni naukowych, uniwersytety stare w Oxfordzie i Cambridge'u podniosły protest; to samo uczyniło ciało lekarskie w Londynie, protestując przeciw nadawaniu stopni lekarskich. Wówczas założyciele uniwersytetu wolnego zgodzili się na odstąpienie od udzielania stopni lekarskich, a izba niższa parlamentu popierała w r. 1833 projekt statutu dla niego. Wobec protestów i opozycyi, rządowi pozostawało tylko utworzenie uniwersytetu jako zakładu *egzaminacyjnego*, gdy tymczasem dwa wspomnione kolegia miały *uczyć* młodzież. Tak też i postąpiono i w r. 1836 utworzono uniwersytet londyński zastrzegając w ustawie, że nietylko dwa kolegia t. j. *University-College* i *King's-College*, lecz i inne szkoły mogące powstać na prowincyi, będą upoważnione do posyłania swoich uczniów na egzamina do uniwersytetu stołecznego. Kiedy zaś potém zabrakło dobrodziejów mogących łożyć na lepsze uposażenie obu kolegiów londyńskich, znikła nadzieja zrobienia Londynu ogniskiem wyższych nauk.

Od r. 1858 uniwersytet londyński przestał zupełnie zajmować się instrukcyą młodzieży; zmodyfikowana co do tego punktu ustawa zamieniła go na szkołę, czyli raczéj na wydział egzaminacyjny. Tym sposobem do uniwersytetu londyńskiego nadsyłają obecnie na egzamina uczniów swoich najprzód: *King's-college* (około 12 uczniów), daléj kolegia katolickie i dyssydenckie, oraz *kolegium Owen'a* z Manchesteru (około 6 uczniów). Uniwersytet egzaminuje kandydatów z rozmaitych nauk, z wyjątkiem teologii. Chcący otrzymać stopnie z nauk filozoficznych przygotowują się prywatnie, przez czytanie. Ma to swoję złą stronę, albowiem kandydaci, nie przechodząc systematycznie nauki, ograniczają się na przeczytaniu kilku książek i słabo przygotowani stają do egzaminów. Tym sposobem nadzieje pierwotnych założycieli uniwersytetu co do podniesienia wyższych nauk, zwłaszcza filozoficznych, upadły.

Przyjrzawszy się pokrótce stanowi uniwersytetów angielskich, szczególniéj pod względem wykładu nauk filozoficznych, zobaczmy jeszcze ich programat egzaminacyjny, przynajmniéj w jednéj szkole. Weźmy naprzykład Cambridge. Nauki filozoficzne nie stanowią tu osobnego wydziału, lecz tylko cząstkę studyów klasycznych. Nie licząc ekonomii politycznéj, kandydaci składają egzamin z następujących trzech gałęzi nauk filozoficznych:

I. *Filozofia moralna i polityczna*. 1. Rozmaite źródła i pobudki czynów ludzkich oraz wzajemne ich stosunki: przyjemność, przykrość, żądza, wstręt i ich odcienie; wola i jéj wolność, rozum praktyczny; sumienie, uczucia moralne, teorye o początku zmysłu moralnego. 2. Dobro, czyli ostateczny cel rozumnego działania; szczęście, słuszność i niesłuszność, zobowiązania moralne; prawidła i sankcya. 3. Wykład i klasyfikacya szczególnych powinności i cnót. 4. Stosunek etyki do psychologii, prawa, polityki, teologii. 5. Ogólne zasady prawa cywilnego i kryminalnego; prawa własności i usług oraz sposoby ich nabywania; kontrakty czyli umowy; prawa i zobowiązania przywiązane do rozmaitych położeń prywatnych; teorya kary. 6. Ogólne zasady polityki; rozmaite czynności (funkcye) rządu i ich podział; wzajemne prawa i obowiązki rządzących i rządzonych; ogólne granice interwencyi rządowéj. 7. Historya etycznych i politycznych mniemań.

Książki zalecają się następujące: Platon (*Protagoras*, *Gorgiasz*, *Filebus*, *Rzeczpospolita*); Arystoteles (*Etyka)*; Cycero (*De finibus)*; Hobbes (*Leviathan* 1—3, 13—15): Clarke (*Natural Religion)*; Shaftesbury (*Inquiry); Butler (*Sermons*); Smith (*Moral Sentiments*); Hume (*Princ. of Morals*) Kant (*Metaphys. of Ethics*); Paley (*Moral Philos.*) Bentham (*Prinicip. of Morals* and *Legisl.*); Whewell (*System of Morality* and *History of Moral Philos.*); Mill (*Utilitarianism* and *Repres. Government*); J. Grote (*Examin. of Utilit.*).

II. *Filozofia Umysłu* (*psychologia*). 1. Analiza i klasyfikacya zdolności i objawów umysłowych, oraz określenie wzajemnego ich stosunku; świadomość, uczucie, wzruszenia, wola, pojmowanie, pamięć, wyobraźnia, pojęcie, sąd, rozumowanie. 2. Prawa rozwoju umysłu i kojarzenie się zjawisk umysłowych. 3. Podmiot, przedmiot i ich stosunek w akcie poznawania; początek i sfera wiedzy; kryterya prawdy i pewności. 4. Kategorye czyli zasadnicze formy przedmiotu poznania, ich początek i wzajemne stosunki: przestrzeń, czas, substancya, ilość, jakość, stosunek, przyczyna i skutek. 5. Naczelne formy bytu i ich stosunki; umysł, materya i rozmaite ich własności. 6. Strona fizyologiczna zjawisk umysłowych; narzędzia zmysłów i układ nerwowy. 7. Historya mniemań metafizycznych.

Książki zalecają się następujące: Descartes (*De Methodo* i *Meditationes*); Locke (*Essay*); Berkeley (*Three Dialogues*); Hume (*Human Nature*); Reid (*Intell. Powers*); Kant (*Kritik der reinen Vernunft*); Hamilton (*Metaphysics*); Ferrier (*Institutes of Metaph.*); Bain (*Mental and Moral Science*); J. Grote (*Exploratio philosophica*); Spencer (*Psychology*); Calderwood (*Philos. of the Infinite*).

III. *Logika.* 1. Zakres logiki formalnéj i materyalnéj. 2. Funkcye języka; imiona i ich rodzaje; definicya, podział i klasyfikacya; *praedicabilia* i kategorye; nomenklatura i terminologia naukowa; abstrakcya i uogólnianie. 3. Sądy i ich treść; przeciwstawienie i odwracanie sądów. 4. Analiza i prawa sylogizmu. 5. Zasadnicze prawa myślenia i zastosowanie tychże do procesu logicznego. 6. Natura rozumowania indukcyjnego; zasada indukcyi; związek indukcyi z dedukcyą; analogia. 7. Prawa natury i ich kombinacye; analiza i metody wykrywania oraz dowodzenia tychże; obserwacya i doświadczenie; umiejętne tłomaczenie czyli wyjaśnianie; natura i użycie hipotezy. 8. Nauka losów czyli prawdopodobieństwa 9. Błąd, jego natura, przyczyny i ostrożności przeciw niemu; klasyfikacya sofizmatów. 10. Stosunek logiki do psychologii, metafizyki i gramatyki; metody rozmaitych nauk.

Książki zalecają się następujące: Aldrich'a *Logic* (wydanie Mansel'a); Kant (*Logic*); Whately; Hamilton, Mansel (*Prolegomena*); De Morgan; Boole; Bacon (*Nov. Org.*); Whewell (*Nov. Org. Renovatum*); Mill; Venn (*Logic of Chance*).

W innych uniwersytetach angielskich programata egzaminacyjne z nauk filozoficznych są, z małemi różnicami, podobne; tylko w szkockich, jak już wyżéj powiedziano, więcéj jest rozmaitości i więcéj swobody przy wykładzie filozofii, dzięki tradycyi i odmiennéj organizacyi tych szkół, gdzie profesorowie systematycznie wykładają.

Przyglądając się programatom egzaminacyjnym takim, jak powyższy, i biorąc na uwagę z jednéj strony (w uniwersyt. angielskich) system tutorów, a z drugiéj system profesorski (w uniwer. szkockich) możnaby się zapytać, który z tych systematów jest pożyteczniejszy. Niektórzy z angielskich pisarzy woleliby systemat zbliżony do szkockiego lub niemieckiego i osobne wydziały filozoficzne; inni obstają za starym. Nam, stojącym zdala i tylko z opisu znającym wykłady szkół angielskich, zdawałoby się, że system polegający na studyach prywatnych i czytaniu autorów pod kierunkiem *tutorów* ma dużo za sobą. Przeczytanie i zrozumienie dzieł powyżéj wyliczonych niewątpliwie warte są więcéj od wysłuchania kursu czytanego w uniwersytecie. Tylko, że przeczytać i zrozumiéć owych autorów nie można w ciągu jakich lat trzech, zwłaszcza, gdy się słucha innych jeszcze przedmiotów. I dlatego też uczniowie i tutorzy wiedząc o tém, sposobią pierwszych tylko do egzaminów i ograniczają się na *minimum* wiedzy filozoficznéj. Z tego powodu dają się słyszéć coraz częstsze skargi na system tutorski oraz głosy zaleca-

jące system profesorski taki, jaki widzimy w uniwersytetach lądu stałego.

Z powyższego znać, że wogóle organizacya studyów wyższych w Anglii a filozofii w szczególności bardzo się różni od tego, co widzimy w uniwersytetach innych krajów europejskich. Pomimo tego jednak, filozofia angielska spółczesna celuje nad innemi i oryginalnością myśli i obfitością dzieł gruntownych we wszystkich gałęziach nauk filozoficznych. Wadliwa, czyli raczéj przestarzała organizacya wyższych szkół angielskich nie wpłynęła na zastój myśli, bo myśl ta żywi się nietylko metafizyką, lecz wszystkiemi zdobyczami nauki. Myślicielom angielskim nie chodzi, jak wielu niemieckim, o budowanie nowych systematów, lecz o spożytkowanie na rzecz filozofii całego zasobu wiedzy ludzkiéj tak dawnéj jak i nowéj. Brzydzą się oni nadto ciemnym, niezrozumiałym językiem i najoderwańsze pojęcia umieją oblekać mową dostępną dla każdego oświeconego człowieka. Z uprawą filozofii łączą gruntowne wiadomości z innych nauk, co im pozwala nietylko oderwanym pojęciom nadawać, że tak powiemy, ciało; lecz oraz chroni ich od utonięcia w saméj metafizyce. Hasłem ich jest empiryzm czyli doświadczenie umiejętne; co poza doświadczeniem leży, mają za złudzenia: tak przynajmniéj znakomitsi z pośród nich sądzą.

Chcąc zadość uczynić zamiarowi we wstępie niniejszego artykułu wyrażonemu, przechodzimy teraz do skreślenia kilku szczegółów o pracach niektórych spółczesnych filozofów angielskich. I tu jednak wypadnie ograniczyć się do wybitniejszych nazwisk. Zauważmy tylko, że wszystkie dotychczasowe kierunki myśli filozoficznéj mają w Anglii mniéj lub więcéj zdolnych przedstawicieli: empiryzm czysty z odcieniem fizyologicznym w psychologii, filozofia szkocka, stary i odmłodniały Kantyzm, Heglizm i pozytywizm Comte'a, wszystko to liczy stronników i uprawiaczy. Nie pisząc tu szczegółowéj historyi wszystkich tych kierunków i zaznaczywszy ich obecność w literaturze filozoficznéj angielskiéj, poprzestaniemy na charakterystyce głośniejszych autorów przeważnie kierunku empirycznego.

Autorowie, o których poniżéj znajdzie się wzmianka, nie należą wcale do jednéj, jak się mówić zwykło, szkoły, chociaż w dziełach ich przeważa empiryzm; każdy z nich ma właściwe sobie cechy, dla których powinien być osobno rozbierany i oceniany. Filozofowie angielscy nie szeregują się tak, jak to bywa w Niemczech, szkołami i systematami; nie widać, między celniejszymi przynajmniéj, tego związku, jaki zwykł łączyć uczniów z mistrzami; każdy

z nich chce być i często bywa mistrzem, nie troszcząc się o zwolenników. Ztąd też trudno ich ustawiać w jakieś ramy klasyfikacyjne według szkół i systematów. Najogólniejszy podział, bardzo zresztą niedokładny, mógłby być następujący: *empirycy* i *intuicyoniści*; pierwsi za źródło wiadomości i za ich kryteryum uważają tylko umiejętne doświadczenie; drudzy—głównie intuicyą, rozum, natchnienie itp. Pierwsi szukają nowych dróg i nowych postrzeżeń; drudzy przerabiają znane systemata idealistyczne i krytyczne; odcieni jednak między obu grupami jest mnóstwo.

Najznakomitszym przedstawicielem empiryzmu oraz kontynuatorem szkoły szkockiéj w uprawie psychologii—jest *Aleksander Bain* (urodz. r. 1818), który długi czas wykładał logikę w uniwersytecie aberdeeń'skim; obecnie już się usunął od katedry, ale czynnym jest w literaturze filozoficznéj, jak to widać z kwartalnika *Mind*. Dzieła jego filozoficzne odnoszą się częścią do psychologii i etyki, częścią do logiki i pedagogiki. Niektóre, mniejsze prace Bain'a miały za cel gramatykę i stylistykę angielską. Liczne artykuły krytyczne zamieszczał we wspomnionym wyżéj kwartalniku.

Chociaż Bain jest doskonałym znawcą wszystkich gałęzi filozofii, jednakże głównie celuje w psychologii. Téj części filozofii poświęcił on najważniejsze swoje dzieła: *Zmysły i Rozum* (*The Senses and the Intellect*, 1855); *Wzruszenia i Wola* (*The Emotions and the Will*, 1859); *O charakterze* (*On the study of Character*, 1861); *Podręczny wykład psychologii i etyki* (*Mental and moral Science* 1868); *Umysł i ciało* (*Mind and Body* 1873) (1). W psychologii Bain zawrócił do Hartley'a, jak to znać głównie z wagi przywiązywanéj do fizyologicznych warunków towarzyszących wszelkim objawom umysłowym. Ale dzięki postępom fizyologii, których Hartley w przeszłym wieku jeszcze znać nie mógł, oraz lepiéj pojmując całe zagadnienie, do którego wchodzi ogół zjawisk psychicznych, Bain gruntowniéj i pełniéj wyłożył główne części psychologii, aniżeli którykolwiek z dawniejszych myślicieli szkockich. Do badania zjawisk psychicznych zastosował on metodę używaną w naukach przyrodzonych, założywszy sobie nakreślić historyą naturalną umysłu, czyli podać wyjaśnienie stanów świadomości, początkiem któréj są *uczucia* w najogólniejszém znaczeniu tego wyrazu. Rozwiązanie tego zadania wymagało pomocy fizyologii, mianowicie fizyologii zmysłów i układu nerwowego. Opis zatém narządów zmysłowych i układu nerwowego stanowi wstęp i przygotowanie do wykładu zjawisk czysto umysłowych. Tu znów musiał się posługiwać dawną metodą tak zwanéj obser-

(1) To ostatnie wyszło po polsku pod tyt: *Umysł i Ciało*. Warsz. 1874.

wacyi wewnętrznéj. Ze względu właśnie na tę metodę łączy się Bain z dawną szkołą szkocką, a znów przez wciągnięcie fizyologii do pomocy styka się z nowszym kierunkiem badań psychologicznych, i dlatego metodę jego możnaby nazwać fizyologiczno-psychologiczną.

Główną nótą we wszystkich rozumowaniach i objaśnieniach tyczących się zjawisk umysłowych jest u Bain'a ta myśl, że *wszelkiemu objawowi umysłowemu towarzyszy pewien proces fizyologiczny*, że każde zjawisko umysłowe jest, że tak powiemy, dwutwarzowe, dwustronne. Fizyczną stronę zjawisk umysłowych stanowi całe ciało człowieka, a szczególniéj mózg i układ nerwowy w całém swojém rozgałęzieniu. Ściśléj mówiąc, Bain nieraz powtarza, że siła umysłowa zależy od dzielności, inaczéj energii mózgu, dzielność zaś mózgu od przemiany krwi, a ta od utleniania materyi odżywczych, żywiących organizm. Siła umysłowa jest oznączonym, lubo nie dającym się liczebnie wyrazić, równoważnikiem utleniania. Fakt fizyczny, czyli raczéj fizyologiczny jest jeden; tymczasem objaw psychiczny ma dwie strony: fizyologiczną i psychologiczną. Wyłącznie psychologicznego objawu nie masz—albowiem fakt psychiczny nie jest ani czysto materyalnym, ani czysto umysłowym. Czucie jest najpierwszym brzaskiem budzącego się życia umysłowego. Czucie i kojarzenie (asocyacya) są jedynemi i prawdziwemi pierwiastkami, które tworzą umysł. Jako wyznawca teoryi asocyacyjnéj, Bain stanął wyżéj niż Hartley, gdyż przypuszcza samorzutną dzielność umysłu, Hartley zaś uważał go za czynnik bierny i równoznaczny z mózgiem odbierającym wrażenia. Tak samo i w nauce o woli, Bain początek jéj widzi w samorzutnych objawach mięśni, w tych ruchach przyrodzonych, które stopniami wchodzą pod kontrolę świadomości i zamieniają się na samowiedne działanie. W drobiazgowéj analizie wszelkich objawów umysłowych jak niemniéj pobudek działających na wolą (przyjemność i przykrość) Bain jest niezrównanym mistrzem. Zebrał on mnóstwo faktów psychologicznych, które znali wprawdzie jego poprzednicy, ale nie umieli ich ani tak jak on obserwować, ani tak zadawalniająco tłómaczyć; słowem, celuje w analizie opisowéj, czasami nużącéj swoją drobiazgowością i subtelnością. W zakresie psychologii Bain zajmuje spółcześnie w Anglii pierwsze miejsce, które mu przyznają nawet niechętni Niemcy, uważający filozofią za swój narodowy monopol.

Logiką zajął się Bain znacznie późniéj, gdy już sława jego jako psychologa była ustaloną. W r. 1870 wydał *Logikę dedukcyjną i indukcyjną* (*Logic*, 2 tomy (1). W logice jest Bain kontynuatorem

(1) Po polsku wyszła ta *Logika* w 2 tomach w Warszawie, 1878.

Stuarta Mill'a, podziela naukę tegoż o naturze sylogizmu i znaczeniu indukcyi. Dzieło jego różni się od *Logiki* Mill'a tylko obszerniejszym wykładem sylogizmu, pełniejszém rozwinięciem teoryi definiowania, oraz osobną księgą, którą zatytułował *Logika Nauk*, i w któréj na przykładach, czerpanych z nauk fizycznych i przyrodniczych, objaśnił metody logiczne.

Pedagogika umiejętna zyskała, dzięki Bain'owi, ważne studyum będące ostatnią z większych prac jego. Wyszło ono pod tytułem: *Wychowanie uważane jako umiejętność* (*Education as a Science*, 1879 (1). Jako znakomity psycholog oparł Bain swoję pedagogikę na analizie umysłu i pragnął wpłynąć na zmianę planu edukacyjnego, walcząc w obronie nauk fizycznych przeciw wszechwładnemu klasycyzmowi. Za podstawę edukacyi radzi on brać matematykę, fizykę i nauki przyrodzone, a zaś naukę klasyków grecko-rzymskich pragnąłby ograniczyć do szkół specyalnych, dla literatów i erudytów. W dziele tém, o którém mówimy, znajduje się nadto gruntowny rozbiór modnéj teraz „nauki rzeczy" i wskazówka, jakby ją należało prowadzić.

Oddzielnéj historyi filozofii Bain nie napisał; ale w dziełach jego znajduje się mnóstwo faktów historycznych z zakresu tych części filozofii, które uprawia. I tak, w obszernym Dodatku do dzieła *Zmysły i Rozum* mieści się szczegółowy obraz psychologii Arystotelesa. W Dodatku do dzieła *Wzruszenia i Wola* czytamy streszczenie poglądów: Lewes'a *o fizycznych warunkach świadomości*; H. Spencer'a, Reid'a, Dugald-Stewart'a, T. Brown'a, W. Hamilton'a, Kanta, Herbarta, Waitza, Nahlowsky'ego, Wundta, H. Hodgson'a o *klasyfikacyi wzruszeń*. W dziele *Psychologia i Etyka* (*Mental and Moral Science*) autor podał streszczenie celniejszych systematów etycznych oraz historyą nominalizmu i realizmu. Dodatek do *Logiki* obejmuje krótki zarys historyczny rozwoju logiki indukcyjnéj. W kwartalniku *Mind* zamieścił Bain oprócz wielu recenzyj obszerne życiorysy Jakóba i Jana Mill'ów. Z życiorysu Jana Mill'a dowiadujemy się, jaki udział autor brał w ułożeniu jego Logiki. Wszystkie te prace świadczą, że Bain jest nietylko jednym z najobfitszych lecz i najgruntowniejszych pisarzy filozoficznych w spółczesnéj literaturze angielskiéj.

Równie płodnym i znakomitym jak Bain myślicielem jest *Herbert Spencer*. Urodzony w Derby r. 1820 sposobił się na inżyniera i jakiś czas w zawodzie tym pracował. Następnie przerzucił się na

---

(1) Po polsku wyszło pod tytułem: *Nauka Wychowania*. Warszawa, 1880.

pole literatury i zaczął ogłaszać w dziennikach i pismach peryodycznych artykuły z zakresu nauk społecznych. Pierwsze większe dzieło wydał w r. 1850 pod tytułem: *Statyka społeczna, czyli istotne warunki ludzkiego szczęścia* (*Social Statics etc.* Ostatnie wydanie w Londynie, r. 1868). Jestto wykład etyki i polityki. W kilka lat potém ukazało się dzieło K. Darwina *O początku gatunków*, które za pomocą tak zwanéj teoryi ewolucyi czyli rozwoju dążyło do wyjaśnienia, jakiemi drogami powstały rodzaje i gatunki w świecie roślinnym i zwierzęcym. Książka Darwina sprawiła istotną rewolucyą nietylko w naukach przyrodzonych lecz i w innych zakresach wiedzy. H. Spencer jeszcze przed Darwinem stosował teoryą rozwoju do objaśnienia zjawisk biologicznych, psychologicznych i społecznych. Pierwszy-to i, o ile znamy, jedyny z angielskich filozofów, który utworzył system filozoficzny mający ogarniać biologią, psychologią, socyologią i etykę przeniknione jedną fundamentalną teoryą, ową właśnie hipotezą ewolucyjną. Obecnie system ten zbliża się do końca. Ale myliłby się, ktoby nie znając dzieł Spencera i słysząc, że tworzy jakiś system filozoficzny, sądził, że to lepianka podobna do metafizycznych siatek jakiegoś Hegla lub Hartmanna. Autor sam nazwał go „Systemem filozofii syntetycznéj.“ Z takiego określenia czytelnik nie może jeszcze zgadnąć, co się w nim zawiera. Postaramy się więc bardzo *ogólnie* podać zarys owego systemu (1).

Jeszcze w r. 1860 zapowiedział Spencer osobnym prospektem, co jego system filozofii miał obejmować. Podajemy z niego niektóre szczegóły jako pomocne do zrozumienia filozofii autora. „Zamierzam, powiada, ogłaszać peryodycznie szereg dzieł, które-m oddawna przygotował. Następujący program da wyobrażenie o idei i dążności tych dzieł:“

1) *Zasady Naczelne* (*First Principles*, 1862). Pierwsza ich część obejmuje wykład tego, co się nie daje poznać czyli absolutu (*the unknowable*). Autor dowodzi, że ta wiara w coś absolutnego, która przewyższa nietylko poznanie, ale nawet pojęcie ludzkie, jest jedyną podstawą, na której można oprzéć zgodę religii z umiejętnością. Druga część zawiera wykład tego, co się daje poznać (*the knowable*); innemi słowy jestto wykład ostatecznych zasad, które można wykryć w objawach absolutu, to jest wykład uogólnień najwyższych, przez umiejętność nowożytną wykrytych i sprawdzonych nietylko w jednéj lecz we wszystkich klasach zjawisk, i dlatego służących do wytłómaczenia wszelkich klas fenomenów. Takiemi uogólnieniami

(1) Szczegółowe studyum nad pracami Spencera pomieszczamy w osobnéj pracy, która niebawem dokończona zostanie. (Przyp. Red.)

są np. prawo o zachowaniu siły, prawo ewolucyi czyli rozwoju. W drugiéj téj części Spencer podaje definicyą filozofii, rozbiera pojęcia przestrzeni, czasu, materyi, ruchu i siły oraz pojęcie ewolucyi. Mamy tu więc jakby metafizykę całego systemu, jakoby fundamenta całéj budowy. Uderza w niéj usiłowanie pogodzenia religii z wiedzą: przedmiotem pierwszéj jest owo *Niepoznawalne* czyli absolut; przedmiotem drugiéj to, co jest *Poznawalne*, czyli wszechświat. Zastosowanie wyłożonych Zasad Naczelnych nastąpiło w kolejno ukazujących się dziełach, mianowicie w biologii, psychologii, socyologii i etyce.

2) *Zasady Biologii* (*The Principles of Biology*, 1864, 2 tomy). W dziele tém autor przytoczywszy ogólne zasady fizyki i chemii, które służą za podstawę zjawiskom życiowym, przechodzi do uogólnień historyi naturalnéj, fizyologii i anatomii porównawczéj i szeroko rozwija teoryą znaną pod nazwą hipotezy ewolucyjnéj, gromadząc niezliczone dowody *a priori* i *a posteriori* na jéj poparcie. Daléj, wskazuje stosunki zachodzące między formami organicznemi a siłami przyrodzonemi, pod wpływem których rozwijają się owe formy. Zastanawia się nad coraz większém różnicowaniem funkcyj w miarę tego, im wyżéj organizm stoi w szeregu istot organicznych; a zaś same funkcye tłómaczy za pomocą adaptacyi czyli przystosowywania się rozmaitych części organizmu do rozmaitych warunków otaczających. Nareszcie, wykłada uogólnienia tyczące się reprodukcyi rozmaitych klas roślin i zwierząt. Biologia stanowi przejście do psychologii.

3) *Zasady Psychologii* (*The Principles of Psychology*. Pierwsze wydanie z r. 1855; ostatnie w 1870, 2 tomy). Treść téj psychologii następująca: Opis anatomiczny i fizyologiczny układu nerwowego, gdzie autor wykazuje konieczność oddzielnéj umiejętności, któréj zadaniem jest badanie związku zachodzącego między procesami nerwowemi a stanami świadomości, między zjawiskami zewnętrznemi a wewnętrznemi. To, co nazywamy umysłem, tworzy się z dwóch szeregów faktów: ze stanów świadomości i ze stosunków zachodzących między niemi a procesami fizyologicznemi. Są-to elementa proste, pierwiastki, które przez asocyacyą i integracyą tworzą objawy coraz więcéj złożone. Objawy psychiczne uważane w całym szeregu zwierząt znajdują najwyższy swój wyraz w życiu psychiczném człowieka, polegającém na coraz pełniejszém przystosowywaniu się (adaptacyi) istoty do otaczających ją warunków. Następnie autor wykazuje, jak formy najwyższe, najbardziéj złożone życia psychicznego rozwijają się z najprostszych, na mocy procesu naturalnego i przyrodzonego, a to w takim porządku: odruchy (refleksy), instynkt, pamięć z jednéj strony, z drugiéj zaś rozum, uczucie i wola. Odbywa się to wszyst-

ko według naczelnéj zasady ewolucyi, która zarówno w psychologii jak i w innych częściach systematu jest *spiritus movens*. To, co dotychczas było powiedziane, stanowi syntezę psychologiczną, od któréj Spencer przechodzi do analizy zjawisk świadomości. W téj części ruch odbywa się od zjawisk złożonych do prostych; od rozumowań najbardziéj złożonych dochodzimy przez kolejną eliminacyą do zjawiska niedającego się już bardziéj zredukować, a jest niém ujmowanie i pojmowanie *różnicy*.—W psychologii zastosował Spencer zasadę rozwoju może najsystematyczniéj i najszczęśliwiéj posługując się faktami ogólnéj biologii. Chcący ocenić ogrom i zgrupowanie tych faktów, jako dowodów hipotezy, muszą czytać dwa potężne tomy samego dzieła. Pewne ułatwienie w jego rozumieniu można znaléźć w książce Ribot'a: *La psychologie anglaise contemporaine* (drugie wydanie, 1875) (1). Ocenienie hipotezy ewolucyjnéj zastosowanéj do wytłómaczenia genezy zjawisk psychicznych zamieścił A. Bain w dziele swojém *The Emotions and the Will* (2).

Po biologii i psychologii w logicznym rozwoju następuje socyologia, któréj tamte dostarczają praw i faktów. Wstępem do socyologii jest dzieło zamieszczone w szeregu wydawnictw *Biblioteki umiejętnéj międzynarodowéj* pod tytułem: *Studyum o socyologii* (*The Study of Sociology*, 1873). Autor rozważa tu potrzebę osobnéj nauki traktującéj o społeczeństwie wogóle uważaném, podaje definicyą jéj, zakres i roztrząsa trudności stające na przeszkodzie jéj rozwojowi. Dzieło to, jedno z najlepiéj i najtreściwiéj napisanych, jest konieczne dla lepszego zrozumienia systematu autora. Stosownie do zapowiedzianego programu, dalszy ciąg systematu stanowią:

4) *Zasady Socyologii* (*The principles of Sociology*, 1874—79, 2 tomy; dotychczas dopiéro wyszedł tom I i część II-go obejmująca *Ceremonial Institutions*, następna zaś ma zawierać *Political Institutions*). Wyraz „socyologia,“ mówi autor w przedmowie, wynalazł A. Comte, dla oznaczenia nauki o społeczeństwie. Przyjąłem go w braku innego, któryby był dość rozciągły do ogarnienia tak rozległego przedmiotu. Radzono mi użyć wyrazu „polityka,“ ale ten wprowadziłby zamieszanie, jako zaciasny i wieloznaczny. Zresztą, język nasz (angielski) stał się tak

---

(1) To samo po polsku przez Jul. Ochorowicza pod tyt. *Współczesna psychologia pozytywna w Anglii* (1877). Dlaczego *pozytywna*, kiedy ani Ribot tak jéj nie nazywa, ani H. Spencer do pozytywistów nie chce być liczony i sam przeciw temu protestuje?

(2) *The Emotions and the Will*, trzecie wydanie z r. 1875. str. 47 i n. Uzupełnienie psychologii Spencer'a znajduje się w jego artykule *The comparative psychology of Man* (*Mind*, 1876).

różnorodnym, że prawie wszystkie zdania nasze składają się z wyrazów pochodzących z dwóch lub trzech języków.“ Tyle na usprawiedliwienie barbarzyńskiego terminu, którego jedna połowa jest łacińska, a druga grecka. Czém tedy jest socyologia? Filozofią społeczeństwa ludzkiego. Nie jest ona równoznaczna z filozofią historyi, która bada rozwój narodów historycznych; socyologia bada rozwój całego rodu ludzkiego: zadanie jéj zatém jest rozleglejsze, niż pierwszéj. Autor jeszcze nie wyłożył całéj socyologii, to jednak, co już wydał, pozwala sądzić o całości. W ogłoszonych dotychczas częściach mamy następujące rzeczy: *Rozwój nadorganiczny*. W biologii i psychologii badał rozwój organiczny jednostek ludzkich, które wchodząc w skład społeczności dają początek nowym fenomenom nazwanym przez Spencera sferą *nadorganiczną*. W sferze téj spotykamy nowe czynniki „społeczne.“ Są one zewnętrzne i wewnętrzne. Do pierwszych należą warunki fizyczne otaczające społeczność ludzką, a te są: klimat, konfiguracya gruntu, flora i fauna, oraz te zmiany, jakie człowiek na ziemi swoją przemyślnością sprowadził. Następnie autor rozważa wyniki wewnętrzne t. j. samego człowieka, przyglądając mu się ze strony fizycznéj, uczuciowéj i umysłowéj. Pod względem *fizycznym* różnią się ludzie od siebie postawą, wzrostem. Rasy najuboższe duchowo są téż fizycznie bardzo brzydkie i drobne, na cienkich, niskich nogach, o wielkim „kałdunie.“ Potężne organa trawienia, wytrzymałość na trudy, wczesna dojrzałość płciowa i t. d. z jednéj strony, pociągają za sobą z drugiéj słaby rozwój uczucia i rozumu. Pod względem *uczuciowym*, najniższe typy ludzkie odznaczają się wielką *porywczością* (impulsiveness), nieopatrznością na jutro, próżnością żądną *pochwały*, przywiązaniem do zwyczajów i form, które kostnieją niejako i trwają wieki. Pod względem *umysłowym*, człowiek, jak go nazywamy, dziki, jest przedewszystkiém niezdolny do rozumienia faktów ogólnych, czyli *uogólnień*, jest wysoce łatwowierny, brak mu „imaginacyi konstrukcyjnéj“ t. j. kombinacyjnéj zdolności.—Z kolei autor roztrząsa pytanie, jakie mogły być „idee pierwotne“ tych ras najniższych i wogóle człowieka pierwotnego. Jako takie idee zaznacza: pojęcia rzeczy ożywionych i nieożywionych, sen i marzenia senne, ekstazy, katalepsye i inne zjawiska tego rodzaju; daléj idee śmierci i zmartwychwstania, duchów i demonów i t. d. Rozdziały: VIII do XXV *Części pierwszéj*, traktujące o ideach pierwotnych, są arcydziełami bystrości w postrzeżeniach i głębokości w rozumieniu psychicznéj strony człowieka. Są tam założone fundamenta całéj socyologii czyli, jak Spencer nazywa, „charaktery ogólne jednostki społecznéj pierwotnéj.“ Wnioski, do jakich dochodzi są następujące: „postępowanie człowieka pierwotne-

go zostaje pod wpływem uczuć, jakiemi się powoduje względem otaczających go ludzi, oraz względem nieżyjących czyli nieboszczyków. Z dwóch grup tych faktów rodzą się dwa szeregi nadzwyczaj ważnych czynników społecznych: *strach przed żyjącymi* będący początkiem rządu politycznego i *strach przed umarłymi*, będący początkiem rządu religijnego."

Właściwy już wykład socyologii spotykamy w *Części drugiéj* zatytułowanéj „Indukcye socyologii," gdzie autor rozważa budowę społeczną począwszy od gromad ludzkich najprostszych, a kończąc na wielce złożonych, takich jak spółczesne nam państwa cywilizowane. Za punkt porównania służy Spencer'owi organizm zwierzęcy, do którego ciągle wraca upatrując analogią między budową, organami i funkcyami organizmu zwierzęcego z jednéj, a budową, organami i funkcyami organizmu społecznego z drugiéj strony. Jest-to zdaniem naszém najsłabsza część dzieła, argument bowiem oparty na analogii dwóch tych organizmów nie jest ścisły i raczéj może być uważany za obraz poetyczny. Należy pamiętać, że gdy ciało zbiorowe, jak społeczeństwo lub państwo, nazywamy organizmem, używamy języka figurycznego i rozumowanie zaczyna kuléć. Nadużycie analogii jest może jedną z największych szczerb w całym systemacie Spencera.

Im się daléj posuwamy, tym bardziéj zbliżamy się do istotnego gruntu będącego przedmiotem właściwéj socyologii. Jakoż, *Trzecia część* dzieła zatytułowana „Stosunki domowe" jest już poświęcona rozważaniu rodziny jako organu przeznaczonego do odnowy i zachowania rodu ludzkiego. Musiał więc tu autor traktować o stosunku obu płci, o rozmaitych formach ich skojarzeń, jak poliandrya, poliginia, monogamia i nareszcie o prawném stanowisku niewiast w przyszłości „które w miarę tego, jak się zmniejszy militaryzm i rozwinie industryalizm, tym więcéj się zbliży do równouprawnienia z płcią męzką; polityczna i domowa niższość niewiast zniknie i zostanie niższość wynikająca z konstytucyi fizycznéj." Nie brak w téj części dzieła jak i w innych, ciekawych faktów i bystrych postrzeżeń, jak np. gdy autor mówi, że „zbawienie wszystkich społeczeństw polega na opozycyi bezwzględnéj między rządem rodzinnym a rządem państwowym." Dodajemy, że Spencer przytaczane w dziele niniejszém fakta zgromadził przy pomocy innych uczonych w zbiorowéj pracy, któréj tytuł *Descriptive Socyology*, i że do niéj odsyła po sprawdzenie. Wykończenie socyologii jest bliskie, a gdy nastąpi, będzie to niezawodnie jak dotychczas najgruntowniejsza w tym przedmiocie praca. Pisząc to, jeszcze nie mieliśmy pod ręką dalszego ciągu socyologii, który wyszedł w r. 1879 pod nazwą *Ceremonial*

Institutions, jako *Część czwarta* całości a razem pierwsza połowa II tomu *Zasad socyologii*. Równocześnie autor wykończa resztę systemu t. j. etykę, któréj *Pierwszą część* już ogłosił.

5) *Zasady Etyki*. (*The Principles of Ethics. The Data of Ethics*, 1876). Dane, czyli podstawy i pojęcia ogólne, fundamenta etyki, objęte są w téj pierwszéj części *Zasad*. Ktoby chciał urobić sobie pojęcie o etyce i polityce Spencera, musiałby go szukać w kilku jego dziełach, mianowicie, w najpierwszém *Social Statics*, w *Rozprawach* wydawanych stopniowo pod nazwą *Essays*, we *Wstępie* do socyologii zatytułowanym *The study of Sociology*, oraz w ogłoszoném niedawno *Data of Ethics*. Wszystko to jednak nie zawiera jeszcze całkowitéj etyki, którą autor dopiero wykończa. Dlatego i my poprzestaniemy na kilku postrzeżeniach co do téj części systematu. Jak poprzednie jego części, tak i etykę przenika ta sama myśl główna t. j. hipoteza ewolucyjna. Pojęcia obyczajowe wyrabia ród ludzki stopniowo: były one niegdyś czysto egoistyczne, dziś są ego-altruistyczne (*à l'autrui*), a w przyszłości staną się altruistyczne, czyli rachujące się z prawami i potrzebami innych ludzi. Wszakże, ani czysty egoizm, ani czysty i absolutny altruizm nie mogą kierować postępowaniem ludzi, gdyżby się same zniszczyły. Gdyby każdy był gotów świadczyć innym usługi, zabrakłoby takich, coby je chcieli przyjmować. Rozwiązanie trudności i walki między dwoma przeciwnemi dążeniami leży w harmonii i równowadze obojga. Spencer broni się przeciw zarzutowi, jakoby był nieprzyjazny utylitarnéj moralności; przeciwnie, on ją tylko prostuje, krytykując zasadę Bentham'a „największa suma szczęścia dla największéj liczby ludzi.“

Etykę wiązali starożytni z polityką; Spencer osobnego wykładu polityki nie pisał, ale ze wszystkich jego prac widać, że jest obrońcą demokratyzmu jak najszerzéj rozumianego. Istnienie rządu jest według niego złem nieuniknioném, póki ród ludzki znajduje się jeszcze w peryodzie łupieskim, póki przemaga egoizm; ale w miarę tego, jak się rozwiną uczucia altruistyczne czyli sympatyczne, człowiek nie będzie wkraczał w sferę działania innych ludzi i to dobrowolnie, bez przymusu, a wówczas funkcya rządu zmaleje do minimum: dzisiaj zadaniem jego powinno być przedewszystkiém pilnowanie wymiaru sprawiedliwości. Ideałem autora jest stan, w którym-by było jak najmniéj rządu. Treściwy obraz etycznych zasad Spencera znajdzie czytelnik w dziełach Bain'a oraz Guyau. (1)

---

(1) A. Bain: *Mental and moral Science* 1868, str. 721. M. Guyau: *La Morale Anglaise contemporaine* 1879, str. 163. Recenzyą pierwszéj części etyki zamieściło pismo *Mind* z r. 1879, str. 561. Autor krytyki, A. Bain, bardzo pochlebnie ocenia to dzieło Spencera.

Oprócz wymienionych powyżéj dzieł głównych Spencer wydał jeszcze następujące mniejsze: *O wychowaniu* (*On Education*) (1), *Klasyfikacya umiejętności* (*The classification of the sciences*) (2), *Rozprawy* (*Essays* 3 tomy) i kilka artykułów drukowanych w *Mind.* Dość tytułów do sławy! Ogrom wiedzy wszechstronnéj, śmiałość poglądów, logiczność rozumowania, jasność stylu, wszystko to świadczy, że autor może być zaliczany do tych rzadkich umysłów, jakie tylko od czasu do czasu się zjawiają. W ogromnym jego systemie brakuje filozofii nauk fizyko-matematycznych czyli ogólniéj mówiąc natury nieorganicznéj. Na brak krytyki także nie może narzekać. Ostatnią, streszczającą zdania dawniejszych ogłosił świeżo *Malcolm Guthrie: „On Spencer's Formula of Evolution“* etc. 1879.

Jerzy Henryk Lewes (1817 — 1878). Chociaż w niniejszym obrazie filozofii angielskiéj postanowiono mówić tylko o żyjących autorach; że jednak Lewes tak niedawno umarł i gdy nadto ostatnie jego dzieło wyszło po śmierci autora dopiéro w r. 1879: zatém słusznie należy mu się krótka wzmianka na tém miejscu.

Lewes jest u nas nieco znany z tłómaczonych na polskie prac swoich, jak np. *Życie Göthego*, *Fizyologia codziennego życia*, *Szkice z życia zwierzęcego.* W cytowaném już a równie tłómaczoném na nasz język dziele Ribot'a *La psychologie anglaise* znajduje się ocenienie psychologicznych mniemań Lewes'a. Dawniejsze jego prace, jak *Historya filozofii* (4 wydanie 1874) także są znane przynajmniéj tym, którzy się filozofią zajmują. Stanowisko jego jako myśliciela możnaby najlepiéj określić mówiąc, że był empirykiem, a w początku zawodu literackiego, stronnikiem pozytywizmu francuskiego t. j. A. Comte'a. W ostatnich dziełach, o których, jako może mniéj znanych, parę słów powiemy, mniéj to widoczne. Prace te noszą charakter spółczesnéj psychologii fizyologicznéj i jéj głównie są poświęcone. Zamiarem Lewes'a było wypracowanie całkowitéj psychologii, ku czemu odbywał samodzielne studya fizyologiczne i gromadził fakta, ażeby psychologią oprzéć na trwalszych niż dotychczasowe podstawach. Gdy się jednak przekonał (jak sam to wyznaje), że jeszcze wiele pytań psychologicznych jest nierozwiązanych i że przedwcześnie byłoby myśléć o całkowitym wykładzie téj nauki, studya swoje zebrał jako oddzielne rozprawy, którym dał ogólny tytuł *Problemata życia i myśli* (*Problems of life and mind* 1874—79, 5 tomów).

---

(1) *O wychowaniu moralném, umysłowém i fizyczném*, przełożył Michał Siemiradzki. Warsz. 1879. Drugie wydanie tamże, 1880.

(2) *Klasyfikacya wiedzy.* Przekład A. Nalepińskiego. Warsz. 1873.

Oddzielne części noszą jeszcze inne tytuły. I tak, dwa pierwsze tomy mają tytuł *Problems of life and mind*; trzeci, *The physical basis of mind*; czwarty, *The Study of Psychology*; piąty, wydany z pozostałych po autorze rękopismów i najmniéj wykończony, nosi ogólny tytuł *Problems of life and mind*. Przyjrzyjmy się treści wszystkich problematów, roztrząsanych w tych pięciu woluminach. Poruszane zagadnienia dotyczą metody filozoficznéj wogóle, a psychologicznéj w szczególności, metafizyki i fizyologii, o ile ta jest pomocną do rozumienia objawów psychicznych. Lewes opowiada nam, że już od r. 1836 marzył o napisaniu psychologii takiéj, w któréjby doktryny Reid'a, Stewart'a i Brown'a fizyologicznie były wytłómaczone. Ale zamiar ten porzucił, częścią dlatego, że szkoła szkocka coraz mniéj zadawalniała spółczesnych myślicieli, częścią, że nie dowierzał swojéj znajomości fizyologii. Zaczął więc studya fizyologiczne i dopiéro koło r. 1860 czuł się w téj nauce o tyle mocnym, iż zdawało mu się, że „badania systemu nerwowego dały mu w ręce klucz do labiryntu zjawisk umysłowych.“ W r. 1862 jednakże znów wrócił do fizyologii i zaczął badać „mechanizm fizyologiczny czucia i myślenia“. Anatomia, fizyologia, patologia, psychiatrya i lingwistyka miały dostarczyć materyału i zasad do zbudowania psychologii. Im wszakże dłużéj pracował, tym bardziéj się przekonywał, że nam brakuje zasadniczych wiadomości do utworzenia umiejętnéj psychologii, że nauka ta znajduje się obecnie w takim mniéj więcéj stanie, w jakim była chemia przed Lavoisier'em, a biologia przed Bichat'em. Dlatego zdecydował się na oddzielne roztrząsanie rozmaitych zagadnień psychologicznych. Przekonawszy się następnie, że utworzeniu psychologii stoją na przeszkodzie nierozwiązane metafizyczne problemata i używana dotychczas jeszcze metoda staréj metafizyki, postanowił, dla siebie przynajmniéj, rozważyć pojęcia siły, przyczyny, materyi i t. p. Z tego wszystkiego urosły dwa pierwsze tomy *Problematów*.

Co się tyczy saméj psychologii, oto jak ją Lewes pojmował: Człowiek, powiada, jest nietylko organizmem zwierzęcym; prowadzi on życie indywidualne będące cząstką życia zbiorowego. Ztąd dwa szeregi pobudek działają na niego: osobiste i sympatyczne, czyli egoistyczne i altruistyczne. Psychologia zatém jest umiejętnością traktującą o zjawiskach psychicznych i powinna szukać swoich podstaw (*data*) w biologii i socyologii. Wielki dotychczasowy błąd pochodził z tego, że metafizycy szukali tych podstaw w subjektywnéj analizie świadomości, a zaś biologowie upatrywali je w kombinacyi takiéjże analizy z objaśnieniem zjawisk nerwowych. Podług niego „psychologia jest analizą i klasyfikacyą *funkcyj i zdolności czucia*, o ile te do-

stępne są obserwacyi i indukcyi, analizą uzupełnioną przez redukcyą tychże do *warunków ich bytu* zarówno biologicznych jak i socyologicznych" (1). Rozwijając tę definicyą, Lewes mówi daléj: Chcąc zrozumiéć działający organizm, należy znać nietylko sam ten organizm lecz i otaczające warunki (*medium*), z których ciągnie swój materyał i na które oddziaływa. Warunki jego bytu stanowią: najprzód, budowa czyli mechanizm, a powtóre, otoczenie, wśród którego jest umieszczony. Skoro poznamy udział, jaki w życiu psychiczném bierze mechanizm, oraz rolę, jaką odgrywa otoczenie, osiągniemy to, do czego nas analiza może doprowadzić: wyjaśnimy naukowo czynności organizmu. Lewes uważa psychologią za część biologii, niemniéj jednakże dodaje, że fakta umysłowe stanowią szereg zjawisk *sui generis*, których niepodobna zredukować do faktów fizyologicznych; niepodobna również z materyalnego mechanizmu wywieść i wytłómaczyć zjawisk czucia, będących stanami świadomości. Związek umysłu z żyjącym organizmem jest faktem tak dotykalnym, że nikt o nim nie wątpi, a przytém tak tajemniczym, że nikt dotychczas nie określił ściśle, w czém leży identyczność, a w czém różnica obojga. „Możemy go zdefiniować, ale nie możemy wytłómaczyć."

Ponieważ każde zjawisko umysłowe jest dwustronne, niejako dwutwarzowe, albowiem przejawia się w żyjącym organizmie; więc jak sam Lewes czuł potrzebę zaznajomienia się z fizyologią, tak téż i uczącym się psychologii chciał ułatwić poznanie części fizyologicznéj; dlatego zebrał w osobnym tomie to wszystko, czego fizyologia dostarcza psychologii i dał tym swoim badaniom nazwę „Fizyczna podstawa umysłu". Mieści się tu rozprawa o życiu wogóle i fizyologia układu nerwowego; daléj, dyskusya o *automatyzmie zwierzęcym i o teoryi odruchów* (*reflex theory*). Dodajmy, że tom ten jest najlepiéj może opracowany ze wszystkich *Problematów*, i że dołączone rysunki objaśniają tekst fizyologiczny. Autor nie podziela zdania tych, coby objawy umysłowe chcieli zredukować do odruchów (2).

Ostatni (piąty) tom *Problematów* obejmuje dalszy ciąg tych samych roztrząsań o stosunku umysłu do ciała, oraz dwa problemata zatytułowane: „Sfera zmysłów i Logika uczucia"; „Sfera rozumu i Logika znaków." Ten ostatni rozdział, pisany na trzy tygodnie przed śmiercią, jest zaledwie fragmentem.

---

(1) *The study of Psychology.* Str. 6.
(2) *The physical basis of mind.* Str. 354.

Rozejrzawszy się w dziełach Lewes'a trzeba przyznać, iż żaden ze spółczesnych psychologów angielskich nie posunął tak daleko jak on badania fizyologicznéj strony problematu psychologicznego o stosunku umysłu i ciała, co tym więcéj ma znaczenia, ile że sam, dla objaśnienia go, w ciągu wielu lat pracował w laboratoryum. W końcu jednak musiał przyznać, że zjawisk psychicznych niepodobna zredukować do procesów fizyologicznych, nawet wówczas, gdy się psychologią uważa za część biologii.

Kiedy psychologowie tacy jak Bain, H. Spencer, H. Lewes dla gruntowniejszgo wytłómaczenia objawów psychicznych uważali za konieczne do swoich badań wciągnąć fizyologią; z drugiéj strony znów fizyologowie z powołania, chcąc lepiéj rozumiéć procesa fizyologiczne, zaczęli więcéj uwagi zwracać na psychologią. Do téj grupy fizyologów trzeba najprzód zaliczyć *W. B. Carpentera*, który ogłosił *Zasady fizyologii umysłu* (*Principles of mental physiology*, 1874); dalej *Maudsley'a* i *Ferrier'a*.—Maudsley jeszcze w r. 1867 wydał dzieło pod tytułem: *Fizyologia i Patologia umysłu* (*The Physiology and Pathology of Mind*), które następnie poprawił i uzupełnił. Pierwsza część jego wyszła pod tytułem *The Physiology of Mind* w 1876, druga obejmująca patologią umysłu *The Pathology of Mind* w 1879; nadto wydał osobną pracę o związku i wzajemnym wpływie ciała i umysłu, *Body and Mind* 1879. Są-to dzieła wysoko cenione w Anglii, gdyż autor jako lekarz i fizyolog bardziéj niż kto inny jest usposobiony do objaśnienia patologicznych szczególniéj objawów umysłowych. Więc też zjawiska takie, jak senne marzenia, hipnotyzm, somnambulizm i rozmaite formy choroby umysłowéj, jéj przyczyny i środki zaradcze znalazły w nim dzielnego badacza. Charakteryzuje go między innemi mniemanie, na które nie każdyby się zgodził, mianowicie, jakoby „choroba umysłowa była w gruncie objawem społecznym, i że niepodobna jéj ani badać gruntownie, ani sprawiedliwie ocenić, jeżeli nie będzie rozważaną ze społecznego punktu widzenia." W związku z całym kierunkiem prac Maudsley'a zostaje ostatnie jego dzieło: *Odpowiedzialność w chorobie umysłowéj* (*The Responsibility in mental disease*, 1875). Obchodzi ono psychologią, ale głównie prawo kryminalne.

Dawid Ferrier poświęcił się głównie badaniu mózgu, jego czynności i sprawie umiejscowienia chorób umysłowych. Przedmiot ten wyłożył najprzód w dziele: *Czynności mózgu* (*The functions of the brain*, 1876) oraz w drugiém, które jest uzupełnieniem pierwszego: *Umiejscowienie choroby umysłowéj* (*The localisation of cerebral disease*, 1878). Uderza w pracach fizyologów angielskich zajęcie się szczególniéj

patologiczną stroną umysłu. Że objawy chorobowe dobrze zbadane mogą rzucić niejakie światło na zjawiska umysłowe w stanie zdrowym dostrzegane, to dla każdego widoczna. Rezultaty jednakże dotychczas na téj drodze osiągnione są jeszcze tak małe, że tajemniczy związek umysłu z ciałem pozostał, jak był, tajemnicą naukową (1).

Żeby już skończyć z tym przedmiotem i zaznaczyć, jak on ciągle zajmuje uczonych, przytaczamy najświeższe pokuszenie się o rozjaśnienie zagadki. Profesor filozofii moralnéj w uniwersytecie edynburskim *Henryk Calderwood* podjął świeżo zadanie wytłómaczenia stosunków zachodzących między umysłem i mózgiem. Dzieło jego nosi tytuł: *The relations of mind and brain*, 1879. We wstępnym rozdziale autor traktuje o stosunku filozofii do umiejętności i dowodzi potrzeby obu do lepszego zrozumienia życia ludzkiego. W następnym rozdziale opisuje budowę mózgu objaśnioną rysunkami; daléj idzie opis systemu nerwowego, wykład lokalizacyi działań przywiązanych do oddzielnych części mózgu, streszczenie doświadczeń Ferrier'a nad mózgiem psa i małpy, porównanie budowy i czynności mózgu między wyższemi i niższemi zwierzętami i t. d. Co do stanowiska naukowego, jakie autor w téj pracy zajął, możnaby je scharakteryzować jak następuje. Profesor Bain w dziełku swojém *Umysł i Ciało* wyliczając rozmaite punkta widzenia w kwestyi dotyczącéj związku obojga mówi, że są tacy, co sądzą, iż niektóre, *niższe* czynności umysłowe mogłyby zależéć od organizacyi materyalnéj, gdy tymczasem działania *najwyższe* tj. rozumowe mogłyby być czysto duchowéj natury, wcale niezależne od warunków fizycznych. Otóż Calderwood najwięcéj się zbliża do takiego pojmowania stosunków, zachodzących między umysłem a mózgiem.

Jak anatomia i fizyologia porównawcza wiele się przyczyniły do słusznego ocenienia rozmaitych organizmów i funkcyi rozmaitych organów; tak i psychologia porównawcza może się przyczynić do lepszego zrozumienia czynności umysłowych wogóle, a zwłaszcza objawów umysłu ludzkiego. Psychologia porównawcza dopiéro pierwsze kroki stawia: nabytki jéj są jeszcze bardzo skąpe. Niemniéj jednak należy zaznaczyć świeżą na téj drodze pracę. Jest nią dzieło pod tytułem: *Objawy umysłowe niższych zwierząt uważane podczas zdrowia i choroby* (*Mind in the lower animals in health and disease, by W. Lauder Lindsay* 1879 2 tomy). Najcenniejsze są postrzeżenia autora co do chorób zwierzęcych, które porównywa bardzo trafnie

(1) *De la localisation des maladies cérébrales*, par David Ferrier—traduit de l'anglais 1880. Czytać Rozdział I.

z podobnemiż objawami u ludzi chorych umysłowo. Wstępna część dzieła traktuje psychologią porównawczą.

Autorowie, o których dotychczas wspomniano, najwięcéj pracowali nad psychologią; jest-to bowiem część filozofii najbardziéj zajmująca i ściśle związana z innemi naukami, takiemi np. jak prawo, etyka, polityka. W psychologii téż Anglicy celują. Inne części filozofii nie tyle są uprawiane co psychologia, lubo nie można powiedziéć, żeby je całkiem pomijano. Więc jeszcze wspomnimy parę głośniejszych nazwisk spółczesnych, znanych z dzieł poświęconych etyce, estetyce i logice.

Z pisarzy uprawiających etykę największą reputacyą naukową zyskał *Henryk Sidgwick*, profesor filozofii moralnéj i politycznéj w Cambridge'u. Wydał on w r. 1874 bardzo gruntowne dzieło z zakresu etyki pod tytułem: *Metody Etyki*, (*The Methods of ethics*), którego druga edycya znacznie przerobiona wyszła w 1877. Liczne krytyki i żwawa polemika o niektóre poglądy autora świadczą, jak żywe zajęcie książka jego obudziła w Anglii. Pisali o niéj lub przeciw niéj Bain, Bradley, Barratt, Calderwood i inni, wydając bądź osobne broszury, bądź zamieszczając recenzye w *Mind* (z lat 1876 i 1877). Sidgwick nie wymyślił żadnego nowego systematu etyki, lecz zgodnie z tytułem swojego dzieła roztrząsa w niém główne *metody* etyki, rozumiejąc przez to rozmaite zasady, na których autorowie opierają maksymy moralne. Jest-to przedmiot bardzo popularny w literaturze filozoficznéj angielskiéj i to oddawna. Nie sięgając odległych czasów, dość tu przypomniéć pisarzy naszego wieku, takich jak Jeremiasz Bentham, obaj Mill'owie, Mackintosh, Bain, H. Spencer, Sidgwick, że pominiemy bardzo wielu innych mniéj sławnych, żeby uznać, iż istotnie w żadnym kraju nie rozmyślano tyle, co w Anglii, nad zagadnieniami etycznemi. Popęd do tych badań wyszedł od Benthama. którego wielbicielami są obaj Mill'owie, a w części Bain i Sidgwick. Kierunek, który reprezentują ci autorowie, nazywają moralnością utylitarną, albo wprost utylitaryzmem. Hasłem jego jest hasło Benthama: największa suma szczęścia dla jaknajwiększéj liczby. To, co nazywamy zmysłem moralnym lub sumieniem, powstaje w nas przez wychowanie domowe i szkolne, przez pochwały i nagany opinii publicznéj, nareszcie przez sankcyą prawa karzącego. Człowiek działa pod wpływem dwóch pobudek: przyjemności i przykrości, gdy pierwszéj pożąda a drugiéj unika. Pewną poprawkę w téj teoryi zaprowadzili: Darwin i H. Spencer, którzy ów zmysł moralny wyprowadzają głównie z oddziaływania społeczeństwa na indywiduum i widzą stopniowy jego rozwój, począwszy od nie-

których zwierząt, a kończąc na człowieku cywilizowanym. Ewolucyjną teoryą moralności czyli raczéj zmysłu moralnego rozważa Darwin w II i III rozdziale swojéj pracy *The Descent of man*, H. Spencer zaś w przytoczonych wyżéj dziełach. Trzeci kierunek w etyce reprezentują ci, co utrzymują, że człowiek ma wrodzone, intuicyjne poczucie dobra i zła moralnego, że celem czynów ludzkich jest moralna doskonałość osoby działającéj. Wszystkie poglądy na czyny ludzkie dadzą się, podług Sidgwicka, zredukować do trzech głównych, które on nazywa: hedonizmem egoistycznym (czysty egoizm), hedonizmem uniwersalnym (utylitaryzm) i intuicyonizmem. Rozbiór tych trzech metod stanowi wątek dzieła, które w zakresie etyki jest obecnie uważane za najgruntowniejsze. Autor przechyla się do umiarkowanego utylitaryzmu: zadaniem wszakże jego we wspomnioném dziele jest nie tyle wykład dogmatyczny, co krytyka systematów etycznych.

Nad teoryą piękna czyli estetyką empiryczną pracuje w Anglii obecnie para ludzi zaledwie. Pierwszy jest *Grant Allen*, autor *Estetyki fizyologicznéj* (*Physiological Aesthetics*, 1877), w któréj hipotezę ewolucyjną stosuje do rozwoju uczucia piękna i samych sztuk pięknych. Na téj saméj hipotezie opiéra się tegoż autora artykuł zatytułowany *Aesthetic Evolution in Man* (*Mind*, 1880). Drugim jest *Jakób Sully*; wydał on w r. 1875 dzieło: *Sensation and Intuition* składające się z szeregu rozpraw dotyczących psychologii i estetyki, między któremi traktuje hipotezę ewolucyi, warunki wiary (*belief*), doktrynę o wolnéj woli, orazinnepytania. Odznacza się tém, że estetykę rozważa w związku z psychologią i fizyologią a nadto dobrze jest obeznany z filozoficzną literaturą niemiecką. Prócz powyższego dzieła zamieścił w *Mind* od czasu pojawienia się tego kwartalnika (1876) szereg recenzyj i rozpraw po większéj części z zakresu teoryi estetyki i psychologii. Tu więc należą rozprawy: *Art and psychology*, *Physiological psychology in Germany*, *The Question of visual perception in Germany*, *Harmony of colours* etc. Ostatniém jego dziełem jest *Historya pessymizmu*, (*Pessimism, a history and criticism*, 1877). Czytamy w niém wyczerpujące sprawozdanie z pessymizmu popularnego, jaki się spotyka w życiu codziennėm i u poetów tak starożytnych jak i nowożytnych, oraz wykład pessymistycznéj teoryi ubranéj w szatę naukową. Najobszerniéj rozbiera autor dzieła Schopenhauera i Hartmanna. Ktoby nie znał prac tych dwóch metafizyków niemieckich w oryginale, dużo się może nauczyć z dzieła Sully'ego i dobrze poznajomić z marzeniami, które dziś zawracają głowy wielu Niemców na zawstydzenie rozumu ludzkiego.—Ponieważ pessymizm staje się zro-

zumiałym dopiéro wówczas, gdy obok niego postawimy optymizm, więc Sully równolegle traktuje oba temata, a przez to książka jego nabierą życia i uczy za pomocą kontrastu.

Pośrednio tylko łączy się z filozofią właściwą filozofia historyi. W kieruku tym pierwsze miejsce zajmuje *Robert Flint*, poprzednio profesor filozofii moralnéj i ekonomii politycznéj w St. Andrew, obecnie w Edynburgu. Pomimo młodego jeszcze wieku, liczy bowiem dopiéro lat 40, wydał trzy wysoko cenione dzieła i szereg mniejszych artykułów w *Mind*. Co do dzieł większych są one następujące: *Filozofia Historyi* (*The philosophy of history in Europe*, 1874, 2 tomy). O ile z téj pracy osądzić można, autor zajmuje stanowisko chrześciańskie pojmując rozwój historyi jako odbywający się pod kierunkiem Opatrzności. Cechuje go nadto wielka erudycya książkowa, oczytanie się w literaturze niemieckiéj i francuskiéj, sąd bardzo umiarkowany, czasami zabarwiony anglikanizmem. Drugiém dziełem ważniejszém R. Flint'a jest *Deizm* (*Theism* 1877); trzeciém, świeżo ogłoszoném i dopełniającém poprzednie są *Teorye antyteistyczne*, (*Antitheistic Theories*, 1879). Autor nazywa oba te dzieła dwiema częściami systemu teologii naturalnéj, któremu jeszcze daleko do końca. W niniejszém dziele roztrząsa ateizm, materyalizm starożytny i nowożytny, pozytywizm, sekularyzm—daléj pytanie: czy są plemiona ludzkie ateistyczne? nareszcie, pessymizm panteizm. Pod względem pojęć filozoficznych Flint stoi najbliżéj Kanta.

Logika, zwłaszcza formalna, ma w Anglii wielu dziś uprawiaczy; wymieniać podręcznych książek szkolnych nie uważamy za potrzebne, ale nie można pominąć milczeniem najważniejszego dzieła, które się po pracach St. Mill'a, Bain'a i Fowlera, w tym kierunku pojawiło. Mamy na myśli *Zasady Umiejętności* (*The principles of science; a treatise on Logic and scientific Method*, przez *W. Stanley-Jevons'a*; pierwsze wydanie 1874, drugie 1877). Autor już dawno pracuje nad logiką. Pierwsze jego prace w zakresie logiki ukazały się jeszcze w r. 1864. Od tego czasu wydał kilka książeczek zawierających wykład logiki formalnéj i nareszcie duży tom zatytułowany. *The Principles of science* (1). *Jevons* zamierzył obalić logikę Arystotelesa. Ostatnie jego dzieło jest wyrazem wszystkich dawniejszych usiłowań w tym celu czynionych. Dzieli się ono na dwie części; pierwsza obejmuje przekształconą logikę formalną, druga metody badania indukcyjnego. Reformę logiki formalnéj już był proponował Jerzy Ben-

(1) St. Jevons jest prócz tego autorem dzieła ekonomicznéj treści: *Money and the mechanism of exchange.* (Bibliot. Międzynarodowa).

tham (1827), popierał go W. Hamilton, a nareszcie Jevons. Reforma zależy na tém, żeby orzeczeniu w sądach czyli zdaniach logicznych dać wyraźną formę ilościową (*the quantification of the predicate*). Poprawki téj nie uznają inni logicy za istotną i twierdzą, że logika Arystotelesa jéj nie potrzebuje (1). Za to druga połowa dzieła, obejmująca wykład metod naukowych, zyskała powszechne uznanie w Anglii i za granicą, tak, że autora kładą obok Herschla, Whewell'a i Mill'a.

Jevons łączy się jeszcze z drugim kierunkiem reformy na polu logiki, mianowicie z tymi, którzy jak *Boole* chcieliby logikę formalną zamienić na algebrę i wyrazy zwyczajnego języka zastąpić znakami algebraicznemi. Jevons wprawdzie wystąpił z krytyką systematu Boole'a, sam jednak proponuje inny niemniéj zawiły. Cały ten spór o reformę logiki formalnéj streścił bardzo przystępnie L. Liard w dziełku: *Les Logiciens anglais contemporains*, 1878. Dodajmy w końcu, że myśl Boole'a ma w Anglii zwolenników coraz gorętszych, jak to widać z podjętego nanowo usiłowania *Macfarlane'a* w niewielkiéj jego książce: *Principles of Algebra of Logic*, 1879; lub z artykułu *H. Mac-Coll'a: Symbolical Reasoning* (*Mind*, 1880).

Z pośród świeżo występujących na arenę literacką, bardzo czynnych i zdolnych autorów w zakresie logiki, można jeszcze wymienić *J. Venn'a*, którego *Logika prawdopodobieństwa* (*The Logic of chance*) ukazała się w powtórném wydaniu r. 1877. Najbardziéj interesującém w téj książce jest zastosowanie teoryi rachunku losów do zagadnień moralnych i społecznych. Tegoż autora recenzye i rozprawy zamieszcza *Mind.* Z rozpraw tych ważniejsze są następujące: *The Use of hypotheses* i *The Difficulties of material Logic* (*Mind* z 1878 i 79).

Nareszcie bardzo pochlebnie przyjęła krytyka niewielkie studyum (essay) *O Teoryi logiki* (*On the theory of logic*) *Carveth Read'a*, 1878. Recenzyą téj pracy zamieścił J. Venn w *Mind* za r. 1878. C. Read dąży do reformy logiki zarówno syllogistycznéj jak i indukcyjnéj.

Powiedzieliśmy wyżéj nadmieniając o rozmaitych kierunkach panujących w spółczesnéj filozofii angielskiéj, że oprócz empiryków albo, jak sami siebie nazywają, eksperyencyalistów, są tam stronnicy Kanta i Hegla, Comte'a i Hartmanna. Gdybyśmy o nich chcieli choć po kilkanaście wierszy napisać, trzebaby znacznie rozszerzyć granice niniejszego artykułu i, jak nam się zdaje, bez pożytku. Roz-

---

(1) Patrz *Mind* z r. 1876.

sądniejsi Anglicy sami się dziwią temu zmartwychwstaniu przeszczepionéj do nich metafizyki niemieckiéj (1). Zdawałoby się, że żyjemy na początku bieżącego wieku. Anglicy kłócą się o to, kto lepiéj rozumie Kanta! Niektóre z jego dzieł dopiéro teraz tłómaczą na swój język i piszą nad niemi komentarze godne scholastycznych mędrców. Hegel, zapomniany w swojéj ojczyźnie, odżył we Włoszech, Anglii i Stanach Zjednoczonych. Anglicy mają u siebie szkołę Heglowską ku wielkiemu zdziwieniu trzeźwych zwykle swoich prawdziwie uczonych, którzy gorszą się tym objawem tak, jak u nas przed półwiekiem z górą gorszył się Jan Śniadecki naszymi Kantystami. Co jednak jest najciekawsze, to zapowiedziane tłómaczenie na język angielski metafizyki Hartmanna czyli *Filozofii Nieświadomości* (*Philosophie des Unbewussten*). Widząc to, prawie trzebaby się zgodzić, że człowiek bez metafizyki żyć nie może: a im ta jest zawilszą, tym zdaje się być głębszą i tym bardziéj nęci nienasyconą chęć wiedzy. Wobec potężnego zastępu gruntownie uczonych ludzi, jakich ma Anglia, te zakusy i zaciekania metafizyczne nie zdołają skrzywić ani nauki wogóle, ani filozofii w szczególności: co najwięcéj historyk zaznaczy je jako objaw patologiczny umysłu ludzkiego.

Przyglądając się świetnemu rozwojowi filozofii w Anglii za dni naszych i wiedząc, jaka pod tym względem panowała martwota lat temu pięćdziesiąt, nasuwa się pytanie, komu i czemu ten obecny ruch umysłowy zawdzięczać? Mężem, który nanowo obudził ducha angielskiego był najprzód Stuart Mill, do którego dzisiejsi pisarze bardzo chętnie w myślach swoich wracają i uczniami się jego mienią; obok niego można-by postawić Whewell'a, Grote'a i Hamiltona równie już nieżyjących, którzy wprawdzie nie dorównali mu potęgą i głębokością myśli a nawet w wielu punktach z nim się różnili; niemniéj jednak dla dzieł swoich i zamiłowania filozofii godni są zaszczytnego wspomnienia. Bądź-co-bądź przecież, prace ich razem wzięte nie byłyby mogły stworzyć obecnego ruchu umysłowego w Anglii, gdyby nie dawne tradycye naukowe, gdyby nie spółczesny rozrost umiejętności matematyczno-fizycznych i przyrodniczych, gdyby z nimi nie spółdziałali Herschel i Faraday, Lyell i Tyndall i długi szereg innych.

Przenieśmy się teraz myślą do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, których literaturę można uważać za dopełnienie angiel-

(1) *Mind* z r. 1877: *Recent Hegelian contributions to englisch philosophy.*

skiéj (1). Najprzód kilka słów o wychowaniu wyższém w tym kraju. Stany Zjednoczone liczą blizko 300 kolegiów nie-katolickich, z których większa część ma prawo udzielania stopni naukowych. Uczniowie tych zakładów po czterech latach studyów otrzymują stopień bakałarza, a po trzech następnych—stopień magistra. Prawie we wszystkich tych szkołach uczą trochę logiki, estetyki, więcéj etyki, mało-co psychologii i to wszystko nazywa się filozofią, którą w ostatnim roku studyów wykłada pospolicie rektor (*president*). Metody uczenia i egzaminowania tak są różne, że niepodobna ich rozklasyfikować, zwłaszcza w krótkim artykule. Przeszło 200 z tych, szkół są fundacyami rozmaitych sekt religijnych i celom ich służą; wykład filozofii jest tam bardzo elementarny i scholastyczny. Szkół niezależnych, nie-sekciarskich jest kilka zaledwie, ale i w nich uczą profesorowie, którzy studya filozoficzne odbywali w seminaryach ewangelickich i lepiéj znają teologiczne różnice dzielące sławnych teologów protestanckich, niż systemata Leibnitza lub Kanta. W kolegiach zależnych od téj lub owéj sekty, opiekunowie szkoły (*trustees*) dobierają nauczycieli przejętych duchem wyznania religijnego, a tych, którzy im się nie podobają, uwalniają według swojego widzenia, tak jak właściciel ziemi lub przedsiębiorca—dziennych robotników. Niewielu jest profesorów, którzy znają Reid'a, Stewart'a i Hamiltona; jeszcze mniéj takich, którym nie są obce dzieła lub przynajmniéj ustępy z dzieł St. Mill'a, Huxley'a, H. Spencera. Historyą filozofii znają oni zaledwie z podręczników Schweglera lub Ueberwega. Prawdziwy miłośnik i gruntowny znawca filozofii nie zdołałby z niéj saméj wyżyć; musi on prócz tego zajmować się jakiémś chlebodajném rzemiosłem, jako wydawca, pedagog i t. p.

Inną przyczynę zacofania nauk filozoficznych w kolegiach amerykańskich stanowi ich ubogie uposażenie. Ciało nauczycielskie składa się ledwie z kilku osób mężczyzn, a gdzieniegdzie i kobiet, zmuszonych uczyć wszystkiego: matematyki, fizyki, nauk przyrodniczych, języków starożytnych i nowożytnych, historyi, wymowy i t. d. Trzeba więc siedziéć w klasie po trzy i sześć godzin, rozpraszać umysł na rozmaite przedmioty i zużyć najlepsze siły organizmu w téj drobnostkowéj pracy, tak, że na badania oryginalne brakuje i czasu i ochoty.

Dodajmy do tego naturę ludu amerykańskiego. Porządny Amerykanin winien być człowiekiem praktycznym, robić pieniądze

---

(1) W sprawozdaniu o stanie filozofii w Unii Amerykańskiéj powtarzamy w streszczeniu artykuł *G. Stanleya Hall'a*, zamieszczony w *Mind* z r. 1879.

i „spoglądać na świat zewnętrzny nie w siebie, patrzyć przed siebie nie za siebie i brać się do dzieła.“ Sądzi on, że wszelkie zagadnienia umysłowe, to rzecz teologów, a dla ludzi praktycznych próżna strata czasu i przeszkoda w chlebodajnéj pracy.

Obraz powyższy maluje tylko ciemną stronę życia amerykańskiego i przystaje głównie do Stanów zachodnich; wschodnie lepiéj wyglądają. Najulubieńszym przedmiotem z nauk filozoficznych jest etyka, lubo i inne gałęzie bywają wykładane z podręcznych książek (*text books*). Profesorowie wprowadzają do wykładu pytania z zakresu życia codziennego lub bieżącéj polityki i urządzają z uczniami rozprawy prostując ich argumentacyą, podając swoje objaśnienia. Gdzieindziéj uczniowie słuchający etyki muszą pisać ćwiczenia na zadane temata i następnie czytać je przed całą klasą. Temata bywają takie np.: „Czy godzi się czynić źle, by ztąd coś dobrego osiągnąć?“ „Czy fałsz da się kiedykolwiek usprawiedliwić, a jeżeli da, to kiedy mianowicie?“ „Rozprawa o ścieraniu się (kollizyi) powinności“ i t. d. Wynikiem takiéj edukacyi jest, że wprawdzie uczniowie wychodzą z pewnemi wyobrażeniami co do wartości takich lub owakich czynów ludzkich, ale psychologiczna strona etyki, natura sumienia, jest dla nich obojętna i obca.

Co do logiki formalnéj, téj uczą prawie we wszystkich kolegiach z podręcznych książeczek Fowler'a i Jevons'a; część indukcyjną najczęściéj pomijają.

Psychologią wykładają przez pół roku w wyższych klasach z dzieł takich, jak *The human Intellect* Porter'a, *Science of thought* Everett'a, lub tym podobnych. Do historyi filozofii służy Schwegler w tłómaczeniu Seeley'a. Gdzieniegdzie spotyka się *Essay* Locke'a, ustępy z *Krytyki czystego rozumu* Kanta, wyjątki z dzieł Mill'a, z *Psychologii* Spencera, lub Bain'a i Taine'a.

Estetyki uczą z podręcznych książek Day'a, Bascom'a, Kames'a *Elements of Criticism.* Treścią tych lekcyj są najrozmaitsze przedmioty począwszy od pejzażów, ogrodnictwa i sprzętów domowych, a skończywszy na malarstwie, poezyi i muzyce, które profesor objaśnia bez żadnych uznanych zasad, lecz dowolnie, jak mu się zdaje, bez wniknięcia w psychologiczną stronę przedmiotu. Brak muzeów, galeryj, lub choćby fotograficznych obrazków, nie pozwala głębiéj sięgnąć w historyą lub zasady sztuk pięknych.

Interes główny, niemal jedyny, budzi teologia tak naturalna jak i objawiona, oraz polemika religijna. Umysły ludzi praktycznych i pracujących, zarówno sceptyków jak i prawowiernych, znają tylko metody krótkie, proste i skostniałe, które raz na zawsze

stosują do przedmiotów czystego rozumu lub wiary; nie lubią też i niechętnie znoszą wszelkich nowatorów.

Inaczéj nieco mają się rzeczy we wschodnich Stanach, w Nowéj Anglii i prowincyach środkowych. W kolegiach tych okolic słyszy się zmodyfikowany Kantyzm godzony jak można z teologią. W kolegium *Yale* filozofią wykłada rektor. *Porter* częścią ze swoich dzieł, częścią z innych autorów. Chociaż jest duchownym z sekty kongregacyonalistów, jednak zachował dość niezależności umysłu i uprawia filozofią w duchu szkocko-kantowskiéj szkoły. Najszerszy zakres zostawiono filozofii w uniwersytecie *Harvarda*, gdzie się trzymają *Logiki* Jevons'a, czytają *Essay* Locke'a, trochę Schopenhauer'a i Hartmanna, psychologią Taine'a, *Treatise on the moral ideals* Grote'a, *De officiis* Cycerona. Profesor *Everett* czyta lekcye o filozofii niemieckiéj z Heglowskiego punktu widzenia, a znów *Jan Fiske*, autor dzieła *Outlines of cosmic philosophy* tłómaczy Amerykanom systemat H. Spencer'a. Słowem, widzimy, że w wykładach szkolnych panuje jaknajwiększa rozmaitość: wszystkie systemata filozofii mają swoich stronników, najczęściéj bardzo powierzchownych.

Toż-samo poza szkołą. Trendelenburg, Schleiermacher, Krause, Schelling, Fichte, Herbart, Lotze i Hegel, a ten ostatni szczególniéj, znajdują popularyzatorów. *W. T. Harris* z St. Louis założył nawet w r. 1867 osobny organ *Journal of speculative philosophy* do szerzenia Heglizmu, tak jak znów *Youmans* w New-Yorku wydaje pismo miesięczne *Popular science Monthly* w celu zaznajamiania spółziomków z teoryą ewolucyjną H. Spencer'a. Inni, trzeźwiejsi, dziwili się śmiałości Harris'a i jego spółpracowników, którzy łamali sobie języki, żeby oddać barbarzyńską terminologią Fichte'go lub subtelności *Logiki* Hegla. Środkowym punktem odrodzonego w Ameryce Heglizmu jest St. Louis. Mamy więc to, co było i w Niemczech: prawicę i lewicę Heglowską. Niektórzy pocieszają się, że ta spekulacya przygotuje ziemię pod zasiew hipotezy ewolucyjnéj, która jednak lepiéj się krzewi wśród umysłów wyrobionych na naukach ścisłych, niż na metafizyce. Trzeba bowiem dodać, że zwolennicy Darwin'a, Huxley'a i Haeckla coraz są liczniejsi; a gdy jedno z kolegiów szukało profesora zoologii, który-by się zobowiązał o tych uczonych i ich teoryach nic nie wspominać, nie znaleziono kandydata. Jest przecież i takich kilka kolegiów, gdzie profesorom nikt nie broni mówić o teoryi rozwoju, któréj najzdolniejszym przedstawicielem jest, jak już wyżéj wspomniano, *Jan Fiske*. Przeciwnikiem téjże jest profesor *Bowne*, wykładający w Bostonie.

Z przytoczonych szczegółów o wykładzie filozofii w kolegiach i uniwersytetach amerykańskich widać, że stan téj umiejętności nie

jest do pozazdroszczenia. Łatwo się domyśléć, że skutkiem tego brak i autorów, którzy-by głośniejszéj nabyli z dzieł swoich sławy. Profesorowie filozofii wykładają rozmaite części filozofii z podręczników swojego wyrobu, a częściéj pożyczają ich od Anglików lub Niemców. Nie znamy téż żadnego pisarza filozoficznego, którego-by czytano w Europie, lub dzieła jego tłómaczono na obce języki. Jedynym autorem, po którym sobie wiele obiecują, jest *C. S. Peirce* ogłaszający swoje prace w *Popular science Monthly*, pod tytułem *Illustracye Logiki Nauk* (*Illustrations of the Logic of science*). Peirce znany jest jako niepospolity matematyk, a wspomniane artykuły uważa sprawozdawca za „najważniejsze przyczynki do filozofii ze strony Ameryki“ (most important of American contributions to philosophy).

Ogólną charakterystykę umysłowego życia Unii amerykańskiéj stanowi największa, jaka być może, różnorodność. Każda sekta religijna ma nietylko swoich uznanych i powagą będących założycieli i reformatorów, swoje dzienniki, swoję literaturę i stowarzyszenia, poza które stronnicy rzadko wyglądają; lecz także wiele sekt pół-filozoficznych liczy mniéj lub więcéj reprezentantów. Swedenborgianizm ma liczne kościoły i kaznodziejów, z których najznakomitsi są: Parsons i H. James. Polityczne spekulacye A. Comte'a znajdują zwolenników w New-Yorku, a przedstawicielem ich jest S. P. Andrews. Pozytywiści amerykańscy rozprawiają głównie o zagadnieniach ekonomicznych i społecznych, zwłaszcza o stosunku pracy do kapitału. Spirytualizm i spirytyzm krzewią się bujnie, mają obfitą literaturę i najdziwaczniejsze płodzą teorye. Wielu fizyologów i psychologów jest przekonanych, że na tém polu można-by zebrać ciekawe obserwacye, ale nikt dotychczas nie wziął się na seryo do studyowania tych objawów.

Rozpatrując się w pracach ogłaszanych drukiem przez pisarzy filozoficznych amerykańskich, spotykamy w nich eklektyzm i hiperkrytykę. W żadnym być może kraju człowiek wyższego ukształcenia nie czuje się tak, jak w Ameryce, skłonnym do powierzchownéj wszechstronności, do krytyki i ochmistrzostwa; o dorzucenie nowéj myśli do skarbca wiedzy nie troszczy się, przyjmuje gotowe to, co inni zrobili, tylko po swojemu przekształca.

Wpływ ducha niemieckiego jest w Ameryce wielki, a nawet ciągle jeszcze bardziéj wzrasta: Du Bois Reymond zauważył przed kilku laty, że oba kraje, t. j. Niemcy i Ameryka, mogą się wzajemnie dużo od siebie nauczyć. Gromady młodzieży amerykańskiéj wędrują do uniwersytetów niemieckich. Nawet mniejsze kolegia w Unii liczą po paru profesorów, którzy trzy lub cztery lata

studyowali rozmaite przedmioty w szkołach niemieckich. Handel książkami niemieckiemi, osobliwie w pewnych kierunkach pisanemi, jest prawdopodobnie czynniejszy w Ameryce, niż w samych Niemczech. Czytelnikami ich wszakże nie są tylko Amerykanie, lecz przeważnie Niemcy, których mnóstwo w Unii przebywa. Heglizm przeszczepili i podtrzymywali w Ameryce z początku głównie Niemcy.

Dowodzono, że naród, który tak, jak Amerykanie, odziedziczył gotowy język i bogatą literaturę, do rozwoju których się nie przykładał, musi na zawsze pozostać ubogim w myśli, jałowym w uczucia. Ale głosząc taki wyrok zapomniano, że każde nowe pokolenie jest w podobném położeniu; język zaś nie zna granic politycznych lub geograficznych. Zresztą, Amerykanie dowiedli, że im nie brak zdolności do asymilowania cudzych myśli; powoli mogą się zdobyć na swoje i oryginalne. *F. K.*

PRZYBŁĘDY.

(*Dokończenie*).

XIII.

W Borzęcinie sypano wał przy rzecze Uszwicy, płacąc za kubik wywiezionéj ziemi papierka. Hanusia zarabiała u Joskowéj i w polu dwie szóstki, które zaledwo dla niéj wystarczyły. Nazajutrz po rozmowie z Płachciną, świtaniem pochwyciła łopatę i ruszyła z nią do Borzęcina. Lecz tam ludzie się śmieli i drogowy się śmiał z dziewczyny, co chciała w grzązkim ile kubik brać—i tylko dlatego, aby nie odpędzać robotników pozwolono jéj równać ziemię na wale, za trzy szóstki dziennie. Hanusia równała patrząc zazdrosném okiem na tych, co kopali. Drugiego dnia tyle molestowała dróżnika, że jéj dał taczki i miarę na kubik. Odetchnęła szeroko, zabierając się co żywo do pracy. Nakładała skopaną ziemię na taczki, a potém wywoziła po deskach na wał. Pot kroplami zraszał jéj czoło,—lecz dziewczyna nie ustawała w robocie ani na chwilę.

— Nie pociągnie ci ona dłużéj jak do południa—mówili robotnicy.

Hanusia odpowiadała im uśmiechem, pokazując szereg białych zębów.

A jednak ludzie nauczni pracować w ziemi nie omylili się. O ile słonko mknęło w górę, o tyle Hanusia coraz więcéj słabła. Zaśpiewała sobie na ochotę—odpowiedziały jéj dziewczęta z wału, lecz i śpiew jakoś nie pomógł,—pot spływał strumieniami po rozpalonéj twarzy, a przed oczyma ciemne płatki się snuły. Przysiadła. Śmiech ogólny ogłosił upadek Hanki. Dziewucha się zerwała, pochwyciła taczki pełne ziemi i wtoczyła je na wał.

— Nie daj się, Hanusiu! — zachęcały ją dziewczęta równające ziemię. Hanka nic nie mówiła, czuła jednak, że jéj nogi drżą.

— Aby tylko do południa!—myślała wytężając resztki sił.

Przyszło i południe, dziewczyna pobiegła do karczmy, wypiła kieliszek wódki, kupiła kawałek słoniny, wydobyła z zawiniątka chleb i gdy se dobrze podjadła, jakoś zaraz skrzepła. Po cichutku przelazła przez płot do ogrodu proboszcza, legła pod drzewem, i zaledwo zamrużyła oczy, usnęła. A śniły jéj się jakieś dziwy, bo się do nich przez sen uśmiechała. Dzwonek ją dopiéro obudził,—przygładziła włosy nad sadzawką, zawiązała z fantazyą chusteczkę na głowę—i do roboty.

Zanim jeszcze słonko zagasło, kubik był wybrany i wywieziony! Radość dziewczyny była wielka i duma nie mniejsza. Usiadła na taczkach, obcierając chusteczką czoło. Ludzie się dziwili, a dziewuchy z wału przechwalały się nią. Była-to chwila zwycięstwa i tryumfu. Niejeden z młodych chłopaków spoglądał na Hankę ciekawie, bo i dziewucha była smyśna, wesoła, do roboty ochotna.

— Kiedyś ty taki zuch—mówił dróżnik głaszcząc Hanusię po twarzy—to już zostań przy kubikach.

Hanka pocałowała go w rękę, wzięła papierka, a po kolacyi wyprosiła sobie u żyda w karczmie legowisko na górze na sianie.

Drugiego dnia ledwo się zwlekła z posłania, tak ją wszystkie kości okrutnie bolały, a ciemno się w oczach robiło. Poszła jednak do roboty, pocieszając się jak mogła.

— Gdyby tylko o mnie szło, toby mi było dosyć i trzy szóstki!

W téj chwili myśl nasuwała jéj, jak Franek smutno z za kraty patrzy na świat, nie mając co włożyć na głodny ząb, ani czém fajki nałożyć. Obraz ten dodawał jéj sił. Drugi kubik zaledwie wykopała po zachodzie słońca, ale przecie go zmogła,—przy trzecim jeszcze ustawała,—czwarty poszedł już jakoś raźniéj, i zaraz wypadło święto, na które z biciem serca czekała.

Wróciła do Brzezin, a nazajutrz rozeszła się wieść po wsi, że Hanka przez cztery dni cztery papierki zarobiła i że kupiła prosię i piekła je bez całą noc, a potém zabrała od Joskowéj wszystkie kukiełki, garnek masła od Soborciny, moc tabaku—i że z tém, skoro świt, poszła do Rozwadowa.

— Kiej ci ona taka pani, to niech se leci sama—mówiła Basia do Jagi. Napiekłam chleba, narobiłam masła i miałam Frankowi zawieźć z tatusiem, ale kiej poleciała, niech leci.

— Niech leci!—pochwyciła Jaga—a tobie byłby despet, żebyś z nią razem siedziała u Franka.

Tak uradziły siostry. Basia została i, zamiast do Franka, pojechała razem z tatusiem do kościoła,—bo tatuś stary i ciężko mu było chodzić.

Mimo to, dnia tego, w areszcie rozwadowskim było wesoło. Pan sędzia pojechał do Tarnowa, a pan adjunkt poszedł jak zawsze do pani aptekarzowéj. Gospodarował więc sam pan woźny, który wezwany na świadka przez Franka, świadczył—i dobrze świadczył. Więźnia sprowadzono do izby pana woźnego, i tam rozpoczęła się uczta,—w któréj brał udział i pan woźny. Franek był rad z Hanki,— ludzi nie widywał i okropnie mu się cneło w areszcie.

Czasem narąbie drzewa dla pana sędziego i tyle jego uciechy. Prosię wydobyte przez Hankę z zawiniątka wywołało uśmiech na usta woźnego, a zdziwienie ze strony Franka.

— Hanka, a bój się Boga, za prosie z papierka dałaś. A nie szkoda to tak grosz marnować.

Pierwszy raz z ust Franka dały się słyszéć upomnienia oszczędności. Hance szczęściem zaświeciły oczy, i nuż wtedy opowiadać o Borzęcinie kopaniu wału—i chwalić się że dziennie całego papierka zarabia. Franek zaczął przeklinać swoję dolę, więzienie, a w duchu najwięcéj Szmula.

— A tobyśmy we dwoje ze trzy papierki skopali zawołał. Tybyś woziła, a jabym nakładał.

— A pewno, pewno. Tu Hanka niby z żalu zaczęła suche oczy ocierać,—lecz była dumna i szczęśliwa, że Franek mówiąc o sobie, mówił jednocześnie i o niéj.

— Już ja tam w tém mój Franku,—odezwał się woźny,—że cię prędko puszczą. Pan sędzia cię lubi, bo téż i ja za tobą dobre słowo rzekę.

Hanka pocałowała pana woźnego w rękę, z czego był dumny; odkorkowała flaszeczkę słodkiéj—Franek przepił do pana woźnego a pan woźny do Hanki. I tak przy ochocie zniknęło prosię,—flaszka była pusta, pan woźny miał większą powagę, a nos czerwieńszy, i może dlatego wyszedł spojrzéć za panem adjunktem. Para została sama, a wtedy Franek zaczął się wypytywać o Tatusia, gospodarstwo i nowiny wioskowe.

Hanusia rozpromieniona mówiła ochotnie i wesoło. Dopiéro gdy Franek bez żadnéj delikatności, zwyczajnie jak chłop, spytał się o Tereskę,—dziewczynie z oczu łzy wytrysły.

— No i czego beczysz — zawołał zmieszany łzami dziewczyny.

Hanusia nic nie odpowiedziała zwijając w milczeniu zawiniątko.

— I nie przemówisz ani słowa—zagadnął.

Dziewucha nie przemówiła ani słowa, zarzuciła zawiniątko na plecy, otarła oczy i wyszła.

— Głupia—zawołał za nią Franek—głupia—powtórzył ciszéj i zamyślił się. Ale ta Baśka, żeby z piekła nie wyjrzała. A nie powinna to przyjechać—a przecie siostra.

Widocznie był zły i rozdrażniony, i gdy pan woźny odprowadzili go do aresztu i drzwi zamknęli, rzucił się na tapczan i zasnął.

Hanusia spieszyła do Brzezin i chociaż jéj troszkę serce się ściskało, nie pomstowała na Franka. Cieszyła się nawet w duchu że go upokorzyła i zawstydziła. Idąc drogą przywodziła sobie na pamięć, każde jego słowo i zaczęła być dosyć rada z siebie. Kiedy Franek hulał i pił nie żałowała i ona,—ale kiedy mówił o oszczędności przysięgała sobie skąpić i zbierać.

— W Borzęcinie wystarczy roboty na całe lato—myślała, żeby ino zdrowie,—to sto papierków przecie zarobię, a da Bóg i więcéj. Z chaty spłacę dług, kupię krowę, a może się uda i grunt wydobyć. Matko Boska ino zdrowia, a... nie śmiała dokończyć—lecz z rumieńców, które oblały jéj twarz, łatwo się można było domyśléć: że Franek będzie mój.

Po powrocie do Brzezin zwierzyła się ze swych projektów Joskowéj, na co Josek zaproponował jéj pożyczkę 20-tu papierków, na kupno krowy, z warunkiem, że mu przez siedm tygodni będzie spłacać po 4-ry papierki. Hanusia przystała bo rada była pochwalić się krową przed ludźmi i Frankiem. Joskowa miała doić krowę i robić dla Hanusi masło, a nawóz postanowiono składać na przyszłe gospodarstwo.

Szczęśliwa dziewczyna pełna projektów i złotych snów na jawie, biegła świtaniem do Borzęcina. Jeden z robotników który ciekawie spoglądał na Hankę, zaproponował współkę, Hanusia przystała. Chłopiec baraszkował, dziewczyna się śmiała,—chłopiec nakładał ziemię, dziewczyna woziła i tak dzień za dniem przez tydzień pracując zarobili po ośm papierków.

— Wiesz co Hanusiu składajmy razem na gospodarstwo,—szepnął chłopiec dziewczynie, obejmując ją w pół. Lecz dziewczyna wysunęła się z objęć chłopca, zaśmiała się i uciekła do Brzezin nacieszyć się kupioną krową, zagospodarować się w chacie—upiec gęś dla Franka i nazajutrz popędzić z nią do Rozwadowa.

Franek nie spodziewał się wizyty Hanki, a że mu się okrutnie cnęło—rad był bardzo gdy przyszła. Nie wspomniał już Tereski za to Hanusia opowiadała mu dużo o śwarnym chłopaku, co razem z nią brał kubiki. Franek miał wielką ochotę poczęstować go pięścią w kark, lecz się z tém nie wydawał, choć jakoś sposępniał.

Dziewczyna zrozumiała ponurość chłopca i z radości mało jéj serce nie wyskoczyło,

— A tatuś jak się mają, a Baśka dla czego mnie nie nawiedzi— rzucił pytanie Franek.

Tatuś znów okrutnie krzypią, pili z Siemieńcem i jakoś padło im na piersi. A Baśka, przyjdzie ci tu ona przyjdzie!? To już taka teraz wielga pani, ino się stroi i rządzi, ale się sama do roboty ani tknie.

Hanka nie cierpiała Basi za jéj państwo i za to że z góry na nią patrzała. Franek nie rzekł słowa, ale więcéj jeszcze pochmurniał.

— I czegożeś takiś nijaki—zagadnęła dziewczyna.

— Daj mi pokój—zawołał, odwrócił się i poszedł do okna.

— A możeś ty krzyw że ja tu biegam do ciebie, spytała drżącym ze wzruszenia głosem.

Franek nic nie odpowiedział stojąc przy oknie.

— A no to bądź zdrów Franecku,—szepnęła zbierając manatki powoli.

— Hanka czyś ty oszalała, czy ino radabyś mnie przypiec gorącém żelazem! A idź, idź na złamanie karku!...

Dziewczyna porzuciła zawiniątko i przytuliła się do chłopca, ktory ją mimowolnie objął w pół i przycisnął—Czuł że w tym uścisku ryzykuje przyszłość, lecz ryzykował ją, bo zaczął być zazdrośnym o Hanusię i tęsknić w samotności za ludźmi i pracą.

I znowu Hanusia wracała do Brzezin patrząc na świat jakoś serdecznie i tkliwie.

Skowronki tak jéj radośnie śpiewały, trawki się uginały od podmuchu wiatru. Nie spoglądała na słońce, na chmury na niebie, i ciemne góry na południu; te były od niéj za daleko. Radowała się w szczęściu swém tém co ją otaczało. Wracała od kochanka a biegła do krowy, do chaty którą miała nadzieję odzyskać—i do pracy która ją miała zbogacić i uszczęśliwić.

Franek leżał na tapczanie i co mu się rzadko zdarzało myślał. Samotność dokuczała mu, a dokuczając uczyła go rozumu. Gdyby Franek miał towarzyszów... lecz na szczęście nie miał ich—i dlatego myśl świdrowała mu pod czaszką i okrutnie z niego drwiła, przypominając, jak głupio dotąd żył. Dziś mógłby być statecznym gospodarzem,—a tymczasem jak ostatni złodziéj siedzi w więzieniu. Zerwał się z posłania, rzucił kapotę bo mu było gorąco i chłodził się czapką.

Gdyby mu się nawinął Szmul udusiłby go, ale cóż, kiedy ani Szmul ani Sara nie zaglądali. Franek cierpiał,—pierwszy raz w życiu cierpiał moralnie—i nie mógł się z cierpieniem oswoić.

Jedna Tereska mogła go wyratować, ale czy go będzie chciała. gdy wróci z więzienia. Hanka?—lubił Hankę, zazdrościł o nią, ale się jakoś nie nauczył o niéj myśléć. Może samotność i tego go nauczy. Żyd mu dał 5o papierków i wsadził do więzienia, gdy on bez despetu zarobiłby sto i konia nie zmarnował. Rodzic zamrą, siostry go wyrzucą, bo kiejby żyd pomógł. Kłębek frant nazwołuje do tatusia świadków... Franek zaczął się targać za włosy, a miał czarne i gęste.

XIV.

W Brzezinach wrzało, chociaż we wsi ani Hanki, ani Franka nie było. Wyboru wójta nie potwierdzono jeszcze w starostwie i dla tego Zawiślaki pomstowali głośno. Golik po cichu zbierał głosy do protestacyi, a Mróz puszył się, częstował i wygadywał u Joska niestworzone rzeczy. Opinia była po stronie Zawiślaków i Mroza, a to dlatego, że gospodarze uważali se za despet, aby dziecko gospodarskie miało być bite za przybłędów. Bo gdy Mróz zbił Kubę za gołębie dworskie to dla tego, że tak postanowili radni, że sam dziedzic zdał sprawę na gromadę, i trza było pokazać dworowi, że w gminie jest sprawiedliwość. Tak wyłuszczał rzecz Mróz.

Nieliczne stronnictwo Purchli obradowało u Barszcza, posełając po wódkę do Joska. Czuło się pobite i dlatego nie było wymowne i nie występowało w karczmie na widok publiczny.

— Gorączka z was mój wójcie, gorączka — mówił dyplomata Barszcz.

— A licho mnie nadało — zawołał Purchla. Ale cóż, Siemieniec pyskował, baba beczała...

— No i gęś — dodał filuternie Barszcz — mówią że tłusta.

— Anim na nią spojrzał i odeślę ją babie!

— A niechże Bóg broni, musicie w starostwie, powiedzieć żeście ją kupili.

— Najlepiéj ją upiec i zjeść z sąsiadami.

Rzucona myśl znalazła powszechne uznanie. Posłano do Purchliny, aby gęś zarżnęła i przyrządziła na wieczerzę, lecz Purchlina wygnała posłańca mówiąc, że nie pozwoli na zbytki, że to nie ś-ty Marcin ani zapusty tylko przednówek. Purchla urażony na honorze, chciał sam biedz do domu i zarżnąć gęś, lecz dyplomata Barszcz odwiódł go od tego kroku. Stanęło na tém, że wszystkiemu winne przybłędy, i gdyby nie one, byłoby we wsi cicho.

— Skaranie boskie tu ich nagnało! — odezwał się wójt.

— I nie ma sposobu jak przeprosić Zawiślaków—dodał Barszcz.

— Ja będę ich przepraszał?! — ofuknął się Purchla.

— A cóż kumy powiedzą — zabrał głos pisarz.

— Już to się bez tego nie obejdzie, tylko trzeba Zawiślakom gębę zatkać — przemówił najstarszy z radnych.

— A przecie ja do nich nie pójdę—zawyrokował z butą Purchla.

— No to wszyscy chodźwa do karczmy.

— Nie było wyboru i dlatego rada przyjętą została. I tak władza upokorzyła się pod naciskiem opinii.

Usłużna Zawrzykrajka zawiadomiła Tereskę o rezultacie narady u wójta, i zgodzie z Zawiślakami w karczmie. Nie omieszkała dodać, że się wyprzysięgano przyjmować więcéj przybłędów do gminy.

Kobiecina milczała, lecz się jéj serce ściskało.

— Gdyby to szkoła—szepnęła po namyśle—tobym zaraz oddała chłopca do profesura. Zszedłby im z oczu i byłoby jakoś przecie.

— Ale cóż kiej na szkołę jeszcze wróble śpiewają — odparła Zawrzykrajka. Swarzą się ino i już. Ten chce z drzewa ten z cegły i rok za rokiem leci.

— Oddałabym go do Miechowiczek, ale jakże dziecko wyganiać z domu o milę. Jedno ino mam, mogę to latać do niego?...

— I nikłe to i jakieś markotne — dorzuciła Zawrzykrajka.

— Bo zestrachane, a jakie dobre, że do rany przyłóż, ciche to a usłuchane... I potok łez, serdecznych matczynych, popłynął na świadectwo miłości jéj do dziecka.

Kumoszki radziły, a rozmarzony bajkami Zawrzykrajki Jaś, siedział sobie nad czarną wodą błonia, patrzał w jéj głębię, a myśli jego snuły się z szybkością chmur pędzących po niebie, zlewając się jak one w fantastyczne obrazy. Chłopiec obrazy te zbierał i układał w całość jakiejś cudownéj bajki, któréj sam był bohatérem. Historye te miał wielką ochotę opowiedzieć matusi, ale się jakoś wstydził. Dopiéro wieczorem, gdy rozżalona opowiadaniem Zawrzykrajki, tuliła chłopca do siebie, wziął na odwagę i zaczął mówić.

— A zkąd ty to wszystko moje dziecko wiesz — zawołała zdziwiona kobiéta.

— Tak jakoś samo mi się składa. Matka się zadumała.

— Rychtyk jak ojciec — szepnęła — co jak ino chciał, dziwne ramoty układał.

Chłopiec mówił daléj, matka słuchała...

— A żeby tak szkoła — rzekła głośno — a możeby i mój syn został profesurem, a lepiéj księdzem. Na tę myśl duma wydobyła na jéj twarz rumieńce. Ona—matką księdza: lud chyli głowę, gdy jéj syn rękę podniesie błogosławiąc go.

— Matusiu jaby tam poszedł do szkoły, mam buty, czapkę, ino alamentarza mi brak.

— Kupię, kupię alamentarz, ino kto cię będzie uczył.

— Ktoniebądź — zdecydował Jaś.

— Kiej go nie ma! Ale choćbym się miała zapracować, to cię odwiozę do Miechowiczek jak wydobrzejesz i skrzepniesz trochę.

Tak marzyli głośno matka i syn, gdy tymczasem wypadki inaczéj się układały.

XV.

Do chorego Skowrona jak to Franek przeczuwał, przyprowadził Kłębek Barszcza i dwóch radnych. Coś pisali i gwarzyli, a wtedy młody Barszczyk, którego na urlop wypuszczono z wojska, cicho z Basią figielki stroił, za co się dziewczyna troszkę gniewała, bo przecie tatuś chorzy!

I nareszcie zmarło się staremu. Jaga i Basia okrutnie zawodziły przed chatą.

— Bo mają żałować i czego—mówili ludzie. — Nie zostawił im to spuścizny, jak się patrzy? Basia najbogatsza dziewucha we wsi i pewno Barszczyk ją porwie, bo to naród okrutnie łakomy na pieniądze, a chłopak jak świeca i mówią mądry, a skąpy, Boże zlituj się.

Tak radzili ludzie czekając na wspaniały pogrzeb. I nie omylili się, bo ani Basia ani Jaga nie zniosłyby despetu — i dlatego tatusia pochowały z księdzem w kapie, ze światłem i chorągwiami na sam cmętarz! Do grobu nieśli trumnę: wójt, radny i dwaj Barszcze, co pochlebiało Basi. Ludzi było moc. Siemieniec pierwszy rzucił grudkę ziemi a u Joska dla przyjaciół i kumów poczęstunek zastawiono obfity. Basia jak przystało na córkę i dziewuchę wciąż okrutnie zawodziła, Barszczyk wciąż ją pocieszał. Jaga z mężem pamiętali o wszystkich, tylko nikt nie pamiętał o jedynaku Skowrona osadzonym w areszcie.

Ciężko się zrobiło Frankowi na sercu, gdy i do niego wieść doszła o śmierci tatusia. Okrutnie pomstował na żyda, że go tak haniebsko ubrał. Siostry wszystko wezmą spiszą u notarusza, a on teraz chcąc wyżyć, musi przystać na dworskiego parobka. Czekał niecierpliwie niedzieli znacząc dnie kreskami na ścianie. I przyszła niedziela, i minęło południe i po południu a Hanusi jak nie ma tak nie ma; wieczór nadszedł i nie przyszła. Głośno się żalił na Hankę i przeklinał swój los, bo nie wiedział, że Hanusia wożąc taczkami ziemię stąpiła na szkło i okrutnie sobie nogę skaleczyła. Mówili ludzie, że to bez zazdrość dziewuchy z wału podłożyły Jéj szkło na ścieżce, abo może który z robotników za to, że ich ubiegała w robocie. Hanusi noga spuchła i nie mogła wrócić w sobotę do Brzezin. Mimo to chciała jechać koniecznie do Rozwadowa, tylko, że

w roboczy czas koni na lekarstwo nie dostanie. I rada nie rada, przez całą niedzielę moczyła nogę w Uszwicy, bo woda bieżąca ogień z rany wyciąga. Przyszedł do niéj nad rzekę wspólnik jéj i towarzysz, ale Hanusia zwyczajnie jak dziewucha, śmiała się z chłopcem a myślała o swym Franku. Na odwieczerz bardzo jéj markotno było, gdy sobie pomyślała co tam Franek sam w więzieniu robi, ani ma co położyć na głodny ząb, ani co wetknąć do fajki.

— A może se pomyśli, żem go odstąpiła?

Tego przypuszczenia znieść nie mogła. Wydobyła od żyda za dwa centy korespondentkę i pobiegła z nią do organisty, a pokłoniwszy mu się, położyła na stole przy korespondentce dwie szóstki. Organista schował dwie szóstki, a umaczał pióro. Hanusia zaczęła dyktować: „Kochany mój Franecku! Bez to żem se okrutnie nożysko szkłem skrajała, nawiedzić cię nie mogę, ani ci przynieść dwóch kaczek com je kupiła od Wikty Okrajczanki po sześć szóstek. Mówią, że ci tatuś pomarli, że był suty pogrzeb, a Baśka pewno się wyda za młodego Barszcza, bo nie ma jéj kto gospodarstwa ogarniać. Ciebie wykwitowali na piękne pismem. Ale się nie bój mój Franeczku, bo choć mnie noga boli, haruję jak mogę. Mam ci już krowę spłaconą, a tera Josek wykupi mi chałupę, a da Bóg i grunt z zastawu wydobędę. Byle tylko ta noga chciała mi się wygoić to przylecę, a ty proś pana sędziego żeby cię puścili i już."

— Jakże mam podpisać — spytał organista.

— Hanka.

— I nic?

— A cóżby?

— Twoja do grobu Hanka, tak powinno być.

— Ej kiej to nie pięknie chłopu grób przypominać.

— Głupiaś i nie znasz się na tem — zawyrokował organista i podpisał: „Twoja do grobu Hanka." Od Jegomości jutro idzie na pocztę, to i kartkę zaniesie.

— A no to dziękuję panu.

I szczęśliwa dziewczyna poszła do rzeki moczyć nogę, marzyć o Franku i spłaceniu zastawu z gruntu.

Pan woźny odczytał korespondentkę Frankowi. Chłopak się struł, lecz nie narzekał, tylko słuchając rady Hanki, podał ją do raportu do pana sędziego.

Papiery od żandarmeryi już nadeszły, mówiące, że konia zatraconego przez Franka nigdzie znaleść nie można, dlatego pan sędzia kazał mu przez dwa dni rąbać drzewo i puścił na wolną nogę do domu, z warunkiem, że się na każde zawołanie stawi.

Uwolniony Franek bojąc się wstąpić do Szmula, aby nie ściągać podejrzania, biegł chyżo do wsi, a im był bliżéj tém więcéj przyspieszał kroku. Idąc myślał sobie przez drogę, jak to ludzie ze wsi witać go będą, wypytywać, a dziewuchy do niego się uśmiechać. W lesie wydobył z pod drzewa zakopaną flaszkę, obejrzał się na wszystkie strony, roztłukł ją, wydobył papierki, schował i mknął dalej. Dopiero na błoniu opamiętał się, Zdjął czapkę, obcierał pot z czoła i szedł wolniéj.

— Zleciałém się jak głupi—mówił do siebie—i do kogo? Wtedy dopiéro zaczął się czegoś bać i wstydzić.

Stanął przed chatą Tereski, namyślił się, zajrzał do okna i wszedł do izby.

Na tak niespodziewany widok, kobiéta zbladła ze strachu i dalej-że się wyprzysięgać, że nigdy już się nie wyda. Franek popatrzał na kobiétę jakiemiś dziwnemi oczyma i splunął nareszcie.

— A wy czego odemnie chcecie! Kręćka macie czy co? Fajka mi zgasła, patyczków nie mam, tom i zajrzał do was po ogień! Pogrzebał patykiem w popiele, wyjął węgiel i włożył do fajki.

— Zostańcie z Bogiem — zawołał, wyszedł i trzasnął drzwiami. Dopiéro na wolném powietrzu wybuchł okrutnym gniewem i cały wzburzony wbiegł do wsi.

Pierwsza zobaczyła go Smoleńka, a że to kobiéta była harna bo zamożna, nawet się nie obejrzała, a wbiegłszy do izby zawołała do córek:

— Tylko wy mi wyszczerzajcie zęby do tego kajdaniarza Franka, dam ja wam.

— Co matusi znowu Franek zajechał w głowę—odpowiedziały córki.

— A nie chodzi to już po wsi?

Córki skoczyły do okien i zobaczyły idącego Franka ze spuszczoną głową.

— A jak ci zbiedniał — szeptały.

— Litujcie się litujcie nad takim łajdakiem! dam ja wam.

Franek wciąż szedł chmurny, nie zaczepiał ludzi, a i ludzie się do niego nie rwali. Jaga zatrzasnęła drzwi, gdy mijał jéj chatę, że aż szyby w oknach zabrzęczały.

Zbliżał się do ojcowéj zagrody, coś go ściskało pod sercem zatykało w gardle i gdy doszedł do opłotków, ryknął na cały głos a łzy jak groch leciały mu z oczu. Dopiéro wtedy sąsiedzi zaczęli się koło niego gromadzić i pocieszać jak kto mógł i umiał. Przybiegła i Basia wzruszona łzami brata.

— A chodź-że Franek do chaty — wołała — a toć przecie ja siostra, nie wypędzam cię, ani nie odmawiam łyżki strawy. Zostaniesz póki se nie znajdziesz jakiéj służby.

Na wyraz służba z Frankowych oczu potoczył się nowy strumień łez.

— No chodź-że chodź—mówiła Basia ciągnąc go za rękę.

— A idź-że Franek — mówili sąsiady — cóż to do siostry nie chciałbyś zajrzéć.

— Tatuś i tobie wydzielili parę papierków—szepnęła—to ci je dam w izbie.

I Franek poszedł prowadzony przez siostrę, a może więcéj przez ciekawość.

Wieczorem w karczmie nikogo nie było, jak zwyczajnie w roboczy dzień. Jaki taki wpadł na kieliszek wódki, wypił i uciekał co żywo. Franek chodził po izbie szynkowej samotny, paląc krótkiego. A rad był pogadać z ludźmi, zabawić się z przyjaciółmi i poczęstować, aby jak mówią zalać robaka, co mu serce gryzł. Całéj ojcowizny dała mu Basia trzydzieści papierków, bo tyle tatuś przy świadkach przeznaczył.

Nadbiegła Płachcina ze swą siostrą Kubową, lecz Franek je przyjął przekleństwem i rozmawiać nie chciał.

— A cóż to nikt nie zajrzy — mruknął do siebie. Czy przez Brzeziny zaraza przeszła?

— Patrzajcie —szepnęła sroka siostrze—jeszcze czego, aby się ludzie zbiegali do takiego kajdaniarza.

Franek pierwszy raz w życiu usłyszał wyraz ten zastosowany do siebie. Coś go tknęło boleśnie, jakiś żal i wstyd opanował, nie śmiał się odwrócić i odpowiedziéć. Postał chwilę w miejscu popatrzał przed siebie i poszedł. Nazajutrz rano ludzie go widzieli na drodze do Borzęcina z łopatą na ramieniu.

XVI.

Przybycie Franka do Borzęcina rozpoczęło nową erę dla robotników pracujących przy wale. Inna zaraz zapanowała wesołość i ochota. Hanka porzuciła dawnego wspólnika, aby z swym Franeczkiem brać kubik.

Czy to skutkiem samotności więziennéj, czy też dobrego wpływu Hanusi, a może go coś podleciało, dość, że chłopak dał dziewczynie trzydzieści papierków do schowania. Co się wtedy działo w sercu Hanusi, tego-by nawet Zawrzykrajka nie umiała wypowiedziéć.

Pierwszego dnia wszystko szło jak się patrzy; dwa kubiki wcześnie wybrane, radość i ochota wielka. Lecz cóż gdy już nazajutrz Franeczka okrutnie boki bolały.

— Idź se spocząć, idź — mówiła Hanusia — ja już kubik sama wybiorę.

I Franeczek usłuchał, a Hanusia sama brała i wybrała. Następne dni były do siebie podobne. Franek zaczynał z ochotą, lecz wkrótce ustawał, gwoli tych swoich boków, Hanusia sama kończyła. Za to w karczmie grając w ferbla z robotnikami zdradzał dużo energii a często i siły.

Wieczorami bywała muzyka. Franek wyprostowany jak świeca, drobił z Hanusią, lecz dziewczyna ledwo raz tylko przetańczyła i zaraz biegła na górę spać, aby skoro słonko wzejdzie stanąć przy robocie. Dziś już o niczém nie myślała, aby tylko sobie gniazdko usłać i w niém przyjąć ukochanego.

— Niech się tam chłopiec zabawi — myślała usypiając.

W sobotę po wypłacie przybiegła zdyszana dziewucha dając Frankowi połowę zarobionych pieniędzy.

— Weź se weź—mówił rozbrojony chłopak—ja ta jeszcze mam.

— A nie pójdziesz do Brzezin? — spytała.

— A po co? — zawołał.

— No to ja polecę i spłacę Sobocinę temi 30-ma papierkami część zastawu na grunt.

— To twój grunt, a la mnie co? — spytał.

— A czyż to nie wiesz — rzekła cicho drżącym głosem — że to co mam to wszystko twoje. Odwróciła się.

— Biegnij-że biegnij i spłać Sobocinę—zawyrokował kochanek.

— I cóż Franek?—rzekł przechodząc dróżnik. Dziewczyna za ciebie haruje, że aż się zmizerowała a ty grasz, pijesz i tańczysz.

Hanusia słysząc to, uciekła ze wstydu. Rada była z powiedzenia dróżnika, tylo się jéj markotno zrobiło o chłopaka.

Franek chciał się stawić dróżnikowi po swojemu, ale się bał, aby Hanka roboty nie straciła i dał pokój.

— Głupi dróżnik, głupi—powtarzała Hanusia biegnąc do Brzezin—a Franeczek będzie mój. On ta kiej jaki panicz, nie do ciężkiéj roboty. To chłopak delikatny, a jaki ci ładny, a mądry, a rześki. Wydolę ja za niego i za siebie pracować, niech-no będzie mój, niech-no będzie mój!

Czy to przez wstyd, czy też skutkiem dobrego wpływu Hanusi, a może go coś podleciało, dość, że Franek coraz wcześniéj stawał do roboty, a coraz późniéj odchodził.

Miało się pod jesień, wał już usypany, a w Brzezinach przed chałupą Hanki jakoś wesoło. Kaczki się darły żerując na błotku, krowa drapała o drzewo, podwórko zamiecione, a ściany chaty białe. Hanusia się krzątała tu i tam, to rzuciła coś kurom, to pogłaskała krowę, to znów wbiegła do izby zamiesić chléb, a śpiewała i radowała się wciąż. A bo to nie miała się czego radować! wesele za dwa tygodnie.

Franek kupił sobie nową sukmanę, rzadziéj przesiadywał w karczmie a częściéj zachodził do Hanki. To jéj drzewa urąbał, to płot naprawił, to obórkę opatrzył, a robota paliła mu się w rękach. Ludzie mówili, że Franek zmądrzał, a Hanusia myślała sobie:

— Gospodarski syn, freiter, najpiękniejszy z całéj wsi chłopak za dwa tygodnie będzie mój na całe już życie. Hanusia była dumna, oceniała ofiarę Franka i była mu za nią wdzięczna.

Lecz i u Tereski nie było smutno. Zbiory z ośmiu zagonów wypadły dobrze, żyto plenne, ziemniaków pod krzakiem moc.

Jaś pasał na wale ogrodu dworskiego i chociaż nie był wesoły dużo się skrzepił. Matka myślała o szkole, a nie miała sił rozstać się z chłopcem; który co rano prowadząc na powrózku Biedrawą z Krasem wstępował po Nastkę. I tak Jaś ze swoją chudobą, Nastka ze swoją szli razem na wał dworskiego ogrodu.

Tam sobie siadali, trzymając powrózki w rękach i wtedy Jaś patrząc na granatowe góry zaczął opowiadać, co mu się snuło przed oczami, Nastka go słuchała.

Coś zaszeleściało w krzakach ogrodu.

— A w co wy się bawicie?—dał się słyszéć pieszczony głosik.

Dzieci się obejrzały.

Na drugiéj stronie wału stała dziewięcioletnia dziewczynka, złote jéj włosy spadały w łokach na ramiona. Ubrana w błękitną sukienkę i słomkowy kapelusz, wyświeżona, wychuchana, podobną była dla wiejskich dzieci do świętego obrazka. To też zobaczywszy ją Jaś oczy szeroko roztworzył i chociaż wiedział, że to dworska panienka, zaczął w niéj upatrywać zaklętą królewnę.

— I nie powiecie mi w co się bawicie—powtórzyła dziewczynka.

— Pasiewa panienko a Jaś opowiada — pierwsza przemówiła Nastka.

— To temu chłopcu na imię Jaś?

— A ino—odparła Nastka, gdy Jaś zarumienił się.

— A Tobie?

— Mnie Nastka.

— No to bawmy się razem. Powiedz mi Jasiu o czém opowiadałeś.

Jasiowi serce zaczęło bić coraz mocniéj. Młodziutka królewna nazywała go Jasiem i przemawiała do niego słodko jak w bajce.

— Jaś najlepiéj lubi opowiadać o zaklętych królewnach a zawdy inaczéj.

— No to mów Jasiu.

— Kiej się wstydzi — szepnęła Nastka.

— Albo to ja duża, żebyś się mnie wstydził — zapytała naiwnie dziewczynka, siadając na murawie. A jeżeli się wstydzisz, to zamknij oczy i opowiadaj. Bo i ja gdy byłam mniejsza, a kazali mi mówić bajkę przy gościach, oczy zamykałam. Teraz już nie zamykam.

Jaś zbladł ze wzruszenia, ale się jakoś przemógł i zaczął mówić, patrząc na granatowe góry, z początku cicho później coraz głośniéj. Oczy mu świeciły dziwnym ogniem, buzia rumieńcami płonęła. Dziewczynki słuchały go z otwartemi buziami ciche, uroczyste, zapatrzone.

— Marie, Marie!— rozległ się piskliwy głos po ogrodzie. Dziewczynka się zerwała.

— Wołają mnie — szepnęła — muszę już iść, ale jutro przyjdę. Mój Jasiu przyjdź to dokończysz. Przyjdziesz?

— A co-by nie miał przyjść? my tu w każdy dzień pasiewa — odpowiedziała Nastka za Jasia.

— No to dobrze, a czekajcie na mnie z bajką.

Dziewczynka zniknęła wśród krzewów, a Jaś wciąż patrzał za młodziutką królewną. Pieszczotliwy jéj głos brzęczał mu w uszach, a postać dziewczęcia stała przed oczyma.

— Śliczna panienka—pierwsza przemówiła Nastka—a jakie ci miała trzewiczki, a sukienkę!

Rozmarzony chłopiec nic nie odpowiedział, wstał pociągnął na powrózku Biedrawą z Krasem i wrócił do domu.

— A kiej mi matusiu kupicie alamentarz — spytał nieśmiało chłopiec, wszedłszy do izby.

— Kupiłabym i jutro, lecz któż cię będzie uczył?

— Panienka — odpowiedział cicho. Ja jéj będę mówił bajki, a ona mnie musi uczyć.

— Co za panienka?—pytała rozciekawiona kobiéta.

Jaś opowiedział wszystko, a drugiego dnia umył się i uczesał, wdział buty z czerwonem obszyciem, białą płótniankę przepasał nowym paskiem, na głowę nasadził czerwoną czapkę i w towarzystwie Biedrawy z Krasem, poszedł do Nastki. Długą z sobą dzieci toczyły naradę, zanim pomaszerowały na wał dworskiego ogrodu.

O tym samym czasie co wczoraj, dziewczynka ukazała się z za krzewów.

— Panienko, Jaś będzie opowiadał, jeżeli panienka będą go uczyć—zawołała Nastka. Strasznie się chce Jaś uczyć.

— Wybornie, będę cię Jasiu uczyć — mówiła wesoło dziewczynka. Mam w domu stary mój elementarz, a jakie śliczne w nim obrazki! zobaczysz, zaczekajcie tylko. Zniknęła w krzewach a Nastka szepnęła Jasiowi:

— Widzisz, będziesz miał galante czytanie.

Jaś nic nie odpowiedział, lecz za to z oczu i uśmiechu tryskała mu radość.

Dziewczynka z elementarzem wróciła, a wtedy wywiązała się rozprawa, jakim sposobem urządzić komunikacyą przez przekopę wałów, pełną czarnego błota. Jaś chciał przejść, lecz się rozzuwać przy panience nie śmiał. Postanowiono, aby nazajutrz tak ze strony pola, jak i ogrodu poznosić kamienie i drogę niemi przez bagno przekopy usłać. Jaś miał po nich przechodzić do panienki uczyć się, a Nastka przez ten czas obiecała pilnować Biedrawą z Krasem.

Elementarz podany przez dziewczynkę na znalezionéj żerdce dostał się do rąk Jasia. Oglądał go z Nastką, dziwując się niezmiernie. Dziewczynka pokazywane jéj obrazki tłómaczyła, ciesząc się szczęściem dzieci.

Chłopiec schował elementarz, aby go pokazać matusi. Wszystko troje usiedli na murawie i zaczął się dalszy ciąg opowiadania wczorajszéj bajki. Z początku Jaś mówił cicho, późniéj coraz głośniéj. Oczy mu świeciły dziwnym ogniem, buzia rumieńcami płonęła, dziewczynki słuchały go z otwartemi buziami, ciche, zapatrzone, uroczyste.

I nie dziw, że nie spostrzegli Franka, który idąc do kowala szedł po dworskim wale. Na widok Jasia zadrżał z gniewu i zęby zacisnął.

— Z drogi przybłęda, wisielcowe dziecko, krzyknął i kopnął Jasia nogą, że aż spadł z wału na drogę.

Dziewczynki strach przybił do miejsca. Jaś rozszalały z gniewu i bólu pochwycił kamień i ugodził nim w plecy napastnika. Franek rzucił się w pogoń za chłopcem, gdy w tém drugi kamień rzucony, zmusił go do skoczenia w bok, z czego korzystając chłopiec sunął przez płot i znikł... Naścia po opamiętaniu się uciekła z bydlem do chaty, a rozżalona na ludzi dziewczynka, pobiegła do dworu. Ukryty w krzakach Jaś śledził nieprzyjaciela, a spotkawszy wracającą Naścię, odebrał Biedrawą z Krasem. Dzieci idąc milczały a zdawało się, że chłopiec chociaż blady i zamyślony — był dumny.

— A toś go zdzielił, że aż w nim cosik jękneło — przemówiła pierwsza Naścia.

Jaś uśmiechnął się i podniósł pięść w górę.

— A gdy wójt jak po Kubę przyszlą po ciebie?

— Za to, że mnie jak psa kopnął przy panience — zawołał Jaś.

Nastała cisza, Nastka nie umiała odpowiedzićć, a Jaś zaczął się bać wójta i dla tego odprowadziwszy Biedrawą z Krasem do oborki, pobiegł na ośm zagonów z po za których patrzył na chatę i drogę wijącą się wśród wsi.

Franek z kowalem wrócili do karczmy. Za stołem siedział wójt w towarzystwie dwóch radnych i Zawiślaka; syn jego Kuba stał przy piecu. Były freiter żądał wielkim głosem sprawiedliwości na Przybłędę, lecz nie chciano mu wierzyć. Dopiéro gdy zrzucił płótniankę, odchylił koszulę i zobaczono na łopatce siną plamę, Zawiślak zaczął tryumfować, kobiéty się dziwić, a wójt wpadł w okrutny gniew i chcąc złożyć dowód swéj sprawiedliwości, posłał radnych po chłopaka. Radni wrócili z niczém, chłopca nie znaleźli, wtedy dopiéro zaczęły się sypać gromy i przekleństwa na głowę biednego Jasia i jego matki. Przybiegła i Hanka a zobaczywszy siny znak na łopatce kochanka, zaczęła głośno wyrzekać, lecz w duchu nie było jéj markotno, że się raz przecie wyleczył z przybłędów, tem więcéj, że kobiéty szeptały jéj do ucha, że to Tereska bez zazdrość, kazała chłopcu zdzielić kamieniem Franka.

— Że się to nie boi, żeby kto tego nie spalił, rzuciła kwestyę Kubowa sroką zwana.

Nikt jéj nie odpowiedział, lecz Kuba stojący przy piecu uśmiechnął się na swój sposób, a w oczach z za niskiego czoła zaświecił jakiś blask rodzącéj się myśli.

Po odejściu z chaty Tereski radnych, przestraszona kobiéta zwoływała Jasia. Chłopiec widząc, że niebezpieczeństwo minęło, wrócił i opowiedział matce wszystko, pokazując elementarz. Wśród łez matki a dumy syna, uradzili pójść nazajutrz rano do Miechowiczek. Jaś miał zostać u profesora, aby ludziom zejść z oczu; a matka wyszukać jaką chatę, aby się wyprzedać w Brzezinach i osiąść obok syna. Długo radzili, aż nareszcie upojeni nadziejami a zmęczeni pracą dnia, twardo zasnęli.

Gwałtowny sztuk do okna obudził śpiących, czerwona łuna oślepiła ich, gorąco dusiło, nie mogli oprzytomnieć na razie. Okno szarpnięte silną ręką wyleciało z ram, szyby zabrzęczały, trzask palącego się drzewa i odgłos buchających płomieni, zapierały im z przerażenia oddech.

Kobiéta jęknęła, Jaś klęcząc na łóżku dzwonił zębami.

— Nie ma czasu na lamenta, ratuj co się da—wołał Siemieniec. Kobiéta podała mu dziecko, sama wyskoczyła oknem, dach się palił, jak stos drzewa i słomy.

Zrozpaczona kobiéta targała się za włosy i załamywała ręce.

— Biedrawa—krzyknęła strasznym głosem.

— Wypuszczona, odpowiedział Siemieniec. Dach runął, iskry się posypały dym zakłębił ogień przycichł.

— Wody—wołał Siemieniec.

Znalazły się konewki, do czarnego stawu tylko parę kroków, Siemieniec wdrapał się na węgieł—kobiéta nosiła wodę.

— A bójcie się Boga, zalewajcie przy kominie błagała. Swiatełko nadziei oprzytomniło ją.

Jaś posadzony na murawie błonia okryty pierzyną dzwonił zębami, lecz się rychło zerwał i zaczął pomagać matce nabierając wodę w konewki.

Tymczasem stodoła i obórka płonęły jak dwa stogi ognia. Biedrawa wytrzeszczając oczy stała nieruchomie, Krase tuliło się do niéj. Ogień na dachu zalewany wodą przycichł, lepianka została uratowana,—obórka i stodoła pełna zboża, zgorzały do szczętu.

Siemieniec spełnił swoje, splunął kunsztownie, uśmiechnął się na swój sposób, zawdział torby i poszedł,—pilno mu było.

Została matka z synem, nikt na ratunek nie przybiegł. Kobiéta załamała ręce stojąc w niemėj boleści—chłopiec zaciskał pięści i milczał,—lecz po ściągniętych brwiach, można było przeczuć, że myśl jego pracuje.

Wprowadzono Biedrawą z Krasem do izby Jaś legł na łóżku, matka z załamanemi rękami siedziała na ławie. Milczeli oboje, lecz głośne bicia ich serc, mówily za nich.

Jutrzenka ozłociła niebo i oróżowiła izbę, kobiéta wyszła, wdrapała się na węgieł domu, przez palące się belki dotarła do komina. Odgarniając dymiące głownie szukała blaszanego pudełka, a w niem paru stówek. Całe to bogactwo, którego jéj tak zazdrościli ludzie. Szukała, długo szukała—i nareszcie znalazła grudki stopionéj cyny. Podniosła je i patrzała —długo na nie patrzała,—aż nareszcie wypadły jéj z rąk. Zsunęła się po węgle z powały, wróciła do izby, pocałowała dziecko i legła przy niém na łóżku.

Ludzie już powstawali—jaki taki przechodził przez błonie stanął, popatrzał i poszedł. Jedna tylko Zawrzykrajka wbiegła do izby.

— A bójcie się Boga,—cóż to za nieszczęście się stało,—wołała łamiąc ręce.

— Moiściewy wydójcie Biedrawą—odparła cicho Tereska, coś mi głowa płonie, a w piersiach zapiera.

— A to nikt, tylko ten łajdak Franek podpalił,—któżby inny, — drugiego tu we wsi niema—mówiła Zawrzykrajka dojąc krowę.

Przybiegła Płonczyna, a z nią Nastka. Dziewczynka wypędziła Biedrawą z Krasem, kobiéty poszły do roboty, syn został przy matce.

Wieść o spaleniu Przybłędów lotem błyskawicy rozeszła się po wsi. Opinia po pewném wahaniu się i niezdecydowaniu, przechyliła się na stronę pokrzywdzonych.

Kuba pędził bydło na Nowe Zajmy przez błonie—spojrzał na pogorzelisko, wzdrygnął się cały odwrócił—batem uderzył z całych sił najbliższą sztukę i znikł coprędzéj za pagórkiem.

Rozpalona Tereska leżała na łóżku, Jaś chociaż się bał wójta i radnych, aby nie przyszli po niego nie chciał od matusi na krok odstąpić,—tylko drzwi zaparł kołkiem, i zadumany usiadł u jéj nóg.

W południe za Biedrawą wbiegła Zawrzykrajka, Tereska wypiła troszkę mleka, trzymała chwilkę rozpaloną dłoń na głowie syna, zamrużyła oczy i zasnęła.

— Od matusi okrutny ogień leci—szepnęła Zawrzykrajka jedząc obiad z Jasiem.

Chłopcu dopiéro wtedy łzy zaświeciły w oczach lecz słowa nie przemówił.

Gdy słońce zeszło, po chatach i w karczmie rozprawiano o spaleniu Przybłędów, szukając winowajcy. Opinia coraz głośniéj i wyraźniéj wskazywała Franka. Płachcina i jéj siostra, cicho lecz wytrwale w tym kierunku pracowały. Dowiedziała się o tém Basia i dom zaparła przed Frankiem. Jaga nie robiła z tego sekretu.

Dobrze już wieczór przybiegła ze smutną wieścią do Hanusi, Sroka. Dziewczyna ścierpła na całém ciele—nie mogła ustać na nogach, aż se siadła, wysełając dziewuchę co u niéj służyła po Franka.

Franek szedł z butną miną przez wieś i dziwował się, że ludzie uciékają przed nim. Coś go tknęło, zamyślił się i posmutniał. Dopiéro Hanusia otworzyła mu oczy. Chłopak się zerwał rzucając przekleństwa, chciał biedz do wójta,—do radnych do całéj wsi—bić, zabijać wszystkich kogo napotka. Hanusia pochwyciwszy go w pół wytężyła siły i zatrzymała. Łzy jéj obficie po twarzy płynęły, a Franek co raz był miększy na łzy Hanusi.

— I cóż wskórasz mój Franeczku co? Abo ci to uwierzą. Zwiążą cię jeszcze i odstawią do sądu.

Franek uczuł potęgę nieprzyjaciela w opinii i zrozumiał niemożność walki.

— Ja ci wierzę żeś ty nie winien i dla tego że wszyscy przeciw tobie, to za to—kończyła cicho, ja cię jeszcze więcéj kocham. A że byli sami w izbie—Hanusia przytuliła głowę jego do swych piersi.

Zgnębiony niesprawiedliwością ludzką Franek, a zmiękczony miłością dziewczyny, zapłakał po raz drugi w życiu. Gorące łzy zdawało się że padają mu na serce i miękczą je. Czuć to było po drżeniu jego głosu.

— A niechaj cały świat wystąpi przeciw tobie, a niechaj cię ludzie pomstują i uciekają od ciebie, jak od nawiedzonego; ja Cię będę jeszcze więcéj kochać—mówiła z mocą Hanusia, obcierając łzy chłopcu.

— Spałem w stajni z parobkiem—wyszeptał cicho Franek.

— Ano, to parobek przysięgnie—zawołała uszczęśliwiona. Ciężki kamień spadł jéj z serca, była spokojna o kochanka, a złość ludzka nie tylko ją nie martwiła, lecz w oczach jéj dodawała Frankowi uroku.

Już czwarty dzień chora leżała rozpalona w łóżku. Zawrzykrajka, aby wyżywić Biedrawą z Krasem, siebie i Jasia, zastawiła u Joska prawdziwe korale Tereski.

— Bo ziemniaki, jak zechce, sama se matusia z kopca sprzeda—mówiła do Jasia, oddając mu resztę.

Jaś odebrał pieniądze, obwinął je papierem i razem z elementarzem schował w zanadrze,—i znów usiadł u nóg matusi, odganiając gałęzią muchy z jéj twarzy.

Kobiéta szklanemi oczyma patrzała na syna,—zdawało się, że nic nie widziała, nic nie czuła, nie myślała. Chłopiec wpatrywał się w jéj twarz i milczał. Wieczorem zniósł sobie z komory matusin kożuch, posłał go na ławie, położył się i zasnął.

Już jutrzenka zaglądała przez szyby do chaty, gdy chłopca zbudził krzyk matki.

— Dziecko, dziecko moje!

Chłopiec zerwał się na równe nogi, poskoczył do matki i ujął jéj twarz w drobne ręce.

Matka konwulsyjnie przytuliła dziecko do piersi.

— Ciemno mi!... już cię nie widzę—wołała strasznym głosem—lecę w jakąś ciemną przepaść... Boże! ratuj mi dziecko... Jasiu! wody kropelkę... Zabijasz i za co?.. mścisz się na sierocie—i za co—za co?...

Jaś pobiegł po świeżą wodę, a gdy wrócił, cicho było w izbie. Ogień już nie leciał od matki, ręka jéj zwisła za łóżko. Chłopiec ułożył rękę na jéj piersi i okrył matusię.

— Nie napijecie się wody?—mówił pieszczotliwie—tylko co nabrałem w studni.

Jakaś złowroga cisza panowała w izbie, Jaś jéj nie zrozumiał, położył się na kużuchu i zasnął...

— Moja ty sieroto—mówiła Zawrzykrajka, głaszcząc chłopca—ludzie spalili cię, pan Bóg zabrał ci matkę.

Jaś oczy rozwarł szeroko.

— Wzięłabym cię do siebie, abo to mi cię dadzą!...

Chłopiec blady, wystraszony powstał i poszedł do matki. Szklane jéj oczy tak dziwnie patrzały, bladość twarzy przerażała.

— Matusiu!—zawołał.

— Nie budź, nie, bo jéj nie obudzisz—rzekła kobiéta. Wydoję krowę, to się mleka napijesz.

Chłopiec nie rzekł słowa, kucnął na łóżku u nóg matki i zamyślił się, patrząc w jéj martwą twarz. Podane przez Zawrzykrajkę mléko wypił, nie ruszając się z miejsca.

— I cóż tu będziesz robił sam? chodź do mojéj chałupiny tymczasem, bo pewnikiem tu przyjdą i wezmą cię wójt, albo prędzéj Barszcz złakomi się na krowę z cielęciem i tę trochę ziemniaków.

Nie chciał pójść od matusi i został. Nie umiał zdać sobie sprawy z nieszczęścia, raczéj nie potrafił wielkości jego objąć. Miał jeszcze nadzieję, że się matusia obudzi i czekał, spoglądając z pewnym strachem przez okno na drogę.

I zobaczył wójta, pisarza Barszcza, dwóch radnych i z niemi wioskowego cieślę skręcających na błonie. Chłopiec zbladł, skoczył do sionki, przesunął się przez wypadłą deskę w ścianie,—dobiegł do ośmiu zagonów i, położywszy się w bróździe, śledził dygnitarzy władzy, jak weszli do chaty i jak póżniéj z niéj wyszli, oglądali się, a Barszcz prowadził na powrózku Biedrawą z Krasem. Cieśla pozabijał kołkami chatę—to znaczyło, że została przez władzę opieczętowaną. Na błoniu wójt i radni postali chwilkę, coś radzili, bo wymachiwali rękami, i wrócili do wsi.

Żal się zrobiło Jasiowi Biedrawy; jednak pocieszał się tém, że gdy matusia wstaną, to krowę odbiorą. Skradając się cicho wrócił przez wypadłą deskę do izby, roznіecił ogień, przyniósł z kopca kartofli, upiekł je, omaścił masłem i pojadł se troszkę a resztę matusi zostawił;—popatrzał na jéj bladą twarz, pocałował ją i pobiegł nad czarny staw spojrzéć na granatowe góry. Coś go tam okrutnie ciągnęło. A może chmury już ustąpiły i zobaczy zaczarowany dwór? Idąc oglądał się na wieś i coś mruczał do siebie.

Nazajutrz matusia wciąż spała, chociaż wschodzące słonko paliło jéj twarz. Jaś chustką zasłonił słońce i ledwo wypadł z dzbankiem po wodę, na drodze zobaczył Barszcza z radnymi i Zawrzykrajką, a cieśla z parobkiem nieśli trumnę. Chłopiec przykucnął

przy studni, a gdy weszli do chaty, pomknął kładąc się w jednę z brózd ośmiu zagonów. Coś długo w chacie siedzieli—cieśla naprawił wypadłą deskę w sieni a okna pozabijał. Wybiegła na błonie Zawrzykrajka, wołając:

— Jasiu!—a chodźże, nie bójże się.

Za Zawrzykrajką wołał i Barszcz, lecz Jaś ani się ruszył. Wtedy Barszcz na kłódkę zamknął drzwi chaty. Trumnę na ramionach wynieśli, a gdy znikli we wsi, Jaś wrócił do chaty.

Nie mógł się zrazu dostać, dopiéro gdy w ścianie obłupał glinę i spróchniałe drzewo powyjmował, zrobił się otwór, przez który wsunął się do izby. Pusto,—matusi już nie było,—pościel i płachty zwinięte w tobołki. Chłopiec stanął na środku izby, obejrzał się, postał, popatrzał i wybuchnął strasznym płaczem.

— Zbili mnie, chudobę nam spalili, zabrali Biedrawą i matusię porwali, a drzwi chaty zaparli przede mną i chcą mnie jeszcze katować...

Otarł łzy rękawem od koszuli, wzuł buty z czerwoném obszyciem, nawdział płótniankę, przepasał się paskiem i czerwoną czapkę nasadził;—elementarz, a w nim parę papierków i parę szóstek miał w zanadrzu. Wyjął ze skrzynki trochę soli i patyczków,—z komory sperki, a było jeszcze z pół bochenka chleba; wyszukał worka, poszedł z nim do kopca, nasypał w niego troszkę ziemniaków,—wszystko to zawinął nowym rańtuchem, okręcił się nim przez plecy, kij ułamał z płotu..... Granatowe góry wabiły go—i poszedł. Idąc stawał, oglądał się na wieś, zamyślał, nareszcie zawrócił i w dyrdy poleciał. Tęsknota za matusią rozsadzała mu serce.

— A jeżeli matusia wrócą—myślał—a ja będę w zaklętym dworze?

Biegł żywo ścieżkami koło stodół, zaglądając na drogę wsi, aż nareszcie dobiegł do cmentarza, i przez krzaki głogu widział gromadkę ludzi—a wśród nich Jegomościa z kropidłem i trumnę,—tę samę, którą wynieśli z chaty. Tylko Zawrzykrajka i Płonczyna z Nastką płakały. Był wójt i pisarz Barszcz z radnymi; Jegomość pokropił, trumnę wsunęli do dołu, zasypali ziemią i poszli. Zrozumiał nareszcie wszystko i gdy już nikogo nie było, przysunął się do świeżéj mogiły matki, postał, podumał, popatrzał, — łzy otarł rękawem i poszedł.

XVII.

Wójt, wróciwszy z radą do karczmy, kazał szukać i dostawić małego Przybłędę.

— A jak go nie znajdziewa, to co zrobimy z gruntem, krową i cielęciem?—rzucił pytanie jeden z radnych.

— A pogrzeb?... mało mnie to kosztował zawołał—przestraszony Barszcz.

— Cóżto!—przyodziéwa pogrzebu nie zapłaci?

— Ha, nie ma innéj rady, jak grunt z gadziną zlicytować,—kupić drzewa i szkołę postawić, bo z rady i starostwa grożą egzekucyą—zdecydował wójt.

Podobała się rada wójtowa gromadzie—i dlatego na stole stanęło kilka kwart wódki. Śmiano się i cieszono, chociaż Franka i Hanki nie było.

Franek odepchnięty przez siostrę, spotwarzony przez opinią,—stronił od ludzi, pracując po całych dniach na zagonach Hanusi. Nie chciał hucznego wesela,—dlatego tylko dwie drużki i dwóch świadków obok młodéj pary w kościele stanęło.

Hanusia—dziś Frankowa—rada była z tego, bo chciała mu wystarczyć za świat i ludzi, a choć duma Franka cierpiała, pracą zagłuszał ją—i jakoś sam nie wiedząc o tém, coraz więcéj słuchał Hanki i przywiązywał się do niéj.

Jaś kryjąc się przed ludźmi dobiegł szczęśliwie do lasu, wsunął się w najciemniejszą gęstwinę, otarł pot z czoła, usiadł, rozwinął płachtę i, nim włożył ukrajany kozikiem kawałek chléba do ust, zalał się łzami. Matusi mu nie stało, z matusią zawsze jadał, a wtedy go głaskała i rozgarniała włosy na jego czole. Żal mu było i Biedrawy z Krasem i staréj kury, co się spaliła... Jadł chléb ze słoniną—i żałował wszystkiego, płakał, a potém wpadł w okrutny gniew.

Do dołu z wydobytego pnia poznosił patyki, podłożył pod nie suchych liści, zapalił zapałkę i podpalił. Płomień buchnął a patyki paląc się trzeszczały. Wtedy pomyślał sobie, że gdyby miał tu przyniesiony z pod chaty kopczyk kartofli, toby się obył bez ludzi i dobrze się bawił. Patyki spaliły się na węgiel—wtedy ognisko zasypał piaskiem—i do środka powsadzał kartofle, a było ich sztuk pięćdziesiąt. Upiekły się wszystkie,—zjadł z nich tylko trzy, resztę schował.

Położył się, głowę sparł na ręku i jakoś się nie bał ani wójta, ani Kuby ani Franka—i gdyby matusia była przy nim, a Biedrawa z Krasem skubały trawę... Na wspomnienie matusi i Biedrawy, zerwał się, pogroził w stronę wsi i pobiegł z kozikiem do starych drzew sosnowych zeskrobywać żywicę.

W nocy księżyc nie wszedł—chmury zaciągnęły, a wiatr huczał od wschodu. Chłopiec wypadł z lasu, zostawił zawiniątko i czap-

kę na drodze, a sam pomknął, dzwoniąc zębami ze strachu do wsi. Bał się nie strachów, lecz ludzi, a jednak biegł, ile mu tylko sił starczyło. Minął chatę Zawrzykrajki i stodolinę Płonczyny i dopadł do budynków Zawiślaków. Do strzechy dostał się po węgle, naskrobaną żywicę owiniętą papierem wsunął w słomę, zapalił zapałkę, podpalił i zeskoczył.

Spojrzał:—małe języczki płomyków przelatywały po wierzchu, uśmiechnął się i uciekł.

Biegnąc zatrzymał się przy swéj spalonéj chacie. Coś go ciągnęło, wdrapał się na powałę, przytulił do sterczącego komina i patrzał.

Stodoła Zawiślaków stanęła w płomieniach, za nią poszły obórka, stajnia i chata. Wiatr dął ciskając iskry i płomienie... Niedługo pół wsi stanęło w ogniu—zrobiło się jasno jak w dzień, i słychać było ryk bydła, odgłos walących się budynków, krzyk i lament kobiét, płacz dzieci. Ludzie wynosili obrazy i mało co ratując, zażegnywali niemi ogień. Straszny widok—niebo oblało się krwią,—jakieś przerażające jęki wydobywały się z ziemi, wiatr huczał, chłopcu włosy rozwiewał,—a zdaje się na mózgu jego odciskały się widziane obrazy. I zdało mu się, że wołają „Przybłęda“, że go sobie pokazują, że biegną do niego. Zeskoczył z powały i uciekł. Dopadł do zawiniątka—pochwycił je i biegnąc powtarzał:

— W góry—do zaklętego dworu... A może mi czarnoksiężnik matusię sprowadzą!

I pędził w stronę gór przez pola i łąki, byle daléj od Brzezin, byle bliżéj gór, zaklętego dworu i czarnoksiężnika. Dostał się na drogę. Co się obejrzał, widział krwią oblane niebo,—a przed oczyma stawał mu okropny obraz widziany z powały własnéj chaty. Zamykał oczy, obraz przedstawiał się wyraźniéj,—otwierał je i szedł daléj, wrażliwy na każdy szelest, na każdy odgłos bliski i daleki.

Nad ranem dotarł do brzozowego lasku, napił się wody w strumieniu, zaczołgał w krzaki, zmęczony legł opierając głowę o zawiniątko,—lecz zrywał się, gdy ptak zaśpiewał, wrona zakrakała. Był zmęczony a spać nie mógł,—strach go pędził naprzód—i poszedł daléj...

Lecz w dzień było trudniéj iść i nie spotykać się z ludźmi. Szczęściem dla Jasia deszcz padał i dlatego biegnąc ścieżkami ku górom rzadziéj się z nimi spotykał, a zawsze umiał im zejść z drogi. Przyszła noc, odpoczął chwilę, podjadł, napił się wody i szedł drogą śmieléj, a raźniéj. Odciśnięty obraz na jego mózgu popędzał go daléj i daléj....

Nogi pod nim drżały, gorąco mu się robiło, głowa mu ciężyła, chłopiec wciąż szedł, byle daléj od Brzezin,—byle bliżéj gór i zaklętego dworu. Wielki stary bór zaczął mu szumiéć nad głową; obejrzał się, ciemno—podniósł głowę w górę, gwiazd nie było widać, a czarne drzewa jak olbrzymy do nieba sięgały. Droga stawała się jakoś cięższą. Jaś dziwnie nogi stawiał i ciężko je za sobą ciągnął, lecz szedł wydobywając ostatek sił.

Słońce wzeszło—stanął, rozglądnął się, uśmiechnął i odetchnął całą piersią.

Za sobą widział góry, przed sobą góry, wokoło ciemny stary jodłowy las.

— Tu mnie nie złapią—pomyślał sobie; rozwinął tobołek i śniadał.

Jakoś mu tu było dobrze i raźnie, choć mu głowa okrutnie ciężyła. Uśmiechał się—widocznie marzył o czarnoksiężniku, matusi i zaklętéj królewnie. Wybrał najwyższą górę i poszedł przez nią prosto szukać zaklętego dworu.

W górach trudniéj chodzić jak w nizinie, bo ciężko i kamienie wielkie. Wdrapał się na wierzchołek, spojrzał: przed nim stały wielkie góry—a nigdzie zaklętego dworu. Przeląkł się, bo i sił mu brakło i zapasów coraz mniéj, a do ludzi za nic w świecie-by nie poszedł; zsunął się na dół, odpoczął—i daléj pod górę. Lecz już go nogi słuchać nie chciały, gorąco paliło—położył się przy drzewie; zamrużył oczy i nie wiedział, co się z nim działo...

Jechał gazda wozem po drzewo, co je w zimie ściął. Zobaczył chłopca z nizin, postał, podrapał się w głowę, długo rozważał i nareszcie budzić go zaczął. Nie mógł się dobudzić a ogień z niego szedł. I znów gazda postał, pomedytował, podrapał się w głowę i wziął dziecko na ręce.

— I buty nowe, i płótnianka—rozmyślał—i pasek i krakuska,—a dziecko delikatne. A rańtuch, rańtuch jak raz dla baby do kościoła..

Wziął na wóz dwa kije—usłał mchu, obwinął dziecko rańtuchem i ułożył je na wozie.

— A zkądżeś ty to wziął—mówiła gazdzina gdy gazda chłopca owiniętego rańtuchem przyniósł do izby.

— Pan Jezus mi dał—odparł gospodarz.

— A jakie-ci to białe jakby pańskie dziecko a słabiutkie, że ledwo w nim dusza kołace—mówiła gospodyni.

Zaczęli dziecko rozbierać, na ziemię wypadł elementarz i dwanaście papierków.

— Jak raz na podatki—zawołała gazdzina. Że nam Matka Boska zesłała dziecko, to jak Bóg na niebie. Nie mawa swoich.

I zaczęła zbierać papierki i szóstki.

— Usłać skóry przy piecu i żętycę dawać pić, gdy się obudzi. Niech ino pójdzie na hale z owcami, nie będzie mu nic.

— Zaraz dawałabym ci dziecko na hale! zobaczysz!—przerwała gazdzina przymierzając rańtuch. Dziecko pójdzie do szkoły, to potém nas starych wesprze, żebyś wiedział!..

Gazda dużo rzeczy wiedział, lecz najlepiéj o tém, że w stanowczych chwilach nie miał głosu.

I tak rozstrzygnęła się przyszłość chłopca, leżącego w gorączce na baranich skórach pod piecem.

Sewer.

BRANDEBURGIA I POLSKA

W PIERWSZYCH LATACH PO TRAKTACIE OLIWSKIM.

(Dokończenie).

W miesiącu listopadzie roku 1660 wybierają się z ramienia elektora znany nam baron Hoverbeck i oberwachmistrz Rüdiger von der Goltz, pierwszy do Krakowa, drugi do W. Polski w celu przeprowadzenia znanych już z powyższego opowiadania postulatów brandeburskich, z wyraźną jednakże na ten raz instrukcyą posługiwania się—jako wiodącym do celu środkiem—namiętnościami i sprzecznemi interesami, nurtującemi naówczas Polskę. Odgrywa się, słowem, jakoby w jasnowidzeniu tego, co ma nastąpić na téjże widowni, w tymże samym celu, między temiż samemi stronami w stokilkadziesiąt lat późniéj toż samo widowisko, jakie przedstawia Warszawa w epoce misyi Buchholtza i Lucchesiniego. Co nie najmniéj rzeczą oryginalną, noszą nawet w depeszach Hoevrbecka zwolennicy interesu brandeburskiego a przeciwnicy dworu własnego toż samo co w korespondencyi Lucchesiniego, miano — *patryotów*...

Uprzytomnijmy sobie teraz w kilku słowach szczegóły wewnętrznego stanu Polski, by tém samém poznać klawisze, na jakich sobie postanawia grać interes brandeburski. Wiadomo nam już, że królowa Marya Ludwika, opierając się na przymierzu szwedzko-francuskiém, bez wątpienia za pobudką osobistéj ambicyi i osobistego interesu, ale cokolwiekbądź interesu i ambicyi schodzących się na ten raz z interesem i dobrem Rzeczypospolitéj na przyszłość, postanowiła czy to za zgodą stanów Rzeczypospolitéj, czy nawet przymusem i siłą dać swemu małżonkowi jeszcze za jego życia następcę na tronie polskim i że w tym celu nasuwali się jéj rozmaici kandydaci, czy to książę Enghien syn księcia Condé, czy który z młodszych arcyksiążąt austryackich, czy też książę neuburski Wolfgang Wilhelm. Elektor brandeburski był podobnéj kombinacyi przeciwnym, raz, że ustalała polityczny organizm Rzeczypospolitéj

i obdarzała ją przewagą, któréj sobie nie życzył; daléj dlatego, że czy-to kandydat Francyi, czy kandydat Austryi zwiększał faktem swego wyniesienia potęgę dwóch z arówno mu niebezpiecznych mocarstw. Interes brandeburski *ogólny*, *wielka polityka* brandeburska, pominąwszy nawet szczegóły, jak Elbląg, jak pocztę i przewóz, wymagała, by plan Maryi Ludwiki do skutku nie doszedł. Zadanie to, trudne na pozór, ułatwiały przecież następne czynniki i okoliczności. Wielki tłum szlachty można było nadużywać zwykłemi frazesami o zagrożonéj wolności, o gotującém się, niebezpieczném Polsce *dominium absolutum*. Dobrą wiarę można było podejść, złą pozyskać owemi „*dowodami uznania i wdzięczności*,“ o jakich eufemicznie w korespondencyi między elektorem a Hoverbeckiem tylokrotnie mowa. Co się zaś tyczy wyżyn ówczesnego społeczeństwa polskiego, znajdujemy, jak już wiadomo, Wacława prymasa i Jana podkanclerzego Leszczyńskich, Jana Andrzeja Morsztyna, Janusza i Michała Kaźmierza Radziwiłłów, oddanych wręcz interesowi brandeburskiemu, Jerzego Lubomirskiego marszałka w. koronnego pogniewanego z dworem i podającego chętne ucho podszeptom Hoverbecka, intrygującego przeciw projektowi sukcesyjnemu królowéj. Lubomirski wyznaje Hoverbeckowi, że najlepszym kandydatem dla Polski byłby jaki książę niemiecki, mianowicie sam elektor lub syn jego, namawia go do podjęcia w tym sensie starań, do zmiany religii, przyjmuje od elektora kosztowne podarki. Przystępnemi nadto każdego czasu pokusom elektora, choć nie związanemi tu wcale z jego interesem, są osobistości jak: w. kanclerz koronny Mikołaj Prażmowski, jak wspomnieni Rej i Bąkowski. Otóż to narzędzia w Polsce, za pomocą których i w przymierzu z któremi elektor usiłuje zwichnąć sukcesyjny projekt Maryi Ludwiki, wyzyskać co się da na kłopotach polskich dla interesu brandeburskiego, nadewszystko zaś nie dopuścić do uznania i uwzględnienia w Warszawie ani skarg mieszkańców Lawenburga i Butowa, ani wołań o pomoc i związek z Polską malkontentów Księstwa Pruskiego, którzy właśnie wtenczas, właśnie na owę wiosnę roku 1661 przez głośnego później ze swego tragicznego losu podpułkownika Krystyana Ludwika Kalksteina i radnego miasta Królewca Hieronima Rohdego, nie przestają odzywać się o pomoc do dworu polskiego. Jeżeli nie więcéj, to przynajmniéj niezależność swéj władzy w Księstwie Pruskiém pragnie mieć uznaną elektor. Otóż zadania i środki powierzonéj Hoverbeckowi i Goltzowi misyi. Rozpatrzmy się nieco w jéj szczegółach i rezultatach.

Znajdujemy się w miesięcu Listopadzie roku 1660. Pod koniec tego miesiąca widzimy Hoverbecka w Krakowie, gdzie dwór polski

chwilowo przebywa; Goltza późniéj nieco pod opieką i patronatem usłużniéj rodziny Leszczyńskich w Wielkopolsce.

Co się tyczy działalności pierwszego, nie przeszkadzają mu intrygi, podjęte po cichu przeciw Maryi Ludwice i jéj dziełu, poszukiwać równocześnie u niéj zadowolnienia interesu brandeburskiego.

Pamiętną mianowicie pod tym względem jest audyencya jego u królowéj z d. 23 listopada. Na prośbę Hoverbecka przyjętego zresztą jak najuprzejmniéj, aby Rzeczpospolita zadosyć uczyniła zobowiązaniom traktatowym w przedmiocie Elbląga, odpowiedziała Marya Ludwika dość ogólnikowemi zaręczeniami o słowności Rzeczypospolitéj, o potrzebie wszakże bliższéj w tym przedmiocie informacyi. Ważniejszym natomiast i groźniejszym dla Brandeburgii w jéj ustach był argument, „iż stany pruskie i mieszkańcy ziemi Lawenburskiéj i Butowskiéj podnoszą skargi, jako wbrew przyrzeczonym przywilejom ulegają nieznośnym kontrybucyom i wojskowym egzekucyom, tak, że Polsce nic nie pozostanie, jak ostatecznie ująć się za nimi, ponieważ ich prawa traktatami zabezpieczone.“

Wobec tegoż faktu przeniesienia zaczepki na dziedzinę przeciwnika, zaczął Hoverbeck bronić swego pana i tłómaczyć jego postępowanie, zaręczać przyjaźń jego dla Rzeczypospolitéj a zarazem żalić się, że królowa sama przeszkadza wykonaniu traktatowych zobowiązań i wiąże się ze Szwecyą przeciw sprawiedliwym żądaniom Brandeburgii. Wobec podobnych zarzutów okazała królowa, jak powiada Hoverbeck, pewne zakłopotanie i „zmieniła kolor twarzy.“ Mimo to wytrwała na odporném stanowisku, nie dała w przedmiocie ustąpienia Elbląga żadnych stanowczych oświadczeń, skarżyła się na postępowanie koniuszego litewskiego (Bogusława Radziwiłła), na urządzenie i praktykowanie poczty brandeburskiéj w Gdańsku.

Dość, że nie doprowadziła owa audyencya z dnia 23 listopada Hoverbecka ani o jeden krok naprzód. Przeciwnie, mogła go tylko przekonać, że królowa i dwór polski przy zachowaniu wszelkich wymagań zewnętrznéj przyzwoitości, są zdecydowanemi więcéj, niż kiedykolwiek, nie dopuszczać Brandeburgii do zwycięstwa w jéj postulatach. Nie inaczéj usposobionym okazywał się dla Brandeburgii w. kanclerz litewski Pac.

Tak stanęły rzeczy w miesiącach listopadzie i grudniu 1660. Nastąpiło tymczasem kilka wypadków dolewających oliwy do ognia, rozdrażniających coraz bardziéj i tak już naprężony obu stron stosunek. Do takich zaliczymy zatrzymywanie i egzekucye pocztylionów polskich na terytoryum elektorskiém, co w Krakowie niesłychane oburzenie i groźby odwetu wywołuje. Nadto przychodzą coraz to nowe skargi mieszkańców księstwa Pruskiego, ziemi Lawenbur-

skiéj i Butowskiéj, samegoż wreszcie Elbląga. Hoverbeck donosi w skutek tego elektorowi, iż teraz mniéj niż kiedykolwiek widoków, aby dwór polski chciał się dobrowolnie wdawać w jakie-bądź dla niego koncesye. Elektor był podobnemi sprawozdaniami Hoverbecka zakłopotany tém więcéj, im natarczywiéj sprawy księstwa Kliwijskiego wymagały *tamże* jego obecności i nie pozwalały z odpowiednią ważności sprawy energią wystąpić na widowni polsko-pruskiéj. W takiém położeniu rzeczy postanowił posłużyć się bronią intrygi. Przesłał Hoverbeckowi z Kliwii pod dniem 11 stycznia 1661 instrukcyą, w któréj przedewszystkiém zaleca mu rozrzucić pomiędzy szlachtą i senatorów w jak najliczniejszych, o ile możności, egzemplarzach list swój do Jana Kazimierza i Maryi Ludwiki, zaręczający niezłomne i niezachwiane przywiązanie do Rzeczypospolitéj a przestrzegający przeciw pomysłom zdolnym nadwerężyć swobodę polską. Prócz tego upominał elektor Hoverbecka, aby starał się przewlec sejm do jesieni r. 1661 czyli aż do powrotu jego z Kliwii do Berlina a przynajmniéj dołożyć wszelkich usiłowań, aby kwestya następstwa do tronu polskiego za życia obecnego króla nie była przed sejm wniesioną. W tym zaś celu ma Hoverbeck wybadać usposobienie senatorów i innych wpływowych osobistości polskich. „Będziemy zadowolnieni—pisze—jeżeli temu lub owemu cokolwiek-bądź obiecasz i byleby tylko było dobrze użyte.“

Dwór polski wahał się w owéj chwili istotnie jeszcze, czy z projektem sukcesyjnym na przyszłym sejmie wystąpić. Wojna z Carem, kłopotliwy stan wewnętrzny kraju, niepewne jego żywioły: —wszystko to składało się, by go wprowadzić, co najmniéj, w stan wahania. Przyczyniła się daléj do tego jeszcze śmierć Schlippenbacha, głównéj podpory, jaką Marya Ludwika w planach swych i zamiarach na dworze sztokholmskim posiadała. W takiéj-to chwili pojawił się ze strony Rzeczypospolitéj projekt oddania elektorowi za Elbląg prawem zastawu Księstwa Raciborskiego i Opolskiego, których dzierżycielem po śmierci brata swego Karola Ferdynanda biskupa płockiego i wrocławskiego był król Jan Kazimierz. Elektor odrzucił jednakże tę propozycyą, poczém stan rzeczy między Rzplitą a Brandeburgią pozostaje na głównéj widowni, w Krakowie, przez kilka pierwszych miesięcy roku 1661, niezmienionym w niczém. Misya Hoverbecka przedstawia w ten sposób tylko rezultat ujemny.

Przypatrzmy się teraz partyzancko-dyplomatycznéj wyprawie Goltza do Wielkiéj Polski. Misya jego miała głównie na celu wybadanie usposobienia tak zwanych *„patryotów“* w przedmiocie sukcesyjnego projektu królowéj Maryi Ludwiki, a w spełnieniu podobnego zadania miał się opierać agent elektorski głównie za pierwszym wstępem na

wielkopolską ziemię na wskazówkach i pomocy dwóch Leszczyńskich, prymasa i wojewody poznańskiego. Instrukcya jego datowana z Klewii dnia 18 stycznia 1661, podpisana przez samego-ż elektora i naczelnego prezydenta Ottona von Schwerin jest wielce charakterystyczną i rzuca objaśniające światło nie mniéj na politykę polską, jak na usposobienie panów, do których Goltza wyprawiono. Zadaniem jego było, po nadaniu misyi swéj innego pozoru, przedstawić obu wspomnianym Leszczyńskim przywiązanie elektora do dobra i interesu Rzeczypospolitéj. Interes zaś Rzeczypospolitéj wymaga utrzymania elektora w wierności dla niéj, co się w inny sposób uskutecznić nie da, jak przez zadosyć-uczynienie brandeburskim pretensyom, w pierwszym mianowicie rzędzie przez oddanie Elbląga. Miał więc przedewszystkiém agent skłonić obu Leszczyńskich do współpracowania z Hoverbeckiem nad wydaniem Brandeburczykowi pruskiego miasta. Drugi punkt Goltzowéj instrukcyi jest o wiele ważniejszym. Kwestya Elbląga jest po prostu między elektorem a Rzecząpospolitą sporną kwestyą terytoryalną; *drugi* punkt pomienionéj instrukcyi natomiast jest pierwszym faktycznym śladem owéj polityki sąsiedzkiéj, co to nie dopuszczała reform w ustawie i zarządzie Rzeczypospolitéj, mogących ją wzmocnić a organizm jéj utrwalić. Miał więc Goltz wybadać nasamprzód Leszczyńskich, następnie innych magnatów, mianowicie dysydentów, czy królowa Marya Ludwika zamyśla na prawdę podjąć sprawę następstwa tronowego jeszcze za życia swego małżonka, kogo na następcę przeznacza i czy sprawę owę zamierza poddać pod obrady nadchodzących sejmików. W razie sprawdzenia tych wszystkich kwestyj, ma Goltz wraz z Hoverbeckiem przedstawić Polakom niebezpieczeństwo podobnego projektu dla ustawy Rzeczypospolitéj i swobody polskiéj, rozpowiadać wszędzie, jako się Francuzi przechwalają, iż posypawszy pieniędzmi dadzą Polsce króla ze swego ramienia, tłómaczyć, iż przecież król Jan Kazimierz nie jest jeszcze ani tak starym, ani tak słabym, aby mu było trzeba dawać następcę, wreszcie *jakiemi-bądź sposobami* przeszkodzić, aby plan sukcesyjny królowéj do skutku nie przyszedł.

Z taką-to instrukcyą wyjechał w lutym 1661 Goltz do W. Polski. Odyseja jego tutejsza zbyt zajmująca, abyśmy jéj kilku słów poświęcić nie mieli. Elektorski wysłaniec nie zastał w Murowanéj Goślinie wojewody poznańskiego. Ruszył więc za nim do Częstochowy. Po drodze spotkał się z wojewodą podlaskim Piotrem Opalińskim, towarzyszem elektora z wojny duńskiéj. Wojewoda podlaski przyznawał Goltzowi, że elektorowi dzieje się niesprawiedliwość, lecz że to wina dworu, który wszędzie rozgłasza, jakoby Brande-

burczyk konspirował z Carem przeciw Rzeczypospolitéj, zatrzymywał polskie poczty, rabował polskich kupców, sypał nad Wisłą szańce i nakładał cła szkodliwe handlowi polskiemu. Goltz starał się, jak powiada, nie bez pożądanego skutku, bronić postępowania swego pana, poczém puścił się w dalszą drogę i dogonił nareszcie o trzy mile od Częstochowy wojewodę poznańskiego Jana Leszczyńskiego. Wojewoda, jak widzimy ze sprawozdania Goltza, nie miał dla niego tajemnicy i odsłonił się odrazu, czém był istotnie, jako najbezwzględniejszy zwolennik interesu elektorskiego. Przyznawał także, że elektorowi dzieje się krzywda, lecz że to dzieło królowéj, która małżonka swego przeciw niemu jak najgorzéj usposabia. Mianowicie opowiadał, że gdy się razu pewnego ostrożnie tylko w interesie elektora odezwał, król mu odpowiedział: „Widzę, że obelga moja wcale was nie obchodzi"; królowa zaś dodała: „*Il est bon Brandenbourgeois;* posłał młodego krewnego swego na zakładnika do Berlina"...

Na zapytanie Goltza, *kto* i *co* właściwie może być przyczyną podobnego usposobienia dworu polskiego dla elektora, składał Jan Leszczyński winę na Szwecyą, mianowicie na Schlippenbacha, „którego już dyabli wzięli" i na Francyą. Równocześnie jednakże radził w przyjacielski sposób, by elektor w drobnostkach okazywał się nieco ulegiejszym, ponieważ on i król równie, gorączkowo usposobieni, a są ludzie, którzy z ich nieporozumień korzystać radzi. Mianowicie miał na myśli królową, któréj przypisywał głównie dotychczasowe niepowodzenie elektorskich pretensyj. Wobec tego przyznania niedyskretnego, co najmniéj, magnata polskiego, odezwał się agent brandeburski z następną przeciw Maryi Ludwice filipiką w imię *wolności polskiéj*: „Panowie senatorowie, jeżeli chcecie być wolnymi ludźmi, czemuż pozwalacie, że sobie w podobny sposób z wami postępują i rozrządzają? Widzę dobrze, nie jesteście już dawnymi Polakami, ale niestety *niewolnikami* (des esclaves). Weźmijcie sobie na uwagę złamanie słowa króla węgierskiego względem Turków, aby na waszych osobach nie było pomszczone!" Na to odpowiedział wojewoda poznański: „Dali Bóg, P. Bracie, przedstawiałem kolegom moim ten przykład, wiadomo wam jednakże, iż w senacie odbywa się wszystko *per majora*; krętaczy jest tak wielu, iż prawda stłumiona, cokolwiekbądź się przecież stanie, będą zmuszeni wydać Elbląg; ich honor i sumienie ręczą za to." Po téj rozmowie nastąpiła uczta, w któréj uczestniczył także Grzymułtowski wojewoda kaliski. Agent elektorski starał się wybadać biesiadników w przedmiocie projektu sukcesyjnego, ale nie mógł nic stanowczego i pewnego wydobyć. Mówili tylko panowie polscy, „że im książę Condé za mądry," że wybór króla to troska późniejsza; spełniali wreszcie kielichy

za zdrowie elektora i jego małżonki wśród zapewnień samegoż Jana Leszczyńskiego, że jest zawsze wiernym sługą elektorskim i że wszystko przy cierpliwości ułoży się dobrze na przyszłym sejmie...

Opuściwszy okolicę Częstochowy, puścił się Goltz w dalszéj wędrówce ku Warszawie i dogonił o ośm mil od stolicy, znowu po drodze, prymasa Wacława Leszczyńskiego, który go z równą życzliwością przyjął i podobne oświadczenia wierności dla elektorskiego interesu dawać począł. W sprawie sukcesyi tronu porobił mu bardzo ważne, wśród śmiesznych nieco w podobnym przypadku próśb o zachowanie dyskrecyi, zwierzenia. Według relacyi prymasa, miał mu król powiedzieć: „Ja jestem królem, ty arcybiskupem; winniśmy pamiętać, aby Rzeczpospolita po mojéj śmierci nie pozostała bez króla, bo *dividemini in partes*.“ Zarazem jednakże, tuż po tém ważném zwierzeniu, upraszał prymas Goltza i elektora o dyskrecyą. „Nie daj Boże,“ mówił, „aby choć najmniejsze podejrzenie stąd na mnie padło; straciłbym moje zachowanie i nie mógłbym tak skutecznie służyć elektorowi, jak to teraz mogę.“ Zresztą radził prymas; aby na gadaniny szlacheckiego tłumu nie zważać, który wieściami o następstwie tronu tak dalece wystraszony, że nie wie sam, czego się trzymać...

Po téj rozmowie z prymasem, puścił się Goltz w dalszą podróż ku Poznaniowi. Było to w marcu 1661. W drodze napotkali go rozesłani słudzy wojewody poznańskiego i sprowadzili go w gościnę do Murowanéj Gośliny. Tutaj to, po hojnych libacyach, posunął się Jan Leszczyński jeszcze daléj w swych występnych zwierzeniach i oświadczeniach przyjaźni dla elektora. Zaręczył, że w przedmiocie projektu sukcesyjnego będzie donosił wiernie elektorowi i Hoverbeckowi o każdym kroku dworu; że nie dopuści niczego, coby interesowi elektora mogło być szkodliwém, że nadewszystko będzie przeszkadzał kandydaturze tronowéj księcia neuburskiego. Prócz tego pokazywał swą korespondencyą z w. marszałkiem koronnym Lubomirskim na dowód, do jakiego stopnia stara go się pozyskać dla interesu elektorskiego a pokłócić z dworem. Z listów tych przekonał się agent elektorski, że Jan Leszczyński pracował u Lubomirskiego równie przeciw kandydatowi Francyi, jak Austryi, dosłownie w myśl intencyi i interesu elektora. Wreszcie skończył swą konferencyą przyrzeczeniem poufnego poinformowania elektora o wszystkich wątpliwościach i argumentach Polaków przeciw projektowi sukcesyjnemu królowéj, aby Brandeburczyk na podstawie podobnéj informacyi mógł jeszcze przed terminem sejmików, czyli przed 28 marca (1661), nadesłać do Murowanéj Gośliny własny swój memoryał przeciw planowi królowéj. Piorunował nadto jeszcze wojewoda

poznański przeciw Rejowi i kasztelanowi łęczyckiemu (Przyjemskiemu) jako stronnikom dworu a przeciwnikom interesu elektorskiego. Gdyby zaś przynajmniéj jeszcze Jan Leszczyński w zamian swéj zdrady ojczystego interesu był zyskał bezwzględne zaufanie tych, dla których pracował!... Goltz pisze przecież o wojewodzie podlaskim Piotrze Opalińskim, „że jest szczerym, poczciwym człowiekiem“; o prymasie Wacławie Leszczyńskim „że jest elektora wiernym przyjacielem i *sługą*“; o głównéj zaś swéj intrygi podporze, Janie Leszczyńskim, „że wierzy w jego szczerość, jakkolwiek mu w serce zajrzéć trudno.“ Owa misya Goltza zajęła umyślnie w naszém opowiadaniu szersze nieco miejsce, ponieważ z natury swéj poufna, tajna, mniéj oficyalna od publicznéj Howerbeckowéj, tém charakterystyczniejsze rzuca światło na stan wewnętrzny Polski, na stosunek magnatów polskich do intrygującego w Rzeczypospolitéj elektora. Sens jéj moralny i przebieg charakteryzuje smutnie i ponuro owę chwilę i wypełniające widownię polityczną polską postacie. *Dwór* polski ma, co bardzo ważna, *myśl* polityczną, przedsiębierze zabezpieczenie następstwa tronu, widzi jasno prawdziwego nieprzyjaciela polskiego w osobie elektora brandeburskiego, stara się naprawić za pomocą przymierza francusko-szwedzkiego, za porozumieniem z malkontentami pruskimi i lawenbursko-butowskimi złe zdziałane traktatami oliwskimi, uchronić Elbląg, odzyskać księstwo Pruskie. Kiedy z jednéj strony zwycięstwa Stefana Czarnieckiego na Litwie i Rusi rozświetlają wschodni horyzont polski, przygotowuje dwór, Jan Kazimierz a więcéj jeszcze tak mało zrozumiana i oceniona przez naszę dotychczasową historyografią Marya Ludwika akt odwetu przeciw elektorowi brandeburskiemu, powtórną i poprawną z mieszkańcami kraju pruskiego edycyą wielkiego dzieła polityki polskiéj z wieku XV... Dzieje i szczegóły misyi agenta brandeburskiego Goltza przekonywają niestety naocznie, jak dalece prywata i intrygi magnatów naszych dzieło to podkopują, jak dalece politykę polską pozbawiają moralnych i materyalnych środków do przeprowadzenia jéj zbawczego programu...

Zwróćmy się teraz od tego ubocznego epizodu do oficyalnéj akcyi Hoverbecka na wielkiéj widowni dyplomatycznéj. Widzimy go w marcu 1661 w Kielcach. Donosi stąd swemu panu do Kliwii, jako oddanie Elbląga napotyka ciągle nieprzezwyciężone trudności, jako dwór czyni je zależném od licznych warunków, z których najważniejszy przymierze elektora z Rzecząpospolitą przeciw Carowi, jako wreszcie królowa wyprawiła jeszcze przed rozpoczynającemi się sejmikami poufnych swych Reja i Morsztyna z Krakowa do War-

szawy do w. marszałka koronnego Lubomirskiego, by go dobrze dla swych planów sukcesyjnych usposobić...

W przedmiocie samym-że projektu sukcesyjnego pisze Hoverbeck, że właściwie wchodzą tutaj jako kandydaci w rachubę dom austryacki i bawarski w Niemczech, we Francyi książęce domy Condé i Longueville, w szczególności zaś w Austryi brat cesarski arcyksiążę Karol i arcyksiążę Zygmunt z Innsbrucku, w Bawaryi brat elektora; we Francyi książę Enghien syn księcia Condé i młodszy de Longueville. Również należy do liczby owych pretendentów książę neuburski. Jakkolwiek Austrya przez reprezentanta swego L'Isolę w razie uwzględnienia kandydatury domu habsburgskiego stawia Polsce bardzo korzystne warunki mianowicie co do Szląska, w szczególności zaś co do księztw Opolskiego i Raciborskiego; jakkolwiek daléj książę neuburski nie mniéj ponętne królowéj stawia warunki, proponując małżeństwo swego syna Jana Wilhelma z siostrzenicą królowéj Anną Henryką:—skłania się przecież Marya Ludwika głównie do kandydatury księcia Enghien i taż-to kandydatura, ku wielkiemu (nawiasowo powiedziawszy) zgorszeniu w. marszałka koronnego Lubomirskiego, ma być przedstawioną na zbliżających się sejmikach. Zresztą, co się tyczy postulatów brandeburskich, oświadczyła Marya Ludwika Hoverbeckowi na pożegnaniu w Krakowie, iż król będzie się wiernie trzymał istniejących traktatów...

Od marca 1661, w przededniu wspomnianych sejmików, widzimy Hoverbecka w Warszawie z ponowną instrukcyą bacznego czuwania nad malkontentami pruskimi, przyjeżdżającymi co chwila ze swemi skargami i żałobami do Polski, zapobiegania daléj uwzględnieniu zażaleń mieszkańców ziemi lawenbursko-butowskiéj rozdrażnionych świeżo samowolnym aktem ścięcia krajowego szlachcica za opozycyą przeciw elektorskim rządom. Nie najmniéj także ważną częścią zadania Hoverbeckowego było pozyskanie i tak już pogniewanego z dworem w. marszałka koronnego Lubomirskiego dla zamiarów *antysukcesyjnych* elektora. Lubomirski kupiony podstępną argumentacyą, pochlebstwem, prezentami, uprzejmościami, miał się stać dla elektora narzędziem podkopującém polską politykę dworu, w pierwszym zaś rzędzie plan sukcesyjny Maryi Ludwiki; a w późniejszym jego, tak zgubnym dla sprawy Rzeczypospolitéj rokoszu, może sobie intryga brandeburska powiedzieć słusznie swoje „*quorum magna pars fui.*“ Rozpoczynając swą konferencyą z Lubomirskim, wspomniał Hoverbeck zręcznie o jego (Lubomirskiego) intencyi zyskania głosu i miejsca w gronie książąt Rzeszy Niemieckiéj. Wspomniał przy téj sposobności poseł brandeburski, żeby było dobrze nabyć jaką większą posiadłość ziemską w krajach Rzeszy Niemieckiéj,

poczém elektor nie omieszka na nadchodzącym sejmie Rzeszy wyniesienia w. marszałka koronnego do godności książęcéj energicznie popierać. Po tym wstępie przeszedł Hoverbeck na materyą sukcesyi tronu. Lubomirski idąc na lep brandeburski, oświadczał się stanowczo przeciw kandydaturze francuskiéj i austryackiéj jak wogóle przeciw całemu projektowi królowéj, natomiast proponował sam kandydaturę elektora, dodając, jak już wyżéj napomknęliśmy, że trzebaby mu wiarę zmienić, ale „że przecież korona polska także mszy warta.“ Cel więc Hoverbecka był osiągnięty. Lubomirski oświadczył się stanowczo przeciw projektowi sukcesyjnemu królowéj; co się zaś tyczy jego propozycyi wystąpienia z kandydaturą samegoż elektora, nie pozostała ona bez pewnego wrażenia a, jak nas przekonywają listy elektora do Schwerina, była przedmiotem bardzo poważnych zastanowień na dworze brandeburskim...

Następnie udał się Hoverbeck do królowéj saméj, która po długiéj konferencyi oświadczyła reprezentantowi elektorskiemu, iż będąc mimo wszelkich ofiar i nagabywań L'Isoli przeciwną kandydaturze arcyksięcia austryackiego, skłania się do kandydatury księcia Enghien lub księcia neuburskiego...

W ten-to sposób znalazł się przygotowany materyał do akcyi brandeburskiéj polityki. W marcu i kwietniu 1661 ustąpiły chwilowo postulaty wynikające z traktatów oliwskich z pierwszego planu. Naczelnym jéj interesem stawało się zwichnięcie sukcesyjnego projektu królowéj. Hoverbeck i Goltz zyskali pewność, że projekt ten będzie poddany pod obrady sejmików i sejmu, wybadali z nie mniejszą dokładnością, kto jest kandydatem dworu, co najważniejsza, zasnuli na szeroką skalę intrygi między dygnitarzami i wpływowemi osobistościami Rzeczypospolitéj, mające na celu podkopanie pomysłu Maryi Ludwiki. Wśród takich okoliczności odbyły się dnia 28 marca sejmiki i dowiodły w znacznéj części swych laudów skuteczności brandeburskiéj roboty. Jeżeli z jednéj strony większość sejmików, ulegając skuteczniejszemu obecnie, niż kiedybądź-indziéj wpływowi malkontentów pruskich i lawenbursko-butowskich, mianowicie podpułkownika Kalksteina, upominała się o prawa mieszkańców tych krain, jeżeli protestowała przeciw oddaniu elektorowi Elbląga; to z drugiéj strony objawiała się wręcz przeciwnie skuteczność wpływu brandeburskiego w protestach przeciw sukcesyjnemu projektowi królowéj. Ruś, Mazowsze i W. Polska zaopatrzyły swych posłów w instrukcye, oświadczające się przeciw wyborowi następcy tronu za życia Jana Kazimierza...

Tymczasem, w obliczu mającego się zebrać w Warszawie sejmu, zaczęli się zjeżdżać tamże reprezentanci zagranicznych mo-

carstw: Bielke szwedzki, L'Isola austryacki, de Lumbres francuski, Rautenstein neuburski. Wobec niespełnionych jeszcze rozporządzeń traktatu oliwskiego, wobec coraz-to groźniejszych, coraz przykrzejszych zażaleń malkontentów pruskich i lawenbursko-butowskich, których reprezentanci podpułkownik Kalkstein i młody Rohde, syn królewieckiego burmistrza, w miesiącach maju i czerwcu 1661 snują się nieustannie między Prusami a Warszawą; wobec natarczywéj dla Brandeburgii konieczności zwichnięcia projektu sukcesyjnego królowéj, uważa elektor za rzecz stosowną dodać baronowi Hoverbeckowi pomocnika w osobie znanego nam już Jana Ulryka Dobrzyńskiego a zaopatrzyć obu w nową na sejm warszawski instrukcyą. Według instrukcyi téj mieli reprezentanci Brandeburgii zadanie łagodzić przedewszystkiém wszelkie drażliwości usposobienia polskiego przeciw elektorowi, mianowicie przedstawiać w jak najłagodniejszém, o ile możności, świetle stosunki między elektorem, Bogusławem Radziwiłłem a carem; przemawiać nadto za pretensyami brandeburskiemi w imię i na podstawie traktatów, mianowicie za oddaniem Elbląga i starostwa drahimskiego. Drugą częścią zadania Hoverbecka i Dobrzyńskiego podczas sejmu warszawskiego było pracować, *ale* z jak największą ostrożnością nad obaleniem sukcesyjnego projektu, wchodzić w tym celu w stosunki z przeciwnikami dworu, mianowicie z wielkim marszałkiem koronnym Lubomirskim; wreszcie rozciągnąć jak najtroskliwszą kontrolę nad robotami malkontentów pruskich w Warszawie i starać się przejąć ich komunikacye z krajem...

Sejm warszawski, odbywający się pod laską księcia Michała Radziwiłła podczaszego litewskiego, trwający do miesiąca lipca (1661), przedstawia ze stanowiska polityki brandeburskiéj i jéj rezultatów równoległy całkiem poprzedzającym go sejmikom przebieg. *Dwa* owéj polityki główne, odmienne naturą rzeczy cele—odmienne też odnoszą rezultaty. Elektor, Bogusław Radziwiłł, ich polityka przedstawiają się cokolwiekbądź i mimo wszelkich sztuk reprezentantów brandeburskich, szlachcie polskiéj ze wstrętnéj i podejrzanéj strony. Niemałą w tém odgrywają rolę zażalenia malkontentów pruskich i lawenbursko-butowskich. Ztąd też wszelkie postulaty brandeburskie jakoto oddanie Elbląga, przewóz pod Nowem, brandeburska poczta w Gdańsku, ustąpienie starostwa drahimskiego na sejmie warszawskim doznają nietylko niedobrego przyjęcia, ale co więcéj stanowczego niepowodzenia. Dodają nadto otuchy i odwagi nowe zwycięstwa Stefana Czarnieckiego, którego postać, jak świeci dzisiaj, legendowo już niemal, wyobraźni i dumie narodowéj, tak nie traci, chwała Bogu, nic ze swego blasku przy tém bliższém, dokumen-

towém poznaniu. Konferencye podjęte przez reprezentantów brandeburskich w sprawie elbląskiéj nie prowadzą do pożądanego rezultatu a elektor sam decyduje się nareszcie w korespondencyi z nimi zrezygnować z posiadania Elbląga w zamian korzyści pieniężnéj natury. Natomiast odnosi polityka brandeburska niezaprzeczalny tryumf na *drugiéj* swego interesu widowni, gdzie się wiąże w równie przypadkowe, jak nienaturalne przymierze z interesem tak zwanych *patryotów polskich*. Projekt sukcesyjny królowéj przypada na kończącym się w miesiącu lipcu 1661 sejmie, a dwór przypisuje nie bez słuszności niepowodzenie jego wpływowi w. marszałka koronnego Lubomirskiego związanego tak ściśle, jak przekonaliśmy się, z polityką brandeburską.

Po skończeniu sejmu bawią obaj agenci brandeburscy aż do miesiąca października 1661 w Warszawie, podejmując z kanclerzem w. koronnym Prażmowskim, raz-po-raz a zawsze bez stanowczego rezultatu, konferencye w sprawie oddania Elbląga, zadowolnieni osiągniętém w sprawie projektu sukcesyjnego powodzeniem, zaopatrzeni w nową elektora instrukcyą czuwania jak najtroskliwiéj nad każdém poruszeniem malkontentów pruskich w Polsce, przeszkadzania w porozumieniu z w. marszałkiem koronnym Lubomirskim wszelkiéj próbie, jakąby królowa w sprawie sukcesyjnéj ponowić chciała...

W listopadzie 1661 wraca elektor z Kliwii do swéj stolicy „*Kolonii nad Sprewą*“, kiedy Hoverbeck przepędza zimę z r. 1661 na 62 w swych dobrach pruskich. W Polsce tymczasem zawiązuje się i sroży tak słynna w dziejach Jana Kazimierza konfederacya wojskowa pod marszałkowską władzą Jana Samuela Świderskiego, o którym-to mówiono współcześnie, „*że ten świder dziury w moście Rzeczypospolitéj nie zrobi.*“ który przecież, jak się przekonywamy z korespondencyi elektora i jego reprezentantów, stanowił dość poważny dla Rzeczypospolitéj kłopot, by nieprzyjaciół jéj, jak Brandeburczyka, do tém śmielszego wyzywać działania. Nasamprzód rozłożyli się konfederaci wojskowi po wszystkich dobrach królewskich i duchownych z zamiarem wydobycia z ich sekwestru swéj należytości. Pięć pułków skonfederowanych rozkwaterowało się podczas zimy z r. 1661 na 62 w Warmii i groziło, że ją zamieni w pustynią. Prócz tego nie zbywa, jeżeli nie na wyraźnych dowodach, to przynajmniéj na poszlakach, że konfederacya wojskowa nie działała bez pewnego porozumienia z elektorem. Przechodząc przez terytoryum elektorskie do swych konsystencyj warmińskich, obchodzili się konfederaci, według zaręczenia Hoverbecka, dziwnie względnie z mieszkańcami, płacili wszystko gotówką, nie naruszali ceł. Co ważniejsza może od tego, jako skazówka wspólnego porozumienia, to że Świder-

ski marszałek związkowy, istnie w myśl intencyi elektorskiéj, rozpowszechniał pracowicie wieści, iż królowa Marya Ludwika w porozumieniu z posłem szwedzkim w Paryżu hr. Tottem zamyśla wprowadzić choćby nawet przemocą do Polski kandydata francuskiego. Ze względu na mający się zebrać w Warszawie w miesiącu lutym 1662 sejm nadzwyczajny, postanowił elektor wyprawić w powtórnéj misyi Hoverbecka do Polski z wyraźném poleceniem korzystania z jéj obecnych kłopotów i kuszenia w tym celu przedewszystkiém znów Lubomirskiego. Pominąwszy wszelkie sztuki i środki natury politycznéj, dostał Hoverbeck od elektora rozkaz zawieźć, jak nadmieniono wyżéj, córce Lubomirskiego, wychodzącéj właśnie za mąż za syna w. hetmana koronnego Potockiego, kosztowny, ślubny podarek. Była nim piękna, 6000 dukatów wartująca, złota czara, dzieło elektorskiego złotnika Ruppena w Berlinie...

Hoverbeck wyjeżdża po odebraniu takich instrukcyj a dzieło jego rozpoczyna się z miesiącem lutym 1662. Wybiera się na Poznań, prawdopodobnie, by się tutaj zetknąć z dawnymi interesu elektorskiego rzecznikami, obu Leszczyńskimi. Po drodze dowiaduje się, że sejmiki w Środzie i Szadku oświadczyły się ponownie przeciw projektowi sukcesyjnemu. Okoliczność ta w połączeniu z konfederacyą wojskową, w połączeniu daléj z obecnością marszałka związkowego Świderskiego w Warszawie, dodaje posłowi brandeburskiemu otuchy, dodaje mu odwagi do stanowczego domagania się tradycyi Elbląga w zamian Braunsberga i Frauenburga, do stanowczéj rozprawy z malkontentami pruskimi, do żądania wreszcie zamianowania z ramienia Rzeczypospolitéj komisyi, któréj zadaniem-by było ostateczne uregulowanie wszelkich wzajemnych pretensyj między Polską a Brandeburgią. W skład tej komisyi mieli wchodzić według instrukcyi elektorskiéj, oddani interesowi brandeburskiemu Jan Leszczyński podkanclerzy koronny, Kobierzycki wojewoda pomorski, Laskowski wojewoda płocki...

Za przybyciem do Warszawy w miesiącu marcu (1662) spotyka się Hoverbeck, by od *tego* zacząć przedmiotu, z niesłychanemi trudnościami pomieszczenia przy wielkiém przepełnieniu miasta. Goes poseł cesarski mieści się z trudem, niewiadomo już gdzie, de Lumbres poseł francuski w domu na Krakowskiém Przedmieściu; on sam Hoverbeck w domu kasztelana krakowskiego. Położenie rzeczy, jakie za tém ponowném swém na polską widownię przybyciem zastał, charakteryzuje się następnie. Mimo zwycięstw Stefana Czarnieckiego, mimo pewności, jaką charakter jego dla dworu polskiego przedstawiał, panowało przecież z powodu postawy Lubomirskiego, z powodu daléj konfederacyi wojskowéj uczucie zakłopotania i obawy

w Warszawie z czego poseł brandeburski korzystać sobie zamierzył. Na udzielonéj mu audyencyi, oświadczyła niepotrzebnie może królowa Marya Ludwika, że jak na teraz streszczają się jéj kandydatury, z pominięciem wszelkich innych, niemieckich i austryackich, do trzech osób: księcia Condé, księcia Enghien i księcia de Longueville. Dodaje jednakże zaraz Hoverbeck, iż plan sukcesyjny królowéj w Polsce jest wielce niepopularny, że napotyka nieprzezwyciężone trudności i że Marya Ludwika cofa go nawet nibyto publicznie, by tém zabiegléj pracować nad jego przeprowadzeniem ubocznie. Mianowicie ofiaruje Lubomirskiemu złote góry, by go dla swego planu pozyskać. Jakikolwiekbądź przecież obrót sprawa ta weźmie, odradza Hoverbeck (pod koniec marca 1662) elektorowi zgodę na jakiegobądź kandydata Francyi i na plan sukcesyjny królowéj. Zbliża się téż wtedy Hoverbeck do Lubomirskiego, przywozi mu komplementy od swego pana, doręcza w dodatku owę złotą czarę jako podarek ślubny dla córki i odbywa z nim konferencyą, któréj rezultatem ponowne oświadczenie w. marszałka koronnego, iż przenigdy nie będzie zwolennikiem projektu królowéj, ponieważ za najstosowniejszego na tron polski kandydata uważa jakiego księcia niemieckiego, przedewszystkiém zaś samego elektora...

Wśród takich okoliczności kończy się w maju 1662 nadzwyczajny sejm warszawski z tym samym, co dawniéj rezultatem, z odrzuceniem projektu sukcesyjnego, a pozostawieniem w dotychczasowym, niezałatwionym stanie wzajemnych pretensyj polsko-brandeburskich. Po ukończonym już przecież sejmie pozostaje Hoverbeck przez miesiące maj, czerwiec i lipiec (1662) w Warszawie, a pobyt jego znajduje aż nazbyt ważny powód w postawie i opozycyi pruskiéj przeciw elektorowi. Miesiące wiosenne i letnie roku 1662 stanowią właśnie najgorętszą chwilę nurtu opozycyjnego mieszkańców księstwa Pruskiego przeciw dolegającemu coraz bardziéj panowaniu brandeburskiemu. Miasto Królewiec podnosi głowę, oświadcza niezachwianą wierność dla związku z Rzecząpospolitą. Przybywają do Warszawy młody Rohde, hr. Schlieben jako reprezentanci żądań pruskich u dworu polskiego. Postawa podobna mieszkańców Prus, podobna akcya ich reprezentantów w Warszawie drażni i niepokoi elektora, wyzywa czynność jego posła, który licząc na współczesne kłopoty Rzeczypospolitéj, a czując punkt oparcia w związkach z Lubomirskim i Leszczyńskimi, uważał za rzecz stosowną podnieść śmieléj głos i posunął się wobec dworu polskiego do żądania, by młodego Rohdego wydano jako zbrodniarza stanu władzom elektorskim w Prusach. Jan Kazimierz jednakże odrzucił to żądanie reprezentanta Brandeburgii z tém większém prawem i popar-

ciem tego, cobyśmy dzisiaj nazwali opinią publiczną, iż, pominąwszy już nawet fakt opieki nad Rohdem potężnego magnata, jakim był książę Dymitr Wiśniowiecki wojewoda bełski,—w miesiącu czerwcu i lipcu 1662 właśnie opozycya pruska przeciw elektorowi przybrała groźne bardzo rozmiary, wzrosła do wyraźnego rokoszu przeciw jego władzy i spowodowała wygotowanie formalnego aktu oskarżenia, *Klagelibell*, który przesłano do Warszawy. Gniew elektora, Bogusława Radziwiłła, Schwerina, Hoverbecka z tego powodu nie znał granic. Zaradzić jednakże złemu w Warszawie było trudno, bo skargi Prusaków w połączeniu z lawenbursko-butowskiemi poruszyły szlachtę a nawet wpływ Lubomirskiego nie był dość silnym, by żądaniom elektora i Hoverbecka wyjednać zadosyć-uczynienie. Na udzieloném posłuchaniu poczynił król Jan Kazimierz posłowi brandeburskiemu ważne zwierzenia co do osoby Lubomirskiego, wskazywał go jako najniebezpieczniejszą dla kraju osobistość, nazywał go *Cromwellem polskim*.

Wśród takich usposobień nie mógł, chwilowo przynajmniéj, Hoverbeck liczyć na spełnienie swych postulatów w sprawie pruskiéj a Jan Kazimierz i Marya Ludwika wystąpili nieostrożnie i niewcześnie z rodzajem moralnéj interwencyi na rzecz malkontentów pruskich. *Nieostrożnie i niewcześnie*, mówimy, bo ponowione instancye Hoverbecka z powołaniem się na istniejące traktaty, z oparciem się na osobie w. marszałka koronnego Lubomirskiego, wydobyły nareszcie, mimo wszelkich błagań i ponownych protestów Królewczan, w połowie miesiąca sierpnia 1662 od dworu polskiego deklaracyą, uznającą prawa elektora do księstwa Pruskiego. Chwiejna ta polityka dworu warszawskiego, była tém zgubniejszą i szkodliwszą, że dawała malkontentom pruskim powód do przypuszczenia, że ich Rzeczpospolita w stanowczym razie nie opuści a że wszelkie deklaracye i pisma króla polskiego przeciwnego sensu są poprostu tylko środkiem uśpienia czujności i podejrzliwości elektorskiéj. Rzeczywiście nie mają może w podobném przypuszczeniu zupełnéj niesłuszności, choć tém więcéj potępienia godna polityka, co drażniąc ich zdaleka, nie była równocześnie pewną, czy im w stanowczéj chwili będzie mogła pośpieszyć z konieczną odsieczą. W owych miesiącach lata r. 1662 schodzą znów na drugi plan sprawy, jak elbląska, jak przewozu pod Nowem, jak ubita i pochowana natymczasem sprawa projektu sukcesyjnego, by ustąpić pierwszeństwa sprawie zawichrzeń pruskich opierających się na Polsce. Elektor i jego dyplomacya zaniepokojeni do najwyższego stopnia wzburzeniem, które grozi pozbawieniem go w dalszym rozwoju wszelkich korzyści traktatu oliwskiego. W Warszawie zaś panują wobec tego ruchu dwa przeciwne,

krzyżujące się z sobą, ubezwładniające się nawzajem prądy intrygi brandeburskiéj patronowanéj przez w. marszałka Lubomirskiego, obu Leszczyńskich, Morsztyna, Grzymułtowskiego, w. kanclerza koronnego Prażmowskiego, intrygi domagającéj się stanowczo porzucenia sprawy pruskiéj i oddania księstwa Pruskiego w ręce elektorskie; następnie prąd przeciwny, wychodzący od królowéj, któraby rada Prusaków wziąć w opiekę i ustrzedz ich od pójścia pod panowanie elektorskie. W pośrodku tych dwóch przeciwnych prądów widzimy króla Jana Kazimierza nie pewnego siebie, chwiejnego, współczującego może sercem z żądaniami Prusaków, ulegającego przecież w przeświadczeniu zbywających środków, smutnym wymaganiom konieczności politycznéj. Kto wśród owego wiru konsekwentny w swém przywiązaniu do Polski i do własnéj swobody, to jedynie Prusacy tylko a z pośród nich przedewszystkiém dzielni Królewczanie. Ufni w interwencyą królowéj, która z tego powodu coraz nienawistniejszą i podejrzańszą elektorowi i jego agentom; licząc ciągle na pomoc Polski, wyciągając do niéj rozpaczliwie ręce, nie poprzestają na dotychczasowych swych w Warszawie, młodym Rohdem i hr. Schliebenie, agentach. Wyprawiają do Polski nowe pisma i nowych agentów, domagają się pomocy polskiéj, proszą Stefana Czarnieckiego choćby o stu ludzi tylko jego dzielnego żołnierza, pukają do drzwi królewskich przez spowiednika Jana Kazimierza, ojca Sohlena.

Taka postawa Prusaków niepokoi do najwyższego stopnia elektora; odzywa się z jego strony bardzo poważna obawa o utratę niezależności księstwa Pruskiego jako najważniejszego zysku wojny szwedzkiéj, traktatów welawsko-bydgosko-oliwskich. Zabiegi Hoverbecka w Warszawie stają się coraz natarczywsze, dwór warszawski, niepewny siebie i wahający się jak zawsze, stąpający na grząskim gruncie, ustępuje raz jeszcze, podrażniwszy poprzednio opozycyą pruską i dodawszy jéj otuchy, i ogłasza pod koniec sierpnia r. 1662 ponowną deklaracyą uznającą prawa elektora do księstwa Pruskiego. Po osiągnięciu takowego rezultatu opuszcza Hoverbeck Warszawę. Intrygi jego w Polsce wyszły na jaw, doszły wiadomości dworu; Jan Kazimierz skarżył się w liście do elektora ze Lwowa z dnia 22 września r. 1662, iż Hoverbeck namawiał obu hetmanów koronnych: Potockiego i Lubomirskiego do rzeczy, które-by zdolne były zamieszać pokój Rzeczypospolitéj. Hoverbeck wyparł się naturalnie uczynionego sobie zarzutu, elektor zakomunikował podobne jego zaprzeczenie dworowi polskiemu a Jan Kazimierz rad-nie-rad znalazł się w konieczności poprzestania na niém.

Przez miesiące jesienne i zimowe roku 1662, przez pierwsze półrocze roku 1663 przedstawia korespondencya między elektorem a Hoverbeckiem przerwę; dzieje jéj jednakże wiadome skąd-inąd. Polityka brandeburska odniósłszy zwycięstwo na dwóch sejmach z r. 1661 i 62 w sprawie projektu sukcesyjnego, znalazła się natomiast pobitą we wszystkich innych swych pretensyach i nie oddano elektorowi Elbląga; zaprzeczono wydania Drahimia za życia dożywotniéj jego posiadaczki hetmanowéj Potockiéj, zniewolono elektora do ustąpienia w przedmiocie poczty gdańskiéj i przewozu pod Nowem. We wszystkich tych sprawach drobniejszego znaczenia, widzimy elektora tém skłonniejszym do ustępstw, im większém niebezpieczeństwem przy usposobieniu dworu polskiego, przy wrogiéj postawie mieszkańców księstwa Pruskiego grozi najważniejsza dla niego obecnie sprawa niezależności władzy jego tamże. Nie mylimy się pono, twierdząc, iż wszelkie jego koncesye w owych kwestyach podrzędniejszéj wagi tłómaczą się chęcią załatwienia głównéj sprawy, jaką dla niego było urzędowe uznanie jego zwierzchniéj władzy w Prusach ze strony Rzeczypospolitéj. W tym celu zjeżdża elektor w lecie r. 1663 sam do Prus, przebywa na przemian w różnych kraju miastach i miasteczkach, nakoniec w samym Królewcu. Co się zaś jego równoczesnéj akcyi dyplomatycznéj w Polsce tyczy, streszcza się ona do dwóch naczelnych zadań: nasamprzód do wyjednania nominacyi przychylnych swemu interesowi komisarzy Rzeczypospolitéj w sprawie księstwa Pruskiego i pretensyj pruskich; następnie do jak najtroskliwszego czuwania nad każdym krokiem i ruchem dworu polskiego, nad stosunkami jego z malkontentami pruskimi, mianowicie z młodym Rohdem, podpułkownikiem Kalksteinem i hrabią Schliebenem. Listy i instrukcye elektora począwszy od miesiąca sierpnia r. 1663 nie pozostawiają pod tym względem najmniejszéj wątpliwości. Reprezentantami brandeburskiego interesu przy boku bawiącego naówczas we Lwowie Jana Kazimierza są: stary nasz znajomy Hoverbeck i sekretarz legacyjny Joachim Scultetus. Marszałek w. koronny Lubomirski w wyraźnéj już teraz niełasce u dworu nie przedstawia dla interesu brandeburskiego tego, co dawniéj, oparcia. Trzeba się oglądać na Leszczyńskich, Morsztynów, Grzymułtowskiego, zaglądać do kanclerza Prażmowskiego a tymczasem otoczyć siecią czujności emisaryuszów pruskich. Wspomniany dopiéro co radca legacyjny Scultetus rozwija pod tym względem niepospolitą czynność i zręczność. Podpułkownik Kalkstein, hr. Schlieben, młody Rohde wzięci przezeń pod najściślejszą kontrolę. Jednym z mimowolnych może agentów Sculteta w jego dziele stał się niejaki porucznik von Brodden, prawdopodobnie oficer w służbie polskiéj za-

granicznego autoramentu. Przy pewnéj uczcie, na którą według własnego opowiadania i Scultet był zaproszony, zakomunikował mu Brodden, wspominając o stosunkach pruskich, że przed dwoma tygodniami (sierpień, 1663) widział w przedpokoju króla niejakiego Schmelinga wraz z innym Prusakiem synem obywatelskim z Królewca, którego ojca elektor kazał uwięzić, gdy przemawiał za wolnością ojczyzny. Schmeling mówił przy téj sposobności, że ani król ani Rzeczpospolita nie mają zamiaru odstąpić elektorowi zwierzchności nad Prusami a że król śmieje się, gdy o tém mowa. Scultet, którego Brodden nie znał, zapytał go następnie, czy więcéj jeszcze obywateli królewieckich uwięziono? Brodden odpowiedział na to, że nie wie, lecz że król się dziwi, dlaczego dotąd nikt nie wystąpił jeszcze w obronie samego Rohdego.

Młodemu Rohdemu bawiącemu ciągle na dworze polskim, utrzymującemu stosunki ze spowiednikiem królewskim o. Sohlen, z sekretarzem królowéj Kornem, przypisuje Scultet głównie dotychczasowe przeszkody, z jakiemi dwór w sprawie oddania księstwa Pruskiego występuje, zwłaszcza że Rohde cieszy się niezawodną protekcyą królowéj. Głównym kłopotem elektora w obecnéj chwili jest ów „*młody Rohde*,“ a odzywając się z pomysłem, który późniéj na téj saméj widowni miał się urzeczywistnić względem osoby Kalksteina, pisze pod dniem 11 sierpnia r. 1663 do Hoverbecka: „Gdybyś mógł jako z przyzwoleniem króla pochwycić Rohdego, staraj się to w jak najzręczniejszy sposób uskutecznić.“ Naturalnie nie można było o podobnym zamachu z *przyzwoleniem* Jana Kazimierza myśléć a młody Rohde prowadzi swe dzieło daléj, agitując przeciw oddaniu Prus elektorowi, opierając się, ile można, zamianowaniu podkanclerzego koronnego Jana Leszczyńskiego komisarzem Rzeczypospolitéj do spraw pruskich, jako oddanego zupełnie interesowi elektorskiemu.

Pod koniec sierpnia r. 1663 widzimy Jana Leszczyńskiego w dobrach wielkopolskich, Murowanéj Goślinie pod Poznaniem, Hoverbecka na przemian w Nieporęcie i Prasnyszu. W kłopotach swych o hołd pruski, wśród coraz skuteczniejszéj agitacyi młodego Rohdego, zwracają się elektor i Hoverbeck z uprzejmościami i obietnicami do kanclerza Prażmowskiego. Elektor wysyła do niego własnoręczne pismo, Hoverbeck obsypuje go komplementami. Starania te nie padają na opoczystą rolę. W poufnéj konferencyi z Hoverbeckiem radzi Prażmowski elektorowi, aby ustępował w mniéj ważnych rzeczach Polsce, mianowicie, aby nie opierał się projektowi sukcesyjnemu królowéj, Francyi, kandydaturze księcia Condé. Nieco późniéj pod dniem 16 sierpnia r. 1663, pisze Hoverbeck z Nieporętu do elektora: „Pismo do w. kanclerza koronnego, w którém Wasza

Elektorska Mość zapewniasz mu przyzwoity prezent, zdaje się już objawiać swą skuteczność, ponieważ to, co uważał początkowo za rzecz tak trudną, podjął się załatwić w ciągu jednego dnia.“ Dodać przytém należy, iż pośrednikiem i nader czynnym agentem Hoverbecka w stosunkach z kanclerzem jest brat tegoż, że radzca legacyjny Scultet bawi ciągle przy boku królewskim na Rusi, kiedy Hoverbeck przebywający, jak wyżéj powiedziano, przez miesiąc sierpień i początek września r. 1663 na przemian w Nieporęcie i Prasnyszu, utrzymuje podejrzane stosunki z Lubomirskim, odbywa ustne i piśmienne konferencye z podkanclerzym Leszczyńskim. Pozornym i pokaźnym celem reprezentanta elektorskiego na tém stanowisku jest doczekać nominacyi i przybycia komisarzy Rzeczypospolitéj na akt hołdu księstwa Pruskiego dla elektora. Kierownictwo polityki polskiéj w owéj chwili znajduje się właściwie w ręku królowéj, spowiednika jéj Herischena, przybocznego lekarza Corradiego, oficyalnych wreszcie dygnitarzy Rzeczypospolitéj jak: Prażmowskiego w. kanclerza, Leszczyńskiego podkanclerzego, Morsztyna referendarza koronnego; ponieważ król z wojskiem na Podolu zatrudniony wojną z Moskwą. Przebywający naówczas w Prusach, przejeżdżający się z jednego do drugiego miasta, z Królewca do Ragnety, z Ragnety do Instrucia, elektor dokłada też wraz z Hoverbeckiem wszelkich starań, by ugłaskać sobie królową i dygnitarzy polskich być może jeszcze w sprawie oddania Elbląga, co ważniejsza, w sprawie hołdu pruskiego. Komisarzami Rzeczypospolitéj w sprawie hołdu owego zamianowano wreszcie podkanclerzego Leszczyńskiego i biskupa warmińskiego Stefana Wydżgę. Pierwszy był, jak nam aż nazbyt dobrze wiadomo, wprost agentem interesów brandeburskich i zdradzał bez ogródki tajemnice swych instrukcyj Hoverbeckowi. Biskup warmiński za to jest człowiekiem czystym, ale ma przy boku swoim dwóch kanoników kapituły warmińskiéj, Fantoniego i Stössla, których pokusy elektorskie nie bez skutku doświadczają. Równocześnie widzimy z listów elektora do Hoverbecka z Ragnety dnia 5 września, z Sarkowa dnia 18 września, iż kanclerz Prażmowski jest pozyskany dla interesu brandeburskiego. Toż samo pokazuje się z listu Hoverbecka do elektora z dnia 19 września co do referendarza koronnego Morsztyna. Elektor mówi w jednym ze swych listów: „Bratu w. kanclerza koronnego lub kogokolwiek on wskaże, masz (Hoverbeck) wskazaną wyżéj sumę (tylko 500 talarów!) bezzwłocznie wypłacić, resztę zaś w swoim czasie.“ Hoverbeck gardzi w swych listach „*tymi ludźmi*,“ jak ich nazywa, odradzając swemu panu, aby przed istotném spełnieniem ich przyrzeczeń, cośkolwiekbądź im wypłacał. Wśród podobnych kłopotów o Elbląg i hołd pruski, ale też wśród podobnie

przygotowanego gruntu, prosi Hoverbeck i zyskuje posłuchanie u królowéj.

Audyencya ta odbyła się dnia 12 września 1663, a rozpoczęła się od wzajemnych komplementów, mianowicie od rozmowy o karecie, którą elektor kazał zrobić w Holandyi dla króla polskiego a która miała szczęście na dworze polskim się podobać.

Następnie wzięła rozmowa poważniejszy obrót i dotknęła najważniejszych i najdraźliwszych dla obu stron politycznych kwestyj. Toczyła się, nawiasowo powiedziawszy, po francuzku, który to język Hoverbeck z długiego pobytu we Francyi dokładnie posiadał. Poseł brandeburski opisał dla swego pana cały jéj przebieg i wszelkie szczegóły jak najdokładniéj. Z relacyi téj widzimy, że mimo komplementów, że mimo obłudnych oświadczeń wzajemnéj życzliwości i przyjaźni, mimo wszelkich zaprzeczeń Hoverbecka, jakoby na swém stanowisku poselskiém w Polsce był traktował politykę dworowi przeciwną, cała ta kilkogodzinna rozmowa streszczała się właściwie do szczególnych rekryminacyj przeszłości, ze strony królowéj do wyrzutów elektorowi, że jéj przeszkadzał w jéj projekcie sukcesyjnym, że podburza dygnitarzy Rzeczypospolitéj, że traktuje politykę Polsce przeciwną; ze strony Hoverbecka, że królowa nie chce dopuścić elektora do posiadania Elbląga, że wchodzi w stosunki i związki z malkontentami pruskimi. Jako praktyczny rezultat téj długiéj rozmowy zyskał Hoverbeck pewność, że dwór polski nie myśli odstąpić pod żadnym warunkiem Elbląga, że się jednakże zgodzi na hołd księstwa Pruskiego dla elektora i że wyśle nań swych komisarzy, że wreszcie Marya Ludwika nie przestaje myśléć o kandydaturze księcia Enghien, jeśli nie za życia, to przynajmniéj po najdłuższém życiu swego małżonka. Hoverbeck skarżył się wprawdzie w skutek tego na dwulicowość, na nieprzyjaźń królowéj. Ponieważ jednakże rzeczy w Prusach zaczęły przybierać coraz niebezpieczniejszą postać, ponieważ mianowicie w Królewcu panowało niesłychane wzburzenie w skutek uwięzienia mistrza ławników Hieronima Rohde, radził elektorowi ustąpić w sprawie Elbląga i we wszystkich innych kwestyach drobniejszéj wagi, byle tylko sterować ku najważniejszemu celowi hołdu pruskiego. Podkanclerzy Leszczyński wyjechał tymczasem dnia 14 września 1663 jako komisarz Rzeczypospolitéj z Warszawy do Heilsberga, by spotkawszy się tamże z biskupem warmińskim Wydżgą jako z drugim komisarzem, udać się na odbycie aktu homagialnego do Królewca. Kiedy Hoverbeck pozostał jeszcze w Warszawie, wyprawiał elektor do bawiących w Heilsbergu komisarzy polskich w celu ostatecznych układów pod koniec września 1663 swego tak zwanego halbersztadzkiego kanclerza Frydery-

ka von Jena. Dnia 24 września odbyła się konferencya, która dała sposobność wyczerpującéj wymiany obustronnych postulatów. Polscy komisarze czynili zależnym hołd księstwa Pruskiego od zatrzymania Elbląga, od ewakuacyi Braunsberga, od zaręczenia ze strony elektora traktatowéj Polsce w razie wojny pomocy, wreszcie od wyraźnego zastrzeżenia, aby szlachta i lud pruski nie byli zmuszeni do bezogródkowéj przysięgi na rzecz elektora. Po zniesieniu się z Janem Leszczyńskim, który do ostatniéj chwili nie przestaje odgrywać roli najzabieglejszego agenta brandeburskiego, daje Jena elektorowi pod dniem 25 września 1663 z Heilsberga następną radę: „Mogę się mylić, ponieważ jestem człowiekiem; według mego przekonania przecież nie mogę robić porównania między Braunsbergiem a utwierdzeniem zwierzchności i władzy elektorskiéj w księstwie Pruskiém, a byłby to śliski i słaby fundament, gdyby państwo elektora miało spoczywać na Braunsbergu. Przyczyny, jakie baron Hoverbeck i inni przytaczają, podejmuję się zbić łatwo. Teraz już czas za krótki. Może być, że Polska będzie słabszą, ale może być, że też będzie mocniejszą. Niechaj jednakże rzeczy wezmą obrót, jaki chcą, uważam przyjaźń (z Polską) za rzecz konieczną, ponieważ słaby może się stać znów mocnym i odzyskać siłą to wszystko, co mu w czasie jego słabości niesłusznie wzięto. Podczas konfederacyi zdawała się królowa i dwór zgubionemi; teraz pokazuje się, że przy królowéj wielu a prawie wszyscy stoją. Gdyby Polska przeciw Moskwie była szczęśliwą lub stronnictwo dworskie w jaki-bądź sposób się wzmocniło, łatwo sobie elektor wyobrazi, jakby natenczas przemawiali. Jestem tedy zdania, że elektor dla Braunsberga aktu homagialnego, będącego właściwém uzupełnieniem jego najwyższéj władzy, nie może zaniedbywać i z powodu jednego miasta zyskanéj zwierzchności i całego pruskiego państwa na szwank wystawiać. Elektor ma teraz różne zdania, między któremi niechaj rozstrzyga. Ja we wszystkich razach będę się starał okazać wiernym i niespożytym sługą. Mniemam tedy, że elektor wiele czasu do stracenia nie ma; jest bowiem rzeczą pewną, iż przy królu (Janie Kazimierzu) znajduje się wielka liczba Tatarów i Kozaków i że król obecnie ciągle jeszcze znajduje się w postępie; niechaj téż elektor zważy, co Hoverbeck donosi o armii litewskiéj, że takowa z powodu Braunsberga miałaby ochotę wtargnąć do księstwa Pruskiego. Ucierpiałaby cześć i sława elektora, gdyby w ten sposób Braunsberg miał postradać, kiedy to teraz na wstawienie się królewskie i na pokorne i błagalne biskupa prośby nastąpić może. Prócz tego téż jeszcze mówił biskup (Wydżga) z wielką czcią o elektorze i prosił o wszystko z wielką skromnością.“

Praktyczna ta rada Jeny odniosła w postanowieniach elektora zwycięstwo przeciw jego własnym popędom i butnym namowom Hoverbecka. Zrezygnował się na Braunsberg i Frauenburg, jak poprzednio już znalazł się w konieczności zrezygnowania na wydanie Elbląga. Dodajmy, że w téj ostatniéj nawet jeszcze chwili, że już w przededniu mającego się spełnić pruskiego hołdu, elektor nie przestaje kołatać do złych stron komisarzy polskich. Tak np. pisze pod dniem 26 września, 1663 do Jeny: „Przedstaw także podkanclerzemu (Janowi Leszczyńskiemu), że ponieważ mandat królewski i Rzeczypospolitéj stwierdzony uchwałą sejmową w oryginale przed sobą mamy, czyby może nie chciał tutaj (do Królewca) przybyć własną osobą i stosownie do swego polecenia dzieło do skutku doprowadzić. Uznalibyśmy krok podobny z wielką wdzięcznością, jako-też przeznaczone dla niego 8,000 talarów są już gotowe."

Podobne konszachty Hoverbecka odbywały się równocześnie z Lubomirskim, podobne z prymasem Wacławem Leszczyńskim, podobne z Kobierzyckim wojewodą pomorskim, jakkolwiek u wspomnianych dopiéro co osobistości nie spotykamy się wyraźnie z pokusami pieniężnemi. Odbija uczciwością i nieskazitelnością na tém tle postać drugiego komisarza Rzeczypospolitéj biskupa Wydżgi, po za którym stoi ze swym wpływem politycznym królowa Marya Ludwika a który mimo nagabywań z obu przeciwnych stron oświadcza, że nie odstąpi ani na włos od udzielonéj sobie przez Rzeczpospolitą instrukcyi. Namowy Jana Leszczyńskiego w interesie elektorskim pokazują się tu równie bezskutecznemi, jak zabiegi nie chcących iść pod rządy elektorskie Prusaków. Zacny Wydżga, nie zdradzając ludzi i nazwisk, oświadcza Jenie, że mu Prusacy ofiarowali 100,000 złotych, byle tylko odstąpił instrukcyi i nie dopuścił aktu ich homagialnego na rzecz elektora. Odrzucił przecież ich ofiarę, oświadczając, iż będzie się trzymał wiernie danych sobie poleceń.

Akt elektora zrzekający się formalnie Braunsberga jako kompensaty za zgodę na akt homagialny księstwa Pruskiego nastąpił dnia 1 października 1663. Spowodowała go obawa o ciągle jeszcze groźne usposobienie mieszkańców Prus. Jak widzimy z listu Hoverbecka do elektora, z Warszawy dnia 3 października 1663, opierała się królowa do ostatka jeszcze spełnieniu aktu homagialnego i byłaby rada poprzéć Wydżgę, który znajdował się w wyraźnéj rozterce ze swym kolegą w komisyi Janem Leszczyńskim i chciał się nawet honoru uczestniczenia w niéj nadal wyrzec. Królowa przecież, w podobnéj obawie, aby miejsca biskupa Warmińskiego

w komisyi nie zajęła osobistość mniéj jéj widokom i polityce odpowiadająca, uprosiła biskupa przez kanonika Fantoniego, aby swego stanowiska nie opuszczał i powierzone sobie dzieło doprowadził do końca. Zarazem wstawiała się u elektora przez Hoverbecka za uwięzionym Rohdem i za prawami mieszkańców księstwa Pruskiego, do czego tém większy ma powód, że przeciw panowaniu elektorskiemu ogólne z ich strony wznoszą się skargi.

Dnia 5 października 1663, w Heilsbergu, stanął nareszcie ostateczny traktat między komisarzami Rzeczypospolitéj a jeną. Elektor zrzekał się ostatecznie posiadania Braunsberga, zobowiązywał się do traktatowéj pomocy wobec Rzeczypospolitéj w razie niebezpieczeństwa wojennego. Koncesye w sprawie brandeburskiéj poczty w Gdańsku i w przedmiocie przewozu pod Nowem poczynił już dawniéj w ciągu lata roku 1661. Komisarze polscy zato zgodzili się na oddanie mu w posiadanie księstwa Pruskiego i przyobiecali sami stawić się na akt hołdu i przybyć do Królewca na wtorek dnia 16 października. Mimo to nie wierzy jednakże jeszcze swemu szczęściu elektor, przypuszcza w liście do Hoverbecka możność zawodu ze strony polskiéj i grozi w takim razie odwetem. Obawy te były jednakże płonnemi; komisarze polscy przybyli istotnie do Królewca w oznaczonym terminie, a akt homagialny odbył się rano w czwartek dnia 18 października 1663, ku przerażeniu mieszkańców Królewca i całych Prus, w obecności siedzących po prawéj i lewéj stronie elektora Jana Leszczyńskiego i biskupa Wydżgi. Drugi z pomienionych wypowiedział przy téj sposobności mowę zastrzegającą do księstwa Pruskiego ewentualne prawa królów i Rzeczypospolitéj polskiéj. Była-to zawodna i chybna niestety kotwica zbawienia, któréj się tęskniąca za związkiem z Polską ludność Prus przez długie jeszcze trzymać miała lata. Tegoż samego dnia, 18 października, o 2-giéj z południa wyprawia elektor do Hoverbecka następnie brzmiącą depeszę: „Donosimy wam łaskawie, że dzisiaj, Bogu dzięki, spełnił się akt hołdu ku wielkiemu naszemu zadowolnieniu, z radością każdego i wszystkich stanów, szczęśliwie a wśród rozmaitych uroczystości. Nakazujemy wam tedy niniejszém łaskawie, abyście to należycie Jéj Mości Królowéj oznajmili, oświadczyli jéj podziękowanie nasze za przyczynienie się do tego dzieła i zapewnili Ją o naszém trwałém przywiązaniu. Równocześnie oświadczycie podobnež podziękowanie znajdującym się na miejscu senatorom wraz z oznajmieniem, że z powodu zaślubin waszéj córki chcielibyście być tutaj, dla czego się z nimi żegnacie i tutaj wracacie. *P. S.* Zechciejcie též pozostałe jeszcze 500 talarów bezzwłocznie wypłacić w. kanclerzowi (Prażmowskiemu) lub ktokolwiek w jego imieniu stanie."

Takiém to ironicznéni podziękowaniem królowéj polskiéj, taką to pogardliwą o najwyższym dygnitarzu Rzeczypospolitéj polskiéj wzmianką kończy się akt pieczętujący nareszcie praktycznie i faktycznie, nieszczęsne dla Polski traktaty welawsko-bydgosko-oliwskie; tak charakteryzuje się w dziejach polsko-brandeburskich okres od dnia 3 maja 1660 do dnia 18 października 1663.

Akt hołdu ludności pruskiéj na rzecz elektora z dnia 18 października 1663 stanowi epokę w dziejach trzech społeczeństw czy organizmów politycznych: elektorstwa, mieszkańców księstwa Pruskiego i Polski. Dla elektora znaczy on wydobycie się na nowy szczebel potęgi, postęp z lennika na niezależnego, zabierającego odtąd w sprawach europejskich samodzielny głos monarchę. Dla ludności pruskiéj ma ów akt znaczenie utraty związku z Polską na zewnątrz, postradania gminowładnego samorządu na wewnątrz. Dla Polski stanowi tenże akt handlowo i politycznie odepchnięcie od morza, strącenie ze szczebla dawnéj potęgi, dotkliwe upokorzenie, wyparcie się wielkich tradycyj i wielkich zdobyczy XV wieku, Baltazarowy znak przyszłości. Wobec tak charakterystycznego w dziejach naszych kopca granicznego nie od rzeczy zatrzymać się, zastanowić, obejrzéć się w tył na przebieżoną od chwili zawarcia traktatu oliwskiego aż do aktu homagialnego pruskiego przestrzeń, uczynić treściwą jéj szczegółów rekapitulacyą, wyciągnąć z nich należyty sens dziejowo-polityczno-moralny.

Dwór polski przeliczył się na wyzyskującym z niesłychaną czynnością i energią kłopoty Rzeczypospolitéj w czasie i w skutek wojny szwedzkiéj elektorze brandeburskim. Obdarzył go znanemi dobrze z dziejów owéj epoki dobrodziejstwami traktatów welawsko-bydgosko-oliwskich, królowa Marya Ludwika obsypywała go grzecznościami, odwiedzała w lipcu 1658 w Berlinie, licząc mieć zeń wiernego na przyszłość sprzymierzeńca w sprawie swego projektu sukcesyjnego. Rachuba ta zawiodła: elektor był gotów brać wszystko, nie dawać niczego. Z traktatów istniejących, więcéj może jeszcze z faktycznego położenia rzeczy wysnuł sobie już po traktacie oliwskim i poza obrębem jego stypulacyj cały szereg pretensyj daleko sięgającéj, politycznéj doniosłości. Tuż po zawarciu traktatu oliwskiego są pretensyami porządku dziennego brandeburskiego wobec Polski: 1) hołd księstwa pruskiego, 2) oddanie Elbląga, 3) zatrzymanie Braunsberga i Frauenburga, 4) oddanie starostwa drahimskiego, 5) ziemi lawenbursko-butowskiéj, 6) poczta brandeburska w Gdańsku, 7) przewóz brandeburski pod Nowem na Wiśle. Otóż to

szereg postulatów, około których walka na widowni dyplomatycznéj się toczy. Gra elektora w téj walce zasługuje ze stanowiska *artyzmu* politycznego na wszelkie uznanie. Konsekwentny, świadomy swoich celów, gotów, jak zręczny wódz na widowni wojennéj, poświęcać zawsze drobne korzyści głównym zadaniom i celom, nie dość na tém, robić sobie z poświęcenia *pierwszych* środek i pomost do zyskania *drugich*. Tak np. jest dla niego kwestyą żywotną w lecie roku 1661 sprawa sukcesyi tronu polskiego. By w *niéj* odnieść zwycięstwo, by dziełem ustalonéj w Polsce sukcesyi tronu nie wzmacniać potęgi Rzeczypospolitéj, nie dopuszczać wzrostu siły mocarstw, z łona których podobny kandydat byłby tylko mógł wychodzić, poświęca w sierpniu 1661 Elbląg, zatrzymując sobie jako zastaw Braunsberg i Frauenburg, poświęca brandeburską pocztę i przewóz pod Nowem, okazuje nawet wielką powściągliwość w sprawie starostwa drahimskiego, przekupuje temi koncesyami opinią publiczną polską, łudzi ją i uwodzi frazesami wolności, dobija nareszcie upragnionego celu przez zwichnięcie sukcesyjnego projektu. W rok późniéj, wobec groźnego usposobienia opozycyi pruskiéj, wobec wątpliwéj postawy dworu polskiego, staje się najważniejszą dla niego rzeczą uregulowanie stosunków księstwa Pruskiego przez złożenie hołdu ze strony tamtejszéj ludności. Temu głównemu celowi poświęcają się przedmioty mniejszéj wagi, jak posiadanie Braunsberga i Frauenburga, jak traktatowe posiłki dla Rzeczypospolitéj w razie wojny, a elektor znajduje się nareszcie w bezprzecznóm posiadaniu najcenniejszego politycznie i terytoryalnie ze wszystkich swych nabytków wojny szwedzkiéj.

Zwracając się od elektora do *Polski*, przedstawia nam się odmienne widowisko, w którém wypadnie rozróżnić między polityką dworu a polityką panów i dygnitarzy polskich. Epizod owych stosunków polsko-brandeburskich po traktacie oliwskim jest niewątpliwie jednym z tych w dziejach naszych ustępów, któremiby się szkoła monarchiczna historyografii polskiéj jak najskuteczniejszym argumentem przeciw republikańskiéj posłużyć mogła. Niepodobna zaprzeczyć, że jeżeli wśród negocyacyj, wśród śliskich owych stosunków między Polską a Brandeburgią jest żywioł, który się może poszczycić nie tylko rozumem, nie tylko myślą polityczną, ale co najważniejsza, zrozumieniem interesu Polski i jéj prawdziwego dobra, żywiołem owym naówczas jest bez wątpienia *dwór* polski, Marya Ludwika, Jan Kazimierz, wszystko, co z nimi związane, co w ich myśli działa. Wśród klęsk, przykrości, upokorzeń owéj epoki, pozostaje pociechą prawda, iż nie wszyscy w Polsce byli ślepi na złe, które się przyszłości kraju gotuje a że na czele jasnowidzących

znajdują się osobistości, wskazane powagą i znaczeniem swego stanowiska do pamiętania o dobru kraju, do znajomości jego potrzeb i środków zaradczych. Polityka Maryi Ludwiki i Jana Kazimierza rozumie i widzi jasno niebezpieczeństwo grożące Rzeczypospolitéj ze strony brandeburskiéj; obmyśla akcyą zaradczą na rozległą i obszerną skalę. Nasamprzód odgrywa tu nieostatnią rolę i projekt dania następcy Janowi Kazimierzowi za jego życia, pomysł ochraniający w razie wykonania Polskę od niebezpieczeństw i klęsk elekcyjnych zawichrzeń. O ile zaś plan podobny zapowiadał podniesienie potęgi Polski, widać najlepiéj po obawie elektora, aby tylko do skutku nie przyszedł. Zawiązuje następnie dwór polski przymierze z Francyą i Szwecyą, wchodzi w stosunki z malkontentami pruskimi, by naprawić złe wojny szwedzkiéj, by odzyskać Polsce ważną politycznie, handlowo i terytoryalnie krainę, któréj ludność wyciągała do niéj ręce, któréj utrata równoważyła zagnieżdżeniu się groźnego Rzeczypospolitéj nieprzyjaciela w najdrażliwszém jéj organizmu miejscu. Nie można tedy wobec podobnych dowodów powiedziéć, aby polityce dworu polskiego było zbywało na jasnowidzeniu, dobréj woli i czynności. Na czém jéj przecież zbywa, to na sprzyjających okolicznościach i środkach. *Nieszczęściem* jéj nazwiemy równoczesną, roztargującą siły polskie wojnę z carem; podobném-że, nieprzypadkowém, wywołaném do pewnego stopnia akcyą brandeburską nieszczęściem nazwiemy konfederacyą wojska pod Świderskim; takiém-że samém nieszczęściem wreszcie nazwiemy usposobienie poczciwéj skąd-inąd, poczciwszéj przynajmniéj od panów i dygnitarzy szlachty, która kochając kraj i dzieląc instynktowo usposobienie polityki dworu przeciw elektorowi, szła przecież bezmyślnie na lep frazesów agentów elektorskich o zagrożonéj wolności polskiéj i przyłożyła bezmyślnie rękę do zwichnięcia sukcesyjnego projektu królowéj. Wyobraźmy sobie dygnitarzy Rzeczypospolitéj zgodnych z dworem, idących z nim ręka w rękę w projekcie sukcesyjnym, wspierających jego politykę w sprawie brandeburskiéj a odpowiemy sobie łatwo sami, co-by wobec przymierza z Francyą i Szwecyą, wobec usposobienia ludności pruskiéj było się stało z elektorem brandeburskim i czyby dawny lennik, zamiast wyjść z groźnego zawikłania panem sytuacyi, nie był odpokutował ciężko za grzech swego odstępstwa, czyby Polska była mogła wynieść z traktatów oliwskich, przez oddanie mu niezależności księstwa Pruskiego, zaród swéj nieuleczonéj na przyszłość choroby! Poznaliśmy z powyższego opowiadania środki i ludzi, jakiemi polityka dworu polskiego mogła rozporządzać, Wacława i Jana Leszczyńskich, Jana Andrzeja Morsztyna, w. kanclerza ko-

ronnego Mikołaja Prażmowskiego, w. marszałka koronnego Jerzego Lubomirskiego, wojewodę pomorskiego Kobierzyckiego. Mieliśmy sposobność przypatrzéć się naocznie niemal ciągłéj ich z elektorem konspiracyi przeciw polityce dworu i dobru ojczystemu. Nie wiemy doprawdy, czy nie najlepsi z pośród nich jeszcze ów Rej i ów Bąkowski, co to targując się z elektorem o wypłacać im się mające *honoraria*, ulegają przecież zawsze w stanowczéj chwili wpływowi królowéj i nie mogą się zdobyć na sprzedanie Elbląga elektorowi. Jedyną, jak wyżéj nadmieniono, pociechą, że wojenny owéj epoki bohater Polski, nieśmiertelny Stefan Czarniecki jest zarazem bohaterem obywatelskiéj cnoty i świeci nieobecnością w brudach i mętach tego bolesnego epizodu.

Kończąc nasze sprawozdanie z archiwalnéj publikacyi profesora Hirscha odsłaniającéj z dokładnością i szczegółowością, jak żadna inna dotąd, smutne dzieje stosunków polsko-brandeburskich w czasie między zawarciem traktatu oliwskiego a tragedyą hołdu księstwa Pruskiego z roku 1663, nie możemy publikacyi téjże nadać odpowiedniejszego predykatu, jak nazywając ją z naszego narodowego stanowiska świetną rehabilitacyą polityki dworu polskiego za Maryi Ludwiki i Jana Kazimierza; ponurym aktem oskarżenia przeciw cnocie i uczciwości ówczesnego dygnitarstwa polskiego, smutném i bolesném świadectwem nie przeciw cnocie i uczciwości, chwała Bogu, ale, co niewątpliwa, przeciw rozumowi i jasnowidzeniu wielkiego, narodowego ogółu szlacheckiego. Dygnitarstwo idzie za głosem prywaty i złych namiętności, szlachta za syrenim dźwiękiem frazesów o wolności i swobodzie. Lucchesini w sto kilkadziesiąt lat późniéj jest na téj saméj widowni drugą i poprawną edycyą Hoverbecków i Goltzów, ale zato, jak mało na nieszczęście taż sama szlachta i ciż sami magnaci nauczyli się a jak niczego nie zapomnieli przez czas, który dzieli epokę Hoverbecków i Goltzów od epoki Lucchesinich i Buchholtz'ów! *K. Jarochowski.*

LISTY CZESKIE.

VII.

Praga w początku r. 1881.

Nowa faza walki o równouprawnienie języka czeskiego.—Rzut oka na przeszłość.—Kwestya wyborcza. *Das Deutschthum ist in Gefahr!*—Zjazdy stronnictwa wiernokonstytucyjnego w Mödlingu, Brnie, Karlsbadzie, Wiedniu.—Zebranie partyi demokratycznéj.—Zjazd niemieckiego stronnictwa autonomistycznego.—Porażka młodych Czechów.

Podpisując poraz pierwszy ten VII list właściwém mojem nazwiskiem zamiast pseudonimem „Prawda,“ nie chciałbym w czytelnikach obudzić przypuszczenia, że pożegnałem się z prawdą na zawsze i że odtąd zamierzam przedstawić obraz stosunków w Czechach i w Austryi jedynie ze stanowiska subjektywnego. Ponieważ jednak każde nazwisko nadaje z natury rzeczy artykułowi cechę pewnéj podmiotowości, niech mi wolno będzie rozpocząć list niniejszy wstępem, w którym wyłożę, moje ogólne poglądy na Austryą i jéj przyszłość.

W tym celu uważam za konieczne określić w kilku słowach moje stanowisko społeczne w Austryi. Nie jestem w służbie rządowéj, lecz poświęciłem usługi moje gminie miejskiéj w Pradze i téj pozycyi nie chciałbym zmienić na inną. Od dotychczasowego rządu austryackiego nie doznałem do dziś nic innego prócz prześladowania i odtrącania. Zaufanie narodu czeskiego uczyniło mię posłem na sejm czeski, a w ostatnich czasach członkiem Izby Poselskiéj Przedlitawskiéj Rady Państwa. Na tém drugiém stanowisku należę do obecnéj ministeryalnéj większości, nie wymagając od dzisiejszego rządu nic więcéj prócz sprawiedliwego ocenienia odpychanych dotychczas, bez względu na konstytucyjne rękojmie, narodowych praw Czeskiego narodu. Należę w Izbie poselskiéj do obecnéj większości ministeryalnéj w tém silném przekonaniu że rząd dzisiejszy,

gabinet Taafego, szczerze jest skłonny uwzględnić słuszne pretensye narodu czeskiego i że zadanie które sobie hr. Taafe w wewnętrznéj polityce państwowéj postawił, odpowiada w ogóle temu co uważam za konieczną, z natury stosunków, do urzeczywistnienia, nową ideę polityczną Austryi.

Co do pojęcia tak zwanéj w ostatnich czasach idei politycznéj Austryi, poglądy stronnictw różnią się wielce. Jeżeli w rozumieniu tego czém właściwie Austrya być powinna spotykamy jeszcze zapatrywania zasadniczo z sobą sprzeczne, to wyraźnie dowodzi, że to państwo znajduje się właśnie w fazie rozwoju, która jeszcze nie przeminęła.

Dr. Edward Herbst, znany przywódca dzisiejszéj opozycyjnéj lewicy w wiedeńskiéj Izbie Poselskiéj, wyraził dobitnie w mowie mianéj w czasie obchodu 60-letniéj rocznicy swoich urodzin, co uważa za swą ideę polityczną Austryi, do urzeczywistnienia któréj stronnictwo jego dążyć będzie ze wszystkich sił. „Przechowałem w sobie ideały młodości mówił Herbst. Są to ideały prawa i wolności, *idea polityczna Austryi*, owéj Austryi, którą stworzyli nasi wielcy monarchowie z przeszłego stulecia, idea któréj nigdy nie zamienimy na nowo-wynalezione polityczne ideały austryackie; myśl zasadnicza oparta na przekonaniu, że rozsiani po całéj Austryi Niemcy reprezentują przedewszystkiém ideę polityczną obejmującą całą Austryą, że zatém solidarna spójnia Niemców w Austryi ma znaczenie nietylko dla narodowości niemieckiéj ale jest warunkiem egzystencyi Austryi, jest jéj ideałem politycznym.“

Dr. Edward Herbst czerpie jak widzimy swoje idee polityczne z przeszłego stulecia, kiedy monarchowie austryaccy byli jednocześnie cesarzami niemieckimi, i opiera na niéj niezbite według niego prawo Niemców do narodowéj przewagi i hegemonii w Austryi r. 1880. Nie mam zamiaru badać czy wyrażenie „*cała Austrya*“ ma być zaprzeczeniem obecnego dualizmu, ale winienem, jak sądzę, zwrócić na to uwagę, że główną treścią téj idei politycznéj Austryi, „którą stworzyli nasi wielcy monarchowie z przeszłego stulecia,“ jest uznana i bezsporna hegemonia Austryi w cesarstwie niemieckiém. Czyżby Dr. Herbst mniemał, że może znów tę hegemonią przywrócić lub że ją ma uważać za cel, do którego dążyć winna austryacka polityka? A jeżeli tak nie sądzi, jakże może opierać prawo Niemców do przewagi w dzisiejszej Austryi na czemś co już nie istnieje i co może według własnego jego przekonania nie ziści się więcéj? Nie znajdując odpowiedzi na te pytania nie mogę zgodzić się na pojęcie Herbsta o idei politycznéj Austryi, i uważam ją nie tyle może za wielki anachronizm ile za silnie naciągnięty argument, mający histo-

rycznie udowodnić narodowe pretensye, które zdaniém mojem, siłą okoliczności, a zatém na drodze historycznéj, stały się również nieuzasadnionemi.

Nie chcąc długo zatrzymywać się na ostrożnych omówieniach, wchodzę od razu *in medias res*. Już w r. 1868 powiedziałem: „że sprawa czeska, jest kwestyą egzystencyi monarchii austryackiéj,“ (1) a obecnie w r. 1881, znów muszę powtórzyć: cała, tak gorąco prowadzona walka parlamentarna w Izbie poselskiéj w Wiedniu, kręci się właściwie około sprawy czeskiéj. Słowiańska większość reprezentacyi czeskiéj zredukowana była, sztucznym systematem wyborczym, do mniejszości w sejmie czeskim, stąd Niemcy mieszkający w Czechach uważają od r. 1861 swoję narodową supremacyą za prawo zgodne z konstytucyą. To samo stosować się ma do Morawii, w któréj słowiańska większość ludności jest jeszcze znaczniejszą (w Czechach około $^3/_5$, w Morawii $^3/_4$). Narodowa przewaga Niemców „zgodna z konstytucyą, ma być w Czechach i Morawii utrzymaną *coûte que coûte*, taki jest klucz do zrozumienia wszystkiego co się teraz w Wiedniu dzieje; a stąd owe gniewy na Taafego, który nie uznaje utrzymania narodowéj supremacyi Niemców w Czechach i w Morawii za główne zadanie wewnętrznéj polityki Austryi.

A teraz niech mi wolno będzie własne moje rozumienie idei politycznéj Austryi, przeciwstawić pojęciu Dr. Herbsta.

Przedewszystkiém jestem zdania, że idea polityczna, która w r. 1880 powinna nadać monarchii austryackiéj ustrój zastosowany do nowych warunków i do nowych czasów, nie może być tą samą ideą, która jéj służyła za podstawę w r. 1780. Austrya z r. 1880 sąsiaduje z potężnie zjednoczoném cesarstwem niemieckiém, myśl więc o austryackiéj przewadze w Niemczech, musi być z konieczności wykluczoną z programatu rozumnéj polityki austryackiéj, i Austrya niema w tém żadnego interesu, ażeby okazywać się bardziéj niemiecką aniżeli nią jest w istocie. To zapatrywanie zawiera téż w sobie wyrok stanowczy na wszelkie owe sztuczne wybory, które w Czechach i Morawii przekształciły słowiańską większość zaludnienia na niemiecką większość reprezentacyi, a tém samém we właściwém świetle przedstawia germanizatorskie dążenia poprzednich rządów austryackich, inaugurowanych przez owych wielkich monarchów ubiegłego stulecia.

Austrya z r. 1880 powinna być obok potężnego cesarstwa niemieckiego, samoistném państwem, silnie na własnych nogach stoją-

---

(1) Wiedeńska „Reform“ N. 12. 1868.

cém, któregoby kanclerz niemiecki nie mógł uważać za podatny przedmiot do wszelakich anneksyjnych kombinacyj. Ale owe austryackie nogi, na których Austrya w przyszłości silnie stać powinna, nie są wyłącznie niemieckiemi nogami, otóż dążyć do wzmocnienia wszystkich nóg swoich, nietylko niemieckich, przyczyniać się do żywotnego ich rozwoju, uczynić je silnemi niezachwianemi podporami wspólnego politycznego ciała,—taka jest zdaniem mojém, część ogólnéj idei politycznéj Austryi z r. 1880.

Państwo zwane *Austrya* jest dziś monarchią konstytucyjną; zabezpieczenie wolności i prawa, będzie naturalnie główną treścią idei politycznéj takiego państwa, ale nie w takich ciasnych granicach, jak to podoba się rozumiéć dr. Herbstowi. Nowa konstytucyjna Austrya musi ogłosić wolność wszystkich austryackich ludów, zabezpieczyć ich prawa nie ograniczając się na opiece nad swobodą i prawami Niemców. Źleby na tém wyszła Austrya, gdyby tylko jedni Niemcy w jéj krajach rozproszeni, bezpieczeństwo państwa na swoim sztandarze wypisali.

Zachodzi daléj pytanie czy istotnie tylko Niemcy stanowią w Austryi ów żywioł, przy pomocy którego monarchia austryacka stała się tém czém dziś jest, czy Austrya tylko dzięki temu żywiołowi utrzymać się może jak państwo zdolne do życia—albo, mówiąc innemi słowy, czy Niemcy są rzeczywiście tym cementem, tą spojnią cywilizacyjną, mogącą jedynie zjednoczyć różnolite odłamy monarchii. Nie tu miejsce na długie w téj materyi wywody, ale co się tyczy początku państwa austryackiego, odsyłam każdego poprostu do historyi, która dość wyraźnie uczy że bynajmniéj nie Niemcy sprawili zjednoczenie owych krajów stanowiących dziś monarchią austryacką. Zjednoczenie rozmaitych części państwa austryackiego, spełnić się musi, według mego zdania, za pomocą innych zupełnie środków i bynajmniéj nie przez zapewnienie Niemcom uprzywiliowanego stanowiska kosztem innych ludów austryackich. Naprzód Niemcy, pod względem rozwoju umysłowego nie stoją znów o tyle wyżéj, ażeby inne narody musiały bezwarunkowo przed nimi chylić czoło, a jeżeli Niemcy dla wykazania swéj wyższości, przeciwstawiają 40 milionów ludności całego cesarstwa, nie niemieckim ludom Austryi, to taki argument nie może bynajmniéj prowadzić do utrwalenia samoistnego państwa austryackiego, ale przeciwnie, naraża na szwank owo wielkie zadanie, które według mego zapatrywania, Austrya spełnić powinna w interesie cywilzacyi europejskiéj. Aluzye do 40 milionów Niemców, są nie czém innėm tylko pangermanizmem i musiałyby do tego doprowadzić że słowianie austryaccy, usiłowaliby w podobny sposób zaimponować 40 milionom Niemców, 80 milionami sło-

wian—czyli, że innemi słowy w téj grze występnéj przeciwko pangermanizmowi trzeba by wyświecić panslawizm. W chwili zaś kiedy pangermanizm i panslawizm staną w Europie przeciwko sobie, Europa ocknie się w przeddzień krwawéj, nieubłaganéj walki, która właśnie przeszkodzi urzeczywistnieniu idei politycznéj Austryi odpowiadającéj wymaganiom europejskiéj cywilizacyi w 19-em stuleciu. Tymczasem Austrya jest neutralnym gruntem, na którym Niemcy Słowianie, używając jednakich praw politycznych i ciesząc się równą polityczną swobodą, mogą spokojnie żyć obok siebie, siły swoje jednoczyć we wspólnéj pracy; wytworzenie takiego stanu rzeczy, jest, mojém zdaniem, główną treścią idei politycznéj Austryi r. z 1880, a taka idea polityczna, przy pomocy któréj państwo austryackie spełnić ma wzniosłe, dziejowe posłannictwo w interesie cywilizacyi europejskiéj,— jest właściwém *raison d'être* monarchii austryackiéj. A jeżeli dr. Herbst otwarcie wypowiada: że idei politycznéj, sięgającéj przeszłego stulecia Austryi, o koniecznéj *sine qua non* przewadze Niemców nad ludami nie niemieckiemi, nie porzuci *nigdy* dla nieutworzonych jeszcze ideałów politycznych dzisiejszéj Austryi,—to sądzę, że mam prawo odpowiedzieć na to: „nowe czasy i nowe stosunki wymagają nowych idei, a nowe idee wymagają w końcu i nowych ludzi.“

Ale czy za dr. Edwardem Herbstem stoją istotnie *wszyscy* Niemcy austryaccy, niby zwarta, do boju gotowa falanga, która własném czołem zdecydowana jest zasłonić owo polityczne *noli me tangere*, niemiecką supremacyą przeciw narodowym pretensyom, pozostałych, nie niemieckich ludów Austryi? Rzecz się ma inaczéj. Za dr. Herbstem stoi stronnictwo polityczne, ledwie że nie koterya, która chce być panującą w Austryi konstytucyjnéj, bo z wielorakiego doświadczenia wie, że takie panowanie, jest pod wielu względami rzeczą zyskowną; koterya uznająca się za beati possidentes, która nie chciałaby poświęcić dotykalnych materyalnych korzyści, mniéj procentującym ideałom powszechnéj swobody i ogólnego równouprawnienia. Koterya owa, tak zwane stronnictwa konstytucyjne, które na podstawie obecnego systematu wyborczego, stanowiącego naturalnie nerw dzisiejszéj konstytucyi austryackiéj, wywiera w Czechach i w Morawii, nieopartą wprawdzie na normalnych stosunkach, ale niemniéj konstytucyjną supremacyą narodową i używa przywiązanych do niéj korzyści materyalnych, to stronnictwo mieniące się też wyłącznie partyą liberalną, przyjęło wprawdzie, dla wykazania przed całym światem swoich liberalnych zasad, art. XIX zasadniczego prawa Państwowego z 21 Grudnia r. 1867 o ogólnych prawach obywateli:

„wszystkie ludy w państwie korzystają z jednakowych praw, i każdy lud ma nietykalne prawo ochraniania i pielęgnowania swéj narodowości oraz swego języka,

„państwo uznaje równo-uprawnienie wszystkich krajowych języków w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném“—ale ten artykuł XIX miał w intencyi stronnictwa służyć do tego samego celu, do którego sklecono w r. 1877 ś. p. turecką konstytucyą, ażeby w danym razie z artykułem XIX w ręku powiedzieć Europie. „W Austryi nie istnieje żaden uciśniony naród! Tu napisano czarno na białem, że wszystkie używają jednakowego prawa i równéj swobody pielęgnowania swéj narodowości i języka.“ Dopóki jednak to stronnictwo stało u steru rządu, to jest aż do chwili utworzenia gabinetu Taafego w r. 1879, żaden rząd działający w duchu téj partyi, nie zrobił nic dla urzeczywistnienia art. XIX. Teraz, kiedy hr. Taafe ostrożnie ku niemu zmierza, stronnictwo owo staje przeciw niemu w krańcowéj opozycyi, głosi że Austrya jest zgubioną i najgwałtowniejszych środków używa aby tylko obalić ministeryum Taafego.

Uważałem za stosowne rozpocząć od powyższego wstępu, ażeby zrozumialszém uczynić to co mam powiedzieć o dalszéj fazie rosterki narodowéj między Niemcami i Słowianami w Czechach, i przypominam to co powiedziałem w VI liście (1) o rozporządzeniu tyczącém języka, wydaném dla Czechów 19 Kwietnia r. 1880 (nie 24, jak mylnie wtedy podałem). Treść owego rozporządzenia o języku wydanego dla Czechów przez ministeryum Taafego polega na tém, że Czech ma być słuchanym w sądzie i w urzędzie w czeskim języku, tak samo jak Niemiec w niemieckim, że zatem urząd i sądy stosować się mają do języka strony, to jest, że z niemiecką stroną traktować winny po niemiecku, z czeską, po czesku.

Nie będę w téj chwili wdawać się w wywody, o ile rozporządzenie z 19 kwietnia o języku, było koniecznėm następstwem. Art. XIX prawa organicznego z r. 1867, lecz rzucę okiem w przeszłość na prawodawstwo w tej materyi w królestwie Czeskiém.

Kiedy po bitwie pod Białą Górą (8-go listop. r. 1620) zwyciężone Czechy padły u stóp zwycięskiego Ferdynanda II, cesarz wydał w r. 1627 tak zwaną „odnowioną ustawę krajową“ (*verneuerte Landesordnung*), w któréj co do używania języka krajowego postanowiono:

„ponieważ życzeniem naszém jest, ażeby w królestwie Czeskim mowy niemiecka i czeska zachowane i pielęgnowane były, przeto

(1) Zob. Ateneum w 1880, zeszyt Sierpniowy.

dokumenty podawane być mają albo w niemieckim albo w czeskim języku, to jest, jeżeli wiadomo, że oskarżony nie zna języka niemieckiego, skarga będzie wniesiona po czesku; gdy nie zna czeskiego po niemiecku, jeżeli zaś oskarżony nie jest ani rodowitym Niemcem ani Czechem, skarga winna być wniesiona w jednym z dwóch języków, w którym już do końca proces prowadzony będzie i przy takim procesie nic w innym języku traktowaném być nie może ani odnośnie co do prawa ziemskiego (*Landrecht*), ani co do hipoteki (*Landtafel*).“

W czasie największego upadku narodu czeskiego, cesarzowa Marya Teresa wydała 9-go lipca r. 1763 rozporządzenie następujące, do zarządu krajowego w Pradze.

„ponieważ okazało się, że język czeski w królestwie czeskiém i w Markgrafstwie Morawskiém do tego stopnia wyszedł z użycia, że zwierzchnicy i ich urzędnicy zupełnie go nie znają, a nawet w krajowém i wyższém sądownictwie i w magistratach miejskich, daje się czuć wielki brak *subjektów* w tym języku uzdolnionych, niniejszém postanawia się dla dobra służby Jej Cesarskiéj Mości i dla utrzymania porządku oraz sprawiedliwości, podźwignąć na nowo ten język tak bardzo podupadły. Według tego wolą jest najmiłościwszą Jej Cesarskiéj Mości i najwyższym rozkazem, ażeby odtąd rodzice pilnie swoich synów w języku czeskim ćwiczyli, a komisya naukowa czuwała nad tém przez dyrektorów gimnazyalnych, ażeby młodzież w szkołach do tłómaczenia czeskich zadań znaglaną była, ażeby język czeski wszedł w prawidłowe użycie, a na miejsca radców, do wyższych urzędów i kancelaryj mianowane były indywidua wprawnie władające niemieckim i czeskim językiem, ażeby na te posady nie przedstawiano, bez szczególnie ważnéj przyczyny, innych kandydatów prócz takich którzy po czesku mówić i pisać umieją.“

Cesarz Józef II rozkazał najwyższém postanowieniem z 22 lipca r. 1789: „że wpisy do metryk koronnych w Czechach i Morawii odbywać się mają w językach niemieckim i czeskim.“

Najwyższy trybunał wydał w r. 1803 wyjaśnienie do § 13 procedury sądowéj i ogłosił: *że skarżącemu wolno jest wnieść skargę w obu zarówno w kraju używanych językach, w niemieckim i czeskim.*“

Rozkazem cesarskim z 13 lutego r. 1818 postanowiono: że od wszystkich proszących o dopuszczenie do aplikacyi na referenta *żądać należy jako niezbędnego warunku, udowodnienia że znają dokładnie język czeski.*“

Reskryptem prezydyalnym nadwornéj kancelaryi z dnia 15 Grudnia r. 1834 postanowiono daléj: „Z okoliczności zdarzonego niedawno wypadku, Jego Cesarska Mość wyraża ponownie Najwyższą

wolę, ażeby wszyscy urzędnicy posiadali dokładnie i gruntownie języki krajowe i żeby pod tym względem przedstawienia kandydatów do służby, odbywały się nie na zasadzie przypuszczeń, lecz aby bezpośredni zwierzchnik dawał stanowcze zapewnienie, że deklaracya o dobréj znajomości języków krajowych jest prawdziwą.

Ten często powtarzany Najwyższy rozkaz oznajmia się c. k. władzom do ścisłego wykonania."

Najwyższa nadworna komisya naukowa rozporządzeniem z 23 sierpnia r. 1816 postanowiła co następuje:

„ogłaszać na początku każdego roku szkolnego w audytoryach wydziałów filozoficznego i prawnego, że przy obsadzaniu politycznych stanowisk w krajach czeskich, *dawane będzie pierwszeństwo, przy równych zdolnościach, tym studyującym, którzy wykażą dokładną znajomość języka czeskiego.*"

Reskrypt gabinetowy cesarza Ferdynanda z d. 8 kwietnia r. 1848 stanowi w art. I.

„Narodowość czeska ma być w zasadzie uznaną przez zupełne zrównanie języka czeskiego z niemieckim we wszystkich gałęziach administracyi i w oświacie publicznéj"

a w art. IX,

„odtąd wszystkie urzędy i posady w władzach sądowych zajmowane będą jedynie przez indywidua znające oba języki krajowe".

W dniu 30 maja r. 1848 sąd apelacyjny Praski, na podstawie rozporządzenia ministeryalnego, wydał następujący okólnik do wszystkich władz sądowych w królestwie czeskiem:

„Zgodnie z najwyższą decyzyą zapadłą na petycyą mieszkańców miasta Pragi, c. k. ministeryum sprawiedliwości zaleciło c. k. Sądowi Apelacyjnemu wydać podwładnym instancyom odpowiednie wskazówki co do *równouprawnienia* w sądach języka czeskiego z niemieckim, o ile ten przedmiot należy do zakresu działania sprawiedliwości. W skutku tego wysokiego zlecenia i dalszéj aprobacyi ministerstwa z 22 maja r. 1848 stanowi się:

„Jak z jednéj strony każdemu przysługuje swoboda, wnosić wszelkie sądowe podanie w języku niemieckim albo czeskim, tak z drugiéj strony *wszystkie władze sądowe obowiązane są* przyjmować protokóły lub ustne zeznania wszelakiego rodzaju, załatwiać piśmienne podania i redagować wyroki sądowe w tym języku krajowym, którym włada strona wnosząca podanie, zeznająca sądowy protokół, lub oczekująca decyzyi czy wyroku — czyli dla strony mówiącéj po czesku obowiązuje język czeski, dla mówiącéj po niemiecku — język niemiecki.

„Wszelkie przepisy w czemkolwiek-bądź przeciwne temu rozporządzeniu, na mocy najwyższego rozporządzenia tracą moc obowiązującą.

„Do polecenia niniejszego, stosować się mają i władze administracyjne o ile im wyjątkowo powierzone być mają sprawy do zakresu sprawiedliwości należące.“

Z tego wszystkiego okazuje się wyraźnie, że zupełne równouprawnienie obu języków krajowych w urzędzie w królestwie Czeskiém i w markgrafstwie Morawii jest stanem uprawnionym, którego istnienie nie datuje bynajmniéj od r. 1848. Daléj widocznėm jest, że rozporządzenie z 19-go kwietnia r. 1880 tyczące języka, nie jest dla Czechów żadną nowością, a znaczenie jego polega jedynie na tém, że gabinet Taafego uznał to legalnie istniejące równo-uprawnienie obu języków w urzędzie, że zamierza wprowadzić je wżycie i określa sposoby praktycznego owéj zasady urzeczywistnienia.

Co wobec tego znaczy ta gwałtowna opozycya niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego przeciw rozporządzeniu o języku?

Przedewszystkiem dowodzi ona przekonywająco, że przytoczone wyżéj rozporządzenia i przepisy, o równouprawnieniu obu języków w urzędzie, nigdy nie były w tém znaczeniu przeprowadzone w jakiém je wydano i że szczególniéj od r. 1861 rządy wytworzone ze stronnictwa konstytucyjnego, przywykły uważać to równouprawnienie za coś, co wprawdzie pro forma na papierze istnieje, ale w praktyce nie powinno mieć znaczenia. Kiedy stronnictwo konstytucyjne utrzymuje daléj, że art. XIX prawa organicznego, znosi wszelkie dawniejsze postanowienia o równouprawnieniu obu języków krajowych, to ucieka się do osobliwszego argumentu, nieliberalnéj i małodusznéj sofistyki; bo każdy bezstronny sędzia naszych stosunków zgodzi się raczéj na to, że wszystkie przytoczone wyżéj prawa i przepisy o równouprawnieniu obu języków krajowych w Czechach, zostały przez art. XIX konstytucyjnie stwierdzone i ustalone.

Ale niemiecka partya konstytucyjna inaczéj w téj materyi dowodziła. Nie należy zapominać, że przy pojednaniu z Węgrami (1867) i w chwili utworzenia dualizmu w Austryi, stanęły między panującém wtedy wszechwładnie stronnictwem konstytucyjném niemieckiém a Madziarami, jeżeli nie wyraźnie sformułowane, to milcząco przez obie strony przyjęte pakta, zapewniające hegemonią narodową w wschodniéj części monarchii Madzyarom, w zachodniéj Niemcom. Tak trzeba na rzeczy patrzéć, aby zrozumiéć, że niemiecka partya konstytucyjna uważa, rozporządzenie hr. Taafego o języku, za napaść na przysługujące jéj konstytucyjne prawo.

Jako dalszy argument przeciw temu rozporządzeniu, służy stronnictwu konstytucyjnemu osobliwe tłómaczenie trzeciego ustępu art. XIX, który brzmi jak następuje:

„W krajach zamieszkałych przez kilka narodowości, zakłady naukowe publiczne mają być w ten sposób urządzone, ażeby nie będąc wystawioną na *użycie przymusu do nauki drugiego języka krajowego*, każda narodowość znalazła dla siebie środki kształcenia się we własnym języku.“

Przedewszystkiém uważam za stosowne zwrócić tu uwagę, że ten trzeci ustęp powinienby właściwie w duchu całego artykułu brzmiéć: że wolną będąc od przymusu uczenia się drugiego języka krajowego, każda narodowość *znajdzie środki potrzebne do poznania tego drugiego języka.* To byłoby logiczniejsze.

Niemiecka partya konstytucyjna w opozycyi swojéj przeciw rozporządzeniu o języku, trzyma się wyrażenia „*bez użycia przymusu do nauki drugiego języka krajowego;*“ *i* mówi: rozporządzenie nakazuje przymus nauczenia się drugiego języka krajowego a więc jest w wyraźnéj sprzeczności z ustępem trzecim art. XIX.

Potrzebaż zbijać ten dowcipny argument? Ustęp trzeci mówi wyraźnie, że zakład naukowy nie powinien na uczniów wywierać żadnego przymusu w nauce drugiego języka, ale tém samém powiedziane jest, że każdy zakład naukowy dać musi środki wyuczenia się drugiego języka (w zakładzie niemieckim do wyuczenia się języka czeskiego i vice versa), bo w przeciwnym razie zastrzeżenie co do użycia przymusu ze strony zakładu naukowego, nie miałoby sensu. Szkoła nie powinna zmuszać ucznia do uczenia się innego języka krajowego, którego mógłby się nauczyć *gdyby chciał.* Czy jednak inne stosunki życiowe nie mogłyby skłonić Niemca do uczenia się po czesku, lub Czecha do uczenia się po niemiecku, o tém art. XIX nic prawnie nie postanawia, bo w żadném prawie organiczném w Europie nie znajdziemy przepisu, któryby komukolwiek wskazywał uczenie się obcych języków jako potrzebne lub pożądane.

Wiadomo, że w Czechach stosunki życiowe skłoniły kupca niemieckiego do uczenia się po czesku, jeżeli chce sprzedać swoje towary w Czechach, te same stosunki życiowe skłaniają do uczenia się po czesku niemieckich właścicieli ziemskich posiadających majątki w miejscowościach czeskich i na odwrót.

Jeżeli więc Niemcy mówią: „rozporządzenie o języku zmusza dzieci nasze do uczenia się po czesku, bo bez znajomości języka czeskiego nie mogą być ani urzędnikami ani sędziami w Czechach, a przymus do uczenia się drugiego języka krajowego jest formalnie wzbroniony art. XIX prawa z r. 1867, i dla tego protestujemy przeciw

temu rozporządzeniu jako niekonstytucyjnemu, to wolno mi, jak sądzę, twierdzić, że taki argument nie ma żadnéj podstawy.

A przecież ten nieuzasadniony argument jest w téj chwili jedyną podstawą agitacyi prowadzonéj i podsycanéj z wielką wytrwałością między ludnością niemiecką w Czechach i jedyną przyczyną uparcie powtarzanego wołania: *Das Deutschtum ist in Gefahr!*

Jedynym celem całéj agitacyi jest obalenie gabinetu Taafego. Stronnictwo konstytucyjne chce dowieść, że to Ministeryum chwytając się niezręcznych i przeciwkonstytucyjnych środków, wzbudziło tylko nadzwyczajny niepokój i niezadowolenie wśród ludności niemieckiéj w Czechach i że z tego powodu, nie jest zgoła uzdolnioném do spełnienia wysokich intencyj Jego Cesarskiéj Mości w sprawie pojednania stronnictw narodowych. Gdy uplanowana w ten sposób akcya nie powiodła się w Radzie państwa, chciano ją przeprowadzić w sejmie czeskim.

Sejm czeski odroczony był Najwyższem postanowieniem z 26 maja r. 1880 na 8 czerwca. Dwie w nim sprawy, budziły ogólne zajęcie.

1) Projekt rządowy o zmianie porządku wyborów na sejm.

2) Petycya gmin i okręgów niemieckich domagająca się zniesienia rozporządzenia o języku.

Ad. I. Przedstawiony sejmowi czeskiemu przez gabinet Taafego, projekt tyczący zmiany kilku przepisów o porządku wyborów na sejm w królestwie Czeskiem, stosuje się tylko do wyboru posłów z wielkiéj własności ziemskiéj.

Według istniejącego porządku wyborczego, sejm czeski liczy 240 członków, którzy dzielą się w następującym stosunku:

Wielka własność ziemska:	posiadaczy fideikomisów	16	70
	właścicieli dóbr tabularnych płacących podatku gruntowego najmniéj 250 florenów	54	
Gminy miejskie			71
Izby handlowe i przemysłowe (Praga 4, Reichenberg 4, Eger 3, Pilsen 2, Budweis 2)			15
Gminy wiejskie			79
Głosy: Arcybiskup Prazki, 3 biskupów (Leitmeritz, Königgrätz, Budweis) Rector magnificus uniwersytetu prazkiego			5
		Razem	240

Królestwo czeskie tworzy jeden okręg wyborczy z ogniskiem wyborów w Pradze na wszystkich siedmdziesięciu posłów wybieranych z dwóch grup właścicieli ziemskich. 16 posiadaczy majątków fideikomisowych i 54 deputowanych od innych właścicieli ziemskich, wybiera się według istniejących przepisów na jednéj kartce wyborczéj. Ponieważ zaś wielcy właściciele ziemscy dzielą się na dwa wrogie sobie stronnictwa, t. j. na partyą wiernych konstytucyi idącą ręka w rękę z niemieckiém stronnictwem konstytucyjném, i na tak zwaną historyczną, albo ściśléj mówiąc autonomiczno-szlachecką, skłaniającą się ku czeskiej partyi narodowéj, ponieważ między temi dwiema partyami nigdy nie przyszło do kompromisu w kwestyi wyborów na sejm, więc naturalném następstwem tego porządku wyborczego jest fakt, że wszyscy 70 deputowanych od własności ziemskiéj należą zawsze tylko do jednego stronnictwa i że partya przeciwna nigdy nie jest na sejmie reprezentowaną.

Gdy nadto pozostałych 170 członków sejmu czeskiego należy, w połowie do stronników niemieckiéj partyi konstytucyjnéj a w połowie do czeskiego stronnictwa narodowego, to nic dziwnego, że charakter większości w sejmie zależy tylko od wyborców z pośród wielkich właścicieli ziemskich i że *jeden głos* w reprezentacyi własności ziemskiéj stanowi o tém, czy większość dochodząca nawet do dwóch trzecich, będzie niemiecko-konstytucyjna czy autonomiczno-liberalna.

Taki modus wyborczy wynaleziony był w r. 1861 przez Schmerlinga oczywiście w tym tylko celu, ażeby w widokach niemieckiéj polityki rządu w Wiedniu, nadać czeskiéj reprezentacyi wyraźnie niemiecką cechę i wiadomo powszechnie, że rządy stronnictwa wierno-konstytucyjnych, czyniły wszystko w ciągu ostatnich lat 19, co tylko dokonać może rząd środkami, które ma do rozporządzenia, aby czeską reprezentacyą takiém piętnem naznaczyć.

Otóż ministeryum Taafego, według swego, otwarcie wypowiedzianego programatu rządzenia, nie ma w tém żadnego interesu, aby przez taką wyraźnie niemiecką większość przedstawić reprezentacyą królestwa Czeskiego bardziéj niemiecką aniżeli nią jest w istocie, a przedłożony sejmowi czeskiemu projekt rządowy, tyczący zmian w istniejącym porządku wyborczym wykazuje jasno, że gabinet Taafego ma szczery zamiar wzmocnić sztucznie wytworzoną mniejszość sejmu czeskiego.

Według tego projektu, wybór przedstawicieli wielkiéj własności ziemskiéj ma się odbywać nie w *dwóch*, jak dotąd lecz w *sześciu* grupach wyborczych; pierwsza grupa wybierać ma 32, pięć innych

38 deputowanych; dla pierwszéj korporacyi, całe królestwo Czeskie ma stanowić jeden okrąg wyborczy z ogniskiem wyborczém w Pradze.

Zamiast dotychczasowych 29 posiadaczy majątków fideikomisowych, którzy wybierali od siebie 16 posłów, ma być zaliczonych do pierwszéj grupy wyborczéj, jeszcze 44 nie fideikomisowych posiadaczy majątków lennych i tabularnych, którzy ogółem płacą 10,000 fl. podatków realnych.

Tym sposobem pierwsza grupa wyborcza liczyłaby 73 wyborców i wybierałaby 32 posłów.

W pozostałych pięciu okręgach wyborczych, będą mieć prawo do wyboru wszyscy posiadacze dóbr tabularnych płacący podatku realnego 300 fl., a w téj cyfrze przynajmniéj 250 fl. podatku gruntowego. Ogólna liczba wyborców w téj grupie wyborczéj dochodziłaby do 462 a rozdział ich w następującym przedstawi się stosunku:

Miejsce wyboru	*Liczba wyborców*	*do wybrania*
1. Karolinenthal	85	9 posłów
2. Budweis	117	9 „
3. Pilsen	121	10 „
4. Jungbunzlau	64	5 „
5. Chrudim	75	7 „
Razem	462 wyborców,	wybierze 38 posłów.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że wprowadzenie takiego porządku wybierania do sejmu czeskiego, usunęło-by z sejmu na zawsze dotychczasową niemiecką konstytucyjną większość; bo jest więcéj niż prawdopodobném, że 32 posłów z pierwszéj grupy wyborczéj nie należało-by do partyi wierno-konstytucyjnéj, a następnie, na mocy znajomości istniejących stosunków można stanowczo twierdzić, że partya narodowo-autonomiczna w *trzech* z pozostałych pięciu kategoryj wytworzyła-by większość.

Dla tego to dzisiejsza niemiecka większość w sejmie czeskim odrzuciła ten projekt rządowy przejściem do porządku dziennego.

Na jakiéj drodze i jakiemi środkami będzie można nareszcie zmienić ten niesprawiedliwy porządek wybierania do sejmu czeskiego, kiedy jedynie sam sejm taką zmianę uchwalić może, pokaże przyszłość, nad którą w téj chwili głowy sobie ani czytelnikowi łamać nie myślę.

Ad. 2. Petycye gmin niemieckich i reprezentacyj okręgowych przeciwko rozporządzeniu o języku, nad któremi sejm czeski obradował na ostatniém swojém posiedzeniu z 10 lipca r. 1880, mają swoję historyą. Przywódzcy całéj agitacyi utrzymują, że te petycye są następstwem „nadzwyczajnego rozdrażnienia i zaniepokojenia“ obu-

dzonego wśród niemieckiéj ludności Czech rozporządzeniem o języku i że uważać je należy za zupełnie samoistną, bez niczyjego wpływu wyrażoną, opinię ludności niemieckiéj o tém rozporządzeniu.

Co do tego, muszę oddając hołd prawdzie nadmienić, że najprzód dla nikogo nie mogły zostać tajnemi wysyłane z Wiednia i z Pragi wezwania do gmin miejscowych i okręgowych z charakterystyczną wskazówką, że idzie tu o sprawę stronnictwa i że w interesie stronnictwa zamanifestowanie niepokoju byłoby pożądaném.

W mowie mojéj w sejmie przytoczyłem nadto pewną okoliczność, która fakt nadesłania 50—60 niemieckich petycyj, przedstawić może we właściwém świetle. Zwróciłem wtedy uwagę na to, że w owym czasie (na wiosnę r. 1880) kiedy niemiecka partya konstytucyjna ogłosiła swój memoryał przeciw narodowym życzeniom wyrażonym w „memorandum“ czeskich posłów i wzywała niemieckie gminy w Czechach do udziału w protestancyi, z 3000 blisko gmin niemieckich w Czechach, zaledwie 135 nadesłało adresa w myśl niemieckiego memoryału. Wtedy chodziło tylko (cytuję słowa mowy), że tak powiem, o akademickie orzeczenie narodowych życzeń i interesów, bez praktycznéj doniosłości. Teraz utrzymują, że w całéj niemieckiéj ludności w Czechach obudziło się w skutku rzeczywiście ogłoszonego rozporządzenia o języku, nadzwyczajne rozdrażnienie i zaniepokojenie, że niezadowolenie ludności jest zupełnie samoistne; i cóż mamy przed sobą? 50 petycyj, których liczba do końca kadencyi sejmowéj doszła zaledwie do 60, a właściwie mogłaby być zredukowaną do 12, nadesłanych z tych samych ognisk reprezentacyi gminnéj i okręgowéj, a zatém z tego samego źródła pod dwoma nazwiskami płynących?

Że zaś te petycye niemieckiéj ludności były wynikiem nie rzeczywistego zaniepokojenia lecz wezwania i to wezwania tego rodzaju, że je wykonać trzeba było prawie przymusowo, wykazuje dostatecznie następujący wypadek...

Urodziłem się w niemieckiéj miejscowości (przytaczam tę okoliczność dla wykazania jak osobliwie układają się stosunki w Czechach), ale od pierwszych lat moich studyów przyłączyłem się do narodowego ruchu czeskiego; brat mój jest pocztmistrzem i radcą gminy w téj samėj miejscowości i został Niemcem. W celu uzyskania gruntownych informacyj co do petycyj przedstawionych na sejmie do roztrząsania, zadałem bratu następujące kategoryczne pytanie:

„Czy rozporządzenie ministeryalne z 19 kwietnia r. 1880 obudziło między wami jakie zaniepokojenie?

„Czy wogóle w okolicach waszych panuje jakie rozdrażnienie?

Na te pytania brat mój odpowiedział mi co następuje:

„Z rozporządzenia to tylko wywnioskowałem, że odtąd każdy sąd w Czechach obowiązany jest czeskie sprawy po czesku załatwiać i w takich wypadkach ze stronami po czesku traktować. Rozporządzenie to, jak sądzę, może zaniepokoić tylko urzędników którzy niewładają czeskim językiem ale nie ludność niemiecką. Czechy na tém zyskali ale Niemcy nic nie stracili, więc Czechom téj wygranéj powinszujmy. Zresztą nie zbraknie w Czechach prawników umiejących oba języki krajowe, wprowadzenie więc w życie tego rozporządzenia, nie powinnoby natrafić na trudności.“

Na podstawie téj informacyi, którą w sejmie odczytałem, wyraziłem zdanie, że przynajmniéj w niemieckiém mieście Wartenbergu, rozporządzenie o języku nie wywołało żadnego zaniepokojenia.

Cóż wtedy uczyniła niemiecka partya konstytucyjna? Deputowany Teubner, należący do tego stronnictwa, napisał do swego szwagra burmistrza w Wartenbergu, że „w interesie partyi“ musi być z Wartenberga nadesłana jakaś petycya o zaniepokojeniu. Burmistrz, chcąc zrobić przyjemność szwagrowi swemu panu Deputowanemu, skorzystał z chwili, kiedy mój brat, z powodu innych zajęć, nie mógł być obecnym na posiedzeniu rady gminnéj i — petycya, nad któréj stylizowaniem nikt silić się nie potrzebował, bo przysłano ją gotową do podpisu, uchwaloną była *jednogłośnie* przez radę gminną Wartenberga, poczém ją natychmiast ogłoszono w „Prager Tagblatte.“

Pytanie teraz, czy można to uważać za dowód rzeczywistego zaniepokojenia ludności niemieckiéj i za samodzielne wyrażenie opinii publicznéj?

Józef Heinrich, były poseł na sejm i do Rady Państwa, uczciwy niemiecki demokrata, w otwartym liście do swego przyjaciela, posła w Radzie Państwa, Jana Stendla, tak się wyraża o tém zaniepokojeniu: „Dziennikarstwo wiedeńskie prawi na wszystkie strony banialuki o zaniepokojeniu między Niemcami; co do mnie, nie dam się zaniepokoić i zdrowy rozsądek narodu niemieckiego nic też nie wie o takiém zaniepokojeniu. Kto się niepokoi, i to strasznie, o tém wiemy dobrze oba, a naród się domyśla. Muszę Ci nawet wyznać, że mię to właśnie uspokoiło, że stara koterya, którą zresztą u steru rządu pozostawiono, nie może już rządzić sama; jako prawdziwie wierny konstytucyi czuję się bardzo spokojnym, że prawa konstytucyjne, będą nadal stosowane nie jednostronnie lecz wszechstronnie; uspakaja mię to, że będzie zrobiona przynajmniéj próba obalenia potwornéj procedury wyborczéj Schmerlinga; wreszcie bardzo mię

to uspokoiło, że w sferach decydujących osiągnięto przekonanie, że rządy w państwie nie mogą być wyłącznie téj partyi pozostawione.“

Większość niemiecka w komisyi sejmowéj, któréj oddano petycye do ocenienia i do zdania sprawy (1), nie podzielała naturalnie poglądów p. Heinricha, bo w téj komisyi prezydował dr. Herbst, przywódca owéj koteryi, przeciw któréj walczy niemiec Heinrich. Większość téj komisyi mówi w swojém sprawozdaniu o petycyach: „że rozporządzenie ministeryalne z 19 kwietnia r. 1880 *może wywołać*, niezwykłe zaniepokojenie wśród ludności niemieckich okręgów w Czechach, bo czyni niedostępną większą część urzędowych posad dla niemieckich mieszkańców, nieznających języka czeskiego ani słownego ani piśmiennego w czysto niemieckich miejscowościach Czech; zmusza niemieckiego mieszkańca do uczenia się języka czeskiego, wtedy nawet gdy w sądach istniejących w niemieckich miejscowościach chce być obrońcą w sprawach karnych i do przyjmowania od władz niemieckich skarg oraz innych dokumentów piśmiennych w języku dla niego niezrozumiałym; stawia Niemca pokrzywdzonego karygodnym czynem, jeżeli oskarżony należy trafem do czeskiéj narodowości, wtedy gdy zna język niemiecki, ale go nie chce używać, w smutnéj alternatywie: albo posługiwania się we własnym niemieckim sądzie, płatnym przez siebie tłómaczem, albo do zrzeczenia się pretensyi o wynagrodzenie poniesionych szkód i strat; wreszcie rozporządzenie z 19 kwietnia r. 1880 znagla właścicieli realności w niemieckich miejscowościach, do tolerowania ażeby wpisy w księgach hypotecznych nie zrozumiałe były dla mieszkańców w tych miejscowościach i aby w skutku tego kredyt ich na szwank był narażony.“

Przy bezstronném rozważeniu powyższego, nie trudno dostrzedz, że wszystko co w tych motywach powiedziane jest „o niemieckich mieszkańcach, o właścicielach realności w niemieckich miejscowościach“ na wypadek jeżeli nie znają języka czeskiego, da się na odwrót zastosować do mieszkańców czeskich miejscowości i do właścicieli realności w czeskich miejscowościach, wrazie gdy ci po niemiecku nie umieją; a z tego bezstronny sędzia sam wyprowadzi wniosek, że właściwie rozporządzenie o języku żadnéj narodowości krzywdy nie przynosi i że inaczéj dziać się nie może w kraju za-

---

(1) Wszystkie komisye w sejmie czeskim, wybierane są przez kurye: wielka własność ziemską, miasta i izby handlowe oraz gminy wiejskie. Każda kurya wybiera trzecią część członków komisyi, a cyfra wybranych musi być podzielona przez 3. Stronnictwo czesko-narodowe ma większość tylko w jednéj kuryi—w gminach wiejskich.

mieszkałym przez dwie odrębne narodowości, jeżeli w tym kraju, na zasadzie zupełnie jasnego art. XIX ma być przeprowadzone równouprawnienie obu narodów.

W kantonie Szwajcarskim Bern, gdzie równouprawnienie niemców i francuzów praktykowane jest aż do najdrobniejszych szczegółów, zarzuty, sformułowane przeciw rozporządzeniu o języku w sprawozdaniu komisyi sejmu czeskiego, wydały-by się po prostu śmiesznemi, bo tam każdy głęboko przeświadczony jest o nieuniknionéj konieczności prawdziwego równouprawnienia obu narodów, bo nikomu tam na myśl nie przyjdzie krytykować tę zasadę, a każdy żywi to przekonanie, że wszystko powinno być wypełnione, co jest potrzebném do zupełnego jéj w praktyce przeprowadzenia.

W Czechach, niestety, inne są stosunki. Niemcy w Czechach, nakłaniani są systematycznie, można-by nawet powiedzićć zmuszani przez swoich politycznych przywódców, do nieuznawania zasady równouprawnienia obu narodowości, do oporu i stawiania przeszkód praktycznemu jéj przeprowadzeniu, z powodu, że Niemcy mają należyć do wyższéj rasy, która w nauce języka rasy niższéj widzi ubliżenie dla swéj godności.

Niemiecka większość w sejmie czeskim, nadała wnioskowi komisyi (w dniu 10 Lipca r. 1880) moc uchwały, na podstawie którćj petycye 18 komitetów okręgowych niemieckich i 35 reprezentacyj gminnych, przeciwko rozporządzeniu o języku z 19 kwietnia r. 1880 przedstawione zostały c. k. rządowi z prośbą o dojrzałe sprawy rozważenie i o *zaradzenie złemu.*“

Do końca r. 1880 rząd nie postawił w tym kierunku ani jednego kroku, ale wojna podjazdowa przeciw rozporządzeniu o języku, jest ciągle i systematycznie prowadzoną przez Niemców i nie przyczynia się bynajmniéj do utrwalenia koniecznych i z wielu względów pożądanych, przyjaznych stosunków między dwiema narodowościami.

W skutku agitacyi prowadzonéj w tym kierunku w niemieckich miejscowościach Czech, urzędy gminne, a nawet c. k. władze polityczne i sądowe, w niemieckich miastach, pospolicie odrzucają czeskie podania, które dopiéro w następstwie rekursu do wyższego sądu krajowego, lub do najwyższéj izby sądowéj załatwiają się nareszcie po czesku. Celem takiéj rozmyślnéj zwłoki, jest zmuszenie Czechów do tego, aby do gmin niemieckich i do władz po miastach niemieckich wnosili podania po niemiecku. Przytém gminy niemieckie w odezwach swoich do gmin czeskich, używają naturalnie języka niemieckiego, a zdarzyło się nawet, że pewna gmina niemiecka zażądawszy odezwą niemiecką od gminy czeskiéj potrzebnych dla sie-

bie wiadomości, nie przyjęła przysłanéj w czeskim języku odpowiedzi.

Niemcy zatém robią wszystko co jest w ich możności, ażeby przeszkodzić praktycznemu przeprowadzeniu równouprawnienia obu narodowości w Czechach i jedynie energiczniejsze wystąpienie rządu, może pod tym względem wydać rezultat pożądany nawet przez Niemców, w których narodowy szowinizm nie zagłuszył ogólnie ludzkiego poczucia słuszności i sprawiedliwości.

Walka niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego przeciwko Taafemu nie jest rozstrzygniętą; hr. Taafe nie może się jeszcze pochlubić stanowczém zwycięztwem, gdy przeciwnie partya konstytucyjna zapowiada ciągle w swoich organach wiedeńskich, z zupełną pewnością tryumfu, rychły upadek gabinetu Taafego. Można-by tu powiedzieć: *Adhere inter judices lis est.* Rada państwa zgromadziła się znowu 30 listopada; 4-go grudnia odbyło się w Izbie poselskiéj pierwsze czytanie owych dwu wniosków, które na poprzedniéj sesyi Rady Państwa nie przyszły na porządek dzienny: mianowicie wniosku hr. Wurmbranda, ażeby w wyjaśnieniu art. XIX prawa organicznego państwowego z 21 grudnia r. 1867, język niemiecki uznany był za państwowy i wniosku d-ra Herbsta w przedmiocie rozporządzenia o języku z d. 19 kwietnia r. 1880. O losach tych obu wniosków i o ostateczném (?) (sam stawiam znak zapytania) załatwieniu całego sporu, doniosę w następnym liście.

W przeciągu czasu od zamknięcia sejmu (w lipcu) do otwarcia Rady Państwa (30 listopada r. 1880) niemieckie stronnictwo konstytucyjne prowadziło bardzo rozległą agitacyą. Wszystkich Niemców przedlitawskich wzywano pod hasło bojowe *Das Deutschthum ist in Gefahr* do łączenia się w zwartą falangę przeciw gabinetowi Taafego. Właściwemi przywódcami całéj agitacyi, są naturalnie, Niemcy z Czech z d-rem Edwardem Herbstem na czele. Głównym celem agitacyi jest wykazanie, że jakkolwiek niemcy są w stosunku mniejszości względem słowian w kraju czeskim i morawskim, ale mają większość w stosunku do Czechów w całéj Przedlitawii i że nie są bynajmniéj skłonni do zrzeczenia się hegemonii narodowéj w Przedlitawii, połączonéj z wszelakiemi bardzo realnemi korzyściami, przez miłość dla idealnego równouprawnienia narodowości.

Dnia 8-go sierpnia r. 1880 odbył się w Mödling pod Wiedniem pierwszy zjazd stronnictwa, dolno-austryackich wierno-konstytucyjnych Niemców. Zwołujący na ten sejmik dr. Kopp mówi:

„Ciężkie czasy nastały dla niemieckich wierno-konstytucyjnych austryaków. Naród, który utworzył państwo i tyle dla jego dobrobytu i rozwoju pracował, poświęcał i cierpiał, zagrożony jest w swo-

ich interesach i w należném sobie stanowisku. Zapowiedziane porozumienie się i pojednanie ludów nie powiodło się w sposób opłakany; narodowa walka przeciwko niemieckiemu żywiołowi prowadzi się z zaciętością i bez oglądania się na nic; panowie feudalni, partya klerykalna i plemiona słowiańskie, łączą się z sobą ilekroć chodzi o uciskanie Niemców, o rozluźnianie jednolitości państwa i o zmianę w dziedzinie wolności, kultury postępu na wstecznictwo.“

Rezolucya przyjęta na tym zjeździe głosi między innemi: „że najważniejszym obowiązkiem Niemców w Austryi jest trzymać się niezachwianie zasady spójności wszystkich Niemców w Austryi,“ i naturalnie stanąć jak jeden człowiek przeciw dzisiejszemu rządowi. Ażeby nie wzbudzić żadnéj wątpliwości co do tego, że sprawa czeska stanowi właściwe jądro i punkt wyjścia całéj agitacyi, rezolucya brzmi daléj:

„Zjazd stronnictwa uważa rozporządzenie o języku nietylko za bezpośrednie niebezpieczeństwo dla żywiołu niemieckiego i dla jednolitości rządów, ale za zachętę do wszelkich dążeń anti-niemieckich i przeciw-konstytucyjnych, za źródło zobopólnych narodowych nienawiści, a przedewszystkiem widzi w tém rozporządzeniu charakterystyczny objaw całéj polityki rządowéj, która na téj drodze stwarza sobie sztuczną koalicyą niezgodnych z sobą żywiołów, większość nieożywioną żadną wspólną myślą, a zatém nieuzdolnioną do rządzenia, ażeby kosztem ludności wiernéj państwu i konstytucyi dopiąć chwilowych swoich celów, nie oglądając się na istotne zachwianie podstaw państwowych. Idzie tu więc, mówi rezolucya, o walkę za jedność państwa za żywioł niemiecki i za konstytucyą.“

19-go września r. 1880 odbył się w Brnie *niemiecko-morawski zjazd.* Głównym mówcą był dr. Sturm, który w piorunującéj mowie wydał wyrok potępienia na ministeryum Taafego. Uchwalona rezolucya zaczyna się od tych słów:

„Niemiecko-morawski zjazd wyraża zdanie: że konstytucya, która od wielu lat stała się nietykalném wspólném dobrem wszystkich ludów w Austryi, rozwój jéj, jak niemniéj stanowisko narodu niemieckiego w Austryi ugruntowane na historyi, na cywilizacyi i na racyi stanu, zagrożone są rzeczywistem niebezpieczeństwem w skutku postępowania obecnego rządu.“ Rezolucya wzywa daléj „do solidarności wszystkich Niemców w Austryi“ i „potępia rozporządzenie o języku wydane dla Czech i Morawii, które nie było wywołane żadną potrzebą, nie odpowiada prawom organicznym państwa, budzi niepokój i zamęt i zagraża prawom Niemców.“

3-go października r. 1880 odbył się w Karlsbadzie zjazd stronnictwa *niemiecko-czeskiego.* Tu Niemcy czescy, musieli naturalnie

wykazać, że właściwie oni stoją na czele całego ruchu, że ich interesa są podstawą całéj agitacyi. Rozmaici mówcy mówili wiele na zebraniu przygotowawczém, na samym zjeździe i na uczcie pożegnalnéj. Nowego właściwie nic się nie usłyszało, ale wszystko ostrzéj było skierowane przeciw obecnemu rządowi i uchwalone rezolucye tak były gwałtowne, że rząd sprzeciwił się ich ogłoszeniu. Z tego powodu nie mogę rezolucyj dosłownie przytaczać; sądzę jednak, że to stanowczo można o nich powiedziéć, że nic nowego nie zawierały i że nie tyle może treść, ile ostry sposób wyrażenia, wywołały ten opór rządu przeciw ogłoszeniu.

W Karlsbadzie zapowiedziano zgromadzenie ogólnego niemiecko-austryackiego wiecu, który téż wkrótce zwołany został do Wiednia na dzień 14 listopada r. 1880.

O zjeździe stronnictwa w Wiedniu to przedewszystkiém powiedziéć nalcży, że się na nim najwyraźniéj odbiła cecha niemiecko-narodowa całéj agitacyi. Kiedy dr. Newald burmistrz Wiednia witał zgromadzenie w imieniu reprezentacyi gminnéj stolicy austryackiéj, ten charakter wystąpił tak gwałtownie na pierwszy plan, że ilekroć mówca w mowie powitalnéj używał wyrazu *austryacki*, przerywano mu burzliwym okrzykiem *niemiecki*, tak, że biedny orator, zaledwie z największym kłopotem przemówienie swoje do końca dociągnął.

Wypada tu jeszcze zwrócić uwagę, że ten zjazd w Wiedniu, nie znalazł takiego oddźwięku wśród ludności jak się spodziewano. Nie ja tak twierdzę, ale pisze do Augsburskiéj gazety pod d. 14 listopada, jawny stronnik partyi wierno-konstytucyjnéj „że wewnątrz miasta nie było widać żadnego przyozdobienia“ i powstaje „na obojętność i brak zainteresowania się ludności.“ Tenże sam korespondent donosi „o burzliwych rozprawach na zgromadzeniu nad postawieniem programatu“ i ubolewa nad tém, że na zebraniu przygotowawczém wybrano na prezydującego d-ra Sturma, osławionego w czasie krachu r. 1873, a na wiceprezesa drugiego jegomości nie-lepszéj sławy, jak gdyby niemieckie stronnictwo konstytucyjne nie miało do rozporządzenia innych zdolnych osobistości.

Charakterystyczną zaiste jest okoliczność, że dr. Schmeykal (recte Smejkal), przywódca Niemców w Czechach był głównym mówcą na wiedeńskim zjeździe. Przedstawiona przez d-ra Schmeykal i jednozgodnie przyjęta rezolucya głosi nieco napuszyście co następuje:

„Głęboki, ciągle wzrastający niepokój zapanował we wszystkich prowincyach Austryi. Rozporządzenia rządu i wpływ owéj koalicyi, która je uchwaliła większością parlamentarną wytworzoną

z siebie saméj, a nieprzyjazną niemieckiemu żywiołowi, jedności państwa i liberalnym zasadom konstytucyi, zmusiły nas do walki o najdroższe téj konstytucyi dobro, do walki tém opłakańszéj, że przeszkadza pielęgnowaniu interesów ekonomicznych, uznanemu za jedno z najważniejszych zadań państwowych i odwleka rozwiązanie wielu kwestyj z dziedziny przemysłu i gospodarstwa wiejskiego. Wobec tak groźnego położenia mówca wzywa „do urzeczywistnienia w żywym czynie tak często wypowiadanéj zasady solidarności wszystkich Niemców w Austryi“—„do skutecznéj obrony od wszelkiéj zkądkolwiek grożącéj napaści narodowych interesów, praw oraz stanowiska niemieckiego szczepu, nieodzownego dla interesów państwa i nadającego ustrojowi politycznemu Austryi cywilizacyjny charakter,“ — „do energicznego odpierania wszelkich federalistycznych dążeń“ i nareszcie „do zgodnéj opozycyi przeciw obecnéj polityce rządu,“ „pod wspólnym sztandarem niemieckiego żywiołu i austryackiéj idei politycznéj.“

Tego samego 14 listopada kiedy w „sali Zofii“ w Wiedniu przyjmowano powyższą rezolucyą, w Kolosseum Schwendera odbywało się liczniejsze jeszcze zgromadzenie wiedeńskiego stronnictwa demokratyczno-ludowego, w którém prezydujący oznajmił przedewszystkiém, że zgromadzenie zwołane zostało głównie w celu zaprotestowania przeciw uchwałom zjazdu wierno-konstytucyjnych. „Nie możemy patrzéć na to obojętnie, mówił daléj prezydujący, jak odbywają się po dawnemu podniecania zastarzałych namiętności narodowych z wielką szkodą naszych ekonomicznych interesów. Koterya wierno-konstytucyjnych utrzymuje ciągle, że Austrya jest krajem z gruntu niemieckim i na mocy tego twierdzenia, patentowani owi germanizatorowie mają pretensyą, ażebyśmy szli za nimi na ślepo. My tego nie uczynimy; przeciwnie, my nie widzimy w tém nic złego, jeżeli Słowianie domagają się praktycznego przeprowadzenia konstytucyi, która im art. XIX zapewnia zupełne równouprawnienie. Nikogo nie można zmusić do mówienia przed sądem w innym języku, jak tym, którym przywykł mówić od dzieciństwa. Na najdroższy klejnot każdego człowieka, na jego język ojczysty, targnąć się nikt nie ma prawa.“ „Austrya tworzy jedną wielką rodzinę ludów i nikt nie powinien być uciskany z powodu swego ojczystego języka. Bo i któż teraz w Austryi najwięcéj robi hałasu? Liberalni fabrykanci, wierno-konstytucyjni z Czech, którzy dotychczas wyzyskiwali tylko kraj czeski pod względem finansowym. Mieliżbyśmy iść za takimi ludźmi jak: dr. Herbst, Gross, Sturm i Czedik, za takimi aferzystami zalegającymi miejsca we wszelakich radach zarządzających, za spekulantami, którzy w komisyi kolejowéj Izby poselskiéj różne

między sobą miewali sekreciki? Protestujemy przeciw pretensyi tych ludzi do pociągnięcia nas za sobą.“

Inny mówca, Marchall, jeszcze gwałtowniéj wystąpił przeciw wiernokonstytucyjnym. „Dziś, mówił on, odbędzie się zjazd przy zamkniętych drzwiach (1). Kłamałby ten, ktoby utrzymywał, że się tam coś dzieje ku pożytkowi narodu. Żądano aby ludność wywiesiła flagi i iluminowała domy. Każdy wie, jak Wiedeń odpowiedział na to wezwanie. Ci tylko przyozdobili swoje domy, którzy pragną aby powróciły czasy banków szwindlerskich i przepadłych w krachu kolei żelaznych. Wiedeń obchodzi dziś raczéj dzień smutku aniżeli wesela. Koterya wiernokonstytucyjnych chce dostać się na nowo do rządów, zasiąść znów przy pełnych misach, ażeby wielcy ludzie w rodzaju Giskry, mogli kupować domy i gospodarzyć na najlepszych ulicach Wiednia.“ Mówca charakteryzuje jaskrawemi barwami przywódców, którzy się troszczyli zawsze tylko o własne kieszenie, a nigdy o prawdziwą pomyślność narodu. Opisuje następnie szczegółowo tak zwaną prasę liberalną wiedeńską, która zawsze za gotowe pieniądze pisała reklamy dla zawodnych przedsiębierstw. „Tagblatt“ wiedeński i „Neue freie Presse“ dostały po 25,000 fl. za sprawy banku angielskiego i tureckich losów: „Vorstadtzeitung“ dostała 16,000 fl. a nawet „Hansjörgel“ oberwał 500 fl. Tak się przedstawia tak zwana „liberalna prasa“ równie zepsuta jak całe liberalne stronnictwo konstytucyjne.

W końcu przyjęto rezolucyą, w któréj zgromadzenie protestuje przeciw nazwie *liberalnéj*, zastosowanéj do partyi tak zwanéj wiernokonstytucyjnéj, całe bowiem jéj postępowanie względem ludności pracującéj dowodzi, że dla téj partyi wolność jest tylko maską pod którą ukrywa się najgorsze polityczne i ekonomiczne zepsucie.

Z powyższego okazuje się że zjazd wiedeńskich Niemców, po którym stronnictwo wiernokonstytucyjnych spodziewało się silnego i trwałego wrażenia, odbył się wśród akcesoryów wielce to wrażenie osłabiających i łatwo teraz zrozumiéć dla czego urzędowa „Wiener Abendpost“ w spokojnym tonie odzywała się o napaściach na rząd, tak pretensyonalnie przygotowanych. Rząd, mówi ta gazeta, nie stanie do wypowiedzianéj walki, bo nie może widziéć swoich wrogów w stronnictwie, które chce bronić konstytucyi. Wobec szturmów niemieckéj partyi wiernokonstytucyjnych, rząd podnosi sztandar „idei austryackiéj“ i potępia usiłowanie niemiecko-liberalnéj partyi, przywłaszczenia wyłącznie sobie przymiotnika wiernokonstytucyjny i podciągania pod zasady konstytucyjne postulatów narodowych

(1) Obecni byli tylko osobiście zaproszeni i zaopatrzeni w bilety wejścia.

i przytacza zdanie zmarłego Lessera który wyrzekł niegdyś w Izbie poselskiéj że „wiernokonstytucyjnym jest każdy który tu w téj Izbie działa na gruncie i w granicach konstytucyi.“

Jeszcze bardziéj stanowczą odpowiedź na niemieckie manifestacye na zjeździe wiedeńskim daje ministeryum w „Lloydzie“ peszteńskim przez swego półurzędowego korespondenta, który pisze pod d. 17 listopada.

„Rząd wie dobrze że mu wojnę wypowiada silna i dobrze uorganizowana partya, ale w téj chwili nawet uczyni jeszcze wszystko ażeby uniknąć ważniejszych z nią starć; rząd cofnie się raczéj, aniżeliby miał otworzyć upusty, przez które wdarłyby się rasowe namiętności i narodowy fanatyzm ażeby zachwiać podstawami państwa. Ale rząd liczy przytém na poparcie wszystkich umiarkowanych żywiołów z prawicy zarówno jak z lewicy, i będzie podporą, osłoną dla każdéj partyi, która się uzna za czysto specyficznie-austryacką, a nieprzyjacielem dla każdéj, która ideę narodową podstawi na miejsce idei austryackiéj, słowem—sądzę, że jestem do wypowiedzenia tego upoważniony, w chwili kiedy partya niemiecko-liberalna wywiesi sztandar czarno-czerwono-złoty, a Czechowie zechcą podnieść słowiańską czerwono-biało-niebieską chorągiew rząd rozwinie barwy czarno-żółte. W takim wypadku rząd uważałby sobie za pierwsze i najważniejsze zadanie: stłumić namiętności narodowe i zmusić je do poddania się jednéj jedynéj idei austryackiéj, dla tego właśnie strzedz będzie i nadal zasady jedności państwa, jako nietykalnego palladyum, ale dla tego również zwracać będzie z niezachwianą stałością należną uwagę na potrzeby i słuszne pretensye wszystkich ludów.“

Manifestacye Niemców na zjeździe wiedeńskim nie zostały téż bez odpowiedzi z przeciwnych obozów. Wiadomo że obecna większość w Izbie poselskiéj w Wiedniu składa się z trzech odłamów: z Polaków, z Czechów i z tak zwanego niemieckiego stronnictwa prawa, albo z partyi niemiecko-zachowawczych autonomistów pod wodzą hr. Hohenwarta.

To ostatnie stronnictwo zwołało na 21 listopada r. 1880 zjazd do Linzu, na który zgromadziło się 8.000 stronników i zapadła następująca uchwała.

„Zjazd niemiecko-zachowawczy, jako wolne zgromadzenie zachowawczo-usposobionych Niemców w Austryi, wyraża swoje przekonanie: że jedynie ta polityka wszechstronną jest i zbawienną, która czuwa z jednakową troskliwością nad potęgą monarchii i nad samorządem jéj krajów, która szanuje konstytucyjną formę rządu, polityczne prawo wyboru, według zasad wszechstronnéj słuszności, roz-

wija i roszerza—„interesa wszystkich warstw narodu jednakowo popiera, i przy pielęgnowaniu narodowości niemieckiéj, pamięta o prawach innych narodowości, wybitne zaś znaczenie narodowości niemieckiéj uwydatnia, nie prawami przymusowemi, ale na drodze naturalnego cywilizacyjnego rozwoju, która wreszcie sprzymierzywszy się z zachowawcami innych narodowości austryackich, występuje przeciwko wszelkim rasowym poduszczeniom i wszelkiemu uciskowi narodów“—„zjazd niemieckich konserwatystów oświadcza, że w dotychczasowych czynnościach obecnego rządu (rozporządzenie o języku) niemoże upatrywać *szkody ani niebezpieczeństwa dla narodowości niemieckiéj* i stanowczo nie przyznaje partyi niemiecko-liberalnéj prawa, występowania w charakterze przedstawicielki wszystkich austryackich Niemców lub choćby ich większości; twierdzenia zaś zawarte w rezolucyi zjazdu liberalnych Niemców w Wiedniu: jakoby naród niemiecki we wszystkich prowincyach Austryi był *głęboko zaniepokojony*, jak gdyby większość parlamentarna nieprzyjazną była żywiołowi niemieckiemu, a głównym celem partyi autonomistów, fałszywie federalistami nazwanéj, rozerwanie organiczno-prawnéj spójni łączącéj niemców austryackich, uważa za *niczém nieusprawiedliwione łudzenie narodu*, za potwarz rzuconą na autonomistów, szczególniéj na niemieckich konserwatystów; wreszcie zjazd niemieckich konserwatystów wyraża uroczyste zastrzeżenie przeciwko twierdzeniu zawartemu w powyższéj rezolucyi, że walka wywołana przez samę partyą liberalną może przeszkadzać pracy około interesów państwowych i ekonomicznych i odwlec rozwiązanie wielu kwestyj z dziedziny przemysłu i gospodarstwa wiejskiego, przyczém zjazd niemieckich konserwatystów wyraża nadzieję, że konserwatywni deputowani wszystkich austryackich narodowości, energicznie wystąpią przeciwko dążeniom partyi niemiecko-liberalnéj, w najwyższym stopniu zgubnym dla interesów ludów austryackich, i że wszystkie siły, zwrócone będą do czuwania nad interesami państwowemi i ekonomicznemi, szczególniéj ku podniesiu gospodarstwa wiejskiego, przemysłu, ku popieraniu miejscowéj pracy, słowem ku dobru Austryi i pomyślności jéj ludów.“

Łatwo zrozumiéć, że dzienniki stronnictwa wiernokonstytucyjnych osłabiały według możności znaczenie zjazdu w Linzu i uchwalonéj na nim rezolucyi, przyczém zapędzono się aż do utrzymywania, że Niemcy zgromadzeni w Linzu w liczbie 8.000 nie byli Niemcami, co innemi słowy znaczyć miało że w Austryi ten tylko jest Niemcem kto należy do niemiecko-liberalnego konstytucyjnego stronnictwa.

Po zjeździe Niemców w Karlsbadzie (w początku października) noszono się w Pradze z projektem ogólnego czeskiego zjazdu. Głównym celem takiego zjazdu byłoby naturalnie zgromadzenie dowodów, że najprzód rozporządzenie o języku nie jest żadném niebezpieczeństwem dla narodowości niemieckiéj i powtóre, że narodowi czeskiemu nigdy na myśl nie przyszło i nie przyjdzie, narażać na szwank narodowość niemieckich ziomków, ale że przytém naród czeski zdecydowany jest przy prawach swoich obstawać, dążyć wszystkiemi prawnemi drogami do prawdziwego politycznego równouprawnienia i do praktycznego téj zasady przeprowadzenia.

Wykonanie tego planu odłożono najprzód śledząc przebieg zjazdu wiedeńskiego, a gdy w pierwszéj połowie listopada zapowiedziany już był zjazd konserwatystów w Linzu, uznano prawie jednozgodnie za najwłaściwsze, zostawić niemieckim konserwatystom odpowiedź na rezolucyą partyi niemiecko-liberalnéj i wstrzymać się od zjazdu czeskiego, choćby tylko dlatego, żeby powściągliwością dowieść, że Czechowie nie chcą bynajmniéj podniecać panującego już między Niemcami wzburzenia.

Niektórzy stronnicy młodych Czechów nie zgadzali się na to mądre umiarkowanie; na zgromadzeniu więc w klubie młodych Czechów, uchwalono wraz po zjeździe wiedeńskim, doprowadzić do skutku zjazd czeski. Ta uchwała była jedynym przedmiotem rozpraw na posiedzeniu mężów zaufania posłów czeskich zwołaném przez dr. Riegera w d. 19 listopada. Na tém posiedzeniu pokazało się najprzód: że członkowie koła poselskiego należący do młodych czechów, nie byli obecni na tém zgromadzeniu klubu Młodych Czechów (z wyjątkiem prezydującego dr. Trojana), i że nie zgadzali się na zapadłą tam uchwałę. Dr. Edward Gregr zwrócił na to uwagę, że urządzenie poważnego zjazdu na 28 listopada nie jest możliwém, albowiem potrzebne do tego przygotowania, zaproszenia, korespondencye, nie dadzą się uskutecznić w tak krótkim czasie, i że rzecz cała nie jest ani potrzebną ani na czasie, bo wiadomo że zwołany już na 21 listopada do Linzu zjazd konserwatystów niemieckich, sformułuje potrzebną odpowiedź na rezolucyą niemieckiéj partyi liberalnéj. Profesor Tilser, również ze stronnictwa „młodych Czechów,“ zauważył nadto, że na ogólny zjazd Czeski należałoby zaprosić i Morawią, co w tak krótkim czasie również jest niemożliwém. Trzeci mówca z „młodych Czechów,“ dr. Kučera, jako człowiek w tych sprawach doświadczony wyjaśniał daléj, co musi być najprzód zrobione ażeby rzeczywisty ogólny zjazd czeski do skutku doprowadzić i dał tym sposobem niezbity dowód, że wykonanie tego do 28 listopada, tj. w ciągu 9 dni jest niepodobieństwem. Posiedzenie zamknięto ogól-

nie wyrażoną prośbą do dr. Trojana, prezydującego w klubie „młodych Czechów", ażeby powzięte postanowienie o ile i gdzie można odwołać.

Odstąpiono tedy od zwołania i tak niemożliwego zjazdu ale przywódcy „młodych Czechów" zapowiedzieli na 28 listopada zebranie w sali konwiktu.

To zebranie miało tak opłakany przebieg, że zapewne dziś jeszcze przywódcy „młodych Czechów" żałują że je zwoływali. Przywódcy „młodych Czechów" mieli w liczbie swoich stronników aż do 28 listopada r. 1880 przedstawiciela robotników, Sallera, i protegowali go gdzie tylko mogli, w téj nadziei że on im w każdym czasie będzie na usługi z całą partyą robotników, gdzie tylko tego zajdzie potrzeba. Na Sallera i jego partyą liczyli „młodzi Czechowie" zwołując owe zebranie do sali konwiktu. Ale na krótko przedtem dyrekcya policyi zabroniła zebrać się socyalistycznéj partyi robotników, w skutek czego Saller powziął myśl przekształcenia, przy pomocy swoich stronników, politycznego zebrania zwołanego przez „młodych Czechów" na socyalistyczne zebranie robotników i tym sposobem, zasłoniwszy się protekcyą młodych Czechów, wypłatać figla prześwietnéj policyi. Na uwagę zasługuje ta okoliczność, że dyrektor prazkiéj policyi dobrze świadomy agitacyi między robotnikami, ostrzegał urządzających zebranie „młodych Czechów" o zamiarach Sallera, i dał im radę ażeby wstępu na zebranie dozwolili tylko za biletami wejścia. Nie usłuchano jednak życzliwéj rady; „młodym Czechom" zdawało się że będą mieli nad Sallerem i nad jego ludźmi dostateczną władzę i zachowali wobec możliwego niebezpieczeństwa tę tylko fatalną ostrożność, że sproszono na zebranie wielu młodych ludzi z silnemi pięściami. Ponieważ i z drugiéj strony nie zaniedbano zgromadzić potrzebne siły, więc niewielka sala konwiktu była natłoczoną już na pół godziny, przed otwarciem zebrania. I musiało się stać, to co się stało. Jedni wołali: „Trojan prezydującym"—inni jeszcze głośniéj krzyczeli „Saller niech prezyduje" Potém wrzeszczano „Wyrzucić ich precz" aż przyszło nakoniec do ogólnéj bijatyki wśród tak przerażającéj wrzawy, że komisarz policyi zaledwie mógł być słyszanym wydając rozkaz rozejścia się z sali. O ile wiem nikt nie uległ niebezpiecznemu skaleczeniu, ale sińców i guzów musiało być niemało, równie jak uszkodzeń w odzieży; a sam lokal z całém urządzeniem wyszedł na tém najgorzéj.

Partya „młodych Czechów" nie będzie mogła zapisać chlubnie dnia 28 listopada r. 1880 w rocznikach swojéj politycznéj działalności, a że chętnie chlubi się przy lada sposobności że bez niéj to lub owo nie byłoby się stało, musi teraz przystać na uwagę, że bez niéj

naród Czeski nie byłby doczekał się wielkiego skandalu 28 listopada r. 1880.

Do następstw nie bez znaczenia wypadku 28 listopada r. 1880 należy wyraźnie wypowiedziana nienawiść przywódcy robotników, Sallera, dla „młodych Czechów". Za Sallerem stoją robotnicy, czyli że „młodzi Czechowie" mają przeciw sobie całą partyą robotników, a nienawiść znajduje sobie swobodne ujście w polemice dziennikarskiéj, między „Narodnimi listami", organem „młodych Czechów" a dziennikami socyalistycznemi, oraz w rozmaitych broszurach. „Narodni listy" nazywają swego dawnego przyjaciela i *protégé* „sprzedajnym nafciarzem" a Saller nazywa znów „młodych Czechów" *zbankrutowaną partyą*, która liberalizm wywiesiła tylko na szyld ażeby naród tém łatwiéj za nos wodzić, a właściwie nie wie co jest prawdziwy liberalizm.

19-go Grudnia r. 1880 odbyło się w Wiedniu zebranie czeskich robotników, na które zaproszono i „młodych Czechów". Ci ostatni naturalnie nie przyszli. Przyjęta tam rezolucya protestuje przeciwko uchwałom zjazdów niemieckich w Mödlingu, Brnie, Karlsbadzie i Wiedniu, a szczególniéj przeciwko urządzonemu w ten sposób podszczuwaniu narodowości. „Młodych Czechów" pomięszano w téj rezolucyi z niemiecko-liberalną partyą wiernokonstytucyjnych, a na wszystkich, jako na pseudo-liberalnych, kryjących pod maską liberalizmu polityczne i ekonomiczne zepsucie uroczystą rzucono klątwę.

Z poprzedzającego okazuje się, że w drugiéj połowie r. 1880 rozprawiano wiele i wiele uchwalono poza Radą państwa Przedlitawii i poza sejmem przedlitawskim, i sądzę iż nikt mi tego za drobną narodową próżność nie weźmie, jeżeli powiem, że w tém wszystkiem głównie szło o sprawę czeską i o to tylko pytanie: czy narodowa hegemonia Niemców wytworzona w Czechach i Morawii przez Schmerlingowski systemat wyborów, ma trwać daléj jako zgodna z konstytucyą, lub też czy ustąpi prawdziwemu politycznemu równouprawnieniu obu narodowości. Hr. Taafe, który odważył się targnąć na tę „konstytucyjną hegemonią Niemców w Czechach," wyklęty został przez niemiecko-liberalną partyą, jako wróg żywiołu niemieckiego, i wszystkie środki których użyć może stronnictwo polityczne będą użyte dla obalenia jego systematu. Hr. Taafe, jak mi się zdaje, nie obawia się swoich wrogów i ufam w to, że mu się uda Austryą zrobić tém, co cesarz Franciszek Józef nazwał w mowie tronowéj 8-go października 1879 „bezpieczną ostoją dla wolności i praw wszystkich ludów" tylko na téj drodze spełni Austrya swoję misyą cywilizacyjną, tylko w téj postaci ma Austrya istotną, *raison d'être*, tylko

tak sprawdzi się stara dewiza A. E. I. O. U: Austria erit in orbe ultima.

Dr. Gabler.

P. S. Wspomnę jeszcze w kilku słowach o wypadku, który w październiku 1880 dość wrzawy narobił i wywołał w dziennikach osobliwsze komentarze: mianowicie o pobycie dr. Riegera w Peszcie. Dr. Rieger (tak mówiono) jedzie do Madziarów ażeby z nimi zawrzéć przymierze o zagładę Niemców w Austryi, dr. Rieger jedzie do Madziarów, przygotować ich i przyjaźnie usposobić dla gabinetu Rieger—Clam-Martinitz, etc. etc. Tak brzmiały komentarze do téj podróży dr. Riegera do Pesztu. Każdy chciał wiedziéć co właściwie dr. Rieger w Peszcie z Madziarami zamierzał, jakie tam miał cele, a przy końcu tych wszystkich komentarzy zapytywano ogólnie czego właściwie chciał w Peszcie dr. Rieger? Na to pytanie można krótko i jasno odpowiedziéć; Rieger informował się w Peszcie i chciał téż ze swojéj strony poinformować. Ponieważ w dziennikach pisze się tyle niesmacznych rzeczy o dążnościach Czechów, dr. Rieger zdecydował się osobiście być w Peszcie i Madziarom osobiście powiedziéć, czego właściwie chcą Czechowie. W Peszcie traktowano to jako grzeczną uprzejmość i przyjęto dr. Riegera bardzo przyjaznie. Mówiono z nim otwarcie i w tym duchu mogły nasze dzienniki z zupełną słusznością zapisać, że dr. Rieger osiągnął całkowicie cel, dla którego podróż do Pesztu przedsięwziął.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

PO POŁUDNIOWYCH OKOLICACH KRÓLESTWA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IV.

Dwa Hoteliki. — Szukając Heterosteginy znajdujemy jeszcze rzadszy okaz: dobrze zachowanego liberbarona. — Skorocice. — Groty. — Ograniczoność tematów turystycznych. – Grób aryański. — Wandalizm.

Wyjechaliśmy z Buska ku południo-zachodowi. Minęliśmy dwie wsie, Hotelek czerwony i Hotelek zielony,—niewiem dla czego tak oryginalnie nazwane — i zatrzymaliśmy się wśród pola, z którego roztaczał się widok na Busk. Widok ten był ważny dla geologów z tego względu, że konfiguracya okolicy rzuca światło na pochodzenie wody słono-siarczanéj. Tu bowiem rozległy się gipsy, które rozkładając się dostarczają wodzie siarkowodoru.

Niektórzy włościanie żęli, drudzy paśli bydło i żadnemu nie przyszło na myśl zapytać się, co robimy, albo też kwestionować nam prawa obserwacyi na ich gruntach. Zapewne czytelnik pomyśli, iż zbyt jestem łaskaw, uważając za grzeczność to, co się samo przez się rozumie. I ja tak dotąd sądziłem, ale wyprowadził mnie z błędu wypadek, który nam się zdarzył w najbliższéj wsi S. należącéj do pana J.

Pan Krutkiewicz, który już kilkakrotnie zwiedzał te okolice, zdając sprawę ze swéj pracy kierownikowi poszukiwań, zaprowadził nas do pewnego punktu terytoryum wsi S. do wapieni obfitujących w pewną ważną skamieniałość (*Heterostegina Puschii*). Ponieważ zarówno geologom powyższym, jak i umyślnie przybyłemu dla obznajmienia się z najnowszemi badaniami professorowi uniwersytetu warszawskiego, potrzeba było zebrać pewną ilość tych skamie-

niałości, więc zaczęliśmy rozbijać kamienie na powierzchni leżące aby z nich drobne skorupy wydostać.

Po kwadransie zjawia się przed nami figura ekonoma czy pisarza.

— Dzień dobry panom!

— Dzień dobry.

— Panowie zapewne w celu naukowym.....

— Tak jest.

Chwila milczenia, przerywana stukiem maleńkich młotków i wzajemném zwracaniem uwagi na skamieniałości.

— Może panom potrzeba pomocy? p. J. chętnieby przysłał.

— O serdecznie dziękujemy za tę uprzejmość — ale nam żadnéj pomocy nie potrzeba.

Znowu chwila milczenia.

— Przepraszam panów, p. J. chciałby wiedziéć, kto panowie jesteście i w jakim celu tu przyszliście! czy można wiedziéć?

— O, z największą przyjemnością! odezwał się geolog, który nas oprowadzał. Jesteśmy geologami, wysłanymi przez ministra spraw wewnętrznych dla zbadania tych okolic oraz dla poszukiwań soli.

Figura kłania się. Znowu milczenie i kucie młotkami.

— Możeby panowie byli łaskawi zajść do dworu, dziedzic wielceby rad był panom.

— Zechciéj pan najuprzejmiéj podziękować p. J. w naszém imieniu i przeprosić, że z jego grzeczności korzystać nie możemy, dla braku czasu. Dzisiaj pozostała nam jesze wielka przestrzeń do zwiedzenia.

— Przepraszam panów, ale sam obowiązek.

— Co?

— Sama grzeczność nakazuje....

— Co i komu nakazuje? — zapytało naraz kilku zdziwionych tym zwrotem rozmowy, wskazującym, że jakoś „nie sama grzeczność“ przysłała tego zbytecznego rozmówcę.

— Panom nakazuje — ciągnie daléj figura — abyście zaszli do dziedzica i opowiedzieli co na jego gruntach robicie?

Homeryczny śmiech był odpowiedzią na tę dziką pretensyą.

Jeden z nas odrzekł.

— Zboża nie depczemy, bośmy przyszli dróżką lub po ściernisku, stodół tu nie ma, więc nie możecie nas posądzać o chęć kradzieży lub podpalenia...

— Ach, któżby panów o to posądził! — ale zawsze obowiązek grzeczności...

Bądź pan łaskaw przestać mówić o obowiązkach grzeczności i sam lepiéj o nich pomyśl — rzekł ktoś zniecierpliwiony tém natręctwem.

Figura ruszając ramionami ustąpiła, my zaś śmieliśmy się do rozpuku.

Po skończeniu roboty, skierowaliśmy się do wózków pozostawionych przy drodze i zdziwieni spostrzegliśmy przed dworem kłaniającą się nam osobę, która odezwała się.

— Jestem J. właściciel téj wsi.

— A my jesteśmy ci a ci.

Wzajemne ukłony.

— Panowie nie byli na mnie łaskawi...

— Ach, wybacz pan, ale mamy nadzwyczaj mało czasu i niepodobna nam wstępować do obywateli, których grunta oglądamy. Choćby to było bardzo przyjemne, aleby rezultat pracy odroczyło.

— Ale przecież dla saméj formy uzyskania pozwolenia....

— Przepraszam pana, pan się myli. Pan *nie może* dać pozwolenia czynienia badań naukowych na swoim terytoryum, bo pan *nie może* ich także zabronić. Gdybyśmy zmuszeni byli jaką szkodę panu wyrządzić np. gdyby nam wypadło iść przez pole zasiane, to wtedy uważalibyśmy za stosowne poprosić pana o pozwolenie. W każdym innym razie, pozwolenie jest zbyteczne. Więc tu może tylko chodzić o formę. Ale zrozumiesz pan, że gdybyśmy nawet chcieli, to nie moglibyśmy jéj zadość uczynić, bo przeglądając dziennie kilkanaście wiorst, musielibyśmy się legitymować kilkudziesięciu właścicielom, którzyby jeszcze, czyniąc zadość znanéj gościnności obywatelstwa naszego, nie puszczali nas od siebie, nienakarmiwszy i nienagawędziwszy się do woli. Jużeśmy pańskiemu ekonomowi oświadczyli, że chętnie złożylibyśmy panu wizytę, gdyby to tylko było rzeczą możliwą.

— Panowie fałszywie się na to zapatrują, ja jestem właścicielem tych gruntów i mam prawo wymagać, aby obce osoby, które na nie wjeżdżają, legitymowały się i prosiły o pozwolenie!

— A! jeżeli tak, to oświadczamy panu, że nam się nie podobało wstępować do pana i że nie podoba nam się dłużéj z panem rozmawiać.

To rzekłszy odeszliśmy.

— Proszę papiery pokazać — zawołał *liber baron* — może jesteście jacy emisaryusze!

Rumieniec nie tyle gniewu, ile wstydu pokrył mi czoło. Wstydziłem się za p. J.

— Każ nas pan aresztować, to pokażemy właściwéj władzy jacyśmy emisaryusze.

Ale p. J. nie posunął się już dalej widocznie nie dla tego, żeby nie prześladować swych rodaków, dokonywających tak ważnej pracy dla kraju, ale dla tego, że lękał się możliwego „wygoworu" od władzy, za zaczepianie ludzi zaopatrzonych w papiery od samego ministra.

Opuściliśmy grunta S. bardzo zasmuceni z powodu tego wypadku. Ale gdy pierwsze wrażenie minęło, przyszła uzasadniona refleksya, że p. J. jest z pewnością jednym i jedynym wyjątkiem wśród całego obywatelstwa, i że jako unikat „dobrze zachowanego" aż do obecnych czasów okazu „liber barona," raczej na śmiech niż na gniew zasługuje.

Ztamtąd pojechaliśmy do Skorocic dla obejrzenia grot gipsowych.

Okolica jest bardzo malowniczą. Jest tu strumyk wijący się pomiędzy gipsowemi wzgórkami, jest stawek eliptyczny przedstawiający piękny widok z góry. Groty, w znacznej liczbie to miejsce ozdabiające, są utworem owego strumyka. Jedne z nich są obszerne, otwarte; po nich widocznie dawno już obfita woda nie płynęła i dla tego też można się w nich spodziewać skarbów archeologicznych. Inne, po których płynie ów strumyk, podobne są do sklepionych kanałów. Była to widocznie początkowo jedna tylko grota, ale podzieliła się na trzy, wskutek zapadnięcia się sklepienia. Natura, obfitującą w rozmaitość, różnie ukształtowała jej dno, boki i sklepienia, upiększywszy wyjścia bujną roślinnością.

W językach dalszego zachodu istnieje wiele dzieł, już to specyalnie, już to częściowo grotom poświęconych. Dla czegóż u nas nie ma ani jednego? A przecież mamy tyle nietkniętego prawie jeszcze materyału około złotego Potoku, Olsztyna, Ojcowa i zapewne w wielu innych miejscowościach, tak mało znanych jak Skorocice. Sądzę, że nietylko przyrodnik, ale i malarz oraz poeta mogliby w nich znaleść materyał faktyczny i czerpać natchnienie pełne uroku romantycznego. Czyż zawsze kraj własny będzie nam najmniej znany?

Rzecz dziwna, jak mało mamy samodzielności. Przez długi czas powtarzaliśmy w historyi polskiej to co napisał Naruszewicz i Lelewel, w historyi literatury szliśmy ciągle za Bętkowskim, Wiszniewskim itd. Każdy się jakoś lękał zajrzeć do źródeł, a jeśli zajrzał, to patrzył na nie oczyma poprzedników. Toż samo i co do opisów kraju. Ktokolwiek podróżował, ograniczał się na opisie jakiegoś starego zamku, zajrzał co najwyżej do akt genealogicznych właściciela i zajmował się historyą kościoła. I dobrze jeszcze, jeżeli zaglądał do tych akt, bo inni zadawalniali się podaniami już znanemi.

Zwracano chyba jeszcze uwagę na charakter etnograficzny okolicy, zbierano bajki i pieśni, ale to także tylko dlatego, że tak czynili Chodakowski, Zmorski, Pauli, Kolberg za którymi najczęściéj tylko powtarzano. Wreszcie mieliśmy opisy Morskiego oka, doliny kościeliskiéj, Czorsztyna, Rabsztyna, Ojcowa, Piaskowéj skały;—cały legion naśladowców, albo je na nowo opisywał z tych samych punktów widzenia, albo przerabiał dawne opisy, już to wprost podając całe ustępy już téż je tylko parafrazując. Zjawisko to dające niezaszczytne *testimonium paupertatis* naszéj niedawnéj literatury turystycznéj, trwało czas długi i tak się ustaliło, że publiczność czytająca jest pewną, iż oprócz Ojcowa, Piaskowéj skały i gór Ś-to Krzyskich, nic zajmującego w przyrodzie królestwa nieznajdziemy, że są to nudne monotonnością płaszczyzny, które ani dla umysłu ani dla fantazyi przedmiotu niedadzą. I piszący był długi czas tego samego przekonania, dopóki go przypadkowe wycieczki nie zaprowadziły do wielkich i majestatycznych grot Olsztyna, do zarówno pouczających jak pięknych grot Skorociskich, *o których żaden wykształcony warszawiak nie słyszał!* A ileż to jeszcze jest takich miejscowości! I dokądże one czekać będą na pomiary inżeniera, opis naturalisty i ołówek malarza?!

Grzechem byłoby opuścić Skorocice nie odwiedziwszy Grobu Aryańskiego, na wzgórku, niedaleko dworu. Trzeba iść do niego przez koniczynę, coprawda, w tym roku bardzo rzadką, ale bądź co bądź stanowiącą cudzą własność. Postanowiliśmy więc prosić obywatela o pozwolenie, lecz jeden z naszych towarzyszy, który już przedtém zwiedzał tę okolicę i doznał jaknajlepszego przyjęcia od właściciela Skorocic, zaręczył nam, że choćbyśmy nawet szkodę jaką zrządzili, właściciel nie będzie nam miał tego za złe, bo umie cenić uczucia, skłaniające do zwiedzania pamiątek przeszłości. Wybraliśmy drogę najkrótszą i stawialiśmy stopy w wielkie przestwory pomiędzy pojedynczemi roślinkami. Ludzie na to patrzyli, ale nikt nie przyszedł kwestyonować nam praw chodzenia po cudzym gruncie. Bardzo mnie ten fakt cieszył, ale z drugiéj strony, nie mogłem zrozumiéć, dlaczego właściciel obsiewa grób dokoła, nie zostawiając nawet wązkiéj ścieżynki. Może nikt grobu nie zwiedza?

Weszliśmy do grobu. Jest on zupełnie otwarty, bo żelazne drzwi, które go do niedawnych czasów zamykały, odbił jeden z poprzednich właścicieli Skorocic i sprzedał, czy téż użył do celów gospodarczych. Ha! postępujemy! Rzucili się potém chłopi na trumny i nietylko obdarli materye, któremi trumny były obite, ale nadto ściągnęli piękną i dobrze zachowaną odzież ze szkieletów. Teraz

wszystkie kości—kilkunastu jak się zdaje osób, leżą w jednéj trumnie pomieszane z sobą.

Kaplicę aryańską, która miała stać nad grobem, już dawno zburzono... Samego grobu nie ruszano—widać dlatego, że się lękano umarłych. Ten czyn wandalski pozostawiony był osobie, która wzniosła się do takiego stopnia „rozumu praktycznego“, że materyał drzwi żelaznych więcéj ceniła nad pamiątkę najświetniejszych czasów...

Chcieliśmy odczytać resztkę napisu wybitego ćwieczkami miedzianemi czy mosiężnemi na trumnie. Nie udało się to nam, gdyż prawie połowę ćwieczków wyrwano wraz z materyą. Pomarzyliśmy więc tylko pod sklepieniem, o które obijały się żałobne pienia czasów Reja i Kochanowskiego, i zostawiliśmy obszerny grób straży jaszczurki, która się przewijała wśród gruzów...

V.

Zagość—Gips „czyniący głębokie wrażenia“.—Wiślica.—Siarkowodór. – W zajeździe —Brak starych gmachów.—Dudnienie.—Zamczysko.—Zaklęta królewna.—Kościół.—Dom Długosza.—Architekt skazany na powieszenie. Grom w obronie kawek.—Sympatyczny kanonik.

Zamiast się udać wprost do Wiślicy, zboczyliśmy ku Zagościowi, aby obejrzéć piękne, wysokie ściany gipsu, które według nieco komicznego wyrażenia Zejsznera „czynią głębokie wrażenie dla swéj krystaliczności.“ Jestto zakątek bardzo zajmujący, wart zwiedzania przez udających się w te strony na wycieczki.

Nietylko te krystaliczne ściany, ale w ogóle całe terytoryum gipsowe w południowych powiatach kraju naszego, należy z powodu swej wielkości do *memorabiliów* geologicznych europejskich. Prawdopodobnie nigdzie gips nie występuje na tak rozległéj przestrzeni. Bogactwo to wystarczy nam na wieki, bo teraz jest eksportowane prawie wyłącznie u samych brzegów Wisły, dającéj możność taniego transportu. Rozlega się tu również bardzo szeroko margiel, który prawdopodobnie kwalifikowałby się do wyrobu cementu. Dotychczas jednak służy on tylko, o ile mi się zdaje, do budowy domów, a więc do użytku najniewłaściwszego, gdyż pomiędzy ścianami marglowemi powietrze jest chłodne i wilgotne.

Ziemia jest tu wszędzie bardzo urodzajną, utworzyła się tu bowiem tak nazwana rędzina, wysoko ceniona przez rolników. Margle występujące w tych okolicach są często „zasolone“, nadto, wiele źródeł słonych bije nad lewym brzegiem Nidy. Wieś która się tu rozległa w bardzo malowniczém położeniu jest wielka i piękna.

Obejrzawszy wzgórza marglowe, zawróciliśmy ku Wiślicy. Wjazd z tej strony do miasta jest bardzo przyjemny z powodu widoku, nieprzyjemny zaś z powodu zapachu. Czuć tu w powietrzu siarkowodór powstały widocznie w skutek działania zawartości rowów na grunt gipsowy. Ciecze bowiem organiczne, gnijąc, rozkładają gips i uwolniają z niego siarkowodór. Taki też jest początek źródeł siarczanych buskich.

Wiślica, tak słynna w historyi, jest obecnie nędzném miasteczkiem i tylko stara łokietkowska świątynia przypomina czasy dawnéj świetności. Wygląda ona, wśród nizkich odrapanych domków o wybitych lub zabitych deskami oknach, z tynkiem podobnym do różu na twarzy zwiędłéj kokietki, jak dzielny dąb śród koniczyny kanianką męczonéj. Tu i owdzie widoczne są ślady niedawnych pożarów i zapewne właśnie ogień był przyczyną stopniowego pogorszania się świetnego niegdy stanu miasta Kazimierzowego. Lecz i kościół ulegał pożodze, a jednak odradzał się jako feniks i dziś stoi w pełni majestatu.

I czyż oprócz kościoła żaden inny gmach się niezachował? Obok niego stoi starożytny o grubych murach dom biskupów, w którym długo przebywał najznakomitszy nasz dawniejszych czasów historyk (Długosz). A oprócz tych dwóch gmachów? Nic. Ani ratusza ani szkoły. Czy ich nie było? Czy też mieszkańcy nie czuli potrzeby odbudować ich, jeśli się spaliły? Na to niech uczeńsi odemnie odpowiedzą.

Zajechaliśmy na nocleg do zajazdu w odbudowywującym się, dość starożytny pozór mającym, domu, gdzie pokrzepiwszy siły, rozłożyliśmy się wprawdzie na świeżéj pościeli ale za to w brudnéj szynkowni. Po kolacyi udaliśmy się na przechadzkę po mieście. Zastanawiało nas to, że pod nogami dudni, jakby nad jaskiniami lub przechodami podziemnemi. Na jednym z placyków widzieliśmy występujące na powierzchnię jakby współśrodkowe warstwy gipsu. Choć one robiły na nas „głębokie wrażenie,“ poszliśmy jednak daléj bo zmrok szybko zapadał, a chcieliśmy jeszcze zwiedzić stare „zamczysko.“

Sądziłem ze znajdę jakąś ruinę podobną do Czorsztyna lub Olsztyna. Ale zamczysko wiślickie spadło o kilka stopni niżéj na drodze zniszczenia. Pozostał tylko wał, dość wysoki, trójkątny, ze ściętemi kątami, a w środku placu przezeń zamkniętego małe wzgórze. Włościanie, którzy zbierali siano skoszone na tych ruinach, mówili, iż wały były niegdyś murami, i że wybierano z nich kamienie na budowę domów. W stronie zwróconéj ku miastu miała być do niedawnych czasów brama wjazdowa, a na wysepkowatém wzgórzu

wśród trójkąta miał stać jakiś budynek a pod nim loch podziemny, do którego jest nawet przywiązana czarodziejska legenda. Fantazya ludu osadziła tam zaklętą królewnę, która codzień wychodziła z zamku i prosiła przechodzących, aby ją zanieśli do kościoła i tym sposobem skrócili jéj katusze. Długo nikt nie chciał się zgodzić, aż nareszcie ulitował się nad tą nieszczęśliwą pięknością jakiś włościanin. „Nieś mnie śmiało—rzekła—poczciwy człowieku, i nie oglądaj się na nic, choćby największe strachy przed tobą występowały; szczególniéj nie oglądaj się po za siebie; jeśli mnie doniesiesz i ty i ja będziemy uszczęśliwieni.“ Włościanin wziął ją na ramiona i szedł odważnie, choć wyłaniały się z pod ziemi i zawalały drogę węże i smoki,—lecz będąc o kilka kroków przed wejściem do świątyni zapomniał się i obejrzał z powodu jakiegoś nagłego krzyku. W téj chwili księżniczka zawołała „jestem zgubiona, zgubiona na wieki“—i znikła. Widzieli ją jeszcze ojcowie opowiadającego, od których się właśnie o tych dziwach dowiedział.

Zauważyliśmy, że zarówno w niektórych miejscach wału jak i na całéj ścieżce wiodącéj ku miastu słychać dudnienie. Ksiądz kanonik objaśnił nas, iż istnieje podanie o przejściu podziemném łączącém zamek z kościołem, jeden powód więcéj do zbadania przyczyny dudnienia. Kto wie czyby i naturalista i historyk nie znaleźli tam plonu niespodziewanego.

Nazajutrz zrana zwiedziliśmy starożytną świątynię prowadzeni przez uprzejmego księdza kanonika. Nie będę opisywał szczegółów analogicznych z napotykanemi w każdym mniéj więcéj starożytnym kościele. Ale muszę wspomniéć o dwóch epizodach z ostatecznych krańców jéj historyi, o podaniu z czasu budowy i wypadku, który się roku bieżącego wydarzył.

Po lewéj stronie kościoła jest wyrzeźbiona figura powieszonego człowieka. Rzeźba taka na ścianach kościoła, musi uderzyć każdego. Według opowiadania kanonika wisielec ten ma wyobrażać architekta cudzoziemca, sprowadzonego przez króla dla budowy kościoła. Z powodu jakiegoś małego błędu, król, obyczajem wieku, skazał go na powieszenie. Dworzanie jednak, przekonani, iż wyrok jest za surowym, namówili architekta, aby wykuł wiszącą figurę swoję i tym sposobem ułagodził gniew króla; król gdy mu pokazano tę rzeźbę tragikomiczną, roześmiał się i rzekł: „Ano, kiedy sam sobie sprawiedliwość wymierzył, więc kat nie ma koło niego co robić!“ Życie architekta zostało uratowane, a postać jego wisi dotąd, napróżno domagając się pędzla malarza i pióra powieścio-lub komedyopisarza, którzyby ten wdzięczny temat wyzyskali.

Wypadek roku bieżącego jest zupełnie innéj natury, ale ma również jakiś charakter legendowy. Kościół, będący najwyższym przedmiotem w okolicy już kilka razy ściągał na siebie wściekłość chmur obładowanych elektrycznością. W tym roku, piorun rozdarł dach, zepsuł wiązanie, wpadł do wnętrza po ścianie i znajdującym się na niéj starożytnym cudownym obrazie Najświętszéj Maryi Panny, który nie bardzo uszkodził. Dosięgnąwszy podłogi, wyrwał z niéj jedną taflę kamienną a wreszcie obalił i ogłuszył na pewien czas, stojącego obok sługę kościelnego. Potém, jakby piłka odbita od tafli wyrwanéj, wyleciał przez okno w drugiéj ścianie, pozostawiwszy naturalnie i na niém ślad swego przejścia.

Dla ludzi zarażonych powiewem „zimnego rozsądku“ i „zgubnéj nauki“ przyczyna uderzenia piorunu w kościół jest faktem najzupełniéj naturalnym i powszednim, zależnym tylko od przewodnictwa ciał kościół składających, od jego wysokości, tudzież przepływu chmury naelektryzowanéj. Dla ludku jednak bożego, wszelkich stanów i wyznań podobne tłómaczenie nie wystarcza. Lud wiślicki wynalazł „karę bożą...“ Na krótki czas przed tym wypadkiem miało miejsce zdarzenie następujące. W nietynkowanych ścianach kościoła są dziury, widocznie pozostałe po pierwotnych rusztowaniach; w dziurach tych gnieździła się od wieków ogromna ilość kawek. Ponieważ każdy mieszkaniec od dzieciństwa przyzwyczaił się do kawek; więc nietylko, że nie narzekano na ich przeraźliwe wrzaski, ale nawet nieznośne te istoty doznawały pewnéj przyjaźni i szacunku, jako „ptaki miejskie.“ Tymczasem, po odrestaurowaniu kościoła, gdy zauważono, że ich pomiot wyżera cynk na dachu wieżowym, gdy przytém szkodniki te dość często szyby wybijały, gdy przyszły skargi od sąsiednich właścicieli gruntów, że im zasiewy psują i gdy wreszcie nerwowy wikary nie mógł spać z powodu ich wrzasków: zatkano podczas ich odlotu dziury, aby się z kościoła do innego miejsca przeniosły. Wrzask po tym fakcie był niesłychany, ale teraz zastępy czarnego ptactwa znacznie się na kościele zmniejszyły. Mieszkańcy miasta okazywali nieukontentowanie, ale zapewne wkrótce-by o wszystkiém zapomnieli, gdyby nie ów grom. Połączyli go w swéj skłonnéj do cudowności wyobraźni z kawkami i nawet utrzymają: „że piorun szukał po kościele wikarego, ale go nie mógł znaleść i natrafiwszy na dzwonnika dał mu tylko ostrzeżenie, ale nie zabił. Gdyby zaś napotkał wikarego... ho! ho! coby to było!“ Ztąd wynika sens moralny, że mieszkańcy Wiślicy, aby i na nich grzech i kara nie spadły, za obojętne zachowywanie się w tém przestępstwie, zanieśli skargę na wikarego do naczelnika powiatu, z prośbą, aby kazał znowu wpuścić kawki do dawnych siedlisk.

Zdaje się, iż naczelnik zostawił tę prośbę bez następstw... Tak to powstają cudowne legendy...

Kanonik był dla nas wielce łaskaw. Nietylko, że nas oprowadzał po kościele naczczo bezpośrednio po mszy, ale i zaprosił na herbatę. Przy téj sposobności poznajomiliśmy się z domem Długosza i z jego obecnym mieszkańcem, który sobie za jeden z celów życia położył, przyprowadzenie do odpowiedniego stanu obu zabytków dawnéj epoki. Obecnie główną myślą kanonika jest zabezpieczenie kościoła od srożącego się nań tyle razy ognia niebieskiego. Kanonik już zebrał fundusz potrzebny na zaopatrzenie dachu i wieży w piorunochrony.

Tak nam dobrze było, tak swojsko w domu Długosza, że z niechęcią opuszczaliśmy ten zabytek, wynosząc z niego jak najprzyjemniejsze wrażenia. Ale czas naglił.

VI.

Zapas pszenicy i człowiek 17 łokciowy. — Proszowice. — Nawet pożar nie czyści.—Słomniki.—Pojęcia o przyczynie nędzy rzemieślników i złości warszawian.—Miechów.—Kościół. — Energiczne anioły. — Zbiór p. Sapulskiego. — Wspaniały dar.—Wolbrom-Las.—Kamień litograficzny Rabsztyn.

Dla skrócenia sobie czasu jazdy na trzęsącym wózku wdaliśmy się w rozmowę z woźnicą. Opowiadanie jego obracało się około księdza kanonika, którego nam w jak najlepszym świetle przedstawił, około zaklętéj królewny i wreszcie około żydów. Tym ostatnim miał do zarzucenia, że zabrali się do różnych rzemiosł, jako to mularstwa, stolarstwa i t. d. i że swą konkurencyą zmniejszają zarobek chrześcian. Okazuje to, iż w miasteczkach pojmują tę kwestyą inaczéj niż w gazetach warszawskich. Wreszcie woźnica opowiedział bajkę, widocznie nowego wyrobu. Miano gdzieś znaleźć sklep zalany ołowiem, w którym się mieścił odwieczny skład pszenicy, wystarczający na sto lat dla wszystkich ludzi na bożym świecie. Pilnował go człowiek mający 17 łokci wysokości i jeszcze większy miecz. Opowiadając nam tę historyą mieszczanin użył formy przedmiotowéj; ale nie więcéj wyrażającéj podmiotowość, wątpliwość, jak zwykłe rozmowy chłopów z ludźmi innéj klasy. I nic dziwnego, bo przy zupełnym braku nauki i nieznajomości świata, mieszkańcowi zapadłéj prowincyi, wszelkie cuda wydają się możliwemi.

Dążyliśmy do Proszowic i musieliśmy nadłożyć drogi jadąc przez Kazimierzę, gdyż jak zwykle, most na rzeczce, którą nam wypadało przejechać, „naprawiał się“ w Kazimierzy Wielkiéj; choć to osada porządna i ma zamożną, jak się zdaje, cukrownię, piękny pa-

łacyk, kawałek szosy a nawet i drogi żelaznéj dla użytku gospodarczego; karczma, do któréj nam zajechać radzono, była tak nędzną, żeśmy nie dostali w niéj ani mléka ani chléba ani nic innego. Pozwolono nam jednak bezinteresownie, przesiedziéć w brudnéj izbie szynkownéj, zanim się konie nie podpasą i odpoczną.

W téj okolicy natura gruntu już się zmieniła. Zamiast rędziny napotykamy glinę mamutową, którą słynie ziemia Proszowska.

W Proszowicach uderzyły nas znowu świeże ślady znacznego pożaru. Klęska ta powtarza się w miasteczkach naszych corocznie i rzecz dziwna; że przy swych złych stronach, nie wywołuje dobrych następstw które-by mieć powinna. Zdawało-by się, iż po większym pożarze ludzie bywają tak nastraszeni, że powinniby zrzucić z siebie tradycyjną ospałość i utworzyć organizacyą dla zapobiegania podobnym klęskom. Organizacya taka może-by miała i inne pożyteczne strony: zbliżyła-by do siebie pojedyncze jednostki i wlała-by w nie przekonanie o korzyści stowarzyszeń. Nadto po pożarze, na miejscu zapadłych, niewygodnych chałup, z nieczystemi podwórzami, powinny-by stanąć wygodniejsze i czystsze siedziby, ale gdzież tam!... Zaledwie strach minął, już każdy żyje tylko dla siebie i na miejscu oczyszczonych przez ogień brudów, powstają nowe...

W Proszowicach rozstaliśmy się z p. Kontkiewiczem, który się udał do Galicyi, dla nabycia szerszego poglądu na zauważone fakta. Pozostali trzéj, udaliśmy się na poszukiwanie trzeciego delegowanego przez ministeryum geologa, który według zasięgniętych wiadomości miał się udać do Słomnik.

Oczerniono przed nami Słomniki, jako bardzo nędzne i brudne miasteczko. Tymczasem znaleźliśmy je jeśli nie lepszém, to przynajmniéj takiém-że jak Proszowice. Mówię zaś to bardzo bezinteresownie, gdyż miejsce, gdzieśmy popasali, wcale nie usposabiało do uprzedzeń na korzyść tego miasteczka. Było-to coś w rodzaju wędlarni, gdzie ma się rozumiéć nie brakło piwa a tém bardziéj wódki i gdzie atmosfera wzbudzała głęboki szacunek dla starożytności wyrobów sztuki masarskiéj.

Przed tym przybytkiem na długiéj ławie siedziało kilka indywiduów z typowo-małomieszczańskim wyglądem. Kilku innych stało na rogu, siedzieli w zamyśleniu, lub rozmawiali ospale. Nie byli pijani. Przemówiłem do nich, pytając się o urodzaje i t. d.

— Czém się mieszczanie Słomniccy głównie zajmują? — zagadnąłem w ciągu rozmowy.

— A, proszę pana, jak zwykle mieszczanie. Orzą, sieją...

— A rzemiosła?

— Nędza proszę pana. Dawniéj jeszcze jakoś to było, ale kiedy żydów tu wpuszczono...

— Cóż oni, przywożą zkąd-indąd towary?

— Ij! nie! sami robią.

— Więc cóż z tego?

— Nędza, panie!

— To znaczy, że w Słomnikach jest za dużo rzemieślników, w Warszawie zaś jest ich za mało. Czemu to który nie sprobuje pojechać do Warszawy? Tam porządnych czeladników szewckich, krawieckich, piekarskich ciągle brakuje. Można mieć i życie wygodne i coś uciułać.

— Tak mówią—odezwało się kilku.

Ale jeden szewc, jakem się późniéj dowiedział, dotychczas milczący machnął ręką i rzekł:

— Mówią, bo nie wiedzą. Przecie ja byłem w Warszawie i musiałém wrócić, bo tam psie życie.

— A to dlaczego?

— Pracujesz jak koń, płacą mało i wolności żadnéj nie ma. Ho! ho! ja już poznałem tych warszawiaków!

— A możeście za dużo pili? — zapytałem, bo mi się dziwném wydawało to pojęcie o zarobku czeladnika w Warszawie.

— Drugiemu to zawsze za dużo, co ktoś pije—odrzekł z przekąsem.

Powstał śmiech ogólny.

Poszukiwanego geologa p. Michalskiego nie znaleźliśmy w Słomnikach. Powiedziano nam, że się udał do Miechowa. Więc nasz wózek potoczył się ku Miechowowi.

Miasto to jako zupełnie nowo odbudowane, przedstawia się przyzwoiciéj, niż wiele innych miast powiatowych. Rynek obszerny brukowany, obsadzony drzewkami i obstawiony domami murowanemi, nadaje mu pewien odcień zamożności. Pomimo to, znać jakieś opuszczenie, ospałość i widać, że warunki bytu Miechowa są dość sztuczne, polegające na tém tylko, że tu obrały siedzibę władze powiatowe. Prawdopodobnie Miechów żyje tylko z urzędników i dlatego téż nie ma żadnéj przyszłości.

W Miechowie czuć już pewnego rodzaju cywilizacyą. Jest tu porządniejsza niż w innych miastach *cukiernia.* Pod tą nazwą istnieją na partykularzu zakłady jadłodajne, w których oprócz kawy, herbaty, cukierków, ciastek, bułek można dostać i mięso i piwo i wino i wódkę. Jednéın słowem gdzie jest „cukiernia,“ tam już nie trzeba pościć lub kontentować się zimną strawą.

Prawdziwie zdziwiony zostałem wspaniałością kościoła Miechowskiego. Z zewnątrz uderza tylko czworograniasta wieża zakończona wielką żelazną banią, na której bocian uwił sobie gniazdo. Wieża ta, co do formy jest zapewne unikatem w naszym kraju. Wnętrze świątyni nie wieje tą rozmarzającą atmosferą dawnych wieków, która ogarnia widza w kościele Wiślickim, ale bądź-co-bądź czyni silne wrażenie. Przypisać to należy bezwarunkowo artystycznym przedmiotom i ich układowi — ale też nie małą musi tu grać rolę umiejętne wpuszczenie światła do wnętrza. Ołtarz jest tak oświetlony, jak w żadnym nie widziałem kościele. Przytém wszystko lśni się od złota, którego ani dawniéj ani obecnie przy odnawianiu nie żałowano. Dowodzi to nietylko pobożności mieszkańców okolicznych, ale i ich bogactwa. Figur około wielkiego ołtarza jest znaczna ilość, a takie życie tchnął w nie artysta, że nie potrzeba ani kropli fantazyi, aby widzieć ruch, myśl w tych grupach. W rysach twarzy tych figur uwydatnia się zbytnie rozbujanie podmiotowości rzeźbiarza, który nie uwzględnił, że nie każdy wyobraża sobie ideał piękna z zadartym nosem i wystającym podbródkiem. Może silne zaakcentowanie rysów nadało energią wyrazu twarzom, ale bądź-co-bądź taka jedność w charakterach szczególnych, mocno razi uważanego widza. Przytém wszystkie twarze są do siebie podobne. Widocznie zdolny artysta miał jakiegoś anioła z zadartym noskiem, energicznym podbródkiem i pulchnemi policzkami i pomyślał sobie, że jeżeli Rafael mógł nadać Madonnie twarz swéj Stelli Fornariny; to czemuż-by jemu nie wolno było wcielić rysów swego bóstwa w aniołów?

Drugą rzeczą w Miechowie zasługującą na uwagę, jest zbiór przyrodniczy pana Sapulskiego. Nie odznacza się on wcale wielkością i owszem jest bardzo szczupły, ale zawiera przedmioty nader ważne dla przyrodoznawstwa kraju naszego, szczególniéj pod względem paleontologicznym. W zbiorze tym znajdował się jeżowiec (*Ananchytes*) stanowiący prawdopodobnie unikat w swoim rodzaju; z jednéj jego strony dziwny traf usunął zewnętrzną powłokę i odkrył doskonale zachowaną budowę wewnętrzną o wielkich komorach, wewnątrz próżnych. Egzemplarz ten wzbudził silne zajęcie geologów. Zdumieni prawdziwie zostaliśmy, gdy nazajutrz właściciel ofiarował ten rzadki okaz prof. uniw. warsz. dr. Trejdosiewiczowi, aby go wziął do użytku przy wykładach. Ten tylko, kto wie, ile mają wartości nietylko naukowéj ale i pieniężnéj podobne unikaty, i kto umie sobie wyobrazić, jaką wagę przywiązują do rzadkości właściciele zbiorów; potrafi zrozumieć doniosłość podobnéj ofiary. Niespodziany ten dar powiększył jeszcze więcéj sympatyczne wra-

żenia, jakie na nas uczyniła pełna zapału dla nauki osobistość p. Sapulskiego.

Tutaj już wreszcie spotkaliśmy się z panem Michalskim. Wkrótce jednak musieliśmy się z nim rozstać, zatrzymywał go bowiem w Miechowie interes naukowy..

W Miechowie, jako w „mieście“ nie podobna było dostać wózka chłopskiego i trzęśliśmy się aż do Wolbromia, na bryczce pocztowéj, którą chyba sam dyabeł wynalazł na udręczenie ludzkości. Przytém szosa była nieznośna. Zastanawiałem się, dlaczego poczta nie używa zwykłych wózków, które chyba nie są droższe od bryczek, ale do żadnego uzasadnionego wniosku dojść nie mogłem. Nic dziwnego, bo podkładem mojéj myśli była racyonalność i celowość urządzeń téj instytucyi.

Okolica w téj stronie przedstawia widok dość urozmaicony. Od południa ciągną się w ogóle nagie wzgórza z powyrywanemi jarami, od północy i daléj ku Wolbromowi—lasy i pola uprawne.

O Wolbromiu, choć to miasto prowadzi najznaczniejszy handel w okolicy, wolę zamilczéć. Sądzić o nim z pozoru byłoby zbyt wielką złośliwością.

Za to, po wyjeździe z Wolbromia wynagrodzeni zostaliśmy widokiem lasu, dużego, prawdziwego lasu. Gdy spojrzysz czytelniku na las, wielki, ze staremi drzewami „istniejący“ pomimo ciężkich dla drzew czasów, pomyślisz, że on należy do magnata lub do rządu i nigdy się nie zawiedziesz. Jest-to własność rządowa.

Panująca obecnie w Prusach gorączka anneksyi górniczych terytoryów polskich, nie przyjemnie w téj okolicy ochłodzoną została. Jakiś Niemiec kupił w tém miejscu kopalnię kamienia litograficznego, nie zbadawszy ile jest wartą. Poprzestał tylko na obejrzeniu zewnętrznéj części pokładu, z którego dobyty łupek, równał się co do dobroci słynnemu kamieniowi Solenhofeńskiemu. Ale po wyeksploatowaniu tego co było na wierzchu, nastąpiły warstwy łupku nie zdatnego nawet do mniéj delikatnych robót litograficznych. Powiadają, iż Niemiec stracił na tém 40,000 rubli. Szczerze go nam żal, bo kraj z pewnością nicby nie stracił, gdyby miał bogatą, choćby należącą do Niemca kopalnią kamienia litograficznego.

Faktu istnienia, choćby tylko kawałka wybornego łupku, wyrównywającego solenhofeńskiemu, nie należałoby zostawić bez dalszych następstw. Wypadało-by zbadać ostatecznie, czy pierwotnie nie było go więcéj wśród skały gorszych własności, czy został zmyty i czy gdzie w okolicy nie oparł się wymuleniu ciąg jego dalszy.

Na krańcu lasu stoi poważna ruina zamku Rabsztyńskiego, oddzielając tętniące życiem roślinném lasy wolbromskie od jałowéj po-

wierzchni okolic Olkusza. I one przedstawiają ruinę dawnéj wielkości, tylko nie dla każdego oka dostępną. Lecz wzrok górnika widzi na nich ślady wielkich robót kopalnianych, które tyle żalu budzą w jego duszy, ile ruina siedliska dawnych starostów.

Jestem na miejscu w którém według podania ludowego Twardowski skupił wszystko srebro ziemi polskiéj. Lecz po Twardowskim gorzéj zaczarowały tę ziemię siły natury i nieopatrzność ludzka: woda zalała skarby mineralne i już od wieków broni do nich przystępu.

VII.

Zalane kopalnie.—Dawniejsze eksploatacye i nadzieja na przyszłość.—Usiłowanie w celu odzyskania kopalni.—Projekt i roboty pana Kosińskiego.

Słynne kopalnie olkuskie leżą już około 200 lat pod wodą i jeżeli eksploatowano z nich cokolwiek od owego czasu, to tylko tyle, że nawet na wzmiankę nie zasługuje.

Jak wielką była ich produkcya dawnemi czasy, tego dokładnie powiedzieć nie można. Wtedy nie znano jeszcze wartości statystyki. Pozostały tylko wiadomości o podatku wynoszącym jedenastą część produkcyi, i tylko cyfry tego procentu rzucają niejakie światło na wartość wydobytych kruszców. Oto przyjąwszy, że podatek obliczany był sumiennie, wypadnie, że kopalnie Olkuskie dawały pomiędzy połową XVI a połową XVIII wieku, średnio około miliona złp. rocznie, a niekiedy do 2 milionów. Cyfra ta, jak na owe czasy, jest bardzo wysoką—tém bardziéj, że eksploatacyą prowadzono niesystematycznie, sposobem tak zwanym rabunkowym. Przytém galman, (ruda cynkowa), który jest tam głównym minerałem, zużytkowywano tylko w nadzwyczaj małéj ilości, wynoszącéj co najwyżéj dziesięciotysięczną część produkcyi. Sprzedawano go za byle co do fabryk mosiądzu, resztę zaś albo przez niedbalstwo zostawiano pod ziemią, albo jeśli konieczność przymuszała, wyciągano nad jéj powierzchnię i porzucano jako pustą skałę, jak piasek lub muł do niczego nie zdatny. Dziwny ten fakt tłómaczy się tém, że przed końcem przeszłego wieku nie umiano dobywać fabrycznie cynku z galmanu, i dla tego uważano ten cenny materyał za ciężar, którego jaknajbardziéj unikać należy. Nie trzeba dodawać że nie ruszano ogromnych brył jego, jeśli w nich nie było poszukiwanych i jedynie tylko cenionych żył błyszczu ołowiu, zawierającego srebro.

W skutek téj nieświadomości poprzedników, pozostały dla nas wielkie skarby, nawet w wyrobionych już, wyższych piętrach kopalni, gdzie się téż zresztą i pewna ilość kruszcu ołowianego powinna

była pozostać. Z téj nieświadomości korzystali już mieszkańcy Olkusza na początku wieku bieżącego, bo zaczęli wybierać galman, z dawnych hałd czyli zrobów tj. kup, gdzie go jako niepotrzebny odpadek wyrzucano, i sprzedawali go za dobre pieniądze. Eksploatacya ta szła tak pilnie, że już teraz ani kawałka galmanu nie znajdzie się w hałdach.

Lecz i dla naszych czasów pozostaje wielka ilość galmanu prawie już przygotowanego do wywózki, są-to okruchy i bryły pozostawione w chodnikach, nie mówiąc już o tych wszystkich miejscach, których nie miano wówczas interesu dotykać. Tego się możemy spodziewać z kopalni „wyeksploatowanéj.“ Nadto rozumie się, że pod niezbyt głębokim poziomem dawniejszego pola leżą nienaruszone bogactwa, które w oczach nowożytnego przemysłowca mają stokrotnie większą wartość aniżeli w wieku XVII.

Dawniejsze roboty w kopalniach olkuskich zatrzymano na dość wysokim poziomie i zarzucono je wreszcie zupełnie, nie dla tego, aby już kruszczu ołowianego nie było, ale że zostały wodą zalane. Dokumenta i tradycya okazują że ten wypadek uważano za wielką klęskę i opinia publiczna przypisała tak złośliwy fakt Szwedom, bo nie mogła przypuścić, aby sami właściciele przez własne niedbalstwo do takiego je stanu doprowadzili. Tymczasem Łabęcki, w swém chaotyczném, ale bardzo cenne materyały zawierającém dziele, wykazał z dostateczną ścisłością, że powodem téj klęski było niedbalstwo i nierozumienie własnego interesu, samych wspólników kopalni. Do zalania jéj wcale nie było potrzeba obcego przyczynienia się, dość było *nie starać się* o usunięcie wody, a nieszczęście samo nastąpiło.

W każdém miejscu znajduje się woda pod pewną głębokością i do każdéj kopalni przypływają z wielu stron strumienie; potrzeba je zebrać w kopalni w jedno miejsce i wyprowadzić na zewnątrz pompą lub za pomocą kanału. Toż samo działo się i w kopalniach olkuskich. Najprzód wypompowywano wodę za pomocą kieratów i 800 koni, a gdy się niżéj zagłębiono i ilość wody wzrastała, wykopano kanały podziemne czyli sztolnie, któremi woda odpływała do niższego poziomu, do rzeki.

Naturalnie że taki kanał podziemny wymaga ciągłéj naprawy szczególniéj, gdy jest wyłożony drzewem. Otóż właśnie w dawniejszych kopalniach nie zachowano w należytym stopniu tego środka; drzewo się zapadało, piasek i muł zasypywały sztolnie, a bryły spadające dokonały reszty. Gdy z początku wspólnicy nie dość byli przewidujący, żeby tanim stosunkowo kosztem złemu zapobiedz,—nie chcieli téż a może i nie mogli przystąpić do reperacyi, gdy się kosz-

ta setnie powiększyły. Jedną z głównych przyczyn téj niezaradności musiała być za wielka liczba wspólników i ta okoliczność: że obawiano się energicznie wystąpić przeciwko niektórym wspólnikom, osobom możnym, nie wiele może troszczącym się o dochody z kopalń.

Przez cały ciąg późniejszéj historyi widzimy wołanie ludzi jaśniejszego umysłu o zaradzenie złemu. Każdy niemal z królów starał się jakieś kroki przedsięwziąć, ale nic nie dochodziło do wykonania.

Najenergiczniéj zabrał się do dzieła Bank Polski w czwartym dziesiątku wieku bieżącego, kiedy górnictwo przeszło pod jego zawiadywanie. Projekt banku, jak widać z robót, był obliczony na wielką skalę. Ale na nieszczęście kierujący robotami nie umieli sobie jasno zdać sprawy z tego, co chcą i mogą zrobić. Zaczęto najprzód pogłębiać wąwóz, do którego uchodziła sztolnia ponikowska, zkądby się zdawało, że kierującym, z powodów bardzo racyonalnych, chodziło przedewszystkiém o odkopanie téj sztolni. Ale pogłębiwszy ją o trzy stopy, (w sposób bardzo niepraktyczny) zarzucono pogłębianie i zaczęto wiercić otwory. W niektórych natrafiono na cembrówkę dawnego kanału i zamiast go odnowić, i pójść po nim do sztolni, któréj był widocznie przedłużeniem, wiercono daléj. Gdy z dwóch głębszych otworów zaczęła bić silną i obfitą fontanną woda, która wyrzucała stare drzewo i kawałki kruszcu ołowianego, wniesiono, że znalazła się komunikacya z kopalnią. To właśnie sprowadziło górników z właściwéj drogi, bo gdyby nie ta nieszczęśliwa okoliczność, rozum kazałby iść według kierunku starego kanału. Wybito szyb pomiędzy wytrychami, wyłożono go żelaznemi pierścieniami i postawiwszy machinę parową o sile stu koni, sądzono, że tym sposobem wypompowaną zostanie woda z kopalni, nie tylko do poziomu dawniejszego pola, ale jeszcze znacznie niżéj, bo dno szybu sięgało około dziesięciu sążni niżéj poziomu dawnéj sztolni ponikowskiéj. Ale czy to że komunikacya z kopalnią była zbyt ciasną, czy też machina zbyt słabą dość, że rezultat pracy machiny równy był zeru. Prawdopodobnie wypompowywano tylko tę wodę, która sama źródłami odpływała. Naturalnie że taka omyłka *mogla* zrazić, ale *nie powinna* była przyprowadzić do rozpaczy. Trzeba było tylko przedsięwziąć pracę ustanowienia odpowiedniéj komunikacyi szybu z kopalnią oraz postawienia drugiéj machiny. Stało się inaczéj. Zrozpaczono najzupełniéj, a co gorsza, nie miano czasu ochłonąć ze złego wrażenia, bo wkrótce nastąpiły dla Banku (na początku lat piątego dziesięciolecia) bardzo nieprzyjemne warunki, nie pozwalające myśléć o tak wielkiem przedsięwzięciu.

Zrozpaczenie to udzieliło się i publiczności, tak że poczęły krążyć jakieś nieuzasadnione wieści o nieprzezwyciężonych trudnościach i wreszcie ustaliła się opinia, że osuszenie kopalń olkuskich należy do bajecznych robót herkulesowych. Łatwo zrozumiéć, jak taka ogólna opinia szkodzi każdej sprawie, odstraszając każdego nawet od myśli o niéj.

Wobec tego zasługa podniesienia téj sprawy, podanie racyonalnego projektu i wprowadzenie go w życie o tyle, że już roboty są rozpoczęte i stosunkowo daleko doprowadzone, rzeczywiście zasługuje na poklask i wdzięczność ogółu.

Nadanie sprawie takiego obrotu zawdzięczamy wspomnianemu już przez nas, uczonemu górnikowi p. Wincentemu Kosińskiemu, zarządzającemu czynnemi olkuskiemi kopalniami. Mając z urzędu ciągłą styczność z warunkami w których istnieje zalana kopalnia, spostrzegł, że wieść o trudnościach jest o wiele przesadzoną; że w historyi pracy ludzkiéj nie takich tylko dzieł dokazywano. Po krytycznym rozbiorze stanu rzeczy p. Kosiński doszedł do wniosku, że projekt bankowy rozbił się z powodu zbyt wielkich zamiarów, że przedewszystkiém należy myśléć tylko o osuszeniu dawnego pola kopalnianego, którego niewybrany galman, sowicie wynagrodzi wszelkie nakłady. Naturalnie dokonawszy tego, będzie się miało i śmiałość i pieniądze do odkrycia kopalni w jeszcze niższych nietykanych piętrach.

Zgodnie z tém p. Kosiński podał Departamentowi Górnictwa w r. 1872 projekt pogłębienia wąwozu, do którego otwierała się sztolnia ponikowska i przywrócenia téj sztolni do normalnego stanu. Tym sposobem osuszenie kopalni pozostawia się sile naturalnéj, nic nie kosztującéj. Woda mając odpływ przez sztolnię, obniży się do jéj poziomu bez żadnych machin i odkryje pole kopalniane na kilkanaście sążni głębokości. Kosztorys na wykonanie tego projektu jest bajecznie nizki, nawet w porównaniu ze spodziewaną roczną produkcyę kopalni,—wynosi bowiem tylko 68.000 rubli. Jest to tém szczególniejsze, że 60 lat temu niemiecki górnik Becker, który nie mógł się zdecydować na jeden projekt, ale wahając się podał kilka przypuszczalnych, zażądał na ten sam cel dwu milionów złp. i 10 do 12 lat czasu.

Pan Kosiński ma wykonać swój projekt we trzy lata i choć uzyskał zatwierdzenie i rozporządzenie do rozpoczęcia robót dopiero na wiosnę r. z., a co gorsza natrafił na przeszkodę, w skutek nieprawnego zalania gruntów rządowych przez pewnego Niemca, który groblą zamknął wody w wąwozie aby otrzymać spadek dla tarta-

ka (1), jednakże w r. b. wykonaną zostanie prawie jedna trzecia część robót na powierzchni.

Byliśmy na miejscu i widzieliśmy pogłębianie kanału, od którego się ta praca zaczyna. Nie jest to robota tak prosta jakby się mogło wydawać. W skutek luźnego, obsuwającego się gruntu i wody płynącéj w wąwozie nie można kanału tak pogłębiać, jak się to działo za czasów robót bankowych. Trzeba najprzód wbijać młotami bale w ten sposób aby utworzyły ściany, podparte od wewnątrz ramami z kloców, i dopiéro pomiędzy temi ścianami wybierać ziemię, wbijając coraz głębiéj bale w miarę wybrania ziemi. Kanał ten będzie miał dziesięć stóp szerokości, około 3 wiorst długości, a $2^1/_2$ do 3 sążni głębokości w miejscu najwyższém tj. przy ujściu sztolni. Skończywszy ten kanał p. Kosiński przystąpi do oczyszczenia i umocnienia sztolni ponikowskiéj, któréj wody kanał ma odprowadzać.

Obznajmiwszy się z historyą tych kopalń, i z warunkami otaczającemi, patrząc na energicznie i dokładnie prowadzone roboty, oraz mając próbkę dokładności prac p. Kosińskiego w części sztolni i kanale odpływowym wykonanym dla kopalni Kramsty i rządowéj „Ulises“, ośmielamy się wyrzec nasze przekonanie, iż zastrzegłszy możliwą przypadkowość, projekt uda się tak w naturze jak go przedstawiono na papierze.

VIII.

Bolesław.—Odkrywka.—„Ulises“—„Glück auf!“—Skarbnik.—Duch kopalń.—Jego natura.—Robotnicy.—Sztuka włochów.—Oberża kulturtregerska.—Zakłady Kramsty.—Kanał odpływowy sławków.—Dom Baranowskiego.—Szczególne wygłębienia.—Jak podnieść gospodarstwo mieszczan.

Kilka wiorst od Olkusza leży Bolesław, jedna z najważniejszych obecnie miejscowości górniczych w naszym kraju. Tu są czynne kopalnie galmanu rządowe i sukcesorów Kramsty.

Wiedziony przez uprzejmego sztygara oglądam najprzód „roboty na odkrywkę.“ Wstępuję do dołów i jaskiń olbrzymich, które wydrążyła ręka polskiego górnika, szukając w skale dolomitowéj siedlisk brył galmanu.

„Odkrywka“—to z punktu widzenia ludzi z powierzchni ziemi, raj dla górnika. Pracuje on albo pod zupełnie odkrytem niebem

---

(1) Po napisaniu niniejszéj wycieczki do druku, dowiedzieliśmy się, iż Niemiec jak to można było przewidzieć, przegrał swą sprawę w sądzie kieleckim.

albo téż w wielkiéj jasnéj od słońca jaskini, nie zaś w ciemnicy oświetlanéj tylko słabym blaskiem kaganka.

Potém zawiesiwszy na wielkim palcu tradycyjne kaganki górnicze, wchodzimy w jeden z szybów i po wilgotnych szczeblach drabin w kilka piętr ustawionych, zstępujemy do chodników kopalni „Ulises“. Choć w pewnych odległościach widać mdłe ogniki kaganków przyczepionych haczykiem do skały, choć i na mojéj dłoni buja się ta lampka pierwotna, jednakże oko nie przebija jeszcze ponurego mroku. Sztygar jednak nie pojmuje téj możliwości. Widać mało „obcych“ zwiedza kopalnią. Idzie tak, jak zajęty Warszawiak po asfalcie. Nie chcę go prosić o zwolnienie kroku, byłoby to żądanie jeszcze większéj grzeczności i zajęcia się moją osobą. A już i tak wiele mi jéj okazuje, manewrując swym kagankiem w trudniejszych miejscach, ostrzegając, gdzie skała wystaje. Pomimo téj opieki, to spadam z deski położonéj na wilgotnych dnach chodników w małe kałuże, to głowę o strop chodnika rozbijam.

Oto jesteśmy już w jednym z krańców kopalni. Chodnik się skończył i rozwarła się przedemną wielka ciemna przestrzeń, jakby grota olbrzymia nieokreślonéj formy. Tu i ówdzie na ścianach są piętra i dolne lochy, w których błyszczą światełka, jakby małe jasne plamy na tle czarnego sukna. Słychać uderzenia oskardów. Widok fantastyczny.

Istnienie téj groty jest skutkiem większéj obfitości galmanu w tém miejscu. Górnik wykuwając chodnik, zatrzymuje się przy większém gnieździe drogiego minerału, dopóki go w całości nie wydobędzie.

Po wystających kamieniach i po kupach gruzu zbliżamy się do światełek. Rysują się niewyraźne postacie nachylonych ludzi.

— Glück auf! woła witając mój przewodnik.

— Glück auf! odpowiadają robotnicy, i rozpoczyna się krótka rozmowa o robocie.

To przywitanie wywarło na mnie nieprzyjemne wrażenie. Jak to? Tu na polskiéj ziemi, rodowici polacy witają się niemieckiemi słowy! Mówię o tém sztygarowi a potém naczelnikowi kopalni. Odpowiadają, że już myślano o zmianie słów powitalnych, Ale „glikaufu“ broni tradycya i przesąd. Niemcy przynieśli do nas przed wiekami górnictwo, wprowadzili więc też swój okrzyk górniczy. A co istnieje kilkaset lat to nie da się łatwo wykorzenić. Nikt się nie pyta, co to znaczy, zkąd przyszło, ale każdy wie, że przy spotykaniu się w podziemiu trzeba wymawiać słowa czarodziejskie „glikauf!“

Z umyślnego zaniedbania tej formuły, lub przez pomyłkę, można sprowadzić nieszczęście na kopalnią. *Skarbnik*, duch skarbów podziemnych rad słyszy to powitanie i wymaga go koniecznie. Gdy nie stanie mu się zadość, puszcza wodę lub zawala sklepienia.

W niespisanéj tradycyi górnictwa wiele jest tego przykładów. Kiedy skarbnik jest obrażony, kuje. Daje się wtedy słyszéć lekki stuk, miarowy który przeraża górników. Wszyscy wtedy uciekają.

Niedawno zdarzyło się właśnie takie zjawisko. Ale nadsztygar czy naczelnik odkrył, że działo się ono skutkiem spadania kropel wody na kamień. Górnicy wrócili do chodników i przyznają, że w tym razie omylili się co do znaczenia pukania, albowiem było ono „zupełnie podobne do kucia skarbnika."

I wiara w ducha kopalń nie znikła. Lecz jakżeby zniknąć miała, kiedy są ludzie, którzy go nieraz widzieli! Gdy się skarbnik znudzi w samotności, przybywa do człowieka, gdzieś tam na końcu chodnika pracującego, i jeżeli jest w dobrym humorze, przysparza mu w zadziwiający sposób wykutego materyału;—gdy gniewny, utrudnia robotę albo zwala skałę na głowę górnika.

Do roboty skarbnik zawsze jest przygotowany, zawsze ma przy sobie mały oskard i mały kaganek—mały bo sam jest malutki.

Jest on i dobry i sprawiedliwy i kapryśny i złośliwy. Więc jakże można narażać się mu, czynić doświadczenia z rzeczą, która może być dla niego przykrą i stanowić powód niezgody. Wiadomo że lubi „glikauf!" Gdyby ten tajemniczy dźwięk zmieniono na „szczęść Boże" lub „szczęście i pokój"—to kto wie, czyby się mu to podobało. Lepiéj więc trzymać się tradycyi. Tego téż mniemania są wyżsi urzędnicy, na których rzuconoby odpowiedzialność, za każde nieszczęście w kopalni, gdyby podobną reformę przeprowadzić chcieli.

Znużony, zlany potem, z guzem na głowie, z podrapanemi rękami, z zabarwioną galmanem odzieżą, wydobywam się na powierzchnię ziemi i odetchnąwszy na szerokiem przestworze powietrzem z światłem zmieszaném, czuję, jak ciężką dla umysłu jest praca w podziemiu. I jakież wynagrodzenie te ludzkie krety otrzymują? Jeżeli robotnik ma szczęście t. j. natrafi na wielkie gniazdo rudy, może zarobić miesięcznie 30 i 40 rs. Ale to rzadko się zdarza. Często musi kuć długo pustą skałę, za co nie odbiera żadnego wynagrodzenia, gdyż rząd płaci tylko za galman wydobyty. Zarabia wtedy 15, 10 i mniéj rubli. Średni zarobek wynosi około rs. 15.

W obok leżącéj kopalni sukces. Kramsty, przyjęto inną metodę płacy, która nie czyni robotnika zależnym od szczęścia lub nieszczęścia. Tam płacą, za przebijanie pustéj skały i używają do téj roboty specyalistów Włochów, odznaczających się taką umiejętnością w tym względzie, że dobry robotnik zarabia w 9 godzin (od godz. 5 do 2 po południu) 3—5 rs. Galman zaś wyrąbują Polacy (tutejsi i szlązcy). Po godzinie drugiéj Włoch już odpoczywa. Wszedłem do miejscowéj oberży należącéj do fabryki Kramsty; zastałem tam kilku Włochów przy piwie, gestykulujących i rozprawiających szwargotem tak szorstkim, iż dopiéro po kwadransie, kiedy mi w uszy wpadło kilka odosobnionych wyrazów włoskich, spostrzegłem, że nie szwargocą po żydowsku lub tatarsku. Byli pełni życia i wesołości, nie tak jak górnicy polscy, u których na twarzy przebija się jakaś nienaturalna chorobliwa powaga. W oberży opowiedziano mi, że Włosi trzymają w sekrecie swój sposób kucia w skałach. Ponieważ nie musi to być wielka filozofia i zależy zapewne od bardzo prostéj metody i wyrobienia mięśni w pewnym kierunku, więc spodziewamy się, iż wkrótce robotnicy nasi przejmą od Włochów tę tajemnicę. Może wtedy będą zarabiali tyle co Włosi. Ale czy potrafią urządzać swe interesa tak jak Włosi, którzy będąc prostymi robotnikami, wyglądają jak ludzie bardzo dobrze z światem praktycznym obeznani?

Oberża bolesławska, daje już przedsmak cywilizacyi. Z napotykanych przez nas w téj wycieczce zajazdów, była najczyściejszym i najwygodniejszym, a choć pokój, w którym spaliśmy, nie był tak elegancki jak w lepszych hotelach warszawskich lub wiedeńskich, jednakże co do ceny wcale im nieustępował. Za tę cenę mogliśmy się w nim dostatecznie nalubować fizyognomiami Wilhelma i Bismarka.

W Bolesławiu, szczególniéj „annexis territoriis ilcussiensibus,“ króluje Kramsta. Trzeba przyznać, że pod wpływem jego działalności wielce się podniosła ta miejscowość. Bezwątpienia, naczelnik kopalni rządowych, byłby zdolny do zaprowadzenia takiego samego lub może jeszcze wyższego postępu w zakładach Bolesławskich, ale nie można mieć za złe, że pozostawił pierwszeństwo Kramscie, bo jako urzędnik jest zależny od skąpego kosztorysu wydatków przeznaczonych przez departament górniczy. Kramsta zaś, rozporządzając wielkim kapitałem miał zupełną możność nadania swym zakładom rozwoju odpowiadającego nowoczesnym wymaganiom. Gdzie mogły działać machiny, tam ich nie żałował. Szczególniéj zasługuje na uwagę jedyna w kraju sortownia i płuczka galmanu. Ruda najprzód się tłucze i przechodząc przez walce o kratkach rozmaitéj szerokości, dzieli się na cząstki różnéj grubości. Potém idzie do

płuczki, gdzie dwa prądy wody, pionowy i poziomy, oddzielają galman od resztek dolomitu. Ludzie tylko przywożą, wywożą i wygarniają. Ruch i hałas w tym zakładzie jest nie do opisania. Wyszedłem z niego prawie ogłuszony.

Galman otrzymany z kopalni Kramsty i rządowéj idzie do Dąbrowy, o trzynaście wiorst odległéj od Bolesławia. Tam są huty, w których się z niego cynk otrzymuje. Dlaczego tak daleko huty urządzono? zapyta się czytelnik. Dlatego, że w Dąbrowie jest węgiel, a przywóz węgla do Bolesławia więcéj-by kosztował niż przewóz galmanu do Dąbrowy, gdyż ilość potrzebnego do téj operacyi węgla jest większą od ilości rudy cynkowéj.

Obejrzawszy jeszcze koniec sztolni oraz wielki odpływowy kanał kopalni Kramsty i rządowéj, gruntownie wykonany na wspólny koszt obu właścicieli, przez naczelnika kopalń olkuskich, wyruszyłem do Sławkowa, dawnéj stolicy biskupiéj. Pędząc tam życie wśród najprzyjemniejszego towarzystwa, napawałem się przez trzy dni pięknemi widokami okolicy. Pewnego razu w czasie przechadzki po krańcach miasteczka, znalazłem dom, w którym się urodził mój zacny profesor ś. p. Jan Baranowski, tłómacz Kopernika. Dotychczas stoi jeszcze i jest w ruchu młyn, gdzie ojciec jego mełł żyto i pszenicę na wychowanie astronoma i biskupa. Stojąc na wzgórzu obok tych zabudowań, zrozumiałem prostą i zacną naturę mego dawnego profesora; od swego ojca przejął prostotę, skromność i pracowitość, a z tych wzgórz spoglądał na ziemię i niebo. Jakże jego życie było podobne do warunków otaczających! Ciche, spokojne, sielankowe, owiane tą atmosferą uczciwości i dążności do cnoty i poświęcenia, która jest najpiękniejszą tradycyjną nitką, przewijającą się przez nasze dzieje, mgławicą, która powinna być podstawą przyszłego świata... On nie był geniuszem, on nie był wielkim uczonym, ale był sumiennym astronomem i nauczycielem, był poświęcającym się członkiem społeczeństwa, który wpośród ogólnéj obojętności ofiarował swą pracę i znaczną część nakładu, na przekład i wydanie dzieła największego naszego uczonego, jednego z największych geniuszów świata. I nigdy o téj swéj zasłudze nie wspominał i nigdy nie sarkał na to, że gdy mniéj uczeni i zasłużeni za pomocą blagi zbierają laury, jego, zasłużonego uczonego trzymają w cieniu. On był na to za dobry, za skromny. Dość mu było, że wydał Kopernika, że czynił obserwacye, że wychował kilka pokoleń młodzieży. Cześć twéj pamięci, sumienny pracowniku na polu nauki, cześć zacny obywatelu!

Gdyby nasza dobroczynna i entuzyastyczna w kierunku wynagradzania zasług publika, miała mniéj wyczerpane na podobne cele kieszenie, gdyby ta jéj część wysoka, która ma pełne worki, była

choć cokolwiek entuzyastyczną, nie wahałbym się zaproponować wystawienie Baranowskiemu pomnika na jedném ze wzgórz, z których poraz pierwszy patrzył na niebo. Taki dowód publicznéj wdzięczności wpływa nadzwyczaj umoralniająco na młodych zwolenników nauki; taki dowód może-by ocknął nie jednego z zaspanych mieszkańców okolicy do pożytecznéj działalności, taki dowód pokazałby, że publiczność umie żyć i czuć i wydobywać na pełne światło ludzi zasłużonych, choćby im własna skromność kazała się ukrywać. Szczególniéj dziś, w okresie szumnych frazesów, kiedy każda myśl ginie w potopie druków, jeśli jéj autor nie należy do jakiegoś silnego stronnictwa, ten dowód czci dla uczonego obywatela, który pogardzał wszelkiemi blaskami sztucznemi, byłby najbardziéj na czasie...

W Sławkowie zwrócono moję uwagę na niektóre cegły ścian kościoła. Mają one półkuliste wyżłobienia, jakby od ciśnięcia kuli w miękkiéj glinie. Brzegi tych wgłębień są równe, nie wyszczerbione, jakby to być powinno w przypadku, gdyby rzeczywiście pochodziły od gradu kul padających na ściany. O ile słyszałem, mieszkańcy Sławkowa nic nie wiedzą o ich początku. Ponieważ w wielu jamkach owady obrały miejsce na swe oprzędy, więc niektórzy przypisują zagłębieniom zoogeniczne pochodzenie. Hipoteza ta wydaje mi się niezbyt prawdopodobną. Mniemam, że są to raczéj ślady, osłabłych już w locie, kartaczy szwedzkich. W każdym razie rzecz ta warta zbadania.

Mieszkańcy Sławkowa trudnią się głównie rolnictwem podobnie jak wszyscy inni małomieszczanie. Handel i przemysł są nadzwyczaj ograniczone. Kontrabanda, podobnie jak w innych punktach nadgranicznych, odrywa ludność od zajęć szlachetnych i pożytecznych.

Gospodarstwo rolne nie jest w stanie kwitnącym, nie tylko w stosunku do tego, czego-by wymagać należało, ale i w porównaniu z rolnictwem sąsiednich wsi Bukowna i Strzemieszyc. Gruntów miejskich ma Sławków 7,000 morgów; połowa stanowi własność wspólną. Ponieważ to, co jest wspólne, uważa się poniekąd za niczyje, więc też wspólnicy obchodzą się po wandalsku ze swoją własnością. W lesie panuje gospodarka rabunkowa, wycinają drzewo, wygrabiają ściełkę; łąki poniszczono niewłaściwém wypasaniem; pozostawione bez dozoru piaszczyste wydmy rozszerzają się. Jedném słowem panuje tu negacya wszelkiego racyonalnego gospodarstwa. Drugą połowę stanowią działki, postaci jak najniedogodniejszéj do uprawy. Są wązkie i długie bez dogodnego przystępu, nadzwyczaj utrudniające dozór gospodarza. Ileż to pożytku przynieść-by mogła sama tylko zmiana form geometrycznych działek! Najlepszy dowód dają nam powyżéj wspomniane wsie Bukowno i Strzemieszyce,

które zostały rozkolonizowane przez Komisyą Skarbu. Porobiono działki kwadratowe i co dwie przeprowadzono drogi. Każdy gospodarz może widziéć całą swą własność z okna swéj chaty. Z początku nacierpieli się wielce włościanie z powodu zmiany, ale teraz trzymają prym pomiędzy swémi sąsiadami — i pod względem porządku w gospodarstwie i pod względem zamożności. Dobrzeby było, aby prasa nasza podniosła tę kwestyą. Możeby jéj głos, wytrwale powtarzany, doszedł do sfer właściwych i sprowadził zastosowanie metody, zarówno korzystnéj dla włościan i dla kraju, jak i dla rządu. Dałoby się to uskutecznić tylko drogą prawodawczą, gdyż należało-by zburzyć chaty, porozcinać działki, do których już ludziska przywykli i którzy dopiéro w lat kilka lub kilkanaście, tak jak mieszkańcy powyższych wsi rozkolonizowanych, doszli-by do przekonania, jak błogie owoce dał im chwilowy zamęt. Reformę taką można-by także przeprowadzić za dobrowolną ogólną uchwałą—ale u nas nie nastąpił jeszcze czas takiéj samodzielności. Ludzie jeszcze nie umieją okupywać trwałego dobra chwilowemi ofiarami. Pozostaje więc tylko powyższa droga. Jest ona bezwątpienia trudną, ale nie jest niemożliwą. Wprawdzie głos naszéj prasy nie sięga sfer wysokich, ale może znajdzie jakich pośredników. Zresztą, zapewne w cesarstwie ten sam stan rzeczy panuje — więc kwestya ta łatwo może przejść do gazet rosyjskich i tym sposobem wejść w sferę projektów, będących na drodze do urzeczywistnienia.

Ostatnią stacyą téj wycieczki była Dąbrowa. Ale jednodniowy w niéj pobyt mógł tylko rozbudzić w moim umyśle jeszcze większą niż dotąd ciekawość, mógł tylko zaostrzyć chęć poświęcenia téj najważniejszéj miejscowości górniczéj dłuższego czasu. Odkładam sprawozdanie z wrażeń wywołanych pobytem w Dąbrowie do przyszłéj wycieczki, która prawdopodobnie w lecie nastąpi.

Bronisław Rejchman.

POMYSŁY MATEMATYCZNE

Hoene-Wrońskiego.

(Wstęp do wykładu matematyki przez H. Wrońskiego. Wydawca L. Niedźwiecki. Paryż, 1880, str. 110 w 8-ce mniejszéj).

Znane jest ogółowi naszemu i światu naukowemu imię Hoene-Wrońskiego. Wiadomo jednak tylko, że prace jego przedstawiają dziwną mieszaninę pojęć filozoficzno-mistycznych, różnych zawiłych rachunków matematycznych, oraz poglądów politycznych, ekonomicznych itd., a nawet przepowiedni losów ludzkości, często na zasadzie jakiejś formuły, którą Wroński niekiedy starał się przekonać monarchów, adresując do nich swoje „Epîtres." Ogrom prac najrozmaitszych, w długim okresie od r. 1803—1853, wielka ilość nadto pozostałych po nim rękopismów, głośny proces Wrońskiego— najróżnorodniejsze wywoływały opinie o nim, do czego niekiedy przyczyniały się jeszcze podawane z ust do ust wiadomości o jego charakterze, przebiegu jego służby wojskowéj, stosunkach z ludźmi w kwestyach naszych publicznych itd. Co w tém było uzasadnionego; co nie, może przyszłość wyświeci. Pewien zaś ruch, jaki teraz z powodu téj postaci powstaje, czyni wszystkie szczegóły, do niéj się odnoszące, coraz bardziéj interesującemi.

Najżywsza działalność Wrońskiego, jeszcze dotąd daleka od należytego zdeterminowania, przedstawia się na polu filozoficzno-matematycznem, albo wyraźniéj mówiąc na polu filozofii i matematyki, wciąż z sobą łączonych, wciąż się spotykających lub wzajemnie się wspierających.

O filozoficznych pomysłach Wrońskiego z wielkiem uniesieniem i uwielbieniem, jako o „przesileniu słonecznem ducha ludzkości całéj", wyrażał się niegdyś Trentowski („Rok", „Panteon Wie-

dzy Ludzkiéj“). Również wielki jego zwolennik, Bukaty, twierdzi („Panteon“), że „kilka tysięcy lat największych geniuszów ludzkości, stawione obok jego tytańskich umysłowych zdobyczy, zdają się być dzieciną, pełzającą na czworakach, obok dojrzałego najsilniejszego bohatera.“ Ogólnikowo za to tylko i bardzo ostrożnie wyraża się o filozofii Wrońskiego znany pisarz F. K. („Dodatek“ do tłómaczenia „Historyi Filozofiii“ Schweglera). Czy idee filozoficzne Wrońskiego doczekają się systematycznego a przedmiotowego wykładu, czy pośród tego chaosu oddzielone zostaną zdrowe pierwiastki, a ich wartość, ze względu na czas, w którym powstały, będzie kiedy należycie podniesioną?—pytania te musimy tu pozostawić bez odpowiedzi.

Co się tyczy pomysłów matematycznych Wrońskiego, to ciemnia, jaka je otaczała, zaczyna się rozjaśniać powoli. I co dziwna a smutna, Wroński jakby przeczuwał, że z narodu, do którego należał, nie wyjdzie głos poważny, podnoszący pierwszy wartość tego, co w chaosie, jaki zostawi po sobie, znajdzie się dobrego. Z wyjątkiem bowiem jednéj tylko pracy proroczo-politycznéj, ogłoszonéj także i po polsku (r. 1847), wszystkie inne wydawał po francuzku lub angielsku; rękopismy również pozostawił wyłącznie po francuzku zredagowane. Otóż teraz widzimy, że stanowisko naukowe Wrońskiego rewindukują uczeni matematycy Anglii i Francyi.

W r. 1810 Wroński przedstawił Akademii nauk w Paryżu tak zwane przezeń *prawo szeregów* (loi des séries), którego uogólnieniem jest inne, początkowo przezeń nazwane: *loi algorithmiqe absolue*, następnie zaś: *loi suprême* (prawem najwyższem). Wzór ten, podany bez dowodu, jest istotnie wielce ogólny, gdyż z niego Wroński „wyprowadza wszystkie wzory znane na rozwinięcie funkcyi, które są tylko szczególnemi bardzo przypadkami“ wzoru Wrońskiego, jak to przyznają Lagrange i Lacroix, sprawozdawcy Akademii. W roku następnym Wroński przedstawia Akademii drugi memoryał „Réfutation de la théorie des fonctions analytiques de Lagrange,“ w którym przytacza, również bez dowodu, tenże wzór, jakoteż wprowadza drugi na rozwinięcie pierwiastka danego równania, lub jego funkcyi, za pomocą stałych równania, które to stałe mogą być także uważane za zmienne niezależne. W późniejszych swych pracach Wroński wystawia ten nowy wzór jako rozwiązanie tak zwanego przezeń: *problème universel* (zagadnienia powszechnego). Opierając się na tych dwu wzorach, stara się udowodnić niepraktyczność reformy proponowanéj przez Lagrange'a, choć niedawno uwieńczonéj przez Akademią wielką nagrodą. Sprawozdawcy Akademii zaznaczają, że „trudno odgadnąć, jakie mogą być przyczyny skłaniające

p. Wrońskiego do przedstawiania zawsze swych wzorów jako pewien rodzaj zagadek, do rozwiązania których zachęca on geometrów", oraz przyznają się, że nie mogą wyrobić sobie o tych wzorach pojęcia „albowiem nie zostały one przez autora udowodnione, a nadto są przedstawione niezrozumiale. Co się zaś tyczy—mówią dalej—mniemanego zbicia teoryi funkcyj analitycznych Lagrange'a, to, cośmy już powiedzieli, dostatecznem będzie do okazania, że ono w zupełności nie zasługuje na uwagę." Że słuszną co do wzorów Wrońskiego była ostrożność sprawozdawców, to poniekąd poparł sam Wroński. „Prawo najwyższe" dowodzi Wroński w r. 1815 (Philosophie de la Technie) na 90 stronnicach in 4-to, za pomocą wciąż wiążących się rozumowań i ogromnych, zawiłych formuł. Wywód zaś rozwiązania „zagadnienia powszechnego," również przestraszający (jak się wyraża Transon), opracował Wroński dopiero po 36 latach od jego wygłoszenia, i podał go w dodatku do Reformy filozofii (r. 1847, „Messianisme" tom II). Wspomnimy tu jeszcze, że „prawo najwyższe" Wroński uważa jako: „poczęcie tego rzędu realności stworzonéj, co nie zależy od wpływu człowieka", „zagadnienie powszechne" zaś jako: „dopełnienie stworzenia przez człowieka, które, wprowadzając w świat realności nowe, niebytujące, objawia władzę twórczą w rozumie człowieka, a przez to samo wysokie jego powołanie na ziemi." Do tych dwu wzorów dodaje jeszcze trzeci, będący prostém porównaniem (kongruencyą) teoryi liczb, który nazywa „prawem teleologicznem" i uważa jako: „zasadę opatrzną, wieniec stworzenia, dzieło najwznioślejsze myśli stworzyciela, samo wystarczające do odkrycia jego świętego istnienia (1)." Za pomocą tych trzech rzeczy pragnie Wroński rozwiązać następującą kwestyę: „Na czém polega matematyka? Czy nie byłoby sposobu ujęcia w jedno zagadnienie wszystkich zagadnień téj nauki, oraz rozwiązania ogólnie tego zagadnienia powszechnego?"

Od przytoczenia tych słów Wrońskiego rozpoczyna głośny i przodujący spółcześnie w matematyce, prof. Cayley swój artykuł w „Quarterly Journal" (r. 1873): „O twierdzeniu Wrońskiego." W pracy téj zajmuje się p. Cayley „zagadnieniem powszechném", zastępując nieprzystępny wywód rozwiązania Wrońskiego, przez inne, systematycznie prowadzone, ścisłe i jasne rozumowanie, które doprowadza p. Cayley'a do rozwinięcia, równoważnego z rozwinięciem Wrońskiego. Zauważyć jednak należy, że punkt wyjścia Wrońskiego był niepotrzebnie zaogólnie postawiony i zbyt zawile wyrażony.

(1) Porównaj „Wstęp do wykładu matematyki" str. 84.

Z powodu tego artykułu p. Cayley'a, zaraz w roku następnym uczony francuzki (zmarły w r. 1876), Transon, nazywając powyższe wystąpienie p. Cayley'a „événement scientifique" szczegółowiéj się nad całą tą sprawą zastanawia (r. 1874. „Nouvelles annales"). Co do wzmiankowanego sprawozdania członków Akademii ma im za złe, że oni sami nie odszukali dowodu na wzory Wrońskiego, jak również, że na zasadzie napomknień Wrońskiego, Lagrange nie potępił własnéj teoryi; wszakżeż późniéj okazało się, że reforma, projektowana przez Lagrange'a, była jednostronną i nie odpowiedziała potrzebom nauki? Z drugiéj strony, Transon robi poważne uwagi na korzyść Wrońskiego. Podnosi bowiem tak w tym artykule, jak i w następnym „Prawo szeregów Wrońskiego i jego foronomia" (także r. 1874, „Nouvelles annales"), że jeszcze w rozprawie Wrońskiego z r. 1810, a więc przed głośnemi memoryałami Binet'a i Cauchy'ego, zawierającemi podstawy teoryi wyznaczników o elementach stałych (przedstawionemi Akademii w r. 1812), wprowadza Wroński, we spółczynnikach rozwinięcia, wyrażenia, oznaczane przezeń hebrajską literą *szin*, będące wyznacznikami, których elementy nie są ilościami stałemi, lecz funkcyami złożonemi z ilości zmiennych, połączonych ze sobą za pomocą pewnych związków. Wyrażenia te, mówi Wroński wyraźnie, posiadają pewne odrębne własności i są podobne do szczególnych, prostszych znacznie, wyrażeń Laplace'a. Nadto jeszcze w drugim z tych artykułów Transon udowadnia, że Wroński we *Sphynx*'ie (r. 1818), na szesnaście lat przed Ampère'm, mówił o potrzebie oddzielnego traktowania nauki o ruchu, foronomii, czyli, jak ją Ampère nazywa, cynematyki.

O tych wystąpieniach p. Cayley'a i Transon'a pokrótce wzmiankowaliśmy już w „Ateneum" przed czterema laty (Rok 1877 t. I, str. 190). W ostatnich latach pojawiło się kilka nowych szczegółów odnoszących się do pomysłów matematycznych Wrońskiego. Oto p. Yvon Villarceau, astronom i zastępca dyrektora obserwatoryum w Paryżu, na posiedzeniach Akademii nauk (13, 20, 27 maja r. 1878 i 29 marca r. 1880) mówi o ważném znaczeniu jakie mają przy badaniu tak zwanych krzywych wysokości, jako téż przy całkowaniu równań różniczkowych liniowych, funkcye roztrząsane przez Wrońskiego i nazwane przezeń przestępnemi kołowemi wyższego porządku, a w szczególności funkcya sinus, któréj szczególnemi przypadkami są wstawy i dostawy tak kołowe jak i hiperboliczne.

Prócz tego, członek akademii p. du Moncel, fizyk, zdając sprawę w czasopiśmie paryzkiem *L'électricité* (r. 1879 N. 24) o świeżo wyszłym „Rachunku nieskończonościowym" p. Hoüel'a, odznaczającym się nowym planem wykładu, wyraźnie zaznacza: „P. Hoüel

wiele czerpał w metodach filozoficznych Hoene-Wrońskiego, filozofa niezrozumianego, którego jednak imienia zapomina przytaczać: zapomnienie pożałowania godne, które my uważamy za obowiązek uzupełnić."

Nadto oddawna już niektórzy (jak np. Bukaty) twierdzą, jakoby formuła, na jakiéj Leverrier oparł swój rachunek, który go doprowadził do rozgłośnego w r. 1846 odkrycia Neptuna, była jeszcze w r. 1843 ogłoszoną przez Wrońskiego („Prolégomènes du Messianisme")…..

W r. 1820 Wroński przedstawił Brytańskiemu urzędowi długości „adres", który w tymże roku ogłosił po angielsku w Londynie: „Adress of M. Hoëne-Wroński to the Britisch Board of Longitude.. (względem dzisiajszego stanu matematyki, reformy jéj, oraz względem nowéj Mechaniki niebieskiéj, dążącéj do ostatecznego rozwiązania zagadnienia długości"). W uzupełnieniu tego „adresu" ogłosił w r. 1821 w Londynie (także po angielsku) „Wstęp do kursu matematyki, przedstawiający przegląd obecnéj reformy matematyki", który w roku zeszłym ogłoszony został w Paryżu po polsku w niewielkiéj książeczce p. t. „Wstęp do wykładu matematyki". Praca Wrońskiego zajmuje tylko 46 str., reszta zaś jest zajętą najróżnorodniejszemi dodatkami, spisem prac Wrońskiego, różnemi luźnemi szczegółami, odnoszącemi się tak do nich, jak i do życia ich autora, itd. Wydawnictwo to p. Leonard Niedźwiecki przypisał hrabiemu Władysławowi Zamoyskiemu.

Nie mogąc odnaleźć wzmianki, kto dopełnił tłómaczenia, pominiemy całkiem kwestyę wartości przekładu, jak również dziwacznego języka. Wyjątek tylko zrobimy co do dwu szczegółów: kwadrat tłomacz nazywa: *czworoprostokątem* (str. 14) lub: *równobocznym prostokątem* (str. 15). *Algorytmiczny* tłómacz wciąż pojmuje jako: *ilościowy.*

Chcąc wyznaczyć we wspomnianéj rozprawie poglądy właściwe Wrońskiemu, opuszczamy wstęp, w którym Wroński pomieścił zwyczajne bardzo frazesy o zastosowaniach matematyki. Natomiast zatrzymajmy się nad okresami, jakie ustanawia Wroński w historycznym postępie wiedzy matematycznéj.

W pierwszym okresie, w Egipcie, uprawiano matematykę wyłącznie *in concreto*, dostrzegając jéj prawdy tylko w przedmiotach przyrodzonych. W okresie drugim, obejmującym Grecyą, wraz ze szkołą aleksandryjską, matematyka posunęła się wprawdzie do najwznioślejszych abstrakcyj, prawdy jednak zdobyte stanowiły tylko szczegółowe fakty, ale nie dosięgały charakteru ogólnego. W okresie trzecim, od odrodzenia się nauk, aż do epoki, w któréj Newton i Leibnitz się pojawili, nauka wzniosła się do badania praw ogólnych,

powstała algebra, ale prawdy te pozostały „indywidualnemi matematycznemi produktami“, nie przedstawiały „uniwersalnéj generacyi (powstawania) ilości“, (np. rozwinięcia pierwiastków z ilości na szeregi). W okresie czwartym, otwartym przez wprowadzenie w rachunek ilości nieskończenie małych, zjawiają się: twierdzenie Taylor'a użycie szeregów, twierdzenie Lagrange'a, ułamki ciągłe Euler'a, funkcye rodzące Laplace'a, jakotéż powstają nadużycia metod naukowych, jak derivations Arbogast'a i teorya funkcyj analitycznych Lagrange'a. Chociaż w tym okresie nauka zajmuje się „generacyą“ ilości, ale ulega wciąż jeszcze „principiom“ względnym, a nieskończona rozmaitość podań (propositions) matematycznych, przekonywające daje świadectwo o braku jeszcze absolutnych zasad w nauce. Aby nakoniec przejść z czwartego okresu do piątego, umiejętność musi się podnieść ze względnych pojęć do bezwzględnych. „Matematyka powinna się starać odnosić wszystkie swe prawdy, wszystkie swe postępowania wyłącznie do prawa najwyższego, stanowiącego absolutną zasadę i narzędzie powszechne téj umiejętności; rozum człowieka nie będzie zadowolony, nie uzna żadnego problematu za dowiedziony, dopóki on wyprowadzonym nie zostanie z owéj jednéj zasady, która sama tylko będzie miała prawo udzielania absolutnéj pewności, zadawalającéj rozum ludzki. Ta wyraźna i powszechna zależność umiejętności względem jéj absolutnéj zasady stanowić ma piąty *i ostatni* (tak!) okres matematyki“ (str. 17).

Co o tém powiedzieć?... Chyba to tylko, że ponieważ Wroński dał już rozwiązanie „zagadnienia powszechnego,“ więc od owéj chwili wszystko, co w matematyce się robi, robi się po ostatnim jéj okresie.....

Jak tylko Wroński coś wypowie raz, to już to daléj uważa jako rzecz niewątpliwą i ustaloną. Na tém się opierając, piętrzy nowe swe gmachy, nie zważając całkiem na to, że wyrzeczenia jego błędnie przesądzały bliską, nawet tę, któréj dożył, przyszłość, że w samém wnioskowaniu nie uwzględniał wielu matematycznych prac spółczesnych, że nie zbadał, czy przedstawiają one materyał do takiéj syntezy, o jakiéj roił...

Zarozumiałość jego, wiara w siebie, posuwa go do literalnego tłómaczenia podanego wyżéj zdania Lagrange'a i Lacroix i rozciągnięcia jego do nieskończoności niemal. Jakeśmy zaznaczyli, uczeni ci przyznali ogólność rozwinięcia, podanego przez Wrońskiego. Owóż Wroński „gruntując się na wyżéj przytoczoném świadectwie „Instytutu francuzkiego,“ twierdzi, że „umiejętność jest tam

posunięta w całéj swéj istocie do absolutnego stanu. będącego jéj kresem ostatnim" (str. 19).

Drugą główną myślą Wrońskiego, wyrażoną we „Wstępie do matematyki," jest postawienie rozróżnienia Teoryi matematyki od Technii matematyki. To rozróżnienie kilkakrotnie się w różnych wysłowieniach powtarza. Jedno z nich poprzedza prosty przykład. Pierwiastek kwadratowy z liczby dwa „jest, rzec można, wcielonym w stosunek przekątnéj kwadratu do jéj boku; tak pojęty przedstawia ilość indywidualną." Gdy zaś tę samę liczbę przedstawimy za pomocą ułamka ciągłego, to on nam przedstawiać będzie „generacyą" téj liczby i „jest utworem rozumu człowieka, wypadającym, pod względem wymiarowym, z ciągłego i bezgranicznego porównywania boku z przekątną kwadrata." Następnie zaś: „z tego filozoficznego oznaczenia wypływa, że wszystko, co jest przedmiotem Teoryi matematyki, to jest indywidualne istnienie ilości, jako już stanowiące istotną część realności świata, nie potrzebuje, dla swego istnienia, żadnego udziału człowieka, którego rozum może tylko rozeznać to rzeczywiste istnienie. Ale wypływa również z tego filozoficznego określenia, że co tylko jest przedmiotem Technii matematyki, to jest uniwersalna generacya ilości, nie może istnieć bez udziału człowieka, którego rozum sam tylko może wytwarzać rozmaite instrumenty téj generacyi" (str. 15).

Zwracając się do „okresów" w historyi postępu matematyki, spostrzeżemy, że „trzy pierwsze okresy rozwinęły naprzód prostą indywidualną egzystencyą ilości, a w tém się właśnie zawiera przedmiot Teoryi." „Ale okres czwarty, zwłaszcza przy ostatku, od twierdzenia Taylor'a, już prowadził do ugruntowania generacyi ilości, a w tem się zawiera przedmiot Technii" (str. 13). Ale „gruntując się na wyżéj przytoczoném świadectwie Instytutu francuzkiego, możemy (?!) tu przydać, że Technia matematyki, *już ogłoszona*, zawiera, nawet aż do najwyższego prawa, *cały* system uniwersalnéj generacyi, który powinien być przedmiotem ostatnich dwu okresów rozwinięcia matematyki" (str. 19).

Nie będziemy się zastanawiać nad dalszą częścią pracy Wrońskiego raz dlatego, że trudno w tym chaosie wydzielić wybitniejsze myśli, gdy obok śmiałéj aż nadto myśli ogólnéj stoi bezpośrednio jakiś drobiazg przejściowego charakteru. Powtóre zaś dlatego, że autor wciąż się powołuje na swój „Adres" poprzedni, przyjmując wszystko, co tam powiedział, za stanowcze i mogące służyć do bezgranicznéj dalszéj budowy. „Adres" zaś ten, o ile wiemy, w handlu księgarskim od dawna nie istnieje. Wzmiankę zrobimy tylko o tem, że wedle Wrońskiego „wszystkie ważniejsze lub zasadnicze rezulta-

ty, otrzymane dla teoryi ziemi, pod nazwą twierdzeń, praw, lub jakich-bądź nazw, wszystkie są niedokładne, albo nawet błędne" (str. 36).

Kończy rzecz swą Wroński uwagami ogólnemi nad tém, jak wykład matematyki ma być prowadzonym (str. 40—46). W tém jednak nie znajdujemy nic, coby wychodziło ponad czcze ogólniki. A chociaż powiada, że „według też tych nowych poglądów zamierzamy w istocie ułożyć i ogłosić wykład, który tu zapowiadamy," to jednak sam takowego nie dokonał. Czy Mistrz zaś aprobował ogłoszoną (bez daty) w czterech tomach przez A. S. de Montferrier: Encyclopédie mathématique ou éxposition complète de toutes (?) les branches des Mathématiques d'après les principes de la Philosophie des Mathématiques de Höene-Wroński, o tém śladu nie ma.

Wykład Wrońskiego miał być z początku tak elementarnym, iżby był dostępnym dla każdego „nie znającego nawet pierwszych reguł arytmetyki," a niechaj „matematycy i filozofowie mają tyle pobłażania, żeby przyzwolili na te wszystkie rozwinięcia i wszystkie te szczegóły" (str. 42). „Następnie w tym wykładzie wszystkie prawdy matematyczne ulegać muszą zasadom coraz-to wyższym, nawet aż pierwszemu i absolutnemu principium..." (str. 42). „Nadto, zmuszony wznieść się w tym wykładzie, aż do filozoficznych prawd matematycznych, matematyk powinien znaleźć w nich podwójną korzyść: ścisłego rozgraniczenia pomiędzy umiejętnością samą. a jéj filozofią i ścisłego wywodu filozoficznych zasad umiejętności matematycznéj" (str. 43) i t. d., i t. d.

A jednak, mimo podobnych ustępów, widzieliśmy, że w pracach Wrońskiego, znajdą się także rzeczy i dziś jeszcze przedstawiające pewną wartość, chociaż daleką od tego, co sobie o nich Wroński wyobrażał. Poważni uczeni Zachodu przeglądają niektóre jego dzieła matematyczne, znajdują w nich niekiedy trafne, osobliwie na swój czas, pomysły. Był-to więc umysł w każdym razie niepospolity.....

To co dotąd ze stosów prac Wrońskiego wydobyto, jako przedstawiające pewien interes naukowy, odnosi się do matematyki wyłącznie. Iść więc nam może o to, aby się dowiedzieć, co z pośród matematycznéj po Wrońskim pozostałości posiada mniejszą, lub większą, ale istotną, wartość naukową.

Prawdopodobnie tą mniéj więcéj myślą powodowane, Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu ogłosiło w r. 1870 z terminem na rok 1873 konkurs na temat „krytyczne i umiejętne dzieł matematycznych Höene-Wrońskiego najprostsze i najściślejsze ocenienie" (nagroda 1000 fr.). Konkurs ten spełzł na niczem, gdyż przedsta-

wiono jednę tylko nader słabą pracę, nie odpowiadającą najskromniejszym nawet wymaganiom. I nie mogło być inaczéj. Temat wymagał zbyt wiele, ze względu na trudność zadania. Nadto znaczna część, osobliwie pierwéj ogłoszonych. dzieł Wrońskiego, jest już całkiem wyczerpana w handlu księgarskim. Rękopismy zaś po nim pozostałe, dopiéro w r. 1875 nabyte od spadkobierczyni Wrońskiego przez ś. p. hr. Jana Działyńskiego, przewiezione do Kórnika, wcielono do bogatych tam zbiorów.

Z uwagi, że prócz tych rękopismów w bibliotece Kórnickiéj muszą być w znacznéj przynajmniéj części, jeśli nie wszystkie, ogłoszone drukiem dzieła Wrońskiego (w warszawskich bibliotekach jest ich bardzo mało, a te, co są, odnoszą się do rzeczy mniéj dla matematyków ważnych), wydaje nam się jedynie praktycznem wyjście następujące. Oto, aby w bibliotece Kórnickiéj, ktoś, odpowiednio przygotowany, zajął się zestawieniem najważniejszych twierdzeń i (o ile one nie są nadto zawilemi) wywodów matematycznych, z pominięciem całego balastu rzekomo-filozoficznego, i przejrzał starannie w tym celu wszystkie prace tak ogłoszone, jak i rękopiśmienne Wrońskiego. Taki krótki konspekt, przewodnik niejako do prac i robót Wrońskiego, może przez drugiego jeszcze specyalistę przejrzany, ogłoszony drukiem, najwięcej-by się przyczynił do wywołania u nas poważnego zajęcia się Wrońskim. Wielu-by go czytało i powoli, opracowywało. W ten sposób najprędzejbyśmy doszli do zdania sobie sprawy z istotnéj wartości Wrońskiego, jako matematyka.

Inaczéj, rzecz, jak dotąd, będzie poddana prostemu przypadkowi. Bardzo powoli, dorywczo tylko, może jeszcze kilka ustępów prac naszego matematyka będzie poruszonych—ale wątpimy, czy tą drogą dojdziemy do wyrobienia się wyraźnego i umotywowanego zdania o całości matematycznych pomysłów Wrońskiego.

Maryan A. Baraniecki.

Z dziedziny przyrody i wynalazków.

O trzęsieniach ziemi.

Groźne trzęsienie ziemi 9 listopada r. z., które Zagrzebiowi nadało nazwę ,,Lizbony kroackiéj," wzbudziło u nas gorące spółczucie dla nieszczęśliwego miasta słowiańskiego, a zarazem śród ludzi najobojętniejszych dla spraw nauki ożywiło pytanie, czém są owe przerażające ruchy ziemi, tak często się powtarzające, a niekiedy tak groźne, od których na szczęście wolnym jest nasz zakątek.

Z obowiązku sprawozdawcy wypada nam rzeczy téj dotknąć, a spełnić to przyjdzie nam tém łatwiéj, że właśnie w ostatnich czasach poglądy na to tajemnicze zjawisko przyrody uległy znacznéj zmianie.

Byłaby to długa historya, gdybyśmy powtarzać chcieli dzieje poglądów na przyczyny trzęsień ziemi, które obmyślano od najdawniejszych czasów. Poruszano wszystkie siły—znane i nieznane, stawiano wszelkie hipotezy, możliwe i niemożliwe, powoływano się na morskiego Neptuna i na płomiennego Plutona, dopatrywano się początku w zapadaniu głębokich pieczar i w podmywaniu skał przez wody podziemne, w wichrach i burzach morskich, w przyciąganiu słońca i księżyca, a obraz ten w słabo zmieniającéj się postaci ciągnie się od rozbudzenia pierwszéj myśli naukowéj w Grecyi aż do naszych czasów. A jak to najczęściéj dzieje się z hipotezami snutemi w wyobraźni, a nie wspartemi na trwałéj podstawie faktów, drogą obserwacyi zdobytych, były tam wszelkie przypuszczenia, brakło tylko jednego, któreby było prawdziwém, a przynajmniéj najbliższém prawdy; ostatnia ta teorya, o któréj tu mówić mamy, polega na związku trzęsień z powstawaniem gór.

Pół wieku niemal już dobiega od czasu, jak pojęcia o gwałtownych przewrotach skorupy ziemskiej ustępować zaczęły poglądom wręcz przeciwnym, tłómaczącym wszystkie szczegóły budowy zewnętrznych warstw ziemi przez powolne i stopniowe przeobrażenia; obfity materyał zebrany z obserwacyj nauczył, że objawy potężnéj

działalności geologicznéj są tylko sumą przemian drobiazgowych, podobnych do tych, jakie i w oczach naszych zachodzą, ale ciągnących się przez czas nieskończenie długi. Wybuchy dzisiejszych wulkanów objaśniają tworzenie się skał plutonicznych, a ścierający i niwelujący wpływ wód rzecznych, śniegów i lodników tlómaczy przeinaczenie ich postaci, gdy znów osady przez wody rzeczne pozostawiane są drobnym obrazem olbrzymich pokładów osadowych, które zajęły powierzchnię ziemi, a gdy zwrócimy jeszcze uwagę na powolne podnoszenie się i obniżanie rozległych przestrzeni lądów, czy téż na przelewanie się wód oceanu, — potrzeba chyba zapytać o tworzenie się gór. Czy i te olbrzymie grzbiety piętrzące się w różnych okolicach na powierzchni ziemi są także wynikiem działalności powolnéj, czy i dziś jeszcze tworzą się Karpaty lub Alpy?

Otóż i tu, mówią znakomici spółcześni geologowie: Heim, Suess i inni, mamy także przed sobą objaw działalności powolnéj. Stara teorya gwałtownych wybuchów granitu i gnejsu, które miały utworzyć środkową oś Alp, odrzucając na boki i fałdując wierzchnie pokłady osadowe, została pokonaną rezultatami wytrwałych i sumiennych badań. Granit, gnejs i pokrewne im skały nie odegrały czynnéj roli w procesie wytworzenia się Alp, są to tylko głębsze warstwy skorupy ziemskiéj, które podobnie jak i skały osadowe, biernie tylko uległy podnoszącemu się i fałdującemu działaniu. Według tego zatem poglądu pasma górskie są tylko smugami fałdzistemi skorupy ziemskiéj, które powstały przez napiętrzenie się, zsunięcie i przesunięcie oddzielnych jéj części. Przyczyny dalszéj tych olbrzymich objawów szukać należy w powolném kurczeniu się, ściąganiu jądra ziemskiego, co pociąga za sobą marszczenie się powłoki zewnętrznéj, niby sukni, która na wychudzoném ciele stała się nazbyt obszerną. Dla wytworzenia wszystkich dzisiejszych łańcuchów gór wystarczyło ściągnięcie się obwodu ziemi o jedną odsetkę, ta jedna odsetka to wprawdzie niezmiernie wiele, ale téż dzieje ziemi mają całą wieczność po za sobą. Zmniejszanie się zaś objętości ziemi tłómaczy się powolném stygnięciem rozpalonéj bryły pierwotnéj, toczącéj się śród zimnéj przestrzeni wszechświata.

Ale wracamy znów do pytania, czy i dziś jeszcze góry się tworzą? Zapewne, bezpośrednio na to odpowiedzieć nie można. Z budowy Alp wniósł Escher von der Linth, że gdyby w czasie ich tworzenia się ludzie już tamte okolice zamieszkiwali, zaledwie mogliby podejrzewać całe to powolne działanie; ale właśnie *trzęsienia ziemi są objawem ciągle jeszcze zachodzącego piętrzenia się gór.*

Fizyka nauczyła, że pod wpływem olbrzymich ciśnień ciała stałe nabierają niejako własności cieczy, ciśnienie w nich rozchodzi

się na wszystkie strony; wskazuje to, że pod potężnym uciskiem masy stałe i twarde stają sia jakby plastycznemi; to właśnie dzieje się i z głębokiemi warstwami skorupy ziemskiéj, które znoszą na sobie niezmierny ciężar cisnących je skał; owe zatém marszczenia czyli fałdowania poziome, które wytwarzają góry, powodują w tych warstwach stopniowe wygięcia bez załamania. Wierzchnie natomiast, bardzo kruche części skorupy przechodzą przez to w stan naprężony, który objawić się może nagłém załamaniem lub gwałtowném usunięciem. *Te właśnie nagłe ruchy stanowią trzęsienia ziemi.*

Na poparcie poglądu tego, geologia powołuje się na związek, jaki zachodzi między kierunkiem głównego czyli centralnego wstrząśnienia, a kierunkami owych fałdowań lub przesunięć, czyli po prostu kierunkami pasm górskich. Trzęsienia wogóle bywają albo podłużne, rozciągające się wzdłuż owych fałd czyli łańcuchów, w wąskim obok nich pasie, albo téż poprzeczne, przebiegające góry w kierunku do nich prostopadłym, często od jednego do drugiego ich stoku. Na kierunkach tych linij napotykają się ślady owych drobnych kataklizmów, które, powtarzając się i sumując przez ciąg całych tysiącoleci, wytworzyły nakoniec ogromne wyniosłości. Trzęsień ziemi obrotowych, które Humboldt opisał jako najgroźniejsze, nauka dzisiejsza nie przyjmuje i uważa je za niemożliwe; obroty przedmiotów, posągów np. stojących na podstawach, dające się dostrzegać po trzęsieniach, tłómaczą się na zasadach mechaniki jako skutek jednorazowego uderzenia.

Nie mniejsze znaczenie dla teoryi, o któréj mówimy, ma i to, że trzęsienia najczęstsze są w tych stronach ziemi, gdzie w ostatniéj epoce geologicznéj zachodziły najwyższe wyniesienia i gdzie nowe utwory osadowe są wysoko podniesione; za przykład posłużyć tu mogą: Sycylia, Hiszpania, Alpy, zwłaszcza téż Andy Ameryki Południowéj; natomiast zachodzą bardzo rzadko, gdzie warstwy zachowały położenie poziome. To tłómaczy zagadkę, dlaczego okolice nasze od téj klęski są wolne.

Nie chcąc zresztą nużyć czytelnika wyliczaniem innych dowodów, wspomnimy tylko, że trzęsienia prowadzą często za sobą trwałe zmiany w położeniu pewnych części skorupy ziemskiéj, już-to podniesienia, wynoszące do dwu a nawet trzech metrów, już obniżenia, które występują nieco rzadziéj; często téż po trzęsieniach tworzą się szczeliny, o brzegach rozsuniętych poziomo lub pionowo, dochodzące niekiedy znacznéj szerokości.

Przy każdém trzęsieniu należy przeto obserwacye prowadzić tak, aby można było odróżnić istotne jego ognisko od ruchu tych okolic, którym wstrząśnienie tylko się udzieliło. W tym celu to-

warzystwo przyrodnicze szwajcarskie skreśliło szczegółową instrukcyę dla ułatwienia takich badań. A materyału tu nie zabraknie, bo ani jeden dzień nie mija, żeby ziemia tu lub owdzie nie zadrgała słabiéj lub silniéj. W saméj Szwajcaryi w ostatnich czasach przypadało na każdy rok po dziesięć przeszło wstrząśnień, które już to rozchodziły się po znacznéj dosyć przestrzeni, już téż czuć się dawały w obrębie bardzo ograniczonym.

Szczegóły potężnego trzęsienia zagrzebskiego, zestawione przez prof. Hoernesa, zgodne są ze streszczoną tu teoryą. Trzęsienie to obejmowało obszar bardzo rozległy, dało się uczuć w Niższéj Austryi, Węgrzech zachodnich, Styryi, Krainie, na północnych i wschodnich wybrzeżach Adryatyku; czułe seismometry (przyrządy do wykazywania trzęsień) okazałyby prawdopodobnie większy obręb wstrząśnień, a przynajmniéj w pobliżu Rzymu podobne przyrządy miały ujawnić najsilniejsze ruchy zagrzebskie, ale kierunek głównego wstrząśnienia szedł od południo-zachodu ku północo-wschodowi przez Karlowac górny, Zagrzeb, Waraždin i Czakathurn; wypada to zarówno z obserwacyj kierunków uderzeń, jak i stąd, że na linii téj najstraszniejsze znajdujemy spustoszenia.

Niemniéj ważną jest okolicznością, że trzęsienie to dotknęło tylko wierzchnich warstw ziemi; przekonywają o tém spostrzeżenia zupełnie wiarogodne. W kopalniach Brunn i Schönegg trzęsienia dawały się uczuć tylko do głębokości 10—20 metrów; robotnicy tam się znajdujący uciekli przerażeni kołysaniem się kopalni, gdy górnicy pracujący w dolnych piętrach, ani się domyślali zaburzeń srożących się nad ich głowami. Właściciel kopalni węgla Kalkgrub przepędził w niéj cały ranek 9 listopada, w czasie najgwałtowniejszych wstrząśnień i dopiéro po powrocie dowiedział się w kancelaryi o dwu gwałtownych uderzeniach, idących w kierunku połud.-zach. ku półn.-wschod. Spostrzeżenie to nie jest wprawdzie nowém, ale przybywa w porę na poparcie teoryi, która źródło trzęsień znajduje w wierzchnich warstwach ziemi. Fakta podobne uważali i inni obserwatorowie, między innymi Domejko w kopalniach srebra w Chanareillo w lipcu 1851 r.; Uczony geolog znajdował się w głębokości 120 metrów i ani się domyślał silnego uderzenia, którego w tym czasie doznała powierzchnia ziemi, lubo towarzyszący mu robotnicy poznali je z wahań płomienia świécy. Należy jednak pamiętać, że siła wstrząśnienia zależy nietylko od odległości miejsca, w którém ono bierze początek, ale i od natury gruntu, po którym się rozchodzi; uderzenie w stół nie wywoła w nim żadnego widocznego objawu, ale drobne przedmioty na nim ułożone zadrżeć mogą silnie.

Pozostaje jeszcze wskazać, z jakiém pasmem gór wiąże się trzęsienie zagrzebskie. Suess przyczynę jego znajduje w Alpach Dynarskich w Dalmacyi i nazywa je trzęsieniem dynarskiem poprzeczném, ponieważ wspomniona linia Karlowac, Zagrzeb, Waraždin, Czakathurn jest mniéj więcéj prostopadła do kierunku pasma Dynarskiego i łączy się zapewne z jakiémś przesunięciem, załamaniem, które w tym kierunku wystąpiło.

Czy zatém powiemy, że znamy już przyczynę trzęsień ziemi? zapewne, gdyby można było mówić tylko o *przyczynie*, ale prawdopodobnie mamy tu do czynienia z *przyczynami*. Bywają niewątpliwie trzęsienia zależne od wulkanów i poprzedzające ich wybuchy, bywają i wstrząśnienia związane z zapadaniem olbrzymich pieczar podziemnych. Jakkolwiek trzęsienia te są wogólności słabe i szczupłemi objęte granicami, nauka jednak w tłómaczeniu tych zjawisk przerażających postępować musi eklektycznie, jak to czynili filozofowie greccy, którzy wymieniali już wszystkie powody, około których obracała się nauka aż do ostatnich czasów, wszystkie, wyjąwszy téj przyczyny najpotężniejszéj i najogólniejszéj, powolnego wytwarzania się wyniosłości ziemskich.

Fotofon.

Szereg „cudów amerykańskich“ pomnożył nowy wynalazek prof. Bella, szeroko już rozsławiony pod nazwą fotofonu. Nowy ten przyrząd wynalazcy telefonu właściwie téż jest telefonem, t. j. służy także do przesyłania głosu na znaczną odległość, ale w zadaniu tém pośredniczy światło, które tu zastępuje rolę elektryczności. Wprawdzie i tu zupełnie bez niéj się nie obywa, bo jakżeż-by wyobrazić sobie można wynalazek nowoczesny bez udziału tego potężnego sprzymierzeńca człowieka, ale zadanie jéj jest tu jakby ograniczone, spełnia swe usługi jedynie około przyrządu służącego do odbierania głosu, a nie rozciąga się od jednéj stacyi do drugiéj, które zatém nie potrzebują połączenia za pośrednictwem drutu, jak przy telegrafach i telefonach.

Zarówno dla czytelnika jak i dla piszącego nie masz nic uciążliwszego nad opis przyrządu, jeżeli nie można odwołać się do pomocy wiernego rysunku, na szczęście jednak nie najmniejszą cudownością wynalazków amerykańskich jest ich osobliwa prostota, która pracę nam ułatwia o tyle, że możemy się jéj podjąć bez obawy znużenia uwagi czytelnika.

Głównym bohaterem fotofonu jest *selen*, jeden z tych rzadkich pierwiastków chemicznych, o których zwykło się mówić, że roli żad-

néj w przyrodzie nie odgrywają. Własnościami swemi, podobnie jak telur, zbliżony on jest do siarki, a odkryty został w początkach stulecia bieżącego w niektórych iskrzykach czyli pirytach szwedzkich przez Berzeliusa i Gahna. Do najnowszych czasów bardzo się mało o niego troszczono; ale przed kilku laty poznano pewną jego własność, która zwróciła nań baczną uwagę fizyków. Okazało się mianowicie, że jest on dziwnie wrażliwym na światło, będąc bowiem wogóle złym przewodnikiem elektryczności, przeprowadza ją daleko lepiéj pod wpływem światła. Własność tę zużytkowano już nawet do niektórych celów; Siemens np. na téj zasadzie zbudował pewnego rodzaju fotometr t. j. przyrząd do mierzenia natężenia światła, lecz dziwaczny na pozór pomysł, skłonienia światła do przesyłania za pośrednictwem selenu dźwięków, a nawet głosu ludzkiego, mógł chyba powstać w głowie Amerykanina.

Z opisem przyrządu załatwimy się krótko. Wyobraźmy sobie stos galwaniczny, którego oba bieguny połączono drutem; po drucie przebiegać będzie prąd, który istnienie swe najwyraźniéj zdradzi zboczeniem igiełki magnetycznéj galwanometru, wtrąconego w jego obieg. A teraz przerwijmy w którymkolwiek punkcie drut i miejsca rozdzielone połączmy pałeczką selenową; jako zły przewodnik selen stawi tak znaczny opór prądowi elektrycznemu, że igiełka magnesowa galwanometru wróci na zero lub prawie na zero. Ale wspomnieliśmy wyżéj, że pod wpływem światła, przewodnictwo selenu znacznie wzrasta; oświećmy tedy nagle owę pałeczkę silnym potokiem światła: prąd przebiega swobodnie po swoim obwodzie, igiełka znów się odchyla. Przerywając tedy i puszczając naprzemian potok światła, możemy dowolnie prąd osłabiać i wzmacniać, a tém samém wywoływać ruchy igiełki w jednę i drugą stronę. Dodajmy jeszcze, że snop światła można—za pomocą ruchów zwierciadła np. nadsyłać ze znacznéj odległości, a zrozumiemy możność wywoływania zdaleka sygnałów za pomocą selenu; byłby to jakby telegraf optyczny, ale na taki drobiazg techniczny nie zwrócono-by już dziś uwagi.

Idźmy tedy daléj. Prąd obecność swoją zdradza przecież nietylko za pośrednictwem galwanometru; zastąpmy go telefonem Bella, a szybko następujące po sobie wzmacniania i osłabiania prądu wywołują ruch tafelki, wydający ton.

Ztąd do fotofonu krok już zaledwie; idzie rzeczywiście o to tylko, aby ruchy przesyłanego snopu światła wywoływane były drganiami głosu. Z pięćdziesięciu prawie różnych metod, które w tym celu obmyślił Bell, najprostsza i najlepsza zarazem, polega na użyciu zwierciadełka z materyału giętkiego, z miki np. z jednéj strony posrebrzonéj. Głos mówiącego zwraca się ku tylnéj stronie tego zwier-

ciadełka, które wskutek tego przechodzi w drganie, a promienie światła padające na przednią jego stronę, odbijając się już to w jednym już w innym kierunku, ulegają ruchom, odpowiadającym zupełnie drganiom zwierciadełka.

Znamy już tedy wszystkie części, do zbudowania fotofonu potrzebne. Na stacyi przesyłającéj głos znajduje się opisane wyżéj zwierciadełko, na które padają promienie słoneczne, skupione za pomocą soczewki. Promienie te odbijają się od zwierciadełka tak, że idą daléj w kierunku poziomym, a aby je ustrzedz znowu od rozbieżenia się we wszystkie strony, zwierciadło umieszczone jest w ognisku innéj soczewki, która promieniom odbitym nadaje kierunek równoległy. Tak rzucona silna smuga światła napotyka na drugiéj stacyi zwierciadło paraboliczne, od którego się odbija i pada właśnie na pałeczkę selenową, umieszczoną tak, jakeśmy wyżéj opisali. Drgania zwierciadełka wywołują już-to silniejsze już słabsze jéj oświetlanie, w ślad za tém natężenie prądu ulega chwiejności, odbijającéj się dokładnie w drganiach blaszki telefonowéj, która ostatecznie odtworzy wiernie głos, będący powodem ruchów zwierciadła na pierwszéj stacyi.

Działanie fotofonu jest tak czułe, że do przesyłania głosu służyć nawet może światło bez porównania od słonecznego słabsze, lampy naftowéj np. Bo téż Bell zdołał znacznie podnieść przewodnictwo selenu, czyli opór jego zmniejszyć; okazał mianowicie, że do łączenia selenu ze stosem korzystniéj daleko używać drutów mosiężnych niż platynowych, któremi się poprzedni posługiwali badacze; sądzi on, że gdy selen połączony jest z metalami, na które nie może wywierać żadnego działania chemicznego, to opór, jaki elektryczność napotyka w miejscach zetknięcia, jest nader znaczny i że połączenie to nie może być ścisłém, a selen względem tych metali zachowuje się tak, jak np. woda w zetknięciu z powierzchnią pokrytą tłuszczem; działalność chemiczna mogąca zachodzić między selenem a mosiądzem powoduje zetknięcie ściślejsze i opór elektryczny o wiele zmniejsza. Co do szczegółów konstrukcyi dodamy jeszcze, że selen nie był użyty w postaci pałeczki, bo w tym razie zbyt mała jego powierzchnia byłaby na działanie światła wystawiona. „Komórka selenowa,“ jak ją Bell nazywa, składa się z krążków miki, mających po dwa cale średnicy, do koła warstwą selenu obwiedzionych i poprzekładanych równéj wielkości krążkami mosiężnemi tak, że razem stanowią walec mający $2\frac{1}{2}$ cala długości. W ten sposób niewielka ilość selenu zajmuje znaczną powierzchnię a zarazem powiększa się liczba punktów zetknięcia między tém ciałem a mosiądzem, co działalność fotofonu znacznie potęguje.

Ze względów teoretycznych ważném byłoby zbadanie, które-to mianowicie promienie słoneczne najsilniéj na selen działają, wiadomo bowiem, że światło słoneczne składa się nietylko z promieni różnych barw, ale nadto z promieni zgoła ciemnych, na oko nasze nie działających, lecz zdradzających się działaniami cieplikowemi i chemicznemi; otóż Bell przekonał się, że działalność fotofonu nie ustawała wtedy nawet, gdy na drodze promieni od zwierciadła odbitych, ustawił tafelkę gumy stwardniałéj, dla promieni jasnych zgoła nieprzezroczystéj; sądzi wszakże, że obserwacye dotychczasowe nie pozwalają jeszcze wysnuwać wniosków co do rodzaju promieni, które tu najskuteczniéj działają.

Zachowanie się to gumy zwróciło wszakże uwagę Bella; zbliżywszy ucho do téj tafelki, usłyszał wyraźny ton muzyczny. Tu już selen nie odgrywa żadnéj roli, guma wprost odpowiada dźwiękiem padającemu na nią światłu zmiennego natężenia. Jest-to zapewne rzecz bardziéj jeszcze uderzająca, niż samo przenoszenie głosu za pośrednictwem światła. Światło padając na ciało nieprzezroczyste wydaje ton; jedynym warunkiem jest to, aby promienie światła padającego miały natężenie niejednostajne.

Nie potrzeba tu nawet zwierciadełka drgającego; może je zastąpić tarcza pokryta na brzegu otworkami i szybko się obracająca; promienie światła padając na tę tarczę, ulegają przerywaniu. Jeżeli tedy w dalszéj drodze, skupione za pomocą soczewki, padną na tafelkę ebonitową, słyszéć się daje ton muzyczny, którego wysokość zależy od szybkości obrotu tarczy.

Ale nie sądźmy, że mamy tu do czynienia z jakąś wyłączną własnością ebonitu, tak samo zachowuje się i mnóstwo innych ciał: dwuchromian miedzi, siarczan miedzi, siarka, dym tytuniowy, papier, drzewo, boraks, wapno, magnezya; węgiel tylko drzewny i szkło milczały uparcie.

Co prawda, tony te nie posiadają zbyt wielkiego natężenia; aby je słyszéć, nie dosyć jest zbliżyć ucho do tafelki drgającéj, ale trzeba się postarać o zupełną ciszę w około. Rzecz jednak zmienia się zupełnie, jeżeli zamiast owych ciał użyjemy selenu, po którym przebiega prąd galwaniczny, a ucho zbliżymy do telefonu wtrąconego w obieg tego prądu; tony wtedy znacznie się wzmagają, tak, że nie ma już potrzeby usuwania wszelkich szmerów. Przy doświadczeniach prowadzonych w Paryżu niebo było zachmurzone i trzeba było promienie słoneczne zastąpić światłem elektryczném, co wydało nie mniéj dobre rezultaty.

Prof. Röntgen powtarzał te doświadczenia, poddając wpływowi promieni słonecznych gazy, zamknięte w długiéj rurze i otrzymał

dźwięki, przypominające szum wiatru; w sprawozdaniu złożonem towarzystwu przyrodniczemu heskiemu stara się zjawisko to tłómaczyć, jako następstwo prądów wywołanych przez ogrzanie gazów promieniami na nie padającemi; potwierdzenie wszakże tego prostego tłómaczenia wymaga dalszych badań.

W każdym razie fotofon przeobraża drgania niezmiernie szybkie, stanowiące światło, na drgania powolne, których objawem jest głos. Stanowi on niezawodnie wynalazek bardzo ważny, każdy bowiem przyrząd, otwierający nowy widok na działanie sił przyrody, wywiera ważny wpływ i na teoretyczny rozwój nauki.

Znaczny udział w pracach swoich przyznaje prof. Bell spółpracownikowi swemu p. Sumnerowi Tainterowi, a dla uzupełnienia historyi tego doniosłego wynalazku dodamy, że po raz pierwszy przedstawiał go Bell publicznie na dorocznem zebraniu stowarzyszenia naukowego amerykańskiego w Bostonie 26 sierpnia roku zeszłego, a 18 października słuchała akademia nauk paryska skromnego sprawozdania znakomitego wynalazcy, który przybył do stolicy Francyi po odbiór przyznanej mu nagrody imienia Volty w wysokości 50,000 franków, wyznaczonej za najważniejsze prace na polu zastosowania elektryczności. Przybył nie z próżnemi rękoma.

Stanisław Kramsztyk.

AUGUST MARIETTE.

(1821—1881).

Pamiętnym pozostanie w rocznikach francuskiéj Akademii (*des Inscriptions et Belles-lettres*) dzień 21 stycznia. Przypadające w tym dniu posiedzenie było przerwane wiadomością o zgonie jednego z wybitniejszych członków téj Akademii Augusta Mariette'a. Skoro bowiem przewodniczący obradom Pavet de Courteille zagaiwszy posiedzenie odczytał nadesłany o tém z Egiptu od siostry zmarłego telegram, wszyscy uczuli się tak głęboko dotknięci stratą świeżą, którą, jak się wyraził w przemówieniu przewodniczący, nie tylko Akademia lecz i Francya cała a z nią szkoła francuska Egiptologii poniosła, że do obrad na porządku dziennym przejść nie mogąc, na znak żałoby ogólnéj posiedzenie zamknęli.

Uczczony w ten sposób akademik, cały swój żywot poświęcił jedynie nauce oraz zdobywaniu dla niéj coraz to nowszego zapasu materyałów. Polem działalności jego naukowéj był Egipt starożytny. Rozpoczęte przezeń rozkopywanie systematyczne zasypanych piaskiem gmachów, otworzone a nader bogate Muzeum w Bulaku, nakoniec poglądy na przeszłość polityczną i religijną tego kraju z własnych studyów wydobyte w licznych pracach wygłoszone, na nową drogę wprowadziły Egiptologią i imie zmarłego obok dwóch twórców téj nauki, Champollion i Em. de Rougé pomieściły. Kilka faktów z życia zmarłego, wzmianka chociażby pobieżna o ważniejszych jego odkryciach, może i dla nas niebędzie zupełnie pozbawioną interesu.

August Mariette urodzony w Boulogne-sur-Mer dnia 11 lutego r. 1821 był synem profesora kollegium tamtejszego. Jakoż wstępując początkowo w ślady ojca, rozpoczął w tymże samém kollegium zastępczo wykład rysunków. Przypadek atoli skierował go wkrótce na drogę inną. Muzeum municypalne otrzymało w darze mumią. Umieszczony na trumnie napis długi zaciekawił młodego profesora.

Postanowił go przetłómaczyć i z zapałem wziął się do dzieła. Było-to jednakże przed trzydziestu kilku laty (około r. 1845). Nieposiadano jeszcze wtedy ani gramatyk egipskich, ani téż słowników. Również i wydawnictwa naukowe nie rozpowszechniły jeszcze podówczas tyle tekstów, które obecnie, służąc do porównywania, ułatwiają wielce podobne zadanie. Pomimo więc pracy usilnéj i przestudyowania wszystkich wtedy znanych dzieł przygotowawczych i traktatów, rezultaty odcyfrowywania tego napisu nie mogły go zadowolnić. Mariette zamarzył o Paryżu, jako ognisku nauki, któréj się poświęcić postanowił.

Od napisu egipskiego przeszedłszy do archeologii krajowéj, skreślił memoryał o położeniu i znaczeniu potru Icium, z którego Cezar wypłynął był na zdobycie Bretanii. Praca ta zwróciła nań uwagę redakcyi *Przeglądu archeologicznego*; zjednała życzliwość kilku sławniejszych uczonych. Za staraniem A. *de Longpérier* dostaje w r. 1848 urząd w Muzeum luwrskim.

W nowéj zupełnie sferze, w otoczeniu tak sprzyjającym naukowym dążnościom i celom, Mariette zadziwiające robił postępy w znajomości archeologii, a to dzięki niezwykłéj przenikliwości umysłu, zapałowi niczem niepohamowanemu, oraz nieznającéj przeszkód chęci uczenia się. Dość mu było dwóch lat do wyrobienia o sobie w kole, od którego zależał, opinii uczonego, mogącego już stanąć na czele misyi naukowéj. Jakoż w r. 1850 Mariette'a wysyła do Egiptu minister oświecenia, w celu odszukiwania i skupowania rękopismów syryjskich i koptyjskich.

Lecz jak przed kilku laty w mieście rodzinném od zajęcia chlebodawczego oderwała go mumia, tak obecnie głowa sfinksa nad piaskami pod Sakkarak stercząca, kazała mu zapomnieć o misyi urzędowéj. Ustęp ze Strabona, który twierdzi, że za czasów jego wznosiła się pod Memfis świątynia bogu Serapis poświęcona (*Serapemu*) i że ta świątynia stała w miejscowości tak piaszczystéj, iż obok stojące sfinksy już i wtedy do połowy były zasypane (ks. XVII), natchnął go myślą odkopywania na tém miejscu zasypanéj świątyni. 1-go Listopada rozpoczął odkopywanie. Rozpoczęcie tak mozolnych i kosztownych poszukiwań, przy takich warunkach i środkach, nazwał jeden ze współczesnych mu archeologów (*M. Beulé*) *une faute héroïque*; tylko bowiem powodzenie jak najzupełniejsze usprawiedliwić mogło ów krok.

Do końca grudnia odkopana aleja ze sfinksów (140) zdawała się wróżyć powodzenie i zachęcać do dalszéj pracy. W parę miesięcy później, pod warstwą 50-stopową piasku, dokopał się do murów. Była-to rzeczywiście odszukiwana świątynia Serapisa, która,

jak się okazało, z sarkofagów ze szczątkami, katakumb i napisów, służyła za grobowiec, wszystkich czczonych w Memfis wołów, Apisów. W odgrzebywanym gmachu wyraźnie dawały się odróżniać trzy części, pochodzące z trzech epok różnych. W najstarszéj części grobowce Apisów sięgały czasów XVIII dynastyi (1700—1400. przed erą naszą). W ostatniéj dochodziły do czasów rzymskich cezarów, a więc bezpośrednio dotykały epoki, w któréj krzewiący się w Egipcie Chrystyanizm położył koniec kultowi Apisów. Nie opodal od miejsca spoczynku wiecznego wołów boskich, znajdowały się groby ludzi należące do rodzin prywatnych. Jeden z nich niejakiego *Ka-em-ke* był zapełniony posągami przedstawiającemi wszystkich członków rodziny; posągi te stanowiły najciekawsze zabytki sztuki egipskiéj. Kilkaset napisów dających rzeczywiste pojęcie o kulcie Apisa; w skutek umieszczonych dat, prostujących wiadomości chronologiczne z historyi Egiptu; rzeczone posągi z grobu *Ka-em-ke*, oraz wiele innych przedmiotów drobniejszych odprawione do Luwru zastąpić miały rękopisy syryjskie i koptyjskie.

Odkrycie Serapeum zrobiło odrazu imię Mariette'a znaném w świecie naukowym. Za sławą podążyły wnet środki nieodzowne dla poszukiwań dalszych. Znany archeolog i zacny mecenas sztuk i nauk X-że de Luynes zapewnił koszta odkopywania Sfinksa wielkiego, do czego Mariette następnie wziąć się zamierzał. Po odkopaniu Sfinksa, Mariette w 1853 odkrył obok niego świątynię pochodzącą z czasów IV dynastyi. Wzniesiona z granitu i alabastru, świątynia ta jest jedynym pomnikiem w tym rodzaju sztuki budowniczéj w Egipcie dolnym; gdzie, jak wiadomo, Hiksosi wszystkie gmachy zwalili i poniszczyli.

W następnym r. 1854 Lesseps przedstawił Mariette'a wice królowi Egiptu, Izmailowi, który, poruczając mu prowadzenie wszelkich poszukiwań i konserwowanie znajdowanych zabytków przeszłości, wyniósł go na stanowisko niezależne i co więcéj, zupełnie odpowiednie jego uzdolnieniu, celom naukowym i planom dalszych prac. Mając zapewnione środki i opiekę rządową, rozpoczął poszukiwania na szerszą jeszcze skalę w całéj dolinie Nilu. Z pod Memfis przeszedł do Abydos, Denderah (Tentyris), Teb, Edfu (Apollinopolis). Dobywane przedmioty szły do założonego Muzeum w Bulak. Opisy zaś ruin i robót prowadzonych, uzupełnione wykładem odpowiednich okresów z Historyi Egiptu, objaśnieniem obrządków religijnych, wierzeń i zwyczajów, ozdobiane podobiznami znajdowanych napisów, planami gmachów odkopywanych, rysunkami rozmaitych przedmiotów sztuki rozpowszechniały po całym świecie rezultaty poszukiwań i wyniki badań naukowych Mariette'a.

W r. 1867 w czasie wystawy powszechnéj przedmioty z Muzeum bulakskiego przewiezione do Paryża, zapełniły pawilon egipski. Dla uprzystępnienia starożytności egipskich, Mariette napisał krótki rys historyi Egiptu (*Aperçu de l'hist. ancienne d'Egypte*). Książka ta, pomimo dorywczego celu bezpośredniego, do dziś dnia służyć może jako wyborny podręcznik do nauki dziejów tego kraju. Order Legii Honorowéj udzielony mu widomą był oznaką uznania zasług jego ze strony rządu. Po śmierci Em. de Rougé wykładającego Egiptologią w kolegium francuskim, profesorowie tegoż wraz z członkami Akademii Napisów jednozgodnie oświadczyli, że Mariette jest najbardziéj godzien zająć katedrę opróżnioną. Nie przyjął on atoli profesury gdyż pragnął daléj na miejscu zdobywać materyał naukowy, w 1872 Instytut znalazł możność wyrażenia mu swego uznania i przysądził dwuroczną nagrodę po 20.000 fr. W r. 1878 Akademia Napisów wybrała go na członka na miejsce zmarłego *de la Saussay*. Pomimo tylu odkryć i tylu dokonanych pomyślnie poszukiwań jeszcze w roku zeszłym przedstawił Akademii plan nowych robót.

Mariette życiem swojém wskazał, jak pracując w obcym kraju nad przedmiotami zupełnie dla swego obcemi, żadnego związku z jego przeszłością i teraźniejszością nie mającemi, będąc dygnitarzem obcego monarstwa (początkowo *bejem* pod koniec *baszą*) można jednakże pozostać wiernym synem ziemi ojczystéj. Oto jak kreśli stosunek jego do ziomków i kraju *Delaunay:* „Rok rocznie przyjeżdżał on do Paryża z zapasem rozpraw, z których najkrótsza nawet odkrywała prawdy nieznane. Zarzucany pytaniami, lecz nigdy nie znużony odpowiedziami, zawsze był gotów rozpraszać nasze niepewności, rozwiązywać wątpliwości. Wysyłany z podróży list Mariette'a do Akademii stawał się wypadkiem wielkiéj wagi dla archeologii... Wydalał się on więc z Francyi, lecz jéj nie opuszczał. Można rzec śmiało, że nigdy nie tracił z oczu kopuły Instytutu lub wielkiego dziedzińca w Luwrze. Życie jego było ciągłą tylko misyą naukową przedłużoną, urozmaiconą powrotami i odjazdami" (*Jour. Offic.* N. 23).

Przedstawione Akademii plany poszukiwań przyszłych, aczkolwiek zyskały ogólne uznanie, nie zostały przezeń wykonane. Choroba, nieomylna owa *praevia mortis*, na długi czas przed śmiercią przeszkodziła mu wziąć się energicznie do dzieła. Umarł 19 stycznia, pochowany został w grobowcu wzniesionym w ogrodzie należącym do Muzeum w Bulaku.

Oto są w porządku chronologicznym ważniejsze jego prace:

1) Choix de monuments découverts pendant le déblaiement du Sérapéum de Memphis, 1856.

2) Description des fouilles entreprises en Egypte de 1850 à 1854, 1865.

3) Aperçu de l'histoire ancienne d'Egypte, 1867.

4) Sur les tombes de l'ancien Empire. 1868.

5) Monuments divers recueillis en Eg. et Nubie, 1872.

6) Album du Musée de Boulaq, 1872.

7) Karnak, étude topographique et archéologique, 1875.

8) Listes géographiques des pylones de Karnak, 1875.

9) Deir-el-Bahari, documents topographiques et ethnographiques recueillis dans ce temple 1877.

10) Denderah; description générale du grand temple de cette ville 1870—1880.

11) Abydos, description des fouilles exécutées sur l'emplacement de cette ville, 1869—1880.

J. Radliński.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Teorya wpływów kultury fenickiéj krytycznie rozebrana przez T. Ziemięckiego, Kraków. Nakładem autora Drukiem Wł. L. Anczyca i Sp. 1879.

Na naszéj niwie naukowéj pojawiają się już wytworne i rzadkie rośliny, jakie dotychczas podziwialiśmy tylko na bujnych łanach kultury germańskiéj i romańskiéj. Dzieje i języki starożytnego wschodu znalazły u nas kilku badaczy, których zapał tém wyżéj cenimy, o ile z większemi walczyć muszą trudnościami, gdy żaden z istniejących w kraju uniwersytetów nie posiada ani wydziałów, ani katedr językoznawstwa wschodniego, a w społeczeństwie oddawna zanikły stosunki chociażby z europejskimi Turańczykami. Nie pozostawiła po sobie śladu w literaturze utrzymywana kosztem Rzeczypospolitéj aż do 1793 polska „Szkoła Oryentalna w Stambule.“ To téż na obczyźnie tylko kształcili się oryentaliści nasi wieku XIX. Sękowski, Muchliński, Kowalewski, Chodźko, Kazimirski, Chodzkiewicz. Mistrza, przewodnika, doradcy nie znajdzie tedy poczynający badacz ani w Krakowie, ani we Lwowie, ani w Warszawie.

Jednym z najgorętszych miłośników prastarego wschodu jest p. Ziemięcki, czynny spółpracownik „Dwutygodnika Naukowego“ krakowskiego. Uzbierawszy sobie bogaty zasób wiadomości w dziełach koryfeuszów nauki nowoczesnéj, zapuszcza się w tajemnicze epoki dolmenów, kromlechów, druidyzmu, wędrówek aryjskich i semickich, wypraw morskich do Egiptu itp. Tytuł rozprawy niniejszéj rozumiéć należy w znaczeniu przeczącém, gdyż celem jéj nie jest wyświetlenie wpływów kultury fenickiéj na Europę, ale przeciwnie zwalczanie teoryi dotąd uznawanéj, a szczególnie twierdzeń Nilsona, który dopatrzył wpływów fenickich aż w Szwecyi w wieku bron-

zowym na pomnikach kamiennych w Kivik i Willafara, w ornamentach, symbolach, obrzędach religijnych. Przeciwko zapędom uczonego Szweda autor wystawił kilka silnych zarzutów, ale, nie poprzestając na tém, dowodzi, że to wszystko, co Fenicyanom przypisywano było dziełem ludów „Kimro-Wenedyjskich czyli Wendyjskich,“ że sami Fenicyanie, a nawet wogóle wszyscy Semici zawdzięczają całą swoję kulturę plemionom aryjskim.

Autor wyznaje, że teza taka stawia go w sprzeczności „z całą falangą najzdolniejszych i najrozgłośniejszych oryentalistów i historyków współczesnych. W téj naukowéj wycieczce na gruncie tak ślizkim i tak mityczną atmosferą owianym, jedynemi punktami jaśniejszego światła były: teorya niezupełnie naukowo przeprowadzona generała Faidherbe o hipotetycznym ludzie dolmenów i wzmianka antropologiczna w *Zeitschrift für Ethnologie*, iż Tokkari, marynarz, wzięty do niewoli przez Ramsesa III w bitwie morskiéj... w XIII w. stoczonéj, według dra Mortona typem rasy wykazywałby celtyckie pochodzenie“ (1). Głównych jednak argumentów mają dostarczyć: biblia, napisy egipskie, Sanchoniaton, tradycye arabskie (s. 58) a nadto Zend-Avesta, Wedy i pomniki archeologiczne.

Brak miejsca nie pozwala nam uczynić zadość słusznemu żądaniu autora, aby w razie sporu nie poprzestawać na ryczałtowém wyrokowaniu o pracy, wymagającéj mozolnych i długich studyów, lecz „zebrane w niéj argumenta odeprzéć, dane usunąć lub inaczéj wyświetlić.“ Możemy wypowiedziéć tylko „własne widzi-mi-się“ co do kilku najważniejszych i najogólniejszych twierdzeń.

Nie zdołaliśmy nabrać przekonania, iżby ludy aryjskie, występujące wyraźnie na widownią dziejową dopiéro w I-m tysiącoleciu przed Chr., mogły zaludnić i Syryją i Europę i Afrykę północną aż w głąb Sahary (s. 46, 116—120). Nie wystarcza nam już argument pierwszy, wzięty z pierwotnych form budownictwa i rysunku: gdyby krom-lechy i dolmeny były rzeczywiście podobne z kształtu i wymiarów do murów cyklopskich w Grecyi, na wyspie Arwad i w Palestynie lub do tumulusów fenickich „dotychczas wcale nie badanych“ (s. 36—39), do pomników afrykańskich w Marokko, Algierze, Tunisie i Trypolis (s. 115); to jeszcze dla udowodnienia aryjskiego stylu tych prostaczych budowii, żądalibyśmy okazania ich w pierwotnych sie-

---

(1) W przypisku 91 na str. 58 zawlerającym cytatę z Mortona czytamy o „ludziach zwanych Tokkari“ (These people called Tokkari.. are prisoners) nie zaś o marynarzu; wyrażenie dra Mortona jest bardzo oględne i wstrzemięźliwe: „W moich oczach (lub: wedle mego poglądu—to my view) mają oni regularne i śmiałe rysy Celtów czyli Gallów.“

dzibach Eranu, w Słowiańszczyźnie i w Niemczech; z drugiéj strony należałoby jeszcze dowieść, że ludy innych szczepów nie potrafiły układać nieociosanych kamieni, a przedewszystkiém należałoby podać jasno kanon architektoniczny, określić cechy typowe owego stylu, jak określamy styl dorycki lub koryncki. Drugi argument, że w saméj Fenicyi, jakotéż w Palestynie i w całéj Syryi ludność aryjska mieszkała przed Semitami, pobudowała miasta i założyła wszystkie fundamenta cywilizacyi, budzi jeszcze silniejsze wątpliwości. Biblia nie powiada, żeby olbrzymowie Refaim, Enakim, Zomromim (s. 96) pochodzili od Jafeta; Hiksowie według tradycyi egipskiéj byli nomadami, nie zaś ludem rolniczym z armią „dobrze uorganizowaną,“ z warownemi miastami, z wysoce rozwiniętą sztuką, z „wspaniałą stolicą w Tanis“ (1) i poczuciem artystyczném delikatniejszém niżeli w pomnikach współczesnéj dynastyi tebańskiéj (s. 136—140, 145). Żeby się na tak hazardowne twierdzenia p. Z-go. zgodzić, trzebaby wpierw wywrócić do góry nogami całą historyą egipską, poczynając od I dynastyi, ale żeby się przekonać, jak błędnym jest obraz cywilizacyi Hiksów, wystarcza jeden rzut oka na pomniki rzeźbiarstwa z téj epoki, przechowywane w zbiorach Luwru; są-to właśnie dzieła rzemieślników i artystów egipskich, które mogą świadczyć tylko, że królowie pasterze poddawali się wpływowi cywilizacyi egipskiéj, że naśladować chcieli życie i zajęcia faraonów. Wielce téż nieprawdopodobnym jest argument trzeci, że „przybysze europejscy“ przedsiębrali wielkie wyprawy morskie i tworzyli z Libijczykami „jeden wielki związek, skierowany do opanowania i niejako skolonizowania Egiptu“ (s. 124). Jądrem tego śmiałego pomysłu jest bitwa wodna stoczona przez Ramsesa III z plemionami przybyłemi od morza, w których egiptologowie domyślają się mieszkańców wysp Archipelagu i Azyi Mniejszéj: Danaów, Tyrsenów, Teuhrów, Licyjczyków (2). Rysunek i napisy egipskie mogą w istocie służyć za ważną wskazówkę co do wielkich wędrówek morskich w XIII wieku przed Chr., a może też co do zajęcia Italii przez Tyrsenów czyli Etrusków. Ale p. Z. chce widzieć w tém dowód, że Europa posiadała już na całém morzu Śródziemném potężne mocarstwa morskie, które uprawiały wysoką politykę i tworzyły koalicye przeciwko Egiptowi. Nadto, wynajduje on jeszcze naród Wenetów czyli Kimro-Wenetów, których „żegluga wybrzeży oceanu Atlantyckiego stała

---

(1) Warto zanotować słowa samego autora „że z epoki Hiksów żadne pomniki architektury nie przechowały się“ (r. 135).

(2) Maspéro: Hist. Ancienne des peuples de l'Orient. 1875. Paris Hachette p. 263.

wyżéj od żeglugi Fenicyan (s. 10, 54). Wenetowie byli jednym z najpotężniejszych ludów, ale w Gallii wśród 80 innych ludów, których liczba głów ogólna nie przenosiła zapewne 8 milionów; ich marynarkę opisuje Cezar, (1) podziwia wielkość okrętów, żagle skórzane i łańcuchy do kotwic, ale o parę rozdziałów niżéj podaje też opis bitwy, która zakończyła się zwycięztwem Rzymian nad całą flotą Wenetów, złożoną z 220 statków. Więc nie była-to tak straszna potęga, któraby groźną być mogła dawniéj dla flot fenickich lub kartagińskich, gdyby kiedykolwiek miała miejsce jakaś bitwa morska, ze współzawodnikami Greków i Rzymian. Nie dość na tém, p. Z. widzi tych Wenetów w całéj Europie od Skandynawii do Adryatyku, a nawet w Syryi w jakichś krainach Vedan, Udent, ba nawet w egipskiéj nazwie Uatuat (s. 125, 150). Przeciwnie Fenicyanom i wszystkim Semitom odmawia zdolności żeglarskich i pociągu do morza. I po co było tracić tyle pracy, tyle wysileń umysłowych na tezę, którą obala odrazu jeden niewzruszony dokument—*Periplus Hannona*? Czyż jakikolwiek naród aryjski, nie mówiąc już o fantazyjnych Wenetach, ale Grecy, ale Rzymianie pozostawili w świecie starożytnym ślad stosunków tak rozległych, bo sięgających od 10-go stopnia szerokości południowéj do 45 szer. półn., od Malakki do Senegambii, a bodaj i do Gwinei? Czy w wiekach średnich nie Arabowie byli naczelnymi reprezentantami handlu powszechnego, czy nie z nimi na początku XVI w. toczyli walkę w Indyach wschodnich vice-królowie portugalscy Almeida i Albuquerque?

Najdawniejsze podania biblii i najwyższe pojęcia religijne p. Z. przypisuje też Aryjczykom wyłącznie. Imię Noego pochodzić ma od sanskryckiego „naas“, łacińskiego „navis“ i oznaczać żeglarza; synowie jego: Sem, Cham i Jafet są tém samém co Scherma, Charma i Japati z księgi indyjskiéj Bhâgavata Purana (s. 160). Do Żydów tradycye kosmogoniczne przechodziły (zapewne aż z Hindostanu) za pośrednictwem kultury „filistyńsko-pelazgijskiéj“ (s. 69), która panowała w Syryi przed przyjściem Semitów. Bo, zdaniem p. Z. „Semici nigdy nie byli zdolni wydać sami z siebie wyższéj religijnéj myśli... Monoteizm nie jest bynajmniéj wytworem ich geniuszu“ (s. 73, 71). O takich twierdzeniach wtedy tylko można będzie rozprawiać poważnie, kiedy nam p. Z. dowiedzie, że Mojżesz był uczniem Zoroastra, a Jezus Chrystus urodził się i nauczał w Hindostanie.

Nie cofa się też p. Z. i przed kwestyami językowemi. Lubo najczęściéj posługuje się sprzecznemi nieraz zdaniami egiptologów i se-

(1) De bello Gallico III, 13.

mitologów, jednakże podaje czasem wyrazy hebrajskie w oryginalnéj pisowni i własne snuje wywody. Bardzo słabe wyobrażenie mamy o gramatyce i leksykografii porównawczéj; domyślamy się wszelako, że u filologów nie znajdą uznania takie wywody np. Hyksos=hikkos, hikfos, hissos, ἵππος, equus, ak tj. koń i jeździec (s. 135), albo Manu (ind.), Minos (grec.), Mannus (germ.) Menes (egipski), Maschuasch, Maxi (w półn. Afryce), co ma znaczyć ludzi (s. 136) albo: Armorejczykowie=Pomorzanie=Armoryka Kymro—Wenetów (s. 104) albo wspominani już Uatuat=Weneta itp.

Nie wdając się w szczegóły, sądzimy, że zaznaczone tu kwestye ogólne dostatecznie usprawiedliwią nas, dla czego nie możemy uznać ani teoryi anti-fenickiéj, ani konstrukcyi Kymro-Wendyjsko-filistyńskiéj przez p. Z. tak mozolnie zbudowanéj. Zbyt rozległe, trudne a nawet niemożliwe zadanie wytknął sobie autor: burzy całą historyą wschodu, żeby na jéj gruzach własne oprzéć pomysły. Radzibyśmy widziéć w téj odwadze nadmiar energii umysłowéj; ale zkądinąd boimy się, czy cenny ten przymiot nie zmarnieje przy wadliwéj metodzie, przy nieumiejętności systematyzowania i oznaczenia wagi, właściwéj każdemu faktowi lub pojęciu? Pan Z. bowiem nie ma poczucia zakresu, w jakim mieścić się może domysł, wątpliwość, hipoteza, a po za którym stoją już niewzruszone i nietykalne zdobycze nauki historycznéj.

Tadeusz Korzon.

Kandydatura Fryderyka Jagiellończyka na biskupstwo Warmijskie od (1489 do 1492). Ustęp z dziejów polityki Kazimierza IV wobec Prus po odzyskaniu tychże. Napisał *Dr. Fryderyk Papée.* Lwów 1879. 8-o str. 43. Osobna odbitka z Albumu uczącéj się młodzieży polskiéj, poświęconego J. I. Kraszewskiemu.

Praca niniejsza jest przyczynkiem nie tylko do historyi polityki Kazimierza IV względem Prus, ale także—na co autor za mały nacisk kładzie—do historyi stosunków jego z kuryą rzymską, w szczególności zaś do sporów z papieżami i kapitułami o prawo nominacyi biskupów, które do kapituł należało, od czasu jednak Kazimierza Jagiellończyka i kilku najbliższych jego następców stało się atrybutem korony. Co się Prus specyalnie tyczy, to zdobycie tego prawa było tém konieczniejsze, że było jednym z ważnych środków, jakiemi król mógł rozporządzać, do zgniecenia napływowego w Prusach niemieckiego elementu: jeżeliby niemieckim pierwotnie kapitułom w Warmii i ziemi Chełmińskiéj przysługiwać zawsze miało prawo

wyboru biskupa, nigdyby Polak w Prusach biskupem nie został—gdy przeciwnie za biskupem polskim cała kapituła w następstwie się spolonizowała, a tak powoli umilkły separacyjne od państwowéj jedności zachcianki, które więcéj niż 100 lat jeszcze po pokoju toruńskim, między niewielu innemi żywiło także i kapitulne duchowieństwo dyecezyi Warmińskiéj. Kazimierz Jagielończyk oceniał całą ważność téj sprawy i dlatego tak stale i konsekwentnie opierał się uznaniu osobliwie Łukasza Watzelrode, który nie w skutek jego przedstawienia, ale nawet bez jego wiedzy, biskupem przez kapitułę Warmińską obrany został, wbrew zamiarom króla, pragnącego osadzić na téj katedrze swego syna Fryderyka. Historya obioru Łukasza Watzelrode, zajęcie przezeń biskupstwa i daremne starania jego samego, stanów pruskich i kapituły o uznanie go przez króla za biskupa, są właściwie przedmiotem niniejszéj rozprawy (tytuł więc jej niezbyt odpowiedni), poprzedzonéj krótkim wstępem, charakteryzującym stosunek Prus do Polski po pokoju Toruńskim (1466) i zawierającym niektóre daty w „historyczny i pragmatyczny związek“ łączące sprawę Łukasza z poprzedniemi wypadkami. Jasne przedstawienie rzeczy i wprowadzenie sprawy na stanowisko, z którego ją sądzić należy, zebranie wszystkich odnoszących się do niéj szczegółów (między niemi kilka nowych z rękopiśmiennych źródeł), tak że w razie odkrycia nowych łatwo je będzie w związek z innemi wprowadzić—głównie za zasługę autorowi poczytane być winno. Jest-to już trzecia z kolei drukiem ogłoszona praca autora z okresu panowania Kazimierza IV i tak jak dwie poprzednie, jest zapewne rodzajem specyalnego studyum do historyi całego panowania tego króla, nad którą autor pracuje. Jeżeli nasze informacye nie są mylne, to tylko życzyć sobie możemy, byśmy jak najprędzéj rezultat téj pracy oglądać a raczéj czytać mogli, gdyż poprzednie i ta rozprawa o owéj pracy bardzo dobrze wróżą i każą się spodziewać, że w niéj i całe panowanie i osoba króla w należyte światło postawione i ocenione a także od zarzutów tych, którzy je sądzą ze stronniczego lub fałszywego stanowiska, ochronione będą. Byłoby zbytecznem dodawać, że i pruskie również sprawy należyte w téj pracy zajmą miejsce; żąda się jednak, ażeby przytém autor uwzględnił także i..... geografią Prus, takie bowiem geograficzne terminy, jakie tu spotykamy: *Dyrszawa* (Tczewo-Dirschau), *dyrszawski*, również *warmijski* zamiast *warmiński*, w dziele historyka polskiego w polskim wydaném języku, znajdować się nie powinny.

Teodor Wierzbowski.

Synopsis legatorum a latere, legatorum natorum, nuntiorum ordinariorum et extraordinariorum, internuntiorum, delegatorum, commissariorum, collectorum et subcollectorum denarii S. Petri, exactorum decimae, praedicatorum, cruciatarum, inquisitorum haereticae pravitatis apostolicorum in Polonia terrisque adiacentibus 1073 — 1794, in ordinem digesta atque typis tradita a *Theodoro Wierzbowski*, equite polono. Romae, typis Elzevirianis, 1880, in 8-o, p. 66.

Józef Garampi, arcybiskup berytański, który jako nuncyusz papieski bawił dość długo w Polsce (w l. 1772—1776), korzystał z tego pobytu, ażeby na podstawie aktów nuncyatury papieskiéj w Warszawie, posługując się przytém dokumentami z archiwum watykańskiego, ułożyć rodzaj encyklopedyi rzeczy kościelnych Polski, Litwy i ziem przyległych. Dzieło to dwutomowe ułożone porządkiem alfabetycznym a noszące tytuł: „Index rerum praecipue ecclesiasticarum regni Poloniae et M. Duc. Lithuaniae etc...“ napisał Garampi dla użytku następców swoich w urzędzie nuncyuszowskim i złożył je, po ustąpieniu swém z Polski, w archiwum watykańskiém. Tenże Garampi znany zresztą i zkąd-inąd (z „rozmów,“ które z nim miał Stanisław August) napisał za czasów swéj nuncyatury, a na podstawie tychże samych źródeł jeszcze inną księgę, która pod tytułem: „Synopsis legatorum et nuntiorum apostolicorum in Polonia“ opisywała w dwóch tomach dzieje wysłańców papieskich w Polsce od najdawniejszych czasów aż do r. 1772, czyli aż po czasy samego Garampi'ego. To drugie dzieło nie doszło nas; pierwsze natomiast, ów „Index“ odnalazł pan Wierzbowski w archiwum watykańskiém, a w niém zarazem jeśli nie dzieje kompletne, to przynajmniéj spis imion wszelkiego rodzaju mandataryuszów kuryi rzymskiéj w Polsce, wraz z podaniem ich tytułów jako-téż lat, w których urzędowali. Ten to spis właśnie ogłosił tymczasowo w bardzo piękném wydaniu p. W., zapowiadając zarazem podać rychło obszerniejszą wiadomość o dziele, z którego go wyjął.

Uczyniłbym krzywdę czytelnikom Ateneum a jeszcze większą pono samemu wydawcy, gdybym chciał tracić słowa na wykazanie potrzeby lub stosowności jego wydawnictwa. Spisów wysłanników kuryi w Polsce mieliśmy dotąd cztery: Sebastyan Ciampi, tyle zasłużony około dziejów polskich badacz, wydając w r. 1839 swoje dzieło: *Bibliografia critica* umieścił w niém także spis nuncyuszów apostolskich w Polsce i przydał nawet krótki opis ich działalności (zob. część II-gą, str. 9 nastp.). Po nim hrabia Aleksander Przezdziecki, otrzymawszy, jak sam powiada, od dyrektora archiwum watykańskiego spis (widocznie niekompletny) nuncyuszów, wydrukował go jako dodatek do swego dzieła zatytułowanego: „Wiadomość bi-

bliograficzna o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych" (Warsz. 1850, str. 164 nst.). Ostatni wreszcie, Paweł Władysław Fabisz wydał najpierw w r. 1859 „Spis chronologiczny legatów i nuncyuszów św. stolicy apostolskiej w Polsce," a w pięć lat później ten sam spis, pomnożony jednak i wzbogacony przypisami historycznemi wyszedł z druku w Ostrowie p. t. „Wiadomość o legatach i nuncyuszach apostolskich w dawnéj Polsce." Wszystkie te spisy jednak nie odejmują bynajmniéj racyi istnienia katalogowi wydanemu przez pana W., jak bowiem z porównania ich wzajemnego wynika, są one o wiele a wiele od niego uboższe; jakoż podają przeważnie tylko imiona nuncyuszów i legatów *a latere*, podczas gdy, jak to już z tytułu wyżéj wypisanego wynika, *synopsis* pana W. wymienia wogóle *wszystkich* wysłanników kuryi, a więc np. kolektorów świętopietrza, inkwizytorów i t. p. Spis ten już sam z siebie tak bogaty, dopełniwszy go tém, co się znalazło w wymienionych powyżéj pracach swych poprzedników, wzbogacił p. W. jeszcze mnogiemi imionami wyjętemi z dzieł drukowanych (zwłaszcza Monumentów Bielowskiego i prac Theinera) a nadto rezultatami własnych poszukiwań, które czyni w archiwum watykańskiém. Bardzo dobrze zrobił wydawca, że go ułożył podwójnie, w porządku alfabetycznym najpierw (str. 13 — 39) a potém chronologicznym (43—66), co naturalnie ułatwia poszukiwania. Nie idzie zatém, ażeby ten katalog był już całkiem dokładny, a zwłaszcza żeby czy-to w datach chronologicznych czy też tytułach wysłanników był zupełnie prawdziwy; z czasem niejedno w nim poprawić przyjdzie. Dla przykładu: *Jakób Piso*, który miał tytuł protonotaryusza apostolskiego, przybył do Polski nie w r. 1513, ale dopiéro w r. 1514 (przed 18 lipca był w Wilnie — Acta Tomiciana, t. III, nr. CCI); atoli o takie usterki nie podobna winić wydawcy. Życzyłbym był przecie, ażeby p. W., który wciągnął do swego katalogu, począwszy od Łaskiego, także arcybiskupów gnieznieńskich, noszących jak wiadomo tytuł *legati nati*, dodał był spis kardynałów t. zw. protektorów Polski w Rzymie, jak również kardynałów promocyi korony polskiéj. Atoli to zdanie wypowiadam jedynie jako *pium desiderium*, bo niewiadomo mi, o ile ów znany mi tylko z tytułu, wyżéj przytoczony „Index" pozwalał na coś podobnego. Wierzę również, że nie było w mocy wydawcy dołączyć do katalogu podobnyż katalog wysłanników rzeczypospolitéj na dworze rzymskim. W każdym razie miłośnicy dziejów ojczystych powitają z uznaniem tę publikacyą, która im oszczędzi niejednéj chwili mozolnego szukania, z uznaniem tém większém, że wydawca nie wahał się wśród naszych stosunków ogłosić *własnym* nakładem

książki w łacińskim języku, a do tego w sposób prawdziwie imponujący ozdobnością wydania. Ale p. W., który już od lat kilku objeżdża archiwa i biblioteki europejskie, uważał snać za swój obowiązek (tak przynajmniéj poucza jego dedykcya) ofiarować piękny upominek „Tym co go chętnie raczyli popierać w jego studyach podejmowanych w latach 1876—1880 w archiwach i bibliotekach Austryi, Prus, Saksonii i Włoch.“

Na zakończenie dodam, że nie byłoby od rzeczy, gdyby mający przystęp do archiwów zagranicznych Polacy, biorąc pochop z niniejszéj publikacyi, postarali się o podobne wedle możności kompletne katalogi wysłanników mocarstw świeckich do Polski i naturalnie, o ile by to było możliwe, polskich wysłanników do obcych dworów.

Paryż 9 grudnia 1880 r.

Stanisław Lukas.

J. W. Goethe. Faust. Część I i II. Przekład Feliksa Jezierskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala. 1880, str. 412.

Jedna z naszych wad może najwybitniejszych, brak wytrwałości, zapisała się bardzo wyraźnie i na kartach literatury naszéj. Ileż-to było potrzeba czasu i ilu ludzi, ażeby otrzymać w całości przyswojoną twórczość dramatyczną Szekspira, a i tak nie możemy jeszcze powiedziéć, że Szekspir jest dostępny dla ogółu polskiego we wszystkiém, co napisał. Ileż-to ludzi składało się na przetłómaczenie poematów Byrona, Wiktora Hugo i innych; Schiller i Goethe ułamkowo tylko są nam znani. Wogóle biorąc, przeciętnie ukształcony ogół nasz, można powiedziéć, że wiadomość o arcydziełach literatury powszechnéj czerpie z podręczników raczéj i drobnych kawałków dzieł wielkich, aniżeli z samoistnego wczytania się w te dzieła; stąd téż znajomość ich jest zupełnie powierzchowna, co właśnie umożliwia u nas najdziwaczniejsze sądy nawet o utworach pierwszorzędnych.

Dziwić się temu niepodobna; boć chyba za rzecz dowiedzioną poczytywać trzeba pogląd, iż ogół zapoznać się może naprawdę z dziełami ducha obcego wtedy, gdy ten duch przemówi językiem dla ogółu zrozumiałym. Nie znaczy to bynajmniéj, jakoby czytanie w oryginale dzieł Greków, Rzymian, Anglików, Niemców nie przynosiło korzyści; i owszem dla głębszego wniknięcia w te dzieła czytanie takie jest niezbędne; ale do tego potrzeba, ażeby język oryginalny był nam prawie tak dobrze znany, jak nasz własny. A iluż-to pochlubić się może taką gruntowną znajomością mowy obcéj? Oczywiście garstka nadzwyczaj szczupła. Ztąd wynika potrzeba przekła-

dów dla szerszego ogółu, ażeby go wciągnąć niejako do towarzystwa wielkich potężnych geniuszów.

Do liczby takich dzieł, które z posłuchu były znane nietylko szerszemu ogółowi, ale nawet wielu literatom, należała niewątpliwie *całość* Fausta. Pierwsza część jako dostępniejsza znalazła wprawdzie dwu tłómaczów, co ją przełożyli w całości (Alfons Walicki, Aleksander Krajewski) i wielu takich, co pojedyncze ustępy językowi naszemu przyswajali; ale część druga odstraszała wszystkich nadzwyczaj wielkiemi trudnościami i w zrozumieniu i w oddaniu po polsku pomysłów poety niemieckiego. Dopiéro p. Feliks Jezierski zdobył się na odwagę przebrnięcia przez tę puszczę alluzyj, allegoryi i symbolów i zrozumiawszy ich znaczenie wyłożyć je jasno dla ogółu polskiego.

Potrzeba było ku temu niepospolitego przygotowania. Najprzód należało poznać szczegółowo genezę i dzieje rozwoju zarówno pomysłu samego Fausta jak niemniéj całéj umysłowości Goethego, ażeby należycie zrozumiéć układ i ustosunkowanie składowych części poematu. Należało powtóre zagłębić się w dociekania filozoficzne, które stały się przedmiotem licznych napomknień mianowicie w drugiéj części Fausta, ażeby pochwycić drobne nawet subtelności w téj tkance myślowéj, któréj poetyczny kształt usiłował nadać poeta. Do prawdziwego oddania Fausta w jakimkolwiek języku nie wystarcza bynajmniéj gładki wierszopis i jasny stylista, potrzeba koniecznie myśliciela. P. Jezierski poprzedniemi pracami zarówno z zakresu literatury pięknéj, jak i filozofii dowiódł, że jest najzupełniéj uzdolniony do spełnienia tego niewątpliwie nader trudnego zadania. Jest-to pisarz umiejący najsubtelniejsze, najdelikatniejsze odcienie myśli pochwycić, zrozumiéć i odtworzyć, jest-to pisarz znający gruntownie zarówno literaturę grecką i rzymską, jak i główniejsze nowożytne, czuły przytém niezmiernie na prądy cywilizacyjne a nie zastały w raz powziętych przekonaniach. Odczucie zatém myśli i uczuć obcych przychodzi mu z łatwością.

Te właściwości umysłu tłómacza sprawiły, że dał nam przekład Fausta odwzorowujący dokładnie oryginał. Ze szczegółowego porównania tekstu z tłómaczeniem przekonałem się dowodnie, że przekład we wszystkich odcieniach myśli jest bardzo wiernem powtórzeniem Fausta, że tłómacz nigdzie się nie dopuścił dowolności, nigdzie nie pozwolił fantazyi swojéj biedz szlakami odrębnemi od dróg, któremi fantazya Goethego szybowała. Można-by twierdzenie udowodnić mnóstwem przykładów; ograniczyć się jednak muszę na jednym. Biorę do porównania ustęp, w którym wypowiada się zasadnicza myśl drugiéj części Fausta i w którym Faust przez swoje odez-

wanie się przegrywa układ z Mefistofelesem. W V-ym akcie czytamy w oryginale:

Ja! diesem Sinne bin ich ganz ergeben,
Das ist der Weisheit letzter Schluss:
Nur der verdient sich Freiheit wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss.
Und so verbringt, umrungen von Gefahr,
Hier Kindheit, Mann und Greis sein tüchtig Jahr.
Solch ein Gewimmell möcht' ich sehn,
Auf freiem Grund mit freiem Volke stehn.
Zum Augenblicke dürft' ich sagen:
„Verweile doch, du bist so schön."

P. Jezierski w przekładzie swoim nie uronił, jak mi się zdaje, ani jednego szczegółu myślowego i poetyckiego:

Tak! tego zdania gorąco ja bronię,
To — ostateczne mądrości wywody:
Ten tylko godzien życia i swobody,
Kto codzień musi gwałtem dobijać się o nie.
Tak-to wśród niebezpieczeństw, stawiąc czoło harcom
Spłyną tu lata dzieciom, mężom, starcom.
Bogdajbym kiedy zgiełk taki mógł zoczyć,
Z wolnością wolnym ludem się otoczyć.
Rzekłbym do chwili, z twarzą nieobłudną:
„Wstrzymaj się—jesteś tak piękną, tak cudną!"

Jednakże ustęp ten, bynajmniéj nienależący do najpiękniejszych w przekładzie, ma pewne usterki pod względem zewnętrznym. Z punktu widzenia tych krytyków, co szukają przedewszystkiém gładkości wiersza, jest on nawet nagannym; gdyż tłómacz mało zważał na jednorodność miary wierszowéj: w oryginale idą, regularnie naprzemian po sobie wierne jedenastozgłoskowe żeńskie i ośmiozgłoskowe męskie; tłómacz używa stale 11 zgłoskowych żeńskich ale przeplata je takiemiż 13-zgłoskowemi. Nie myślę bronić takiéj nieuwagi co do formy zewnętrznéj, ale ze względu na wierność w oddaniu treści uważam ją za wadę podrzędną.

P. Jezierski jest stylistą wykwintnym, nie lubiącym łatwych rymów, unikającym powszednich, pospolitych wyrażeń. Wogóle biorąc, to usposobienie tłómacza wychodzi na dobre tłómaczeniu, ale gdy się połączy z zamiłowaniem do tworzenia nowych wyrazów i zwrotów, wówczas tworzy ustępy niepoprawne a czasami nawet przyciemne. Kształty *zamglawne*, tony *niemowle*, *oblew* potu, *sknerczo* żałować i tym podobne wyrażenia rażą cokolwiek czytelnika i przeszkadzają mu poddać się całkowicie czarowi słów poety. Najmniéj

udatne ustępy w przekładzie są części liryczne, szczęściem że ich liczba nie jest bardzo wielka. Piosnka przy kołowrotku, modlitwa przed obrazem Matki Boskiéj, śpiewy Linceusza są-to rzeczy, któreby wymagały albo większéj prostoty albo téż większéj ruchliwości fantazyi. Ballada téż o królu w Tule nie znalazła dotychczas szczęśliwego u nas tłómacza; z kilku znanych mi przekładów jéj żaden zadowolnić nie może wymagań estetycznych. I p. Jezierski nie dosięgnął doskonałości; brak jego tłómaczeniu swobody, wdzięku, potoczystości, cechujących utwór ten w oryginale.

Był król w tulijskiém pomorzu,
Wierność do grobu w nim trwała,
Temu na śmiertelném łożu
Luba złoty puhar dała.

Już w téj pierwszéj zwrotce ciągła zmiana konstrukcyi i niezbyt udatne umieszczenie słów „na śmiertelném łożu“ mogących gramatycznie należéć albo do króla albo do lubéj, źle się zapowiada całość; a chociaż są daléj dwie zwrotki dobre, to koniec znowu ma téż same wady co i początek.

Są-to jednak usterki małe w porównaniu z zadawalniająco wykonaną całością; a gdy się pomyśli o wielkich trudnościach i o samym ogromie przedsięwzięcia, niewątpliwie uznać powinniśmy prawdziwą zasługę tłómacza, który pracą swoją wytrwałą uprzystępnił dla ogółu studyowanie jednego z pierwszorzędnych utworów literatury europejskiéj. Odtąd może się stać rzeczą obowiązkową dla każdego średnio-ukształconego zapoznanie z całością Fausta. Wstęp, opowiadający dzieje powstania poematu i tłómaczący myśl zasadniczą, tudzież objaśnienia do obu części dodane przez tłómacza są tego rodzaju, że mogą czytanie i rozumienie poematu w znacznym stopniu ułatwić.

= **O porfirze w Królestwie Polskiém** przez *d-ra Jana Trejdosiewicza*, 1880. Jest-to odbitka ze sprawozdania komisyi fizyograficznéj Akademii Umiejętności w Krakowie. Przedmiotem téj rozprawki jest bliższe określenie miejscowości, w któréj jedyna skała wybuchowa porfir występuje u nas, oraz ściślejsze odróżnienie samego porfiru. Autor, na zasadzie wszechstronnego zbadania miejscowości, skały oraz krytycznego porównania podań Pusch'a, Roemera, Cotty i Hempla, dowodnie wykazuje, że pierwszym, który zwrócił uwagę na występowanie u nas porfiru był Pusch, że odkrycie, dokładny opis i ścisłe wskazanie miejscowości występowania porfiru kwarcowo-

felzytowego, jest zasługą Roemera, którego jednak podanie jest nieścisłe, gdyż niepodobna było odszukać kopuły porfirowéj przez niego wzmiankowanéj, lecz tylko pojedyńcze odłamki po piasku rozrzucone i że wreszcie p. Hempel niesłusznie przypisuje sobie zaszczyt odkrycia porfiru, gdyż popierwsze punkt przez niego wskazany nie jest miejscowością występowania porfiru oznaczoną przez Roemera, a powtóre, to co uważał za porfir, okazało się po bliższém zbadaniu piaskowcem kwarcowym ze skupieniami różnobarwnego jaspisu.

= **Bibliografii polskiéj XIX stulecia** przez dra *Karola Estreichera* wyszedł początek tomu szóstego, obejmującego dopełnienia do pięciu poprzednich tomów. Dopełnienia te, jak się przekonywamy, będą nadzwyczaj liczne zwłaszcza przy początkowych literach. *Bibliografia* p. Estreichera zaczęła wychodzić pod koniec roku 1869 a ukończoną została dopiéro w roku zeszłym; dwanaście lat się ciągnąc, nie mogła oczywiście zawrzéć spisu książek najnowszych wedle jednakowéj miary chronologicznéj. Wielce mianowicie niepełne są litery A—H, gdyż same ich *dopełnienia* obejmują ni mniéj ni więcéj tylko stronic blisko 300 we dwie szpalty każda, tj. *połowę* niemal tego, co zawierał spis pierwotny wydrukowany w r. 1869—72. Dopełnienia te, tak nadspodziewanie obfite, dowodzą z jednéj strony, jak trudno u nas ułożyć dokładną bibliografią, a z drugiéj, jak szybko wzrosła liczba druków w przeciągu ostatniego dziesięciolecia. Bibliograf nasz nigdzie dotąd nie wskazał granicy chronologicznéj, po za którą dzieło jego nie przejdzie; okazuje się jednak coraz jawniéj potrzeba takiéj granicy; sądzimy, że najlepiéj byłoby zatrzymać się na 1880 i dopełnienia obecnie wychodzące tylko po tę datę doprowadzić, następnie zaś co lat pięć lub dziesięć podawać już całkiem nowe spisy. Niejednokrotnie téż prasa wypowiadała życzenie, ażeby p. Estreicher wydał spis książek polskich wieku XIX w porządku chronologicznym, naturalnie sposobem skróconym tylko z powoływaniem się na spis abecadłowy, który już nam dał. Taki spis chronologiczny jest może ważniejszy od spisu abecadłowego; wykazywałby bowiem naocznie stan druków w pewnym przeciągu czasu i dla historyka literatury byłby nieocenioną pomocą; dziś historyk literatury musi sam z wielkim mozołem z abecadłowego spisu p. Estreichera układać sobie tablice chronologiczne. Na początku tego szóstego tomu dodane są karty tytułowe tomu V tudzież dwie przedmowy: polska i niemiecka. W przedmowie polskiéj ciekawe są bardzo cyfry szczegółowe wykazujące zasób książek polskich od drugiéj połowy XV do końca XVIII st. Cyfry te są o wiele dokładniejsze od dawniéj przez p. Estreichera podawanych. I tak jeszcze w r. 1875 obliczał on ilość druków z XV—XVI w. na 7250, obecnie

wykazuje ich 7455 (a zatém o 205 więcéj); z wieku XVII wymienia 21.474, z XVIII podaje 35944; jeżeli zaś dodamy druki bez daty w tych wiekach wyszłe, to otrzymamy sumę 73154 druków wyszłych do końca wieku XVIII: pan Estreicher przypuszcza, że z jakie 10.000 druków nie doszło do jego wiadomości. Z tejże przedmowy dowiadujemy się, że niebawem ma się zacząć druk „regestru chronologicznego do stuleci XV—XVIII, obrobionego przez p. Achillesa Brzezę według rękopismu p. Estreichera. W przedmowie niemieckiéj podnosi autor znaczenie spisu bibliograficznego wobec cudzoziemców jako danych pozytywnych, którym zaprzeczyć niepodobna. „Podczas gdy inne literatury—powiada—jako to: rosyjska, czeska, węgierska, duńska itp. jakkolwiek o wiele mniéj bogate niż polska posiadają już swoje bibliografie, tak że zapas ich drukowanych książek mógł być w cyfry ujęty, my Polacy zaczynaliśmy tę pracę Syzyfową ciągle od początku a nigdy nie mieliśmy cierpliwości do końca ją doprowadzić. Tak więc żyliśmy bez rachunku, a gdzie nie ma rachunku tam nie może być znajomości rzeczy. Ztąd wynikło, że literaturze naszéj, która idzie zaraz po niemieckiéj, francuskiéj, angielskiéj, włoskiéj i hiszpańskiéj, wyznaczono miejsce na szarym końcu, nawet daleko poza rosyjską i czeską.“ W dalszym ciągu przedstawiwszy ogólnie zasób druków polskich i porównawszy je z innemi słowiańskiemi, dodaje: „Nie chwaląc się, możemy twierdzić napewno, że co do ilości prac umysłowych przewyższyliśmy wszystkich Słowian razem wziętych. A to tém większą dla nas jest chlubą, ile że naród nasz, choć od lat stu samoistności nie ma i postradał możność używania języka swego w szkole, sądzie i urzędach, mimo to bez niczyjéj pomocy, sam sobie pozostawiony, z siebie samego czerpie siłę i wykształcenie wbrew wszystkim nieprzyjaznym okolicznościom.“ P. Estreicher nie zamyka bynajmniéj oczu na wzrost literatury rosyjskiéj i przyznaje, że w ostatniéj ćwierci wieku wzmaga się silnie i przewyższa liczebnie literaturę polską, co ze względu na cyfrę ludności i stosunki polityczne jest rzeczą bardzo naturalną.

= Zupełne wydanie **Dzieł** *Aleksandra hr. Fredry*, drukowane w Krakowie, wyszło w 13 tomach. Oprócz pięciu tomów komedyj dawniéj znanych i rozpowszechnionych w taniéj edycyi Gebethnera i Wolfa, (r. 1871) znajdujemy tu nowych pięć tomów komedyj, jeden tom prozy i dwa tomy poezyi mięszanych. Sztuki dramatyczne po śmierci dopiéro ogłoszone i przedstawione na scenie krakowskiéj a po części i warszawskiéj, są następne: *Co tu kłopotu*! (w 4 aktach, wierszem), *Dwie blizny* (w 1 akcie, prozą). *Koncert* (intermezzo w jednéj scenie), *Rymond* (opera w 3 aktach, wierszem), *Obrona Olsztyna* (obraz dramatyczny); *Wielki człowiek do małych interesów* (w 5 aktach,

prozą), *Ożenić się nie mogę* (w 3 aktach, prozą), *Pan Benet* (w 1 akcie, wierszem), *Lita et Compagnie* (w 1 akcie prozą); *Wychowanka* (w 5 aktach, wierszem), *Ostatnia wola* (w 3 aktach, prozą), *Jestem zabójcą* (w 1 akcie prozą); *Godzien litości* (w 3 aktach, prozą), *Dyliżans* (w 4 aktach, prozą); *Z jakim się wdajesz, takim się stajesz*, (przysłowie w jednym akcie); *Rewolwer* (w 5 aktach, wierszem), *Teraz* (szkic dramatyczny w 1 akcie), *Świeczka zgasła* (jedna scena), *Brylan-Bryś* (dramatyczna bajęda w 4 aktach, wierszem). Wymieniłem te utwory w takim porządku, w jakim one następują w druku, a zrobiłem to głównie dla tego, żeby pokazać, iż w szeregowaniu prac Fredry nie trzymano się żadnego ładu, ani chronologicznego, ani formalnego, umieszczano 5 i 4 aktowe sztuki obok jednoaktówek i scen pojedyńczych, utwory prozą przeplatano utworami wierszowanemi, idąc zapewne za znaną maksymą: rozmaitość bawi. Wskazówek chronologicznych, któreby nas pouczyły, kiedy jaki utwór powstał, mamy tu *dwie* tylko: jedna z nich powiada, że *Dyliżans* grany był po raz pierwszy na scenie lwowskiéj w roku 1827, druga zaś, że *Ostatnia wola* pochodzi z roku 1867. Oto jedyne informacye, jakie co do czasu powstania 19 utworów podano; czy nie było można podać, czy też zaniedbano tak cennych dla historyka literatury wiadomości?... Tom jedenasty mieści w sobie: *Trzy po trzy* (tj. pamiętniki autora) i *Zapiski Starucha* (tj. zbiór 823 maksym lub przysłów, humorystyczny spis *chorób chronicznych* i *nowych herbów*). Tom dwunasty i trzynasty obejmuje poezye, podzielone na *mieszane*, *ballady*, *bajędy*, *ulotne*, *satyry* i *epigramata*. W końcu dodany jest *Dziennik wygnańca* prozą pisany. Co do wydania samego, to należy przyznać, że portret jest wykonany bardzo starannie, że papier jest doskonały, druk niezły, ale zarazem dodać, że korekta niemało pozostawia do życzenia. Cena zaś (2 ruble za tom niewielki) jest, jak na nasze stosunki, niezmiernie wysoka i dla szerszego ogółu niedostępna. Bądźcobądź możliwém staje się obecnie studyum wyczerpujące nad literacką działalnością Fredry, który może już teraz na spokojniejszy i wytrawniejszy sąd liczyć, aniżeli dawniéj, kiedy go albo zanadto lekceważono, albo téż zbyt apoteozowano.

— **Dzieł Lucyana Siemieńskiego** (w wydaniu zbiorowém podjętém przez firmę J. Ungra) wyszedł tom pierwszy, zawierający *Varia z literatury, historyi, archeologii i przyrody*. Mamy tu 12 artykułów, pisanych przez Siemieńskiego po większéj części w ostatnich latach życia, a drukowanych w różnych czasopismach warszawskich i krakowskich. Zapewne wzgląd na poczytność wydawnictwa skłonił komitet redakcyjny do takiego rozpoczęcia od końca; z małym bowiem wyjątkiem, są-to wogóle rzeczy dostępne dla każdego średnio-

wykształconego, pisane bardzo wytwornie i zajmująco; znajdzie się tu poetyczno przyrodnicza rozprawka *o róży*, *o słowiku*, znajdzie się zajmujący traktacik o *księżycu w archeologii*, *poezyi*, *sztuce*: dowie się coś czytelnik o dzwonach wogóle a dzwonie Zygmuntowskim po szczególe, o ogrodach w historyi i poezyi, o kantyczkach, o piórze i pisaniu, o kobiernictwie i potopie Zygmunta Augusta, o niektórych sławnych pisarzach zapisanych w różnego rodzaju przyjacielskich albumach. Wydanie, opatrzone portretem, nie jest wykwintne pod względem papieru, ale staranne pod względem korekty (zwrócimy tylko uwagę na błąd str. 25, gdzie czytamy Filomena podczas gdy na str. 36 jest Filomela, jak istotnie być powinno). Nie zbyt właściwy wydaje się nam ton a raczéj nastrój przedmowy, która na wzór prospektu stara się wystawić Siemieńskiego jako zbiór doskonałości w stopniu najwyższym. Zdawałoby się nam, że czas już przemawiać do ogółu w sposób krytyczny, nie lękając się, ażeby ogół ten miał się zniechęcić do popierania wydawnictwa, które mieszcząc w sobie ogół prac pewnego pisarza, a nie wybór tylko, musi objąć i nieudatne utwory. Jedna jeszcze prośba do redakcyi tego zbiorowego wydania. Oznaczanie daty pod każdym utworem nie zajęłoby dużo miejsca i nie zadałoby zbyt wiele trudu komitetowi, a wygodziłoby wielu uważnym czytelnikom, którzy chcąc ustalić chronologią pism Siemieńskiego, musieliby na nowo podejmować tęż samę pracę zbierania rozproszonych artykułów, jaką komitet redakcyjny obecnie podejmuje, przygotowując je do druku.

— **Język assyryjski w rodzinie języków semickich.** Studyum historyczno-lingwistyczne *J. Radlińskiego* (Warszawa, 1880, str. 59). Mając zamiar przedstawić stanowisko języka asyryjskiego w rodzinie języków semickich, autor przedewszystkiém, nakreśliwszy szkicowo przebieg badań assyryologicznych, zajmuje się kwestyą różnicy języków semickich od aryjskich, dziejami rozwoju i wzajemnym stosunkiem języków składających rodzinę semicką. W tym celu, wziąwszy za podstawę dzieło Ernesta Renana (*Histoire générale et système comparé des langues sémitiques*), jak to sam zaznacza (str. 5 i 30), posługując się niejednokrotnie własnemi jego słowami, dopełnia wiadomości, z dzieła tego zaczerpnięte, innemi nowszemi i określa tym sposobem zarówno cechy wspólne wszystkim językom semickim jak i historyą ich rozwoju w 3 peryodach: hebrajskim, aramejskim i arabskim. Renan nie zgadza się na zaliczenie języka assyryjskiego do rodziny języków semickich; ale inni oryentaliści dostateczne podali dowody, ażeby to mniemanie Renana ostać się mogło. P. Radliński przyjmuje to jako fakt i stara się, za pośrednictwem przedstawienia gramatyki assyryjskiéj w głównych zarysach, wykazać prawdziwość

orzeczenia Sayce'a, profesora w Oxfordzie, iż język ten zajmuje w rodzinie języków semickich stanowisko odpowiednie temu, jakie sanskrytowi przyznano w rodzinie języków aryjskich. W końcu autor opierając się na istnieniu różnorodnych pomników piśmiennych w języku asyryjskim, przychodzi do wniosku, będącego ostatecznym rezultatem całéj jego pracy, że w rozwoju dziejowym ludów, stanowiących jednę rodzinę semicką, była epoka, w któréj język asyryjski służył za główny organ myśli Semitów, jakiemi następnie stawały się po kolei późniejsze języki semickie. Tak więc do trzech peryodów rozwoju, wystawionych przez Renana, dodaje autor jeden jeszcze, windykując dla niego miejsce naczelne; porządek więc, w którym rozwijały się główne języki semickie, byłby taki: najprzód ukształcił się i w piśmiennictwie się zaznaczył język asyryjski, potém hebrajski, następnie aramejski, w końcu arabski. Taka jest najogólniejsza treść rozprawki p. Radlińskiego; w szczegółach, których tu nie dotykałem nawet, mogą być błędy; ale rezultat ostateczny zdaje się być zupełnie zgodny z wynikami badań najnowszych. Co do opracowania zrobiłbym jedną uwagę: czy zamiast wplatania całéj osnowy w polemikę z Renanem, nie było lepiéj wyłożyć wprost od siebie zapatrywań swoich i poglądów. Polemika słuszną jest wtedy, gdy jakieś poglądy w danéj literaturze silnie się przyjęły, tak, że chcąc dać nowe zapatrywanie, potrzeba najprzód zatrzéć w pamięci dawniejsze. Co do teoryi Renana, okoliczność ta wcale nie istniała.

= **Poradnik dla osób, wybierających książki dla dzieci i młodzieży**; ułożył *Jan Karłowicz* (szósty tom *Wydawnictw E. Orzeszkowéj i S-ki*. Wilno, 1881, str. 88). Jest-to katalog systematycznie ułożony, zawierający tytuły 547 książek, map, rysunków, zabawek nauczających, wraz z króciutką oceną ich wartości albo równie lakoniczną charakterystyką ich treści. Poradnik dzieli się na dwie główne części: pierwsza zawiera „Książki bawiące i bawiąco-nauczające," druga zaś „Podręczniki dla młodzieży." Pierwsza część, obszerniejsza, zawiera spis krytyczny książek, uszeregowanych w 6 kategoryj: 1) Książki dla dzieci najmniejszych, nie umiejących czytać, przeznaczone do odczytywania ich dzieciom na głos przez starszych; 2) Abecadła i elementarze; 3) Książki dla dzieci, które świeżo czytać się nauczyły; 4) Książki dla dzieci średnio rozwiniętych mniéj więcéj od lat 7 do 10, podzielone na *bawiące* i *nauczające*; 5) Książki dla dzieci starszych mniéj więcéj od lat 10, również podzielone na bawiące i nauczające tudzież komedyjki dla teatrzyków dziecinnych; 6) Zbioropisma i czasopisma dla dzieci i młodzieży. Część druga nie jest tak wyczerpująca jak pierwsza; autor podaje tylko te podręczniki, które zdaniem kompetentnych do najlepszych należą; rzeczy polskie są tu

najobszerniéj uwzględnione; daléj idą podręczniki do nauki religii, dziejów powszechnych, przyrodoznawstwa, matematyki, geografii, języków klasycznych i nowożytnych, rysunków i muzyki. Przy każdéj prawie książce podane są miejsce i rok wydania, objętość i cena w monecie urzędowéj. Niewątpliwą jest rzeczą, że *Poradnik* p. Karłowicza, który zamierza za rok dać nową jego edycyą, okaże niemałą przysługę wychowawcom, nieraz biedzącym się nad wyborem książek dla dzieci.

= **Władysław Syrokomla**, studyum literackie przez *W. Z. Kościałkowską* (siódmy tomik *Wydawnictw E. Orzeszkowéj i S-ki*, Wilno, 1881, str. 48). Autorka, znana już z kilku nowel i rozpraw literackich, nie zamierzyła sobie bynajmniéj oceniać twórczość poety wogóle, co zresztą dokonali już przed nią Kraszewski, Tyszyński, Spasowicz; chciała jedynie odtworzyć niektóre rysy uwydatniające się w *Gawędach i rymach ulotnych*, w których najwybitniéj malują się talent, wyobraźnia i serce Syrokomli. Z miłością, wielką dla pieśniarza litewskiego, autorka kreśli jego zamiłowanie do przyrody, jego szlachetne uczucia dla szarego gminu, dla chłopków, jego oburzenie na smutne objawy egoizmu, dworactwa, nadętéj głupoty, jego demokratyczne i postępowe poglądy zharmonizowane z rozumną czcią dla przeszłości. Na wiele sądów estetycznych p. K. zgodzić się trudno jak np. na zbyt pochlebną ocenę „Janka cmentarnika," ale téż wiele innych uznać należy za zupełnie trafne, a takich nawet znajdzie się więcéj. Szkicowy zarys stosunków literackich w Wilnie z czasów Syrokomli (str. 4—7), jakkolwiek nie wyzyskany w studyum, daléj charakterystyka kobiét ówczesnych (str. 23 i 24) są cennemi przyczynkami do poznania chwili, w któréj lirnik litewski na swéj lirze śpiewnéj „z czarodziejskiego drewna" uczucia swe i myśli wypowiadał.

= **Wybór pism** *Pawła Heysego*. Pomimo, iż i pisma peryodyczne i scena zaznajamiały publiczność ze spółczesnym poetą niemieckim Pawłem Heysem; twórczość jego nie jest szerszemu ogółowi tak znana, jakby na to zasługiwała. Lat już trzydzieści pracuje on na polu poezyi epicznéj, nowelli i dramatu i zasłużył na ten rozgłos, jakim cieszy się w całych Niemczech. Najsilniejszą jego stroną jest delikatnie, silnie rozwinięte poczucie piękna w formie, stąd utwory jego zarówno pod względem kompozycyi ogólnéj jak pod względem stylu prozaicznego i poetyckiego są w wysokim stopniu wykończone. Jest on artystą-wirtuozem w szlachetném słowa tego znaczeniu. Przytém dużo uczucia rzewnego wielce nadaje, jego nowellom zwłaszcza, urok nieprzeparty. Zbiorek powyższy zawiera tragedyą *Sabinki*, graną na naszéj scenie, w przekładzie p. Kazimierza Kaszewskiego, sześć no-

welli prozą (*Samotnia*, *Odrodzenie*, *Annina*, *Wdówka z Pizy*, *Węgierska hrabina*, *Męczennik wyobraźni*), i jednę nowellę pisaną oktawami a przełożoną przez p. Maryą Konopnicką p. n. *Dziecię wieszczek*, gdzie zjadliwa satyra i tkliwa serdeczność w dziwnie piękněj przeplatają się harmonii.

= **Komedya ludzka** przez *Honoryusza Balzaca*. Pod takim tytułem, który wielki twórca romansu realistycznego nadał dziełom swoim, wychodzi w Warszawie wybór najznakomitszych powieści jego w starannych pod względem stylowym i językowym przekładach. Utwory wzięte do tłómaczenia wychodzą w takim porządku, w jakim je sam Balzac pod koniec zawodu swego uszeregował. Pierwsze, jak wiadomo, miejsce w szeregu tym zajmują „Sceny z życia prywatnego.“ Z kilkunastu mniejszych i większych utworów należących do těj grupy wybrano dwa tylko istotnie wielce charakterystyczne tj. *Kobiěta trzydziestoletnia* i *Gobseck* (w przekładzie p. Waleryi Marrené). Drugie miejsce w wielkiěj „komedyi ludzkiěj“ Balzaca zajmują „Sceny z życia prowincyonalnego.“ Z dziewięciu utworów tu należących wzięto do tłómaczenia również dwa tylko, uznane przez krytykę za arcydzieła: *Eugienia Grandet* i *Gabinet starożytności* (w przekładzie p. Maryi Trzcińskiěj). Te cztery utwory wypełniają w polskiěm tłómaczeniu dwa tomy. Dodać należy, że wydawnictwo ciągnie się w dalszym ciągu bez przerwy. O wartości jego nie trzeba się rozpisywać; same utwory są pod tym względem rekomendacyą dostateczną.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rozprawa między klientem i adwokatem.—Qui pro quo dziennika „Poriadok" o służebnościach.—Preliminarz budżetu rosyjskiego na rok bieżący.—Fundusz kolei żelaznych. — Lichwa i środki do jéj zwalczenia. — O otwieraniu zakładów naukowych prywatnych na Litwie. — Wieść o absenteizmie wołyńskim. — „Przegląd bibliograficzno-archeologiczny" — „Muzeum" Wspomnienie o ks. F. K. Malinowskim.

Zdarza się nieraz, że dyskusyą prowadzą strony w takich warunkach, że jedna z nich nie może wypowiedziéć wyraźnie swych potrzeb i życzeń, druga tych potrzeb nie rozumie i o poznanie ich nie stara się; spór wtedy przypomina taniec „w mijanego", wlecze się ospale, urywa, nawiązuje znowu, a zawsze bez skutku praktycznego, niby leniwa struga mętnéj wody, co daremnie szuka ujścia z zaklęśniętego torfowiska. Bywa téż czasem, że w spór podobny wdaje się człek energiczniejszego charakteru, świadomy położenia rzeczy, wiedzący czego chce i umiejący chciéć prawdziwie. Wtedy jasne postawienie kwestyj spornych może ożywić dyskusyą, co lubo nie koniecznie sprowadza załatwienie kwestyi, nie jest przecię bez pewnéj korzyści. Dla tego z istotném zajęciem odczytaliśmy list, pomieszczony w Nr. 15 gazety „Poriadok", w którym pan N-ski, polemizując z dziennikiem „Nowoje wremia", rozprawia o naszém położeniu i o zmianach w niém, które za pożądane lub niepotrzebne uznaje. List ten zajął nas swą treścią i sposobem wykładu, konkluzyą jednak nie zaspokoił. Kiedy autor mówi o tém, co było i jak było, kiedy wskazuje co i jak jest obecnie—łatwo się z nim zgodzić, bo przytoczone przezeń fakta są najzupełniéj prawdziwe. Inaczéj się rzecz ma jednak, gdy usiłując wynaleść drogę wyjścia z labiryntu splątanych stosunków, bierze się do kreślenia „zasad racyonalnych programu", mającego na przyszłość urządzić „normalne stosunki narodowości".

Pomiędzy różnemi sposobami szukania prawdy nieznanéj, rozwiązywania trudnych zadań, jest tak zwana eliminacya: w matematyce używa się ona do rugowania z równań ilości niewiadomych Pan N-ski zastosował tę metodę do ilości znanych i przez ludzi wysoko cenionych. Człek to postępowy, odrzucił więc stare mniemanie, że *natura horret vacuum*, i prowadząc swą eliminacyą do końca, otrzymał w rezultacie niemal próżnię Toricellego. Zdawało mu się, że jest kapitanem okrętu na pełném morzu, okrętu, do którego wciska się woda, że nawa blizką jest zatonięcia: daléjże więc wyrzucać za burtę cały ładunek towarów, zatapiać zapasy żywności, bez których załoga istniéć by długo nie mogła. W rosnącym zapale ulżenia statkowi mniemanego ciężaru, wrzuca wreszcie do wody pugilares z wekslami, płatnemi w blizkiéj może przyszłości. Eliminacya pana N-skiego załatwia się bez długich korowodów z bytem politycznym, z granicami etnograficznemi, z autonomią, z wolnością nawet sumienia. Autor oczywiście zdolny jest do wielkiéj abnegacyi, pod tym względem nikt mu uznania nie odmówi; wie on jednak, że na ten przymiot nie łatwo innym ludziom się zdobyć, dla ułatwienia więc im tego—motywuje swe zdania, zawsze stanowczo, nie zawsze przekonywająco. Twierdzenie np. o niemożliwości „rozwodu“ wydaje się nam przenośnią nie w porę użytą w chwili, gdy cała prasa rosyjska potrzeby rozwodu, w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, dowodzi; w ustach prawnika, a za takiego mamy słuszną zasadę uważać autora listu, w ustach prawnika zadziwia to tém więcéj, że nie może mu być tajnem jaką rolę w kwestyi trwałości związku małżeńskiego odegrywa *mutuus consensus*; nakoniec, publicyście nie wypadało może powtarzać ani Rouherowskiego „jamais“, ani papieskiego „non possumus“, wbrew którym wypadki nieraz następują swoją koleją. Gdyby autor był naszym ziomkiem, przypomnielibyśmy mu słowa, które Starowolski przy grobie Łokietka wyrzekł do Karola Gustawa, króla szwedzkiego. W obecnym wypadku stosowniéj jednak będzie poprzestać na wzmiance, że adwokat, który działa wbrew życzeniom swego klienta, naraża się na *désaveu*.

Nil desperandum. Rzecz się dzieje nie na okręcie, którym miotają rozszalałe bałwany: ludzie stoją na ziemi, z którą mocno są zrośnięci. W niéj, jak Anteusz, czerpią siły i wiarę w jutro. Ale i na oceanie śród burzy znaleźli by pono tyle jeszcze w sobie otuchy, że aby ich skłonić do wyrzucenia za burtę części ładunku, trzebaby im coś dotykalniejszego ofiarować, aniżeli nieokreślone obietnice na nieokreśloną przyszłość odkładane.

Taż sama gazeta w N-rze 20 zgotowała nam nową niespodziankę. Kiedy skrępowana okolicznościami miejscowemi „Zaria“ kijow-

ska umie się podnieść do wyższego stanowiska i racyonalnie oceniać skutki, wypływające z rozmaitych ścieśnień jak np. prawo grudniowe 1865 roku, petersburski „Poriadok“ oświadczając się przeciw zniesieniu służebności wiejskich w Królestwie, zdradza swą nieświadomość, czy lękliwość, czy też niechęć. Dziennik ten z całą powagą wygłasza zdanie, że zniesienie serwitutów nie jest sprawą narodowości—co jest słusznèm,—lecz sprawą między dwoma klasami społecznemi — w czém się cokolwiek myli, gdyż to jest kwestya przedewszystkiém ekonomiczna, związana ściśle z postępem produkcyi rolniczéj i ogólnym dobrobytem kraju. „Poriadok“ za godło swoje wybrał *porządek* rozumie się, porządek legalny, który przecież we wszystkich sferach życia społecznego, a więc i w ekonomicznéj, zarówno jest pożądanym. Ciągle powtarzające się nieurodzaje, upadek gospodarstw wiejskich nie mogą być dla nikogo tajemnicą, a że służebności są fatalnym hamulcem dla rozwoju rolnictwa — o tém przecież i „Poriadok“ chyba wątpić nie może. Przypuścić więc wypada, że dziennik petersburski, słysząc o projekcie zniesienia służebności, rozumiał przez to proste ich skasowanie jednym pociągiem pióra. Jeżeli to przypuszczenie słuszne, to „Poriadok“ dopuścił się grubego błędu, że tak powiemy, geograficznego. Społeczeństwo nasze w wyobrażeniach swoich prawnych stoi na gruncie obowiązującego kodeksu cywilnego: „*do ut des*“ stanowi u nas zasadniczą formułę stosunków między ludźmi, formuła ta jest dogmatem wszystkich uczciwych ludzi, i nikomu w Królestwie nie przychodziło jeszcze do głowy, aby służebności mogły być zniesione bez sprawiedliwego wynagrodzenia. Przez *zniesienie służebności* myśmy tu zawsze rozumieli nie co innego, tylko obowiązkową ich zamianę na żądanie jednéj ze stron, według stopy wynagrodzenia ustanowionéj przez prawo, i rozstrzyganie wszelkich sporów o służebności przez władzę sądowniczą. Po tém wyjaśnieniu, mamy nadzieję, że gazety „Poriadok“ w szeregu nieprzyjaciół zniesienia służebności spotykać już nie będziemy.

Preliminarz budżetu na r. b., przedstawia dość znaczne różnice w porównaniu z preliminarzem za rok ubiegły. Przypuszczamy że zapoznanie z niemi czytelników, bodaj w najogólniejszych zarysach, nie będzie pozbawione interesu, tembardziéj żeśmy w ostatniéj kronice przytoczyli konkluzye ministra skarbu, dotyczące konieczności reform w dotychczasowém gospodarstwie finansowém państwa.

Minister zaznaczył potrzebę zmian w systemie opodatkowania a zarazem oszczędność w wydatkach, jako jedyne środki mogące zapewnić dojście do stałéj równowagi w budżetach.

Oszczędności będą chyba dziełem przyszłości, w preliminarzu na r. b. nie tylko nie widzimy zmian w tym kierunku, lecz nawet przeciwnie spostrzegamy znaczne powiększenie wydatków.

W ogólnych cyfrach preliminarz zawiera po stronie dochodowéj i wydatkowéj 717.461.609 r. Zamknięty został wszakże z deficytem, a równowaga dochodów z wydatkami osiągnięta w ten sposób że, przewyżka wydatków wynosząca 50.356.665 rub. zrównoważoną została po stronie dochodowéj zaliczeniem na przychód odpowiedniéj sumy z „funduszu kolei żelaznych".

Dochody przewidywane na rok bieżący przewyższają dochody zamierzone w r. ubiegłym o 953.557 r. wydatki zaś o 51.009 175 rub.

Różnica w dochodach powstaje z powiększenia 22 i zmniejszenia 13 pozycyj dochodowych. Przewidywanie głównego powiększenia widzimy w dochodzie z handlu, przemysłu i ceł jako skutek podniesienia opłat od świadectw handlowych, a w dochodach: stemplowym, pocztowym i z telegrafów, od biletów na drogach żelaznych, górniczym, leśnym i innych, z powodu stałego ich zwiększania się w ciągu ostatnich lat kilku.

Zmniejszenie zamierzeń po stronie dochodowéj preliminarza, nastąpiło w dochodach stałych (113,000 r.) i akcyznych: od trunków, tytoniu i cukru (4.480.000) z racyi stałego zmniejszania się tych dochodów. Wpływy na spłatę obligacyj dróg żelaznych zmniejszono o 7.385.000 rub. z racyi zmniejszenia się ruchu a więc i dochodów dróg żelaznych; zmniejszono także kilka innych pomniejszych pozycyj dochodowych.

Wydatki w porównaniu z r. zeszłym zmniejszono tylko o 134.013 r. z których największa suma przypada na etat kontroli państwa (87.136 rub.)

Główne pozycye wydatków przypadają jak zawsze na ministeryum wojny i tutaj też przewiduje się zwiększenie rozchodu na 17.048.440 r., na spłatę zaś długów państwa 21.801.183 r. Wydatki ministeryum skarbu zwiększono o 7.202.000 rub. Główniejsze szczegóły tego powiększenia są następujące: 3.400.000 rub. na dopłatę procentów drogom żelaznym mającym poręczoną przez rząd wysokość dochodu, 243.000 rub. na udzielenie zasiłków rozmaitym stowarzyszeniom akcyjnym, 694.000 rub. na dopłatę różnicy kursu przy zamianie gotowizny na marki finlandzkie, 824.000 rub. na wydatki dotyczące wycofania z obiegu staréj monety miedzianéj i t. d. Dla ministeryum spraw wewnętrznych rozchód ma być zwiększony o 956.000 rub., dla innych zaś ministeryów po kilkaset tysięcy rubli na każde z nich.

W dalsze szczegóły i wyjaśnienia wdawać się nie możemy, dodamy tylko, że powiększenie wydatków na potrzeby ministeryum wojny wypływa ze wzrostu cen zboża a zatem i kosztów na prowiant dla armii, wydatek ten wymaga 18.682.000 r. więcéj niż w r. z. Zwiększenie zaś wydatków na spłatę długów państwa powstaje z powodu przypadającéj w roku bieżącym spłaty 2 kuponu od trzeciéj pożyczki Wschodniéj (7.500.000 r.), spłaty kuponu i amortyzacyi części emitowanych w r. z. 4% obligacyj konsolidowanych (9.278.000 rub.) i zwiększenia się wydatków na spłatę pożyczek zagranicznych i kuponów od papierów metalicznych w skutek upadku kursu rubla (5.408.409 rub.), obliczono bowiem wypłaty metaliczne po 150 kop. za 1 r. metaliczny.

Jak widzimy zwiększenie wydatków nastąpiło w kategoryach najmniéj pożądanych, bardziéj produkcyjne wydatki pozostały na uboczu, niema w tém wprawdzie nic nowego, boć przecie i dotąd zajmowały one tylko miejsce podrzędne.

W preliminarzu na r. b. 60,7% ogólnych dochodów pochłania obrona państwa, t. j. armia, a także marynarka i spłata długów; 32.5% administracya w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, a zaledwie pozostałe 6.8% przypadają na takie wydatki, jak: szkoła, komunikacye lądowe i wodne, urządzenie lasów, służba zdrowia i t. d. Stosunek ten procentowy zdaje się wskazywać, że nie prędko jeszcze dojść będzie można do znacznéj w nim modyfikacyi na korzyść wydatków produkcyjnych. Jeżeli jednak sformułowane już przez Ministra finansów, a ogólnie pożądane reformy, będą istotnie przeprowadzone, może ujrzymy chwilę, w któréj deficyty budżetowe należéć będą przynajmniéj do zjawisk sporadycznych, i nie trzeba będzie zaciągać pożyczek na pokrycie corocznych deficytów, ani czerpać na ten cel z funduszów mających specyalne przeznaczenie, jak to ma miejsce w tym roku.

Dla usunięcia możliwych przypuszczeń, że zaczerpnięcie „z funduszu kolei żelaznych“ 50.356.000 rub. stanowi nową pożyczkę obciążającą skarb państwa nowém zobowiązaniem, przytoczymy kilka słów o sposobie powstania tego funduszu.

Fundusz kolei żelaznych, przeznaczony wyłącznie na budowę dróg żel. i portów, zaczął się formować w r. 1867, zaliczono doń część zrealizowanéj II-éj pożyczki loteryjnéj, i pozostałe fundusze od zrealizowania obligacyj niektórych dróg żel.; wynosił on wtedy więcéj 26 mil. r. Przelano do tego funduszu 10.623.354 r. otrzymane od Północno-Amerykańskich Stanów za terytoryum Alaski, i potém w rozmaitych czasach wcielono do tego funduszu kapitały otrzymywane ze sprzedaży obligacyj rozmaitych dróg żelaznych, które skarb prze-

chowywał u siebie, sprzedawał w razie potrzeby, a kompaniom dróg żel. awansował tymczasem potrzebne im na ulepszenia i rozszerzenia kapitały.

Widzimy więc z tego, że „fundusz kolei żel.“, jakkolwiek ma oddzielny zupełnie rachunek w budżetach, wszakże jest tylko funduszem skarbowym, przeznaczonym na cele specyalne, na które zresztą nigdy nie wystarczał, tak że skarb państwa wydatkuje corocznie na potrzeby dróg żelaznych znacznie więcéj nad to, coby się z funduszu kolejowego dało zaczerpnąć, powstające ztąd nadpłaty pokrywają się z ogólnych funduszów skarbu, do porachunku z funduszem kolejowym.

W roku bieżącym korzystając z zapasu jaki się utworzył, ze zrealizowanych obligacyj 6-éj emissyi, skarb powtórzył praktykowaną już w latach 1868 i 1869 operacyą, to jest zaczerpnął z tego funduszu 50.356.00 rub. brakujące na wydatki.

W r. 1870 skarb zwrócił funduszowi kolejowemu zaciągnięte uprzednio na ogólne potrzeby 7.420.000 rub., o ile więc i teraz rząd będzie uważał za potrzebne utrzymanie odrębności tego funduszu, o tyle zaczerpnięta z niego w tym roku suma stanowić będzie dług skarbu, nie wyrównywający wszelako ani dziesiątéj części tego co się należy funduszowi kolejowemu, respertive skarbowi od dróg żelaznych. Jeżeli jednak mamy wierzyć pogłoskom, obecny minister finansów zamierza fundusz kolejowy zlać z ogólnemi funduszami skarbu, w takim razie zwrot pożyczonych 50.000.000 rub. uskutecznionym byłby tylko drogą odpowiedniego wyrównania rachunków.

Niedawne rozporządzenie p. Generał-Gubernatora mające na celu zapobiedz wyzyskiwaniu nędzy ludzkiéj przez lichwiarzy, wywołało na nowo w pismach naszych rozmaite w tym przedmiocie opinie. Prawodawcy od czasów najdawniejszych oznaczali normę odsetków, które pozwalali pobierać przy wypożyczaniu pieniędzy; oznaczone przez siebie cyfry procentu mianowali procentem prawnym, i naznaczali kary za wyciąganie opłat wyższych, przy umowach między prywatnymi ludźmi. Nie przeszkadzało to jednak temu, że nawet w wiekach średnich, wśród największego poszanowania dla artykułów prawa kanonicznego, potępiających, na mocy przepisów biblijnych, wszelki procent, samiż panujący, autorowie i przestrzegacze prawa, płacili za pożyczane sobie pieniądze procent znacznie wyższy od określonego prawem.

Przepisy prawne stosowały się niewątpliwie do bieżącéj ceny wypożyczonych kapitałów, i zmieniały się téż znacznie z biegiem cza-

su; tak u nas Statut Wiślicki oznaczał stopę prawną na $108\frac{1}{3}$ %, w wieku XVII za króla Michała określono ją na 20%, a w końcu XVIII w. zniżono do 5%. We Francyi kodeksem Napoleona ustanowiono 5% dla umów cywilnych, i 6% w stosunkach kupieckich, przepisy te razem z kodeksem przeszły i do nas, gdzie dotychczas są obowiązujące.

Uczeni tymczasem zaczęli ściśle analizować samę naturę stosunków pożyczkowych i dochodzili do przekonania że przepisy prawa, ani najsroższe kary wymierzone za ich naruszenie, nie są w stanie zwiększyć ilości kapitału swobodnego znajdującego się w danej miejscowości, ani też zmniejszyć jego potrzebowania; a ponieważ procent płacony za wypożyczony kapitał, jest tylko ceną najmu tego kapitału, zależną od stosunku pomiędzy podażą a popytem, więc oznaczenie jego wysokości, jak i każdéj ceny, należy pozostawić swobodnéj umowie stron interesowanych. Przy końcu XVIII w. teorye naukowe zaczęły silniéj wpływać na prawodawców jakoż w Austryi Józef II a we Francyi władze rewolucyjne zniosły prawną stopę procentu. Ale z początkiem XIX w. objawiająca się reakcya przeciwko dążeniom rewolucyjnym doprowadziła do przywrócenia procentów prawnych. Dopiéro za naszych czasów rozwijający się olbrzymio przemysł, a w ślad za nim mnożące się stosunki handlowe, dowiodły oczywiście niemożności utrzymania stopy procentowéj w karbach artykułów prawa. Kiedy bowiem fabrykant mógł zarobić 50 i 100% w ciągu roku, za cóż miano mu przeszkadzać opłacać 20 i 30% za kapitały które pożyczał; kiedy wielkie banki obejść się nie mogą bez ustawicznego podwyższania lub zniżania stopy dyskonta, jakże obok téj ich czynności, regulującéj w całych krajach cenę gotówki, niepozwalać ludziom prywatnym stosowania swych interesów do téj ceny bieżącéj. Jakoż w większéj części państw Europejskich zniesiono przepisy o procencie prawnym, a w roku przeszłym i w Cesarstwie Rosyjskiém dozwolone zostały umowy dobrowolne o wysokość procentu.

Jednakże ten tryumf czystych zasad ekonomicznych nie ustrzegł bynajmniéj nędzy od wyzyskiwania, tylko wyjaśnił, określił wyraźnie samo pojęcie lichwy. Wysokość pobieranych odsetek zależeć musi od warunków ekonomicznych, urządzeń państwowych i społecznych, a wreszcie i od usposobień moralnych danego społeczeństwa, samo pobieranie 10 ani nawet 20 od sta procentów, nie da jeszcze prawa nazwać kogoś lichwiarzem. Ale lichwiarzem będzie ten: kto korzystając z potrzeby cudzéj, wymaga za udzieloną pożyczkę więcéj aniżeli w normalnych warunkach mógłby otrzymać; kto spekulując na nędzę ubogiego wydziera mu dochody przyszłości za pomoc udzieloną chwilowo na opędzenie najpierwszych potrzeb życia; albo spe-

kulując na słabość ludzką, dostarcza ludziom chociażby dostatnim, ale bezrozumnym, środków na nasycenie żądz namiętnych, wydzierając im za to wszystko co może. Otóż przeciwko tego rodzaju ludziom w najświeższych czasach probuje występować prawodawstwo, naznaczając kary za podobne finansowe operacye.

Obok tego pamiętać winniśmy, że w każdym społeczeństwie istnieją całe klasy ludzi bogatych, zamożnych, dostatnich i ubogich. W umowach zawieranych pośród trzech pierwszych klas, mamy pełne prawo przypuszczać świadomość czynów i celów i dla tego zupełna swoboda oznaczania procentów w tych wypadkach może być tylko korzystną; ale pomiędzy ludźmi ubogimi i nieoświeconymi często się zdarzać może: niezdanie sobie sprawy z następstw przyjmowanych zobowiązań, albo przyrzeczenia wygórowanéj opłaty za otrzymaną pożyczkę dane pod naciskiem zbyt trudnych a nawet niepodobnych do zwalczenia okoliczności, jak choroba, bezrobocie, nieurodzaj i inne tym podobne od woli ludzkiéj niezależne wypadki. Tutaj więc opieka prawa może być usprawiedliwioną, a czasami nawet skuteczną, prawodawca jednak powinien postępować bardzo oględnie, ażeby zamiast przyniesienia pomocy nie wyrządził szkody.

I u nas lichwiarstwo dowiedzione karane jest kryminalnie, ale dowody są zbyt trudne ażeby postrach kary miał być skutecznym. Lichwiarz doskonale potrafi ukryć swoje operacye, zachowując wymagane przez prawo formalności, a sam dłużnik pomagać mu w tém będzie, bo w ostatecznej potrzebie woli płacić wysokie odsetki, niż zupełnie nie dostać pożyczki. U nas zewsząd słychać narzekania na lichwę, nawet właściciele większych posiadłości ziemskich uskarżają się na nią, włościanie wszędzie prawie popadają w jej jarzmo, zapanowała téż ona nad drobnym przemysłem. Nowo wydane rozporządzenie ma na celu przyjść z pomocą najbiedniejszéj części ludności m. Warszawy, i wyrwać ją z rąk lichwiarzy dających pożyczki na fanty.

Z polecenia władzy wyższéj policya do 1 (13) lipca r. b. ma zamknąć wszystkie składy lichwiarzy i zwrócić właścicielom zastawione przedmioty.

Jak widzimy rozporządzenie powyższe pragnie radykalnie przeciąć kwestyą lichwy, wszakże pomimo tych niewątpliwych cech stanowczości i najszczerszej chęci, nie możemy z naszej strony uwierzyć w praktyczność tego środka.

Przedewszystkiém nieumiemy sobie wyobrazić, w jaki sposób da się uskutecznić odebranie zastawionych fantów, te bowiem które znajdują się w ręku lichwiarzy bez odpowiednich dowodów piśmiennych, uchodzić będą za ich wyłączną własność. Zachodzi przytém

pytanie: jeżeli do 1 (13) Lipca pieniądze wzięte na zastaw fantu nie będą wypłacone, czy policyja będzie obowiązana zwrócić fant dłużnikowi, i czy kredytor nie będzie miał wtedy prawa poszukiwać sądownie straty swojéj na policyi, która go zastawu pozbawiła.

Nareszcie samo wynalezienie lichwiarzy nie może być rzeczą łatwą, témbardziej że na pomoc poszkodowanych liczyć prawie nie można, gdyż oni z obawy stracenia tej, acz rozpaczliwej, niemniéj doraźnej deski zbawienia, z pomocą spieszyć policyi nie będą. Nawet przypuszczenie, że wszystkie nasze przewidywania nie ostoją się w obec czujności, powagi i siły policyi i że lichwiarze dadzą się ująć, nie może nas przychylnie usposobić do zamierzonego środka, nie dla tego żebyśmy mieli stawać w obronie lichwiarzy—bynajmniéj; tylko zdaje nam się, że pomyślny w danym razie rezultat starań władzy, będzie chyba bodźcem dla lichwiarzy dla wynalezienia innych mniéj widocznych sposobów obejścia prawa. Taką drogą istnienie lichwy usunąć się nie da, nietylko dla tego, że zawsze znajdą się amatorowie do wyzyskiwania cudzej biedy, ale głównie dla tego, iż *biéda* istnieje, a dopóki inne uprawnione źródła kredytu nie będą dla niéj dostępne, dopóty musi ona zwracać się do lichwiarzy, których chociaż zna jako łupieżców, lecz bez nich obejść się nie może. Dopóki lombard miejski jest niezasobny w fundusze, dopóki jawnie prowadzone prywatne tego rodzaju zakłady powstawać nie będą, dopóki kasy pożyczkowe będą dla nas ideałem, dozwolonym wprawdzie w zasadzie, lecz ostawionym taką massą formalności, że zakładanie ich natrafia na ogromne przeszkody, dopóty wszystkie środki policyjne okażą się bezskutecznemi.

Tylko poparcie rządu w zakładaniu stowarzyszeń i kas zaliczkowych (udzielenie im pod formą pożyczki pewnéj części kapitału zakładowego) może wpłynąć na powstanie takich instytucyj, jedynie zdolnych do skutecznéj walki z lichwą. My zaś instytucyi tego rodzaju prawie nie mamy, a kilka istniejących nie może mieć donioślejszego znaczenia. W Galicyi np. uchwalił sejm prawo o lichwie, zagrażające karą nie za wysoki procent, ale za krzywdę ludzką, ukrytą pod umową pożyczkową; pomimo to jednak społeczeństwo nie ustaje tam w czynnéj walce przeciwko téj pladze, i mnożą się tam ciągle stowarzyszenia pożyczkowe. Pierwszą tego rodzaju instytucyą było tam powstałe w r. 1860 stowarzyszenie wzajemnéj pomocy mieszczan rękodzielników we Lwowie. Dzisiaj po upływie 20 lat, Galicya posiada 125 rozmaitego rodzaju spółek, stowarzyszeń gospodarczych i zarobkowych. Z tej liczby czynnych było 107 — z końcem roku 1879 liczyły one 44,387 członków. Udziały ich wynosiły 2,499,322 złr., kapitały obce lokowane lub pożyczane spółkom przedstawiały sumę

5,636,526 złr. Ogólny ruch kasowy wynosił 57,988,419 złr., a czysty zysk stanowił 9.11% własnego kapitału członków.

Nie prędko uda nam się pochwalić podobnemi rezultatami, tém bardziéj że inicyjatorowie natrafiają na trudności nawet do zrozumienia niełatwe. Wiemy np. o fakcie, jaki miał miejsce w r. z. w Warszawie. Jeden z mieszkańców miasta zamierzył otworzyć prywatną kasę zaliczkową na zasadach dla instytucyj tego rodzaju już przez rząd ogłoszonych. Zgromadził fundusze, wystąpił do władzy właściwej o zatwierdzenie ustawy, uzyskał je i chodziło już tylko o otrzymanie świadectwa na samo otworzenie instytucyi, gdy niewiadomość kto ma wydać takie świadectwo wstrzymała cały bieg sprawy. W zasadniczych przepisach jest mowa tylko o Petersburgu i Moskwie, dla innych miast urząd obowiązany wydać świadectwo nie został wskazany, ztąd wątpliwość, której nie zdecydowano dotąd i naturalnie kassa zaliczkowa nie funkcyonuje.

Otóż dopóki nawet tego rodzaju przeszkody wstrzymywać będą powstawanie instytucyj mogących przyjść z pomocą szukającym ratunku u lichwiarzy, dopóty rozporządzenie władz administracyjnych, dążące do przecięcia lichwy za jednem pociągnięciem pióra, muszą pozostać martwą literą.

Słyszeliśmy że w Styczniu r. b. p. Minister oświecenia rozstrzygnął kwestyą: o dozwoleniu osobom pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego zakładania szkół i pensyj prywatnych w obrębie Wileńskiego okręgu naukowego. Kwestya ta rozstrzygnięta została w skutek starań p. Niny Chraniewiczowéj, zamieszkałéj w Lidzie, gubernii Wileńskiéj, która od lat kilku nie ustawała w energicznem domaganiu się o dozwolenie jéj utrzymywania pensyi żeńskiéj, czemu stawiały tamę władze miejscowe. Obecnie wytrwałość p. Chraniewiczowej uwieńczoną została pomyślnym skutkiem i powiadano nam, że p. Minister oświecenia zdecydował podobno i zawiadomił o tém władze okręgu naukowego Wileńskiego, iż zasadnicze prawa państwa bynajmniej nie wzbraniają działalności pedagogicznéj osobom pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego, że zatem p. Nina Chraniewiczowa ma prawo utrzymywać pensyą, byleby miała do tego odpowiednią kwalifikacyą i nie domagała się żadnych subsydyj od rządu. Nie wiemy o ile wiadomość ta, którą otrzymaliśmy w drodze prywatnej, okaże się prawdziwą, dla tego byłoby pożądaném, ażeby osoby w tej sprawie interesowane, rzecz tę wyjaśnić zechciały i publiczność za pomocą pism Warszawskich o tém objaśniły.

Korespondent „z prowincyi południowo-zachodnich" do Gazety Polskiéj podaje w N. 42 tego pisma wiadomość, tak bolesne nasuwają-

cą myśli, że się w nią uwierzyć nie chce. Na Wołyniu, osoby, do klas inteligentnych zaliczane, usuwają się własnowolnie od zasiadania na kadencyi sądowej w charakterze przysięgłych. „Wynoszę—powiada korespondent, który sam był przysięgłym — to smutne przekonanie, że intelligencya nasza, a przeważnie właściciele dóbr ziemskich uchylają się prawie zupełnie od tych ważnych obowiązków, jakie prawo i zaufanie publiczne im nadaje. Z trzydziestu przysięgłych wylosowanych na obecną kadencyą styczniową w Dubnie, doliczyłem się w końcu jedenastu osób, które się usunęły z powodu różnych przyczyn, niby-to legalnych, lecz podług mnie bardzo podejrzanych; z wyjątkiem dwóch właścicieli dóbr, pozostali sami tylko włościanie, i ci wytrwali do końca. Nie wiem jak się dzieje w innych okolicach Wołynia, podobno że nie lepiej; słyszałem również, że na Ukrainie, gdzie szlachta jest daleko zamożniejsza od naszéj, składają z góry do sądu pieniężną karę w najwyższym rozmiarze, byleby tylko w posiedzeniach nie uczestniczyć.“ Rzecz trudna do wiary, aby ludzie rozumni zrzucali z siebie dwutygodniowy ciężar obowiązku społecznego, i to tam właśnie, gdzie sfera działalności publicznéj zacieśnioną dla nich została, jeżeli nie do zera, to do granic istnie mikroskopijnych. Społeczeństwa, w których bogatsi i oświeceńsi, wyzwalając się od czynnego udziału osobistego w sprawach ogółu dotyczących, zwalają ten ciężar na barki tłumów nieoświeconych, podpisują na siebie straszliwy wyrok, od którego nie ma apelacyi. Bogaci obywatele Kartaginy nie byli obojętni na losy swego kraju, dostarczali przecież pieniędzy na jego obronę, ale, gdy nie chcąc stawać osobiście w szeregach zbrojnych, zapełnili je żołdactwem najemném i niewolnikami, usłyszeli w końcu Katonowe „*delenda est*!“ Szczęściem, że korespondent wołyński za wiarogodność wspomnianego faktu nie ręczy; możemy więc spodziewać się, że złe nie wzrosło jeszcze do rozmiarów zatrważających, że świadomi miejscowych stosunków w różnych okolicach, wyjaśnią istotne położenie i że sporadyczne fakta „oziębłości obywatelskiej“ nie powtórzą się więcej.

Od nowego roku wychodzi w Warszawie dwutygodnik illustrowany pod nap. „Przegląd biblijograficzno-archeologiczny“, poświęcony biblijografii, archeologii, numizmatyce, heraldyce, historyi, sztukom pięknym i literaturze, który, jak spodziewamy się, skupi pracujących na tém polu i zapobiegnie dotychczasowemu rozpraszaniu artykułów archeologicznych po rozmaitych czasopismach, przez co nieraz mijały niedostrzeżone. Miłośnicy starożytności znajdą tym sposobem własne ognisko, z którego skuteczniéj będą mogli wpływać na sprostowanie wielu krążących śród publiczności błędnych mnie-

mań, częstokroć przeciskających się nawet do książek. Treść trzech pierwszych zeszytów „Przeglądu“, dość jest urozmaicona. W „Zapoznanych drogach w sztuce polskiéj“, p. F. K. Martynowski mówi o losach architektury naszej, ostro krytykując dzisiejsze jej stanowisko, nie bez pewnéj słuszności zarzuca architektom, że zamiast „tworzyć lub-kopiować prawdziwe dzieła artystyczne, kompilują niedołężnie i szablonowo traktują swoje dzieła.“ Dla poparcia tych zarzutów, autor poddaje krytyce pomysły architektoniczne kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie. Twierdzenie, iż gdy najwyższe sfery społeczeństwa polskiego wcześnie i odrazu poddały się całkowicie ruchowi renesansu, klasa średnia tymczasem aż do XVII wieku posługiwała się motywami ostrołuku — twierdzenie to należałoby usprawiedliwić lepiej dobranym dowodem, niźli przytoczenie miniaturzysty z r. 1528, gdyż przytoczona data należy jeszcze do epoki przełomu między ostrołukiem a stylem odrodzenia i od XVII wieku zbyt jest odległą. Wyrażenie „zamek trybunału piotrkowskiego“ nie jest zrozumiałém, gdyż trybunał koronny zasiadał w zburzonym już ratuszu na starym rynku. Toż samo, jak się zdaje pióro w naczelnym artykule „W sprawie konserwatorstwa zabytków przeszłości“ wskazuje, ile nieumiejętne restauracye kościołów przyczyniają się do zatarcia w nich cech charakterystycznych, nadających im zwykle artystyczno-pamiątkowe znaczenie. Przedstawiając konieczną potrzebę pohamowania nowoczesnego wandalizmu, autor uważa, że najstosowniejszym środkiem byłoby stworzenie instytucyi konserwatorskiéj, rozciągającej opiekę nad wszystkiemi zabytkami przeszłości. Ksiądz Polkowski podał opisy krzyżów złotych, znajdujących się niegdyś w skarbcu katedralnym krakowskim. W roku 1794 oddano je na rzecz skarbu narodowego, z wyjątkiem jednego, który uchodził za dar Kazimierza Wielkiego. Ks. Polkowski udowodniwszy mylność tego mniemania, twierdzi, że krzyż, który dotąd oglądać w skarbcu można, jest „zabytkiem sztuki złotniczej w stylu lombardzko-bizantyjskim z wieku XIII; był niegdyś w skarbcu wileńskim, a potem w skarbcu prywatnym Kazimierza Jagiellończyka, i za czasów biskupa Jana Rzeszowskiego ofiarowany do katedry krakowskiej. Żałować musimy, że autor nie opisał szczegółowo zdobiących ten krzyż wyobrażeń, któreby może dały wskazówkę co do miejsca i czasu, z jakich pochodzi. Z dołączonych rysunków widać, że orły heraldyczne, jeźdźcy na koniach i osoby stojące, stanowią ornament wielokrotnie powtarzający się w różnych miejscach krzyża; wspomniane orły nasuwają pytanie, czy krzyż ów nie był sporządzony pierwotnie dla jednego z kościołów polskich, zkąd w czasie najazdów litewskich mógł być zabrany i do Wilna przeniesiony. Pp. Przyborowski, Janowicz

i Tymieniecki zaznajamiają nas z różnemi nowościami numizmatycznemi. Niezmordowany Kraszewski ogłasza waryanty „Wojny Chocimskiéj“ W. Potockiego, wyjęte z rękopisu przechowanego w zakładzie Ossolińskich. P. E. Swieżawski, opierając się na przytaczanych przez Bart. Paprockiego ustępach kronikarskich z nieznanych dziś pisarzy, dochodzi do wniosku, że zanim Długosz napisał „Clenodia“, poprzedziły go inne prace genealogiczno-heraldyczne, będące wyrazem konsolidowania się stanu szlacheckiego.—Działowi krytycznemu redakcya zakreśliła nader obszerne szranki: rozbiory dzieł odnoszące się do specyalności pisma znajdują się na właściwem miejscu. Trudniéj nam to powiedzieć o recenzyach Antologii polskiéj, przekładu pieśni Petrarki i fragmentów dramatycznych p. Konopnickiéj, które w zbyt dalekiém chyba pokrewieństwie znajdują się czy z bibliografią czy z archeologią; nie przeczymy jednak, że takie urozmaicenie pisma może na czytelników działać przyciągająco.

Natomiast, szczerze wyznamy, że z zadziwieniem spotkaliśmy w „Przeglądzie“ rzecz o „fabrykach i rękodziełach, w dawnéj Polsce,“ artykuł skompilowany bez ładu i składu, ukazujący się już w drugiéj edycyi, pomnożonéj, lecz wcale nie ulepszonéj. Autor, jak powiada, „chciał zachęcić historyków do gorliwszych poszukiwań w tym kierunku;“ obawiamy się jednak, że swoją nieudolną robotą chyba jeszcze większym wstrętem przejąć ich zdoła. Wielu źródeł nie zużytkował, dyplomataryusze pozostawił na stronie, wiadomości, jakie podaje, nie poparł cytatami, miesza rzeczy różnorodne, jednorodne rozrzuca, nawet porządku chronologicznego zachować nie umie. Do fabryk zalicza golarzy, chirurgów, cyrulików, lekarzy, konowałów, lutnistów i wogóle muzykantów; czemuż pominął palestrantów, zakrystyanów, rybałtów, wróżbiarzy? Zamiast prasołów są u niego praszoty; bednarzy zna w XVI wieku tylko na Litwie; miasteczko Denków przeprawił przez Wisłę w Lubelskie, bez względu na to, że kruche, bo gliniane, wyroby denkowskie mogły w téj przeprawie uledz potłuczeniu, z wielką szkodą krajowéj produkcyi. Objaśnienia, jakie tu spotykamy, są nieocenione, czytamy np. że „iglarze wyrabiali igły,“ a „kopaniarze byli-to rzemieślnicy trudniący się na wsi rozlicznymi wyrobami, przeważnie karczowali oni niwy na wzgórzu wyznaczonem i uprawiali je.“ Coby na to król Dawid powiedział, gdyby się dowiedział, że byli w Polsce „procarze, co wyrabiali proce do łuków?“ Ekonomiczne pojęcia autora są tak pierwotne, że podobnych szukać-by trzeba chyba w owém komiczném sprawozdaniu z dzieła Baudrillart’a o zbytku, którém „Niwa“ w roku zeszłym ufetowała swych czytelników. Ośmielamy się tedy wy-

razić życzenie, aby redakcya „Przeglądu“ przerwała drukowanie roboty p. Kołaczkowskiego, która szpeci to pożyteczne czasopismo.

Doszły do nas dwa zeszyty nowego czasopisma wydawanego co dwa tygodnie w Krakowie p. n. *Muzeum*. W mieście tém od lat już kilkunastu nie może się obok dwu stale istniejących pism utrzymać przez czas dłuższy żadne ani naukowe ani nawet polityczne wydawnictwo. Po krótkiém bardzo istnieniu upadały po kolei *Kraj*, *Kuryer* czy *Kronika*, *Szkice społeczne i literackie*, *Przegląd krytyczny*, *Dwutygodnik naukowy*. W tych bankructwach literackich zazwyczaj słyszéć się dają skargi na brak ochoty do czytania, na brak prenumeratorów, ale niekiedy skarżą się nawet na brak... autorów. Co do nowego czasopisma, któremu życzymy jak najlepiéj, gdyż zwiększa liczbę wydawnictw poważnych, niosących pokarm posilniejszy od beletrystycznych zupek, nie wiemy, jak się rzecz ma z prenumeratorami, ale na brak autorów żalić się nie może; na okładce bowiem czytamy nazwiska 70 przeszło pisarzów, którzy spółpracownictwo w *Muzeum* zapewnili wydawcy i redaktorowi p. Tadeuszowi Rutowskiemu.

Pomieszczone dotychczas prace poruszają wogólności kwestye ważne i to zarówno w dziedzinie społecznéj, jak naukowéj, literackiéj i artystycznéj. Wzmianka się przedewszystkiém należy trzem artykułom, dotyczącym wewnętrznych spraw galicyjskich. P. Teofil Merunowicz skreślił dosadnemi rysami „Ekonomiczny stan Galicyi w roku 1880,“ gdzie rozważając pomyślne i niepomyślne objawy, chociaż, naturalnie, więcéj poświęca miejsca naszkicowaniu biedy galicyjskiéj, skwapliwie jednakże zaznacza i wszelkie usiłowania dążące do polepszenia bytu kraju, tak, że ostateczne wrażenie nie jest tak przygnębiające, jakby z pesymistycznych poglądów, dość u nas rozpowszechnionych, wypadało. P. Tadeusz Rutowski w artykule „O własnych siłach“ powołuje do pracy, „dla uratowania z pod nóg usuwającéj się ziemi, dla stworzenia krajowego przemysłu fabrycznego, dla stworzenia stanu średniego, dla wciągnięcia ludu dobrobytem, oświatą i interesem do narodowego obywatelstwa;“ a zachęcając do porzucenia czułostkowéj deklamacyi przeciw niebezpieczeństwu zmateryalizowania się i stracenia ideału wśród tych zachodów, słusznie dodaje, że „powszechne chwycenie się pracy na raz we wszystkich punktach, gdzie tylko podważyć się da głaz grobowy co nas gniecie—toć także ideał, toć jest miejsce i dla serca i dla marzeń,“ że siła ducha na takim fundamencie oparta pozwoli nam patrzéć w przyszłość spokojnie i śmiało. W przekonaniu, że „jak ozdrowienie politycznéj myśli z zaniechaniem apologetycznéj historyografii w przyczynowym stoi związku, tak i ozdrowienie społecznego i ekonomicznego życia w kraju tylko za bezwzględnem samo-

poznaniem pójść może,“ zapowiada p. R., iż starać się będzie przedewszystkiém o historyczno-krytyczne przeglądy głównych gałęzi życia ekonomicznego, tudzież o projekty i plany pozytywne prac do przedsięwzięcia, opartych na samopomocy kraju. Zamiarowi takiemu z serca przyklasnąć należy a to témbardziéj, że po części spełniać się już zaczął w rozprawie d-ra Władysława Szajnochy p. n. *Górnictwo naftowe w Galicyi wobec ustawodawstwa górniczego*, gdzie skreśloną znajdujemy historyą téj kwestyi, stan jéj obecny i krytykę ustaw o nafcie teraz obowiązujących. Korespondencya ze Lwowa przez p. Romualda Starkla, przedstawiająca ruch umysłowy w t ém mieście dopełnia liczby artykułów, obchodzących przedewszystkiém Galicyą.

Po tym dziale społecznym najobficiéj zapełniony jest dział krytyczno-sprawozdawczy: pomieszczono tu obszerny rozbiór rozprawy p. M. Kanteckiego o testamencie Bolesława Krzywoustego, napisany przez p. Anatola Lewickiego, daléj początek obszernéj oceny Pierwotnych dziejów Polski Bartoszewicza przez Kazimierza Jarochowskiego, tudzież kilka krótszych krytyk i sprawozdań.

Z dziejów sztuki mamy tu rozpoczęty artykuł p. Maryana Sokołowskiego p. n. *Wielka rezydencya i wielki ród*, w którym opowiada o pałacach Kolonnów w Rzymie i o skarbach sztuki tam zawartych.

Bez belletrystyki trudno się w czasopiśmiennictwie obyć. Reprezentuje ją w *Muzeum* wiersz Asnyka p. n. *Pigmalion.* Poeta wkłada w usta Pigmaliona skargi artysty, który powołał do bytu kształty piękna, ale nie mógł im dać duszy; pociesza się wszakże nadzieją, iż po jego śmierci pierś marmurowa statui całą jego duszę w siebie weźmie i przechowa dla wieków przyszłych:

Więc jako światło w grobowcu płonące
Zniknionych światów zabłyśniesz urodą
I w ciemność iskier rozrzucisz tysiące,
Któremi ludkzość poobdzielasz młodą,
W czasach pokrytych barbarzyństwa cieniem
Ty będziesz niebios jasném objawieniem,
Przed którém dzikie plemiona uklękną,
Czcząc w tobie boskie, nieśmiertelne piękno.

Króciutka nowella p. Waleryi Marrené p. n. *Józwa Szymczak* niezupełnie zadawalnia pod względem odtworzenia mściwych instynktów wśród ludu, gdyż motywowanie czynów jest tu niedostatecznem, a brak naturalności zastąpiony trochę sztywną powagą. W drugim zeszycie rozpoczęta nowella Sewera p. n. *Ostatnia potyczka*, epizod z wojny francusko-pruskiéj 1870/1.

• •

Wszystkie pisma nasze oddały hołd pośmiertny pamięci jednego z uczonych, skłaniając się ze czcią przed ogromem jego wiedzy, wysławiając zacność jego charakteru, uznając szlachetność jego dążności. Mąż ten, w skutek źle zrozumianego przez pewną część dziennikarstwa projektu, który miał na celu ustalenie grafiki wszechsłowiańskiéj, pomawiany był za życia o panslawizm a najniewinniejsze w świecie reformy pisownicze, przezeń proponowane, ulegały krytyce zawziętéj, nie naukowéj wprawdzie, ale pseudopatryotycznéj. Te napaści dawniejsze odgranicza od pochwał dzisiejszych zaledwie 10-letni przeciąg czasu; że tak prędko potrafiły się przerobić opinie wśród inteligencyi, stanowi to jednę z największych pociech wobec lekkomyślego a tak zwyczajnego u nas, ferowania wyroków. Ksiądz Franiczek Ksawery Malinowski doczekał się rehabilitacyi zaraz nazajutrz po śmierci (30 stycznia); smutna-to pociecha, ale pociechą być nie przestaje, gdyż dowodzi coraz większego dojrzewania społeczeństwa.

Franciszek Ksawery Malinowski wiedzę swoję i stanowisko w językoznawstwie naszém i słowiańskiém zawdzięcza nie szkole, nie wzorom, nie tradycyi naukowéj, ale samemu sobie. Syn małomiasteczkowego burmistrza (ur. 1808 w Gołubiu w ziemi chełmińskiéj), przeznaczony przez ojca na aptekarza, chwilowy żołnierz w r. 1831, następnie kapłan w zaciszném, dalekiém od świata naukowego Wałdowie, studyami własnemi zdobył sobie znajomość głównych języków aryjskich, a ulegając bodźcom wewnętrznym oddał się specyalnemu badaniu mowy ojczystéj. Nie należał on do liczby tych, co wiedzę swoją i zdolności spożytkowują na razie w miarę nagromadzonych materyałów, albo téż w miarę nastręczających się okoliczności; zbierał on długo wiadomości swoje, porządkował je, przetrawiał, układał w pewien system i dopiéro wtedy występował publicznie z wygłoszeniem zdobytych przez siebie rezultatów, gdy je za zupełnie dojrzałe uznał.

Stąd szereg prac jego jest niewielki, choćbyśmy wzięli w rachubę tylko te lat 30, które dają nam wyraźniejsze ślady jego studyów lingwistycznych. Ale natomiast rzecz każda, którą ogłosił, nosi na sobie cechę wytrawnego sądu zdobytego mozolném przemyśleniem zagadnień językoznawczych. Czy wszystkie jego poglądy wytrzymają probierczy ogień krytyki, jest-to pytanie, na które dzisiaj już można odpowiedzieć co do znacznéj ich części przecząco; mimo to zasługa prawdziwie naukowego badania mowy naszéj na podstawie metody porównawczéj, ogarniającéj w zakres swój wszystkie języki aryjskie, pozostanie przy Malinowskim i pamięć jego laurem uznania uwieńczy. Jego „Krytyczno-porównawcza gramatyka języka polskiego“ (1869—73), tudzież świeżo ukończona w dru-

ku „gramatyka sanskrytu“ według Boppa, pomimo wad i błędów jakie krytyka w nich wykryła, pozostaną trwałemi pomnikami jeżeli nie pomysłowości, to w każdym razie sumiennéj a umiejętnéj pracowitości niestrudzonego badacza mowy naszéj.

Obok tych zasług naukowych, czy można przemilczéć o działalności obywatelskiéj ks. Malinowskiego? Kreślimy ją ogólnemi rysami, zaczerpniętemi z „Dziennika Poznańskiego:“ „Ks. Malinowski przyczynił się znacznie w Prusach Zachodnich do założenia i rozwinięcia tamże pierwszego towarzystwa rolniczego oraz towarzystwa pomocy naukowéj. Na zjeździe dyecezalnym w Peplinie, za czasów biskupa Sedlaka, występował jako delegat duchowieństwa z największą energią w obronie języka polskiego, tudzież przeciw zalewaniu dyecezyi duchownemi niemieckiemi ze Szlązka i Niemiec. W księstwie Poznańskiém należał do grona założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk i towarzystwa rolniczego w powiatach poznańskim i szamotulskim.“

Dość liczne rękopismy, pozostałe po zmarłym (Gramatyka języka starosłowiańskiego, rusińskiego, litewskiego, słownik litewski, źródłosłowy języków słowiańskich) stały się przedmiotem narad Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu; zapewne, o ile odpowiadać będą wymaganiom naukowym. zostaną ogłoszone. Będzie-to niewątpliwie jednym z najlepszych środków uczczenia tyloletniéj a owocnéj pracy.

Wydawca, **W. Spasowicz.**— Redaktor **Piotr Chmielowski.**

